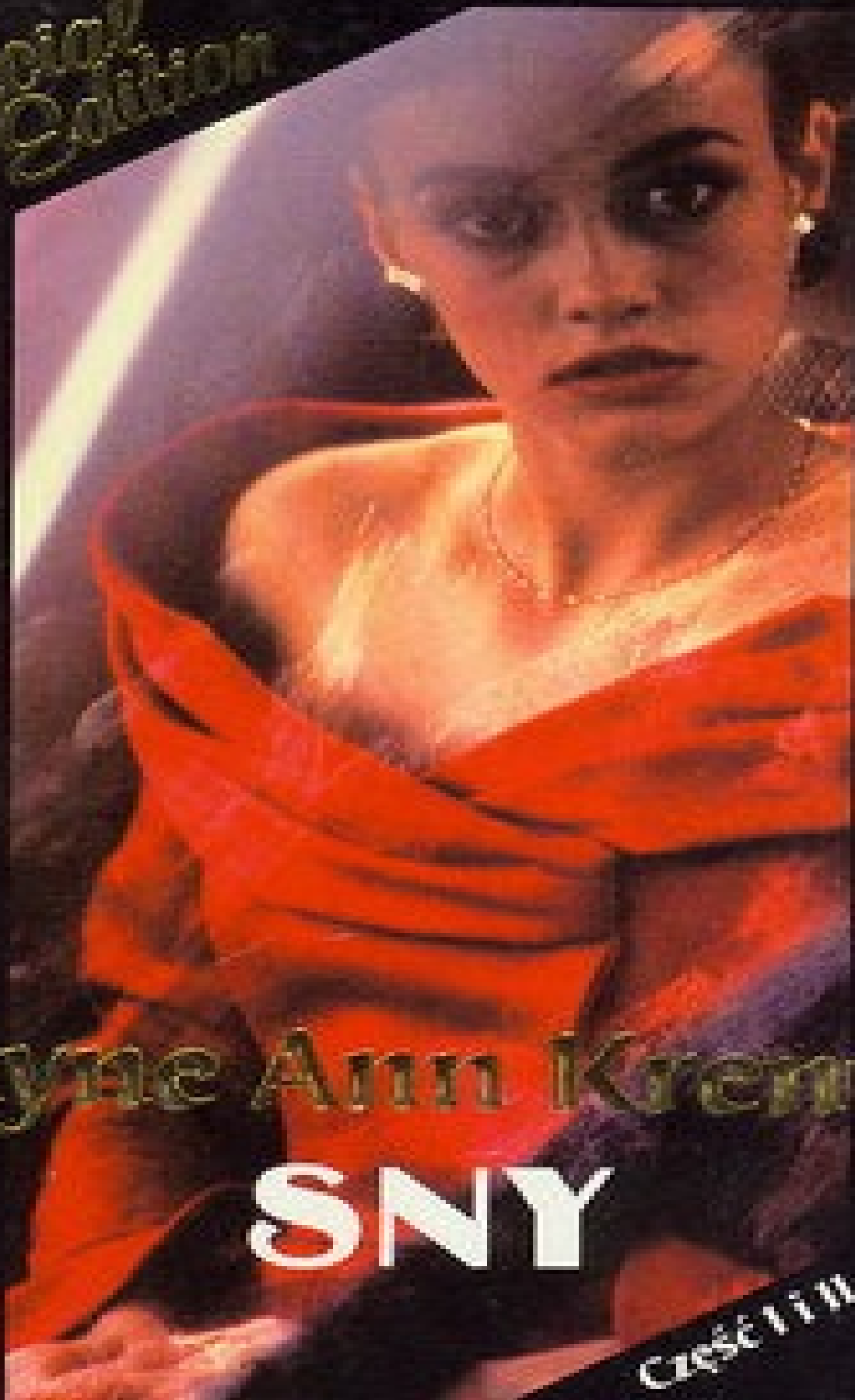




Silhouette®

Special Edition



©1994 SILHOUETTE S.A. ALL RIGHTS RESERVED

Jayne Ann Krentz

SNY

CRÉÉ PAR

**Jayne Ann Krentz**

**SNY**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miał po uszy tych korowodów. Pragnął jej i był niemal pewien, że ona również go pragnie. Dawno już przestali być dziećmi. Pomiędzy ludźmi dojrzałymi niepotrzebne są te wszystkie gierki. Poprzysiągł sobie, że jeśli znów go będzie dzisiaj zwodzić, pójdzie sobie i więcej do niej nie wróci. Nawet jeśli potrafi przyrządzać najsmaczniejsze jarzyny po chińsku w całym Oregonie. Cholera! Oszukiwał sam siebie i dobrze o tym wiedział. Zjawi się w jej domu również jutro, nawet jeśli dziś wieczorem ta kobieta uprzejmie wskaże mu drzwi. Umówi się jeszcze raz, potem następny i będzie to robił dopóty, dopóki drzwi jej sypialni nie staną przed nim otworem.

Było w Dianie Prentice coś, co go fascynowało. Nie, fascynacja to mało powiedziane. Diana stawiała się jego obsesją niemal w tym samym stopniu, co pisanie. Wyczarował w wyobraźni jej wizerunek i natychmiast poczuł reakcję własnego ciała. Do licha, miał już czterdziestkę i tego rodzaju problemy powinny być już za nim!

Mimo wszystko fakt, że nadal gnębi go ta szczególna przypadłość, sprawił mu satysfakcję. Dlaczego jednak akurat Diana Prentice? Nie przypominała urodą wysokich wiośnianych dziewczyn z okładki. Miała trzydzieści cztery lata, była trochę za niska i raczej silnej budowy ciała. Nieduży prosty nos. Broda świadcząca o stanowczym charakterze. Wydatne kości policzkowe. Pełen ciepła, figlarny uśmiech.

Jedynym naprawdę pięknym i osobliwym akcentem jej urody był kolor oczu. Oczarowały Colby'ego tak bardzo, że spędził mnóstwo czasu, próbując nazwać ich barwę i definiując je wreszcie w przybliżeniu jako orzechowe. Był pisarzem i wiedział, że powinien pokusić się o większą oryginalność. Trudno jednak określić jednym słowem tę przedziwną mieszaninę złota, turkusowego i zieleni, która przywodziła na myśl egzotycznego, tajemniczego kota. Zmysłowego, lecz nie dającego się oswoić.

Diana mogła z własnej woli oddać się mężczyźnie, nigdy jednak nie pozwoliłaby się zniewolić. Znacznie łatwiej było opisać jej włosy. Kasztanowe. Brąz przetykany złocistymi pasemkami. Colby od wielu tygodni wyobrażał sobie, jak zanurza w nich dłonie, układa Dianę na kobiercu zielonej trawy i kocha się z nią tak długo, aż wreszcie Diana przestaje się opierać, przestaje się z nim droczyć.

Aż wreszcie poddaje się całkowicie. Musi się w końcu poddać. Czemu tego nie rozumie? Należała do niego, na zawsze. Nie może ciągle z nim walczyć. Nachmurzył się, zażenowany niezwykłym tokiem swych myśli. Niezbyt to do niego podobne - zapragnąć kobiety tak nagle, tak niecierpliwie. Colby Savagar zaklął ze złości i otworzył oczy. Słońce chyliło się ku zachodowi. Wkrótce dolinę spowije mrok.

Potężny głaz, na którym leżał, nagrzany w ciągu dnia promieniami słonecznymi, szybko tracił ciepło. Nad jego głową zataczał kręgi ptak, który wyleciał na wieczorny żer. Colby'emu wydało się, że słyszy z pobliskiej sosny nawoływanie jego towarzyszki, mógł się jednak mylić. Wszelkie odgłosy zagłuszał huk spadającej kaskadami spienionej wody.

Przekręci! się na bok i wsparł na łokciu. Balansując nogą dla utrzymania równowagi, wychylił się poza krawędź skały, by napawać się wspaniałym widowiskiem. Nadszedł właśnie na nie czas i Colby za nic w świecie nie chciał przepuścić okazji. Poniżej jego punktu obserwacyjnego wypływał ze źródła ukrytego w samym sercu góry Wodospad Spętanej, torując sobie drogę pośród skał. Potężne masy spienionej, skrzężonej wody tworzyły białą ścianę o wysokości powyżej stu metrów,

wpadającą prosto do rzeki.

Colby wiedział, że za chwilę, w momencie zachodu słońca, biały welon wskutek gry świateł zmieni barwę na krwistoczerwoną. Ten widok fascynował go zawsze, ilekroć miał okazję na niego patrzeć. Czekał na pierwsze przebliski kolorów w pyle wodnym, unoszącym się zawsze nad wodospadem. Słońce opuszczało się coraz niżej, barwiąc niebo wszelkimi odcieniami złota i rzucając refleksy na białe pióropusze wody. Przez krótką chwilę ze skał tryskało szczere złoto.

W kilka sekund później złoto zapłonęło żywym ogniem, który z kolei przeobraził się w krew. Colby usiadł i objąwszy ramionami kolana wpatrywał się w szkarłatną wodę. Czas stanął w miejscu. Wreszcie słońce skryło się zupełnie i wodospad wrócił do swego normalnego wyglądu, bielejąc w zapadającym zmroku.

Podniósł głowę i ogarnął wzrokiem niewielkie miasteczko, które przycupnęło po obu stronach rzeki. Może jednak popełnił błąd, wracając? Co spodziewał się tutaj zastać? Fulbrook Corners nie zmieniło się przez ostatnie dwadzieścia lat. Wodospad nadal płonie czerwienią o zachodzie słońca, a on tak samo nie cierpi swego rodzinnego miasteczka jak niegdyś.

Jedyną nowością tego lata była obecność Diany Prentice. Na tę myśl Colby wstał i ruszył w dół ścieżką biegnącą wśród rumowiska potężnych głazów, zalegających szczyt Wodospadu Spętanej. Diana czeka na niego. Zaprosiła go na kolację, a on obiecał przynieść wino.

Zastanawiał się ponuro, czy przyjdzie mu spędzić kolejny wieczór w stanie erotycznego napięcia. Dlaczego właściwie się na to wszystko godzi? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak na inne - dlaczego przyjechał na lato do Fulbrook Corners?

- Uspokój się, Specter, dostaniesz swoją kolację.

Wiesz doskonale, że odkąd jesteś u mnie, nie brakuje ci jedzenia. - Diana Prentice uśmiechnęła się czule do ogromnego łaciatego psa, który siedział obok jej krzesła, patrząc na nią wyczekująco. Podrapała go za uchem, on zaś oparł ciężki pysk na jej udzie. - Można by pomyśleć, że przymiera głodem.

~ Pewnie zawsze był głodny, nim spotkał ciebie. - Colby spojrzał z ukosa na psa z nie ukrywanym obrzydzeniem. Nie lubili się od pierwszego wejrzenia i obaj doskonale o tym wiedzieli. Okazywali sobie uprzejmość wyłącznie przez wzgląd na Dianę. - A może ma worek bez dna zamiast żołądka? To najbrzydszy pies, jakiego widziałem w życiu. Nie ma odrobiny wdzięku, nie zna żadnych sztuczek. Nie widzę w nim żadnych zalet. A ja przecież lubię psy.

Diana uśmiechnęła się łagodnie, w jej oczach zabłyśły figlarne iskierki.

- Specter wyraża się o tobie w samych superlatywach. Kiedy jesteśmy sami.

- Akurat! Najchętniej zatopiłby kły w moim gardle. - Colby uśmiechnął się, pokazując równe zęby. - Toleruje mnie, bo nie chce ci się narazić. Boi się, że nie dasz mu jeść, jeśli zacznie rozszarpywać na strzępy twoich gości.

- Skoro potrafi wysnuć takie wnioski, nie możesz nazywać go głupim.

- Przecież nie twierdzę, że jest głupi. Tylko wstrętny.

- No, tak - zgodziła się po namyśle Diana. - Specter nie jest milutki. Ale też nigdy nie przepadałam za tym, co milutkie.

Bo gdyby tak było, dodała w duchu, nie przestąpiłbyś progu mego domu, panie Savagar!

Colby, podobnie jak Specter, był silny i bez wątpienia niebezpieczny, gdy się go sprowokowało. Diana wiedziała jednak mniej więcej tyle samo o jego przeszłości, co o przeszłości swojego psa.

Słyszała, że mieszka w Portland i ma czterdzieści lat, na które zresztą wyglądał. Jego twarz znaczyły zmarszczki świadczące o bezkompromisowości. Niemal czarne włosy były poprządkane srebrnymi nitkami, zwłaszcza na skroniach. Nadawałyby mu pewną dystynkcję, gdyby miał wygląd biznesmena, lekarza czy prawnika. Ponieważ jednak absolutnie brakowało mu tych cech, przypominał raczej zaprawionego w bojach wilka.

Znała go od kilku tygodni i przez cały ten czas chodził wyłącznie w dżinsach, spłowiałych drelichowych koszulach i znoszonych sportowych butach. Ten styl ubierania się dziwnie do niego pasował.

- Skąd wytrzasnąłaś tego potwora? - spytał Colby, biorąc następną porcję ryżu z jarzynami.

- Ze schroniska - uśmiechnęła się na samo wspomnienie. - Spojrzeliśmy na siebie i wiedzieliśmy, że to przeznaczenie.

- Aha! Raczej uznał cię od pierwszego rzutu oka za litościwą duszę. Przecież nie bez powodu znalazł się w schronisku.

- Ktoś go porzucił - Diana pogłaskała szorstką sierść, a Specter przytulił się jeszcze mocniej do jej nogi. Brązowe ślepie wpatrywały się w nią z nie skrywanym uwielbieniem.

- Jakoś wcale mnie nie dziwi, że ktoś miał tyle zdrowego rozsądku, by się go pozbyć. Co to w ogóle za rasa? Pomijając oczywisty fakt, że w połowie to smok.

- Nie wiem. Pracownica schroniska powiedziała, że z pewnością ma domieszkę krwi owczarka, ale co do reszty, nie wiadomo.

- Na pewno włóczył się po śmietnikach, zanim trafił do ciebie.

Specter wyszczerzył zęby, po czym usiłował pokryć to szerokim ziewnięciem.

- A ty co robiłeś, nim stałeś się pisarzem? - spytała nagle Diana. Jej ciekawość rosła z dnia na dzień. Zdawała sobie sprawę, że Colby ogromnie ją pociąga i denerwowało ją, że podoba jej się ktoś, kogo nie zna. Przywykła panować nad sobą i swoim życiem.

- Co popadło. Przez krótki czas byłem w wojsku, potem pracowałem głównie na budowach, aż wreszcie okazało się, że mogę się utrzymać z pisania.

Wiedziała, że jej pytania go drażnią. To było jednym z niewielu, na które raczył odpowiedzieć. Obracała w myśli uzyskane okruchy informacji.

- Może jeszcze trochę ryżu?

- Dzięki. - Colby skwapliwie sięgnął po misę. - Nie chcę cię urazić, ale czy ryż z jarzynami to kres twoich umiejętności kulinarnych? Dajesz mi to na każdą kolację.

- To moja jedyna popisowa potrawa - uśmiechnęła się Diana. - Nigdy nie miałam czasu, żeby nauczyć się gotować. Poza tym chętnie jem warzywa. Muszę liczyć kalorie.

- Dobrze się składa, że i ja lubię warzywa. - Colby skropił okazały kopczyk na talerzu sosem sojowym.

- Wyraźnie nie tylko Specter ma wilczy apetyt.

- Ja przynajmniej mam powód - odparł Colby z pełnymi ustami. - Odbyłem dzisiaj niezłą wspinaczkę.

- Znowu byłeś nad wodospadem?

- Tak.

- On cię chyba naprawdę urzekł.

- Zabiorę cię tam o zachodzie słońca. Zobaczysz, jaki to niesamowity widok. Woda koloru krwi!

Diana wzdrygnęła się.

- Czy to ci nasunęło tytuł książki, nad którą pracujesz?

- „Purpurowa mgła”? Owszem. - Sięgnął po kieliszek z winem, obrzucając jej twarz taksującym spojrzeniem.

Diana poczuła lekki niepokój. Była to jedna z przyczyn, dla których wolała trzymać go na pewien dystans od chwili, gdy kilka tygodni temu zobaczyła go po raz pierwszy na poczcie. Wyczuwała w tym spojrzeniu coś dziwnie niebezpiecznego, a jednak nie potrafiła odmówić, gdy kilka dni później wprosił się do niej na kolację.

Jedno spotkanie pociągnęło za sobą następne, a teraz, w miesiąc później, bawiła się nierozważnie w grę zmysłów z mężczyzną, którego nie potrafiła rozszyfrować. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, żeby zerwała tę znajomość, zanim wpadnie w pułapkę, nie mogła się jednak na to zdobyć. Colby zbyt ją intrygował, pociągał, zżerała ją ciekawość. Coś ją popychało do podjęcia ryzyka, dowiedzenia się czegoś więcej o wakacyjnym sąsiedzie.

- A co ty dziś robiłaś? - spytał Colby, jak gdyby wyczuwając, w jakim kierunku biegną jej myśli i pragną odwrócić jej uwagę.

- To, co zwykle. - Diana podała Specterowi spory kęs brokułów. Pies pożarł je łapczywie, jak gdyby to był kawał surowego mięsa. - Zjadłam śniadanie, napisałam na maszynie kilka ofert pracy oraz listów, odebrałam pocztę, odbyłam długi spacer ze Specterem i przeczytałam kilka rozdziałów „Szoku”.

- Co za wspaniałe wakacje! A właściwie czemu wybrałaś tę miejscinę? Dlaczego nie pojechałaś na wybrzeże?

Diana poruszyła się niespokojnie. Sama zadawała sobie to pytanie, i to nie jeden raz.

- Nie mam pojęcia. Marzył mi się spokój, samotność.

Pewnego dnia, gdy oglądałam mapę, wpadła mi w oko nazwa Fulbrook Corners i nieoczekiwanie podjęłam decyzję.

- A teraz tkwisz tu, dokarmiając mnie i próbując przebrnąć przez jedną z moich powieści. Los płata dziwne figle. Trudno mi jednak uznać za komplement to, że czytasz tę książkę tak długo.

- Nie mogę czytać wielu rozdziałów na raz - przyznała szczerze Diana, wsuwając do wielkiego pyska Spectera kolejny smakołyk - bo potem strasznie się boję.

Colby wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego, że nie czytywałaś przedtem horrorów.

- Przyznaję, że nie jest to moja ulubiona lektura. Po przeczytaniu połowy „Szoku” rozumiem już, że postępowałam nader rozsądnie, unikając książek z tego gatunku. Jeśli czytam ją przed pójściem spać, dręczą mnie później senne koszmary.

- Chyba powinienem być dumny ~ odrzekł gładko.

- Płacą mi właśnie za straszenie ludzi.

- Jak możesz pisać coś takiego? - Diana zmarszczyła brwi. - Czy to cię nie męczy? Nie przeraża cię własna wyobraźnia?

- Jeśli tak się zdarza, wiem, że pisanie idzie mi dobrze.

- Chyba nigdy nie zdołam cię zrozumieć.

- Czy w tym właśnie tkwi problem? - spytał cicho Colby. Odchylił się w krześle, wyciągając pod stołem długie nogi, i dopił wino. Spoglądał na nią ostrym, pytającym wzrokiem spod na wpół przymkniętych powiek.

- To dlatego prowadzisz ze mną tę grę „patrz-ale-nie-dotykaj”? Usiłujesz mnie zrozumieć, zanim zdecydujesz się pójść ze mną do łóżka?

Diana nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Specter wyczuł jej napięcie i spojrzał na Colby'ego oskarżycielskim wzrokiem, jak gdyby prowokując go do następnych agresywnych posunięć.

- Nie miałam pojęcia, że prowadzimy jakąś grę - powiedziała w końcu, próbując zachować zimną krew, co zawsze wychodziło jej na dobre w świecie interesów.

- Myślałam, że jesteśmy po prostu coraz lepszymi przyjaciółmi. Skoro uważasz, że z mojej strony to jakaś gra, może wolałbyś wyjść? Specter nie zawarczał, ale obnażył kły.

Colby spojrzał na psa, potem znów na Dianę.

- O, nie! - powiedział wyraźnie rozbawiony. - Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. I nie zamierzam rezygnować. Dobrze wiesz, że trzymasz mnie w zawieszaniu od pierwszego dnia. Dopuszciasz mnie na pewną odległość i dalej ani kroku.

- Rozumiem. - Diana wpadała w coraz większą irytację. - A więc przyjaźń cię nie interesuje. Wprosiłeś się kilkakrotnie na kolację, ponieważ się nudzisz. Sądziś, że lato w Fulbrook Corners będzie atrakcyjniejsze, jeśli znajdziesz partnerkę do łóżka?

Colby mierzył ją wzrokiem przez długą chwilę.

- Gwoli ścisłości - rzekł w końcu z emfazą - nigdy nie uważałem Fulbrook Corners za atrakcyjną miejscowość, czy to z partnerką do łóżka, czy bez.

- To czemu wróciłeś po dwudziestu latach?

- Już ci to wyjaśniałem. Musiałem podjąć decyzję, co zrobić z domem ciotki Jesse i potrzebne mi było spokojne miejsce na dokończenie „Szkarłatnej mgły”. Postanowiłem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Myślę, że kryje się w tym coś więcej.

- Wolno ci myśleć, co ci się żywnie podoba. Ale ostrzegam cię, Diano. Nie mam zamiaru pozwolić, żebyś bawiła się moim kosztem.

- Dobrze - odparła spokojnie. - Jestem pewna, że potrafię uczynić lepszy użytek z mojego czasu. Mówiłam ci, że muszę podjąć ważne decyzje dotyczące mojej pracy i lepiej będzie, jeśli skoncentruję się na nich, zamiast tracić czas z tobą. Uznajmy, że to koniec. Oboje popełniliśmy błąd. Zdarza się, nawet w naszym wieku.

- Wstała z wyzywającym uśmiechem i zaczęła zbierać naczynia ze stołu. - Deser?

- Tak, poproszę o deser. - Colby podniósł się również i postąpiwszy parę kroków w stronę Diany, przyciągnął ją mocno do siebie.

- Colby! - Wsparła się dłońmi o jego pierś, usiłując go odepchnąć. W jej oczach zapłonęła złość. Specter warknął ostrzegawczo.

- Uspokój psa! - polecił Colby, niemal dotykając wargami ust Diany.

- Dlaczego? Przecież mnie broni.

- Nie musi cię bronić przede mną. Dasz sobie radę sama. Każ mu stąd wyjść.

Diana wahała się przez chwilę, oszołomiona groźbami zarówno ze strony człowieka, jak i psa, które zdawały się kłębić wokół niej. Wreszcie zwyciężył zdrowy rozsądek.

- Spokój, Specter - powiedziała zdecydowanym tonem. - Dobry piesek. Leżeć! Wszystko w porządku. Wielki pies nie wyglądał na specjalnie przekonanego.

Przyglądał się badawczo pani w objęciach Colby'ego, potem przeniósł wyraźnie podejrzliwe spojrzenie na mężczyznę.

- No, dalej, słyszałeś, co mówiła pani - dodał Colby.

- Leżeć! Nie zrobię jej krzywdy.

Warknąwszy po raz ostatni, Specter powlókł się niechętnie w kąt pokoju i położył posłusznie, nie spuszczać jednak wzroku z Diany.

- Wyprowadzasz go z równowagi - powiedziała. - Mnie zresztą też.

- Wobec tego jesteście kwita. Ty doprowadzasz mnie do szału już od kilku tygodni. - Colby wsunął dłonie w jej włosy, uwalniając jednym szarpnięciem lśniąca brązową masę. - Długo na to czekałem.

- Pochylił się i czubkami palców uniósł jej brodę.

Dianie zabrakło nagle tchu. Od miesiąca igrała z losem, tajemniczym i groźnym, by wreszcie wpaść w jego sidła. Pozostało jej tylko poddać się temu, co nieuniknione.

- Właśnie tak, skarbie! - szepnął Colby, gdy Diana otoczyła ramionami jego szyję. - Wreszcie zaczynasz rozumieć. Czemu byłaś tak piekielnie uparta, czemu wymykałaś mi się przez miesiąc? - Przyglnął do niej całym ciałem.

Ten pocałunek był taki, jak go sobie wyobrażała, a jednocześnie zaskoczył ją. Było w nim coś egzotycznego, niemal obcego, a zarazem sprawiał wrażenie rzeczy najbardziej naturalnej w świecie. Można by sądzić, że napotkała w osobie Colby'ego dziwną formę życia płci męskiej. Mimo to miała wrażenie, że znała go kiedyś dobrze - w jakimś innym czasie i miejscu - i obawiała się go. Walczyła z nim.

Colby tulił ją do siebie coraz mocniej, Diana czuła napór jego podnieconego ciała. Pragnął jej i nie czynił z tego tajemnicy. Coś w niej pękło. Zdawało jej się, że na tego mężczyznę i na ten pocałunek czekała przez całe życie.

Półprzytomna, niczym pogrążona w transie, pozwalała, by dłonie Colby'ego przesuwały się po jej ciele. Musnął czubkami palców piersi, po czym z całej siły przycisnął do siebie jej biodra. Diana zadrżała i cicho krzyknęła. Powoli, niechętnie, odchylił głowę do tyłu i szeptał, wyciągając jej bluzkę ze spodni i wdychając świeży zapach jej włosów:

- Wiedziałem, że z tobą będzie właśnie tak: gwałtownie, cudownie, szaleńczo. Mam uczucie, że czekałem na ciebie od bardzo, bardzo dawna.

- Och, Colby, chciałabym...

- Cśś. Nic nie mów. Nie teraz. - Przesunął kciukiem po jej rozchyłonych wargach. - Ten pierwszy raz będzie gwałtowny, dziki. Ale obiecuję ci, że później nie będziemy się spieszyć. Później staniemy się koneserami. Ale nie tym razem. Jestem ciebie zbyt spragniony. - Jego ręce zawędrowały pod bluzkę Diany.

Zapięcie biustonosza odskoczyło z cichym trzaskiem. Diana zamrugła powiekami, próbując otrząsnąć się z otumanienia. Czuła się dziwnie rozbita, różne części jej ciała zdawały się żyć własnym życiem, jakby wymknęły się spod kontroli. Pomyślała, że tak zapewne czuje się ćma zwabiona płomieniem świecy. Odezwał się w niej nagle pierwotny kobiecy instynkt.

- Nie - powiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Nie, Colby - powtórzyła, tym razem nieco pewniej. - Nie teraz. Nie dziś. Ja... nie jestem jeszcze gotowa. Muszę pomyśleć. To nie dlatego, że...

Zamknął jej usta niecierpliwym pocałunkiem, z wyrachowaną powolnością nakrył palcami naprężone sutki.

- Chcę cię.

- To nie wystarczy.

- Ty też mnie chcesz.



- To też za mało. Proszę, puść mnie, Colby.

Przez krótką chwilę miała wątpliwości, czy jej posłucha. Wiedziała z całą pewnością, która odbierała jej resztki odwagi, że jeśli tego nie uczyni, ona znów wpadnie w tę niezglębioną otchłań i razem z nim pograży się w aksamitnym mroku. Nie była na razie na to przygotowana. Zbyt wielu rzeczy o nim nie wiedziała, zbyt wielu nie rozumiała.

Nagle Colby puścił ją bez słowa i podszedł gniewnym krokiem do okna. Stał przy nim, wpatrując się w ciemność i przegarniając nerwowo palcami włosy. Specter obserwował go czujnie, ale nawet nie drgnął.

- Dlaczego to robisz? - spytał Colby, nie odwracając się. - Znów ta sama gra? Nie jesteś już dzieckiem! Diana zamknęła na chwilę oczy.

- Masz rację. Nie jestem dzieckiem. - Wpiła wzrok w plecy Colby'ego. - I ty też nie jesteś dzieckiem! Masz czterdzieści lat. Stanowczo zbyt dużo, by się zachowywać jak szczeniak, który nie dostał tego, czego chciał na tylnym siedzeniu samochodu.

Colby odwrócił się gwałtownie, szare oczy płonęły gniewem.

- Przepraszam - powiedział krótko. - Chyba źle cię oceniłem.

- Chyba tak - odrzekła ostro, ale serce w niej zamarło. Nie chciała, żeby ten wieczór tak się skończył. Nie poruszył się. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie, żadne jednak nie zamierzało rozładować napiętej sytuacji.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała w końcu posepnie. - Przygody na jedną noc? Czy też kilku szybkich numerów?

- Czy wyglądam na durnia? Nikt, kto ma mózg większy od ptasiego, nie wplątuje się w takie przygody.

- Rzeczywiście - zgodziła się Diana. - A więc czego właściwie szukasz?

- Czy to nie oczywiste? - wsunął dłonie do tylnych kieszeni dzinsów i zaczął przemierzać mały pokój w tę i z powrotem. - Chcę się z tobą związać.

- Na kilka dni? Kilka tygodni? A może na całe lato? Zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

- Tak, może na całe lato. Albo i dłużej. Tak długo, jak długo będzie nam ze sobą dobrze! Do diabła, kto potrafi odpowiedzieć na takie pytania? I czy zawsze musisz znać odpowiedź?

Diana splotła palce i wbiła w nie wzrok.

- Jestem kobietą interesu - wyjaśniła przeproszającym tonem. - Lubię jasne odpowiedzi. Nie zwykłam podejmować pochopnych decyzji.

- Czy wymuszasz zeznania na każdym facecie, który się tobą interesuje? Analizujesz wszystko dogłębnie? Musisz mieć odpowiedzi na wszystkie pytania, zanim podejmiesz ryzyko? Nic dziwnego, że nie wyszłaś za mąż.

Diana odrzuciła z wściekłością głowę.

- Wynoś się stąd, Colby!

Przerwał swą wędrówkę po pokoju.

- Przepraszam - mruknął szorstko. - Nie powinienem tak mówić.

- Owszem. Idź już sobie.

Przejechał znów palcami po włosach.

- Zapomnij o tym, co powiedziałem przed chwilą, dobrze? Nie miałem prawa.

- Nie, nie miałeś. A teraz wyjdź, nim poszczuję cię psem.

Specter warknął ostrzegawczo i podniósł się. Wlepił w Colby'ego czujne spojrzenie i przyjął wyczekującą postawę.

- Nie strasz mnie tym swoim cholernym potworem!

- Colby spiorunował psa wzrokiem i zbliżył się do Diany. - Jeśli chcesz mnie wyrzucić, zrób to sama.

- Właśnie próbuję.

Colby cofnął się o parę kroków. Minę miał gniewną, zawiedzioną i - chyba - zrozpaczoną.

~ Powiedziałem, że jest mi przykro.

- Po co zawracasz sobie głowę przeprosinami? Jestem pewna, że to właśnie chciałeś powiedzieć.

- Nic podobnego! - wybuchnął. - Wierz mi, że żałuję każdego słowa. Nie powinienem był w ogóle otwierać ust.

Diana podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Dobrze. A teraz idź już, proszę.

- Dianko, zaczekaj. Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie ma już o czym.

- Ciekawe, czy będziesz tego żałowała tak bardzo jak ja. - Podeszedł powoli do drzwi.

- Raczej nie - odparła sucho. - Nie mam czego żałować.

- Zazdroszczę ci - stwierdził i wyszedł w noc.

Diana zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie. Usłyszała dźwięk włączanego silnika. Odetchnęła głęboko, próbując ochłoniąć i spojrzała na Spectera.

- Myślę - powiedziała do psa - że popełniłam chyba największy błąd w moim życiu. Albo też cudem udało mi się go uniknąć.

Specter podeszedł i przytulił łeb do jej kolan. Diana pogłaskała go drżącą ręką.

- On mnie czasami przeraża, Specter. Ale też fascynuje. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że znam go z jakiegoś innego miejsca i czasu. Coś mi mówi, że może być niebezpieczny, ale nie wiem, skąd to wrażenie. I czemu prześladowuje mnie dziwne uczucie, że on mnie potrzebuje? I co gorsza, że ja potrzebuję jego?

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Po jego lewej stronie opadała z hukiem czerwona jak krew woda, rozpylając szkarłatną mgłę.*

*Wysoko w górze zionęła mrokiem otchłań jaskini. Wewnątrz, w głębokich ciemnościach ukryte było wejście do niewielkiej groty. W tym właśnie miejscu zrodziły się dręczące go tęsknota i rozpacz.*

*Wspinał się ścieżką ukrytą za wodospadem, wiedząc, że nie będzie wolny, jeśli nie zaspokoi czegoś, co go wabiło z głębi jaskini. Nie mógł odejść, dopóki nie zrobi, czego od niego żądano. Ale wiedział też, że nie może tego zrobić sam. Potrzebował jej, tym razem musiała jednak przyjść do niego z własnej woli albo oboje pozostaną na zawsze uwięzieni w pułapce.*

Colby obudził się nagle, drżąc na całym ciele i próbując odpędzić resztki snu spod powiek. Było coraz gorzej. Ten sam sen powracał wiele razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, nigdy jednak nie był tak realny, wyrazisty i niepokojący, jak tego lata.

Spuścił nogi z łóżka i sięgnął do wyłącznika lampy, w ostatniej chwili zmieniając jednak zamiar. I bez światła widział, że trzęsą mu się ręce. Zirytowany wstał i, nie zadając sobie trudu, by włożyć coś

na siebie, pomaszerował na dół do staroświeckiej kuchni. Otworzył wiekową lodówkę i w słabym świetle lampki wpatrywał się bezmyślnie w jej zawartość.

Do wyboru miał resztkę sałatki z tuńczyka, ser w plasterkach, pikle oraz piwo. Zdecydował się na sałatkę z tuńczyka i piwo. Usiadł przy zniszczonym dębowym stole, znanym mu z czasów dzieciństwa. Gotowanie nie było mocną stroną ciotki Jesse, całkowicie pochłaniała ją poezja. Mały siostrzeniec, który z konieczności znalazł się u niej po śmierci matki, szybko nauczył się robić zakupy i magazynować jedzenie w lodówce. Jeśli zdarzyło mu się o tym zapomnieć, po prostu nic nie jedli.

Spoglądając wstecz pomyślał, że przydała mu się ta praktyka w kuchni. Przynajmniej za to winien jest ciotce wdzięczność. Teraz, gdy przekroczył czterdziestkę, łatwiej mu było znaleźć w sobie współczucie dla ciotki Jesse i zrozumieć jej dziwaczne zachowanie, trudny charakter, tendencję do popadania w długie stany depresji, skłonność do samotności. Nigdy nie chciała ani nie potrzebowała nikogo, a tymczasem los zesłał jej Colby'ego.

Drżenie rąk ustało. Wprawnym ruchem otworzył butelkę piwa. Pociągnął spory łyk i zaczął rozmyślać nad rym, jak popsuł dzisiejszy wieczór. Zapewne dostał to, na co zasłużył. Co, u diabła, dzieje się z nim od kilku tygodni? Nie może przestać myśleć o Dianie Prentice. Prześladowuje go zupełnie tak samo, jak tamten sen. Miał jednak wrażenie, że, przynajmniej jeśli chodzi o nią, uda mu się coś zdziałać. Jeśli zaciągnie ją do łóżka, pozbędzie się choć jednej obsesji.

Dziś jednak zbyt się zapędził. Postąpił ze zrezygnacją słonia w składzie porcelany i jego nadzieje rozsypały się jak domek z kart. Zachował się jak idiota. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Colby umiał naprawiać swe błędy. Musi znaleźć sposób, by odzyskać stracone przez własny brak rozsądku pozycje. Musi znów się z nią zobaczyć.

- Czy umyć przednią szybę, panno Prentice?

Diana uśmiechnęła się do chudego mężczyzny w roboczym kombinezonie. Eddy Spooner czekał z gumową wycieraczką w dłoni.

- Tak, poproszę, Eddy. Bardzo jej się to przyda.

- Jasne. Kurzu tu w lecie nie brakuje. Czekaj pani, aż Colby przyjedzie na pocztę?

Diana skrzywiła się. Najwyraźniej wszyscy w Fulbrook Corners wiedzieli o ich spotkaniach.

- Tak. Widziałeś go już?

- Nie. - Spooner obrzucił spojrzeniem nieduży budynek poczty po drugiej stronie ulicy. - Jeszcze nie. Trochę na niego za wcześnie.

- Rzeczywiście - przyznała cicho Diana. Przyjechała o tej porze do miasteczka właśnie dlatego, że chciała koniecznie złapać Colby'ego, gdy będzie odbierał pocztę.

Wydawało jej się, że urząd pocztowy jest gruntem neutralnym i łatwiej będzie nawiązać zerwane stosunki z Colbym w miejscu, gdzie się poznali, niż w starym domu, w którym mieszkał. Spooner przyglądał się Dianie, myjąc jednocześnie szybę gumową wycieraczką z letargicznym wręcz brakiem zainteresowania.

- Słyszałem, że się zgadaliście.

- Doprawdy? - Diana postarała się, by w jej głosie zabrzmiał chłód. Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o swoich sprawach osobistych, zwłaszcza z pracownikiem stacji benzynowej.

- No tak. Znowu zgarnął pierwszą fajną kobietę, która tu przyjechała. Zawsze leciał na te najlepsze. Ludzie o co chodzi, stary, próbuj. Nie masz nic do stracenia. Dużo gadaliśmy o kobietach.

Diana baczniej przyjrzała się mężczyźnie, który od kilku tygodni napełniał bak jej samochodu. Po raz

pierwszy uświadomiła sobie, że Eddy Spooner jest mniej więcej w wieku Colby'ego, no, może o rok lub dwa starszy. Uderzyło ją, że obaj musieli dorastać w Fulbrook Comers.

Było to dla niej zaskoczeniem. Eddy wyglądał, jak gdyby pochodził z całkiem innego świata. I nie była to wyłącznie kwestia roboczego ubrania oraz ciężkich wojskowych butów. Ani też przeredzonych jasnych włosów, opadających na kołnierzyk. Chodziło o coś innego, być może o wyraz goryczy, znaczący rysy przystojnej niegdyś twarzy.

Spooner należał do ludzi, którzy przez całe życie winią innych oraz okrutny wszechświat za wszystkie swoje niepowodzenia. Sprawiał wrażenie człowieka, który widział, jak wiele jego marzeń rozplynęło się w nicość.

- Przyjaźniliście się z Colbym jako chłopcy? - spytała Diana.

- Pewnie. Trzymaliśmy się razem. Kiedy wyjechał, jakoś to się urwało. Byłem przez kilka lat w wojsku, ale potem wróciłem. A Colby, o, to dopiero szczęściarz! On tu nie wrócił, aż dopiero teraz. Ciekawe, po co? Nigdy nie luba tej dziury, a po tym, co zrobił, nikt tu go specjalnie też nie lubił.

Zżerana ciekawością, już chciała zadać następne pytanie, gdy nagle usłyszała znajomy warkot silnika.

- O, jest już. Przyjechała pani w sam czas. - Spooner wrzucił wycieraczkę do wiadra i podszedł do okna od strony Diany. - Należy się równo dziesięć dolców za benzynę.

- Dziękuję, Eddy. - Diana sięgnęła po torebkę, jednym okiem zerkając na jeepa, który zatrzymywał się właśnie przed budynkiem poczty.

Spooner wziął od niej pieniądze, patrząc na Spectera, który śledził jego ruchy z siedzenia obok kierowcy.

- Niezły pies - zauważył.

Specter ziewnął, obnażając białe zębiska. Był wyraźnie przyzwyczajony do podobnych uwag.

- Czasami dobrze jest go mieć w pobliżu - powiedziała cicho Diana, klepiąc psa po karku.

- No, tak, kobieta, która mieszka sama, powinna mieć psa. Ja też miałem kiedyś fajnego psa. Prawdziwego owczarka. Zdechł kilka lat temu. - Spooner odwrócił głowę, obserwując inny samochód, wjeżdżający na parking przed pocztą. Był to stary niebieski cadillac.

- No, czas na mnie - powiedziała Diana, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Na pani miejscu bym się nie spieszył na pocztę - doradził Eddy. - Chyba że chce pani zobaczyć awanturę. - Popatrzył na nią z chytrym uśmieszkiem, jak gdyby czerpał przewrotną przyjemność z tego, że wie, co się wydarzy.

- Czy coś się stało? - spytała Diana.

- Raczej stanie. Widzi pani tego niebieskiego cadillaca?

- Tak. - Colby zniknął już w budynku poczty. Wyraźnie nie zauważył jej samochodu, stojącego po przeciwnej stronie ulicy. Albo też udał, że go nie widzi.

- A widzi pani tę starszą damę?

- Kto to taki? - Diana traciła cierpliwość. Obrzuciła szybkim spojrzeniem siwowłosą kobietę o królewskiej postawie, która właśnie wysiadała z samochodu. Towarzyszył jej kierowca, potężny, muskularny mężczyzna po czterdziestce, z wydatnym brzuszyskiem.

- To sama pani Fulbrook. Oni są właścicielami prawie całego miasteczka. Tak gdzieś od czasów mojego pradziadka.

- Doprawdy?

Spooner wyczuł jej wyraźny brak zainteresowania.

Oparł brudną dłoń o dach buicka i pochylił się, spoglądając spod przymrużonych powiek.

- Pani nic nie wie o naszej wielkiej Margaret Fulbrook, prawda?
- A powinnam coś wiedzieć?
- No, tak na początek, to powiem pani - mężczyzna celowo przeciągał sylaby - że jest teściową Savagara.
- Teściową?!
- Aha. i powiem pani coś jeszcze. Ona go nienawidzi!
- Spooner odsunął się od samochodu zadowolony, że udało mu się w końcu ją zaciekawić. - Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, panno Prentice. Fajnie się z panią rozmawia.
- Do widzenia, Eddy. - Diana była całkowicie zbита z tropu. Teściowa Colby'ego? Przecież on nie jest żonaty.

Była tego pewna. Powiedziała by jej, gdyby miał żonę. To nie w jego stylu.

Parkując tuż obok jeepa pomyślała, że jest jeszcze wiele rzeczy, których nie wie o Colbym. To właśnie powstrzymało ją wczoraj od pójścia z nim do łóżka.

- Czekaaj tu grzecznie - powiedziała do Spectera.

- Zawołam, jeśli będę potrzebowała pomocy.

Specter wymieniał właśnie zimne spojrzenia z grubym kierowcą cadillaca. Diana popatrzyła na niego przez krótką chwilę i odwróciła wzrok. Okrutna, niezbyt inteligentna twarz zdradzała zamiłowanie do przemocy.

Założyłaby się, że w dzieciństwie ten człowiek z upodobaniem wrywał muchom skrzydełka. Ruszyła szybkim krokiem w stronę poczty.

Gdy otworzyła szklane drzwi, panujące wewnątrz napięcie uderzyło w nią niczym fala. Zaległa nienaturalna cisza. Ludzie znajdujący się w środku jak gdyby wrosli w podłogę. Zamiast plotkować w najlepsze czy wymieniać uwagi na temat pogody, jak to zwykle na poczcie bywało, gapili się zahipnotyzowani na scenę rozgrywającą się przed ich oczami.

Colby odwracał się właśnie od okienka z plikiem listów w dłoni. Spojrzał w stronę drzwi i zobaczył Dianę. Mierzył ją przez chwilę spojrzeniem szarych błyszczących oczu, po czym przeniósł wzrok na Margaret Fulbrook, która zagroziła mu drogę.

- Harry powiedział mi, że przyjechałeś tu na lato.

- Głos starszej pani brzmiał władczo, jak głos osoby przywykłej do rozkazywania. - W pierwszej chwili nie uwierzyłam. Potem jednak przypomniałam sobie, że nigdy nie brakowało ci tupetu.

- Czasami tylko w ten sposób mogłem coś zyskać - odparł zimno Colby. - Przepraszam, pani Fulbrook.

Ktoś na mnie czeka.

- Kto? Ta Prentice? Żal mi jej. Nie wie, kim jesteś.

- Nie, zupełnie zresztą, jak pani - powiedział Colby z tłumioną wściekłością.

- Ty sukinsynu! - syknęła pani Fulbrook.

- Nie pani pierwsza sugeruje tę możliwość i zapewne nie ostatnia. Ale chyba nie może pani powiedzieć tego o moim synu, co? Prawdę mówiąc, gdybym kiedykolwiek usłyszał, że mówi pani cokolwiek o moim synu...

- Dzień dobry, Colby. - Diana oderwała się wreszcie od podłogi i ruszyła w stronę Colby'ego ze swoim najbardziej czarującym „służbowym” uśmiechem. - Cieszę się, że cię widzę. Miałam zamiar zadzwonić do ciebie później i przypomnieć o obiecanej wycieczce nad wodospad. - Teraz obdarzyła uśmiechem urzędniczkę, która przyglądała się tej potyczce z otwartymi ustami. - Masz coś dzisiaj dla

mnie, Bernice? Spiesz się.

Bernice zamknęła usta, wędrując spojrzeniem od Colby'ego do pani Fulbrook, następnie do Diany.

- Tylko jeden list.

- Dziękuję. - Diana rzuciła okiem na znajomy charakter pisma, po czym wrzuciła kopertę do torebki. Ujęła Colby'ego pod ramię swobodnym gestem, czując jego napięte mięśnie. Następnie uśmiechnęła się do Margaret Fulbrook, przyglądającej im się z ponurą miną. - Wybacz nam pani, prawda? Colby dawno obiecał mi tę wycieczkę. Przygotowałam lunch i parę innych rzeczy.

- Jest pani równie głupia jak moja córka. Ale przynajmniej nie jest pani młodą niewinną dziewczyną. Wydaje się pani dość dorosła, by odpowiadać za własne błędy. I niech pani zapamięta moje słowa: każda kobieta, która wiąże się z Colbym Savagarem, popełnia poważny błąd. - Pani Fulbrook wzruszyła pogardliwie ramionami i wyszła.

Instynkt podpowiedział Dianie, by natychmiast pójść w jej ślady. Pragnęła, by nikt z zebranych nie pomyślał przypadkiem, że Colby wziął sobie tę scenę do serca.

- Zanoszę się na upalny dzień - zauważyła lekko, prowadząc Colby'ego w kierunku drzwi. - Chyba powinnam wziąć kostium kąpielowy. Och, i trzeba kupić trochę chipsów. Nie wyobrażam sobie pikniku bez chipsów! Czy zadbałeś o coś zimnego do picia?

Gdy wyszli z poczty na rozgrzane powietrze, Diana zamilkła. Gruby mężczyzna wysiadł powoli z cadillaca i pomógł wsiąść Margaret Fulbrook, rzucając Colby'emu jadowite spojrzenie.

- Dobra - powiedział cicho Colby, gdy dotarli do czarnego jeepa. - Akcja ratunkowa zakończona. Czy powinienem ci podziękować?

Diana przysłoniła oczy, patrząc na cadillaca wyjeżdżającego z parkingu.

- To zależy od tego, jak bardzo potrzebowałeś pomocy.

- Cholernie. Minęło dwadzieścia lat, odkąd po raz ostatni stałem twarzą w twarz z tą starą wiedźmą. Wszedłem w wprawę. Ale myślę, że wciąż dałbym radę Harry'emu. Nieźle przybrał na wadze.

- Harry to jej kierowca?

- Harry Gedge to taki chłopak do wszystkiego. Słucha jej jak pies. - Colby stracił zainteresowanie tamtą parą. - Mówiłaś serio o pikniku, czy był to wyłącznie pretekst do podjęcia akcji ratunkowej?

Diana wciągnęła głęboko powietrze i przygotowała się na przyjęcie nieprzyjemnych wieści.

- To zależy od tego, czy Margaret Fulbrook jest naprawdę twoją teściową.

- Widzę, że już ktoś zdążył cię nafaszerować informacjami.

- Eddy Spooner na stacji benzynowej - przyznała.

- Poczciwy stary Eddy. Cóż, częściowo ma rację.

Ożeniłem się z córką Margaret Fulbrook dwadzieścia lat temu.

- I...?

- Co i?

- Jesteś dalej żonaty?

- Nie.

- Piekło zamarznie, nim doczekam się od ciebie wyczerpującej odpowiedzi - stwierdziła z wyrzutem.

- A ty lubisz jasne sytuacje, tak? - uśmiechnął się lekko.

- Muszę uzyskać kilka informacji, zanim pójdę z tobą do łóżka - odparła spokojnie.

Colby zamarł. Na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia.

- Czyżbyś wciąż brała pod uwagę tę możliwość?

- Owszem.

W szarych oczach rozblęła radosna ulga, skinał krótko głową.

- Jeśli po południu pojedziesz ze mną na piknik, obiecuję odpowiedzieć ci na parę pytań związanych z Margaret Fulbrook.

- Umowa stoi. - Diana ruszyła w stronę swojego samochodu.

- Przyjadę po ciebie za godzinę. I włącz sportowe buty! ~ zawołał za nią Colby. - Tam jest ślisko.

- Zachowałem się wczoraj jak skończony osioł. Przepraszam cię bardzo. - Colby położył się na boku z nieświadomym, męskim wdziękiem, wsparł się na łokciu, podkurczył kolano. Błądził wzrokiem po rozciągającym się daleko w dole miasteczku.

Diana siedziała na kocu po turecku, wsłuchana w huk wodospadu. Podążyła wzrokiem za spojrzeniem Colby'ego. Szosa, biegnąca przez wąwóz równolegle do rzeki, z tej wysokości przypominała wąską, wijącą się wstążkę. Diana widziała stąd stary most, spinający obie części Fulbrook Corners. Jej domek, który znajdował się po tej samej stronie, co dom Colby'ego, był ledwie widoczny.

Specter, zrozumiał, że chipsy skończyły się bezpowrotnie, wylegiwał się na rozgrzanej słońcem skale.

- Może i zachowałeś się jak osioł - zgodziła się po chwili milczenia - ale częściowo to moja wina. Nie potrafiłam sobie poradzić z całą tą sytuacją. Sporo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że miałeś rację. Moje zachowanie mogło cię zmylić.

- Muszę przyznać, że twoje wyznanie przyniosło mi ulgę. Cieszę się, że nie była to kwestia mojej wyobraźni.

Diana uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Spodziewam się, że mając taką wyobraźnię. Jak twoja, musisz zachowywać dużą ostrożność w interpretacji zachowań i sytuacji.

Colby podniósł puszkę z piwem i pociągnął długi łyk. Ich oczy się spotkały.

- Potrafię panować nad swoją wyobraźnią. Prawie zawsze.

- Rozumiem. To z panowaniem nad hormonami masz kłopoty.

- Nad hormonami też przeważnie panuję. Tylko w twojej obecności zaczynają wariować.

Diana przygryzła dolną wargę.

- Myślę, że mnie to po trosze zachwyciło i podnieciło - przyznała całkiem szczerze. ~ W twojej obecności mam podobne kłopoty z... hormonami. - Odwróciła wzrok, nie mogąc wytrzymać jego spokojnego spojrzenia. - Zwykle obce mi są takie problemy. Dawno nie czułam się tak... no... rozdrażniona, jak przy tobie.

- A więc powinniśmy się nad sobą zlitować i przespać się wreszcie - stwierdził sucho.

Diana jęknęła z oburzenia i wsparła się na łokciach.

- Ależ ty jesteś romantyczny - zauważyła z ironią.

- Piszę horrory, nie romanse.

- To żadne wytłumaczenie.

- Najwyższy czas, żebyśmy przestali zachowywać się jak dzieci. Żadne z nas nie chce chyba, żeby powtórzył się wczorajszy wieczór.

- Zawrę z tobą jeszcze jedną umowę - powiedziała Diana. - Jeśli nie wspomnisz więcej o wczorajszym wieczorze, ja również o nim nie wspomnę.

Colby wzruszył ramionami.

- Zgadzam się na wszystko, dopóki nie będziesz próbowała skończyć tego, co dzieje się między nami. Są jeszcze chipsy?

- Obawiam się, że Specter zjadł resztę.

Colby obrzucił śpiącego psa niechętnym spojrzeniem.

- Będę musiał odbyć z tym potworem poważną rozmowę.

- Skoro wspomniałeś o poważnej rozmowie...

- Tak?

- Opowiedz mi o Margaret Fulbrook.

- Ach, prawda, obiecałem udzielić ci kilku wyjaśnień. - Colby pociągnął kolejny łyk piwa. - Właściwie niewiele jest do opowiadania. Ożeniłem się z Cynthią Fulbrook, co automatycznie uczyniło z tej wiedźmy moją teściową.

- A co się stało z Cynthią?

- Nie żyje.

- Och, tak mi przykro.

- Margaret Fulbrook zawsze winiła mnie za jej śmierć, jak i za wiele innych rzeczy, Chyba powinienem zacząć od początku.

- Słucham.

Colby westchnął i spojrzał znów na odległe miasteczko.

- Moja matka i ciotka Jesse urodziły się w Fulbrook Corners. Po złej stronie wodospadu, jak mówią tutaj.

- Uśmiechnął się ponuro, pokazując ręką skupisko dachów po lewej stronie rzeki. - Ugrzęzły tam na całe życie. Moja matka pracowała w miejscowej kawiarni i marzyła o ślubie z mężczyzną z drugiego brzegu.

- A ciotka?

Oczy Colby'ego nabrały nagle łagodnego wyrazu.

- Ciotka Jesse miała również wiele marzeń, ale nie dotyczyły one małżeństwa ani przeprowadzki na drugi brzeg. Ona przelewała swoje marzenia na papier w niezliczonych strofach wierszy i opowiadań, które prawie nigdy nie były publikowane. Uważała się za pisarkę, nali wet jeśli nikt tego nie uznawał i czuła się w obowiązku żyć zgodnie z tym wizerunkiem. Była ekscentryczna, nieobliczalna i kapryśna. Żyła w swoim świecie. Ale po śmierci mojej matki przygarnęła mnie bez chwili wahania. Była dla mnie dobra na swój dziwny sposób. I nauczyła mnie wielu rzeczy.

- Czego?

- Przede wszystkim, jak troszczyć się o siebie. Pozostawiła mnie po prostu własnej pomysłowości, dzięki czemu dorastałem w świadomości, że jedyną osobą, na którą mogę liczyć, jestem ja sam.

- A ojciec? - spytała Diana ostrożnie.

- Nie miałem zaszczytu go poznać. Pracował przez krótki czas w pobliskim tartaku, na tyle długo, by zrobić mojej matce dziecko, a potem dać nogę.

- Och!

Colby spojrzał na nią.

- Tak, to najlepiej określa całą sytuację. W każdym razie, żeby cię nie nudzić szczegółami, wychowywałem się u ciotki Jesse. I chyba trochę zdziczałem, stałem się niebezpiecznym łobuzem z drugiego brzegu rzeki. Miałem wieczne kłopoty. Gdy ginęły z samochodów wycieraczki, ja byłem winien. Gdy na szkolnej potańcówce wybuchła bójka, też mnie wskazywano palcem. To ja



obrywałem, gdy szeryf Thorp dowiadywał się o nocnych wyścigach samochodowych na River Road.

- A ty, oczywiście, zawsze byłeś niewinny?

- Oczywiście... - Uśmiechnął się lekko. - Z wyjątkiem wyścigów.

- Jednym słowem należałeś do chłopaków, przed którymi ostrzegwały nas matki - podsumowała Diana z rozbawieniem.

- Obawiam się, że tak. - Colby przekreślił się na plecy i podłożył ręce pod głowę.

- No cóż, to ma sens. Tacy chłopcy zawsze byli najbardziej interesujący. Zawsze chciałam takiego poznać.

- Ale się nie udało?

- Niestety. Nie byłam w ich typie. Po pierwsze, niezbyt ładna, a po drugie, zbyt poważna. Od pierwszego dnia w szkole wiedziałam, że muszę do czegoś dojść, ślęczałam bez przerwy nad książkami. A po skończeniu szkoły poszłam na studia i pochłonęła mnie praca.

- I przestali cię interesować chłopcy, którzy kradną wycieraczki, jeżdżą zbyt szybko i noszą za długie włosy? Nie pasowaliby do twojego stylu życia?

- Tego nie wiem. Powiedziałam ci przecież, że nigdy kogoś takiego nie spotkałam.

- Podziękuj za to losowi. Mogłabyś, na przykład, zajść w ciążę, tak jak Cynthia Fulbrook.

- Zrobiłaś dziecko córce Margaret Fulbrook? - spytała Diana po chwili wahania.

- Tak.

- No i co dalej? - spytała z rozdrażnieniem. - Nie zamierzasz chyba skończyć opowieści w tym miejscu.

- Cynthia Fulbrook była księżniczką Fulbrook Corners. Najbogatsza, najładniejsza i najlepiej ubrana dziewczyna w szkole średniej. Na szesnaste urodziny dostała od rodziców nowiuteńki czerwony kabriolet. Mogła mieć każdego chłopaka. Była młodsza ode mnie o rok, szalałam za nią, jak reszta samców w tym mieście.

- A ty się jej podobałaś?

- Uważała, że jestem interesujący, ale rodzice nie spuszczali jej z oka.

- Ach, syndrom zakazanego owocu.

- I to z obu stron - przyznał Colby. - Nic się jednak nie wydarzyło wtedy między nami, dopiero gdy poszedłem do wojska. Jawiło mi się jako droga ucieczki z Fulbrook Corners. Eddy Spooner wstąpił do wojska razem ze mną. Tamtego lata, gdy miałem dziewiętnaście lat, przyjechałem do domu na urlop i spotkałem Cynthię, która właśnie skończyła szkołę i wybierała się na studia. Spojrzała na mnie tylko raz i postanowiła zakosztować zakazanego owocu.

- A ty spojrzałaś na nią tylko raz i postanowiłaś sprawdzić, jak to jest pójść do łóżka z księżniczką?

- Coś w tym rodzaju. Ale obojgu nam tylko się zdawało, że jesteśmy dorośli. Ja dałbym sobie głowę uciąć, że wiem wszystko na temat środków ostrożności, Cynthia była pewna, że zna bezpieczne okresy cyklu i inne naturalne sposoby unikania ciąży. No i zaryzykowaliśmy.

- A Cynthia zaszła w ciążę.

Colby skinął ponuro głową.

- Przeżyliśmy istne piekło. Cynthia była śmiertelnie przerażona. Matka zrobiła jej awanturę, ojciec zagroził, że wsadzi mnie do więzienia lub zastrzeli. Oboje postanowili, że trzeba natychmiast pozbyć się po cichutku ciąży. Ani przez chwilę nie brali pod uwagę ewentualności małżeństwa.

- Uciekliście więc - podpowiedziała Diana.

- Myśleliśmy, że się kochamy. A przynajmniej ja tak myślałem. Wydawało mi się, że muszę chronić

ją przed rodzicami. Nie sądzę, żeby biedna Cynthia w ogóle wtedy nad czymkolwiek się zastanawiała. Była kłębkim nerwów, rozdarta pomiędzy rozgniewanymi rodzicami a nieodpowiednim dla niej chłopakiem. Nim zdążyła ochłonąć, wywoziłem ją z miasta. Wzięliśmy ślub w Reno, a następnie udaliśmy się do bazy wojskowej, w której stacjonowałem. W siedem miesięcy później urodził się Brandon.

- Brandon?

- Mój syn.

Diana uśmiechnęła się, słysząc wyraźną dumę w jego głosie.

- A co się stało z Cynthią?

- Jej rodzice wywierali na nią presję przez cały czas, grozili wydziedziczeniem, jeśli nie wróci do domu. Ona zaś nie była przygotowana do macierzyństwa. Nie chciała Brandona. Wszystko zdarzyło się przez głupi przypadek i postanowiła, że nie będzie za to płacić całym życiem. Może miała rację? Do diabła, nie wiem.

- A kto wie w tym wieku?

- Tak. Kto wie? Ciągle się kłóciliśmy i pewnego dnia, po powrocie do domu, już jej tam nie zastałem. Zostawiła mi kartkę z wiadomością, że Brandon jest u sąsiadki i że ona ma już tego dość. Zrzurowała sobie życie. Wraca do rodziców i chce zacząć wszystko od początku. Nigdy jej już nie zobaczyłem. Zginęła w wypadku na autostradzie.

Jej rodzice nigdy mi nie wybaczyli. Na pogrzebie oświadczyli, że nie chcą więcej widzieć ani mnie, ani Brandona. Z radością dostosowałem się do ich życzeń.

- I nie ożeniłeś się powtórnie?

Colby pokręcił głową.

- Stwierdziłem, że mam dość małżeństwa na całe życie. Poza tym, byłem zajęty wychowywaniem syna. Popełniłem po drodze mnóstwo błędów, ale wyrósł z niego świetny chłopak. - Oczy Colby'ego rozblęły ojcowską dumą.

- Skończył właśnie pierwszy rok studiów w Eugene. Chce zostać inżynierem.

- Gratuluję - powiedziała cicho Diana. Objęła ramionami kolana i oparła na nich brodę. - Musiało ci być czasami ciężko.

- Nie wiesz nawet o połowie moich kłopotów - skrzywił się Colby. - Jak ci już powiedziałem, popełniłem wiele błędów. Z pewnością nie chciałbym przejść przez to jeszcze raz. Ale jakoś przetrwaliśmy wszystko.

- I to cała opowieść o Colbym Savagarze i Fulbrook Corners?

- Tak.

- Myślę, że rozumiem teraz, czemu nie miałeś ochoty tu wracać.

Colby nie spuszczał z jej twarzy wzroku pełnego napięcia.

- Odpowiedziałem na twoje pytania.

Diana poczuła nagle ciepło na policzkach. Spuściła oczy.

- To prawda.

- Ja też mam parę pytań do ciebie - rzekł cicho.

Zadowolona, że wreszcie okazał trochę prawdziwego zainteresowania jej przeszłością, spojrzała na niego.

- Naprawdę?

- Większość może poczekać.

- Och... - Była dziwnie zawiedziona.

- Wszystkie, z wyjątkiem jednego. - Colby przyciągnął ją delikatnie ku sobie. - Bardzo prostego. Wymagającego krótkiej odpowiedzi: tak lub nie.

Diana instynktownie spróbowała odzyskać równowagę, nie odepchnęła go jednak. Leżała na nim, z twarzą tuż przy jego twarzy.

- Tak czy nie, Diano?

W uszach dźwięczał jej szum wodospadu, czuła aromatyczną woń rozgrzanych w słońcu traw. Nad głową unosiły się zwiewne pióropusze pyłu wodnego, w których igrały promienie słońca. Jedna noga uwięzła pomiędzy udami Colby'ego. Ciało mężczyzny było silne, sprężyste, kuszące. Jego szare oczy wpatrywały się w nią z napięciem.

- Tak - szepnęła i pochyliła głowę, by go pocałować.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Colby nigdy w życiu nie czuł się tak pełen wigoru. Miał wrażenie, że za chwilę spłonie. Krew tętniła mu w skroniach, pragnął Diany niemal do bólu. Trzymał ją w ramionach, tulił z całej siły, w obawie, by znów mu się nie wymknęła. Tym razem jednak nie walczyła z nim, nie wrywała się. Oddawała mu siebie i ta świadomość spowodowała, że zakręciło mu się w głowie. Jego ciało uzyskało wreszcie odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Diano, skarbie, już tyle czasu cię pragnę. Myślałem, że oszaleję.

Rozchyliła wargi, on zaś smakował ją, zaostrował sobie tylko apetyt. Uwięził jej nogi pomiędzy swoimi i wsunąwszy dłonie pod bluzkę, muskał palcami plecy. Diana była sprężysta, ciepła i bardzo, bardzo pociągająca. Zaczął szarpać guziki jej bluzki, usiłując zsunąć ją z ramion szybkimi, niecierpliwymi ruchami. Odpiął stanik i ujął w dłonie jej miękkie krągłe piersi, unosząc biodra i przywierając do niej. Skóra Diany była gładka jak jedwab. Nigdy, nigdy się nią nie nasyci.

- Colby... tak... właśnie tak. Jakie to wspaniale...

Roznamiętniony jej reakcją, przesunął palcami po sutkach. Dotyk przestał mu już wystarczać. Uniósł jej ciało do góry i pochwycił brodawki wargami.

- Tak - wyszeptała, wstrząsana dreszczem.

Colby nie przestawał robić użytku ze swego języka.

Świadomość, że wyzwala w niej tak żywe reakcje, rozniecała w nim coraz większy płomień. Teraz Diana zajęła się guzikami jego drelichowej koszuli. Błądziła drżącymi palcami w gęstwinie kędzierzawych włosów na jego piersi, następnie pochyliła głowę i dotknęła czubkiem języka płaskich sutków. Colby westchnął głęboko.

Sięgnął do zamka błyskawicznego w jej dzinsach i odpiąwszy go z trudem, wsunął dłoń pod cieniutkie majteczki. Szukał ukrytej w miękkim jedwabiu tajemnicy. Diana wiała się, szepcząc coś cicho. Wsunął dłoń głębiej i wciągnął powietrze w płuca, wyczuwając ciepłą wilgoć między udami.

- Skarbie - wymruczał. - Chcesz mnie. Powiedz mi to. Powiedz, proszę! - Poruszył delikatnie palcami, a Diana wbiła mu paznokcie w ramiona.

- Chcę cię.

- Spójrz na mnie - zażądał. - Otwórz oczy i powiedz mi to.

Uniosła długie rzęsy, odsłaniając tęczówki o niezwyklej barwie.

- Bardzo cię chcę, Colby. Nigdy dotąd tak się nie czułam.

Powiedziała to tak szczerze, że poczuł zawrót głowy.

- Ja też - przyznał ochryłym szeptem. - Nigdy w życiu nikogo tak nie pragnąłem.

Zsunął jej dzinsy z bioder, przewrócił ją na plecy. Ukląkł, rozpiął pas i pozbył się własnych spodni. Zawahał się przez chwilę, widząc, że Diana przygląda mu się badawczo. Po raz pierwszy w życiu poczuł niepewność. Tak bardzo chciał ją zadowolić. Ujrzawszy w jej oczach głęboki zachwyt, poczuł radosną ulgę.

- Jesteś wspaniała.

- Ty też. - Przesunął dłonią od jej piersi aż do uda.

- Ty też - powtórzył. - O Boże, jesteś po prostu doskonała. Delikatna, piękna. Doskonała!

Rozsunął delikatnie jej nogi i opuścił się na nią powoli. W ostatnim przeblysku rozsądku przypomniał sobie o niewielkim pakieczku, który włożył do kieszeni przed wyjściem z domu.

- Chwileczkę - wymówił ochryłym szeptem.

Skinęła głową. Pocałował ją mocno i sięgnął po dzinsy. W chwilę później pochwycił ją znów w ramiona.

- Colby? Chcę, żebyś wiedział, że ja...

Przyłożył jej palec do ust.

- Nic już nie mów. Chcę cię tak bardzo, że jeśli się nie pospieszymy, eksploduję, zanim zdążę w ciebie wejść. Tracę panowanie nad sobą.

- Dobrze - rzekła po prostu. W jej pięknych oczach błysnęła przekora. - Ja też mam z tym kłopoty. Kochaj mnie, Colby, tak, jak obiecywałeś - gwałtownie, dziko, niecierpliwie!

Porwany syrenią pieśnią jej słów, drżąc z wysiłku, by utrzymać się w karbach, zawisł nad nią wsparty na rękach, po czym zagłębił się w jej wilgotnym gorącym wnętrzu z okrzykiem rozkoszy.

Usłyszał ciche westchnienie i poczuł przebiegający ją dreszcz. Przestraszył się, że jego brutalny ruch może sprawić jej ból. Paznokcie Diany wbijały mu się z całej siły w ciało.

Przylgnęła do niego, jak gdyby był jej liną ratunkową, wychodząc na spotkanie jego zaborczym ruchom.

- Colby!

I rzeczywiście, ten pierwszy raz z Dianą był taki, jak przewidywał - gwałtowny, dziki, niecierpliw. Doskonały.

- Jesteś z tych, które krzyczą.

Diana uniosła długie rzęsy, rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych, przesączających się przez listowie drzew, czując ciężar nogi Colby'ego przerzuconej przez jej nagie udo.

- Krzyczałam? - spytała na wpół rozbawiona, na wpół oszołomiona.

Colby uniósł się na łokciu i uśmiechnął do niej.

- Zagłuszyłaś nawet wodospad.

- Nie przesadzaj. I przestań robić taką cholernie zadowoloną z siebie minę. W pewnych warunkach mogłoby to być bardzo krępujące.

- Nie dla mnie.

- Pewnie! A gdybyśmy byli, na przykład, w motelu?

- A jak sobie przedtem radziłaś?

- Nie miałam nigdy takich problemów - odparła, marszcząc brwi.

- Nie spędzasz wiele czasu w motelach? - spytał niewinnie.

- Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się krzyczeć - przyznała poważnie. Zwykle panowała nad sobą.

- Lepiej, żebyś się do tego przyzwyczaiła. - Oczy błyszczały mu męską dumą i oczekiwaniem. - Znosi się na to, że w najbliższej przyszłości pobijesz rekord.

- Czyżby?

Pogłaskał jej piersi i pochylił się nad nią.

- Tak - powiedział cicho. - Tak.

- Colby?

- Hmm? - spytał leniwie, nie mogąc powstrzymać ziewnięcia.

- Robi się późno. Niedługo słońce zacznie zachodzić. Powinniśmy się zbierać.

- Zaczekaj my jeszcze chwilę. Chciałbym ci coś pokazać.

- Wodospad o zachodzie słońca? - Diana usiadła

i zaczęła się ubierać. Zaczynało się robić chłodniej.

- Mówiłeś, że woda przybiera barwę krwi. Szczerze mówiąc, nie brzmi to zbyt zachęcająco.

- Zobaczysz sama. Gdzie się podział ten twój cholerny pies? - Colby usiadł i sięgnął po dzinsy.

Diana zatrzymała przez chwilę wzrok na klatce piersiowej mężczyzny, urzeczona emanującą z niej siłą. Zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się z leniwą zmysłowością. Szybko odwróciła się w stronę lasu, wypatrując psa.

- Specter, gdzie jesteś, piesku? Specter! Do nogi!

Spośród drzew dobiegł cichy skowyt i nagle na skraju lasu pojawił się Specter. Patrzył na panią z wyrzutem.

- Myślę, że wprawiliśmy go w zakłopotanie - zachichotał Colby.

~ Nie byłabym tym zdziwiona. On ma ogromne poczucie godności.

- W przeciwieństwie do ciebie, gdy płoniesz w moich ramionach. - Colby pocałował ją długo i gorąco. - Było cudownie, a mam wrażenie, że będzie jeszcze lepiej. - Wstał i pociągnął ją za sobą. - Ubieraj się szybko. Za chwilę słońce znajdzie się w odpowiednim położeniu. Pomógł jej zapiąć guziki bluzki, Diana zaś szybko włożyła spodnie i tenisówki.

- Chodźmy. Z tego miejsca najlepiej widać. - Colby poprowadził ją szybko do ogromnego granitowego głazu, z którego widać było wypływającą ze skały pod nimi, spadającą z hukiem wodę. Pył wodny wirował w powietrzu i osiadał na włosach Diany.

- Jak pięknie - powiedziała w zadziwieniu, gdy drobne kropelki, a po chwili całe kaskady wody zamieniły się w płynne złoto. - Myślałam, że będzie czerwona.

- Zaczekaj tylko. - Colby wychylił się do przodu, wpatrując się z przejęciem w niesamowite widowisko.

- Musiałeś to już oglądać setki razy - zauważyła Diana, rzucając mu zaciekawione spojrzenie.

- Gdy byłem dzieckiem, latem przychodziłem tu niemal co wieczór. - Nie patrzył na nią. Całą uwagę skoncentrował na wodospadzie. - Teraz! Widzisz? Wygląda, jakby krew tryskała z wnętrza tej góry!

Diana posłuchała go i nagle poczuła, że przeszywają zimny dreszcz.

- Mój Boże, masz rację - wyszeptała. - To nie do wiary

- To krew umierającego wojownika.

Chciała spytać go, co ma na myśli, ale nie była to właściwa chwila. Przyglądała się widowisku równie zafascynowana jak Colby. Żłocista mgła stopniowo stawała się pomarańczowa, za chwilę przechodząc w purpurę. Efekt ten trwał zaledwie parę chwil, póki słońce nie skryło się za górami. Wodospad znów lśnił srebrzystą bielą. Przez chwilę oboje stali w milczeniu, a potem Colby otoczył ją ramieniem.

- Ładne, prawda? - spytał trochę zbyt obojętnym tonem.
  - Niesamowite - odrzekła z uczuciem Diana.
  - Tak, niesamowite - roześmiał się cicho Colby.
  - Czy mówiłem ci, że za wodospadem jest jaskinia? Nie widać jej stąd, zasłania ją woda, ale jest do niej przejście.
  - Jaskinia?
  - Jaskinia Spętanej.
- Diana zaczęła zbierać resztki po ich piknikowej uczcie.
- Skąd te nazwy? Wodospad Spętanej? Jaskinia
  - Spętanej? Dziwne.
  - To nazwy wzięte ze starej legendy. - Colby zwinął koc i ruszyli stromą ścieżką w dół, w kierunku stojącego u podnóża góry jeepa.
  - Indiańskiej?
- Pokręcił przecząco głową.
- Indianie opowiedzieli ją pierwszym osadnikom na tym terenie, ale przysięgali, że nie ma nic wspólnego z ich plemieniem. Twierdzili, że na długo przed nimi żyło tu inne plemię dzikich wojowników.
  - I legenda wywodzi się z tamtych czasów?
  - Tak.
  - Opowiedz mi ją. - Kamyki zachrzęściły pod stopami zaciekawionej nagle Diany.
  - Słyszałem jako dziecko, że wojownicy zamieszkujący te tereny mieli zwyczaj zdobywać żony, porywając je.
  - Typowe. Banda męskich szowinistów.
  - Nie patrz tak na mnie. Nie porwałem kobiety od lat. W każdym razie podobno jeden z największych wojowników uważał, że zasługuje na coś wyjątkowego. Pragnął mieć żonę, która dałaby mu silnego potomka. Długo szukał, aż wreszcie porwał pewną młodą kobietę, która zbierała jagody. Zabrał ją do swego domu, by dzielić z nią łożę. Przeliczył się jednak.
  - Młodej damie wcale nie podobało się, że została uprowadzona?
  - Czowała się ogromnie urażona. W normalnych warunkach nikt nie przejmowałby się jej uczuciami, ale w tym wypadku mąż nie mógł zupełnie nie liczyć się z jej zdaniem, ponieważ pochodziła z niezwykłego plemienia, w którym kobiety też były wojowniczkami. Poza tym potrafiły regulować swój cykl płodności.
  - Aha. Innymi słowy, wiedziała to i owo na temat świadomego macierzyństwa i nie chciała mu dać upragnionego syna. Brawo!
  - Poczekaj z brawami do końca.
  - A czy ten koniec będzie szczęśliwy? - spytała, robiąc miny za jego plecami.
  - Nie. Posłuchaj uważnie, skarbie, a przekonasz się, że upór kobiecy nie popłaca.
  - Odezwał się współczesny, szowinistyczny wojownik!
  - Kiedy po kilku miesiącach - mówił dalej Colby, nie zwracając na nią uwagi - jego nocne starania nie przyniosły efektu, zorientował się, że młoda małżonka sabotuje jego wielkie plany.
  - I zdenerwowało go to?
  - Łagodnie mówiąc. Pobił ją dotkliwie, nie szczędząc gróźb, a kiedy i to nie pomogło, postanowił uwięzić młodą damę w jaskini, żeby tam się nieco opamiętała.

- Zakuł ją w łańcuchy w tej jaskini, o której mi mówiłeś? - Diana otworzyła szeroko oczy.
- Właśnie.-Zeskoczył lekko na kolejny występ skalny, omijając z konieczności Spectera, który biegł przed nim. - Z drogi, idioto! - mruknął przez zęby. Specter nie przejął się tym ani trochę.
- Przestań obrażać psa i mów, co było dalej - zażądała Diana.
- Colby wyciągnął rękę, podtrzymując ją.
- No cóż, uwięził skutą łańcuchami żonę w jaskini i zapowiedział, że uwolni ją dopiero wtedy, gdy dziecko zostanie poczęte.
- Okropność!
- Przychodził do niej każdego dnia przed zachodem słońca. Przynosił jej jedzenie, brał ją, a potem zostawiał samą w ciemnościach.
- Chciałeś powiedzieć, że codziennie ją gwałcił!
- Tak, prawdopodobnie do tego się to sprowadzało.
- Ona jednak nie zachodziła w ciążę. Później zaczęła również odmawiać przyjmowania jedzenia, które jej przynosił. Przez cały czas głowiła się, jak by tu się pozbyć niepożądanego małżonka. I w końcu wymyśliła.
- Sposób ucieczki? - spytała Diana.
- Nie - odrzekł Colby posepnie. - Sposób zabicia wojownika. Zastawiła na niego pułapkę, udała, że się poddaje. On zaś był tak uradowany swoim pozornym zwycięstwem, że najwyraźniej zapomniał, z kim ma do czynienia i zaniechał ostrożności. Popełnił niewybaczalny błąd.
- I co się stało?
- Wyciągnęła mu jego własny nóż myśliwski w momencie, gdy wojownik... ee... osiągał szczyty uniesienia.
- Pchnęła go nożem, gdy ją gwałcił! - wymówiła z lęklwym podziwem Diana. - Cóż za kobieta...
- To jeszcze nie wszystko - ostrzegł ją Colby. - Mówiłem ci, żebyś nie spodziewała się szczęśliwego zakończenia.
- No, mów - ponagliła go, zaciekawiona.
- Wojownik wyzionał ducha u jej stóp, a jego krew, wypływająca z otworu jaskini, mieszała się z opadającą kaskadami wodą. Wydając ostatnie tchnienie, przeklął żonę i dodał, że jej duch będzie dopóty uwięziony w tej jaskini, dopóki nie zostanie w niej poczęte i urodzone dziecko.
- Czy udało się jej wydostać?
- Nie zapominaj, że była spętana. Po śmierci wojownika nie mogła się sama uwolnić. Umarła w jaskini, a legenda głosi, że jej duch wciąż pozostaje tam uwięziony. Prawdopodobieństwo, że zostanie tam poczęte i urodzone dziecko jest raczej niewielkie, nie sądzisz?
- Myślę, że masz rację. - Diana obejrzała się, próbując wyobrazić sobie jaskinię za ścianą rwącej wody.
- A więc taki jest koniec tej historii?
- Mniej więcej. Odkąd pamiętam, dzieciaki miały sporo uciechy, strasząc się nawzajem pogłoskami, że ona wciąż czeka. I zabije każdego mężczyznę, który ośmieli się do niej wejść. Podobno nadal ma nóż swojego męża.

- A co mówią dorośli?

- Przeważnie żartują sobie, ale gdy tylko w pobliżu Fulbrook Corners dzieje się coś dziwnego, możesz być pewna, że znajdzie się ktoś, kto obarczy za to winą ducha niepokornej damy.

- Widzę, że należałaś do tych, którym spodobała się historia wojowniczkki. Przyznaj się, odważyłaś się kiedyś wejść do jaskini?

- A jak myślisz? - Trudno było cokolwiek wyczytać z jego oczu.

- Och, z pewnością tak. Nie potrafiłbyś się oprzeć takiemu wyzwaniu. W końcu byłeś najtwardszym chłopakiem w mieście, nie? Musiałeś dbać o swoją dobrą sławę.

- Masz rację - odrzekł Colby z ironicznym uśmiechem. - Spędziłem noc w jaskini, gdy miałem kilkanaście lat. Poszliśmy tam razem z Eddym Spoonerem. Ale gdy nadszedł wieczór i wodospad zrobił się czerwony jak krew, Spooner stracił odwagę i zaczął mnie namawiać, żebyśmy rozbili obozowisko w dole nad rzeką.

- Ale ty, oczywiście, zostałeś.

- Musiałem - odrzekł Colby z jawnie fałszywą skromnością. - Sama powiedziałaś, że chodziło o moją dobrą sławę. - Na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Bałeś się?

- Powiem ci prawdę - rzekł poważniejąc. - Nie pisałem nikomu słówka na ten temat, nawet Eddy'emu.

Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony, jak tamtej nocy. Tylko raz zdarzyło mi się coś podobnego, kiedy Brandon dostał czterdziestostopniowej gorączki i musiałem zawieźć go do szpitala. Ale nawet wtedy nie przeżyłem tego, co w tej jaskini.

Spokój, siła i szczerość, brzmiące w jego głosie, zaskoczyły Dianę. Miała uczucie, jakby przez szybę zajrzała w mroczny, najbardziej osobisty zakątek duszy tego mężczyzny.

- Colby?

On jednak dotarł już na polankę, gdzie zostawili jeepa, i zajął się innymi sprawami.

- Popatrz na swojego głupiego psa - powiedział z obrzydzeniem, podchodząc do samochodu. - Rozsiadł się na przednim siedzeniu, jak gdyby był właścicielem. Co za bezczelność!

- Jeśli kochasz mnie, musisz pokochać mojego psa - powiedziała Diana lekko, bez zastanowienia. Colby rzucił jej badawcze spojrzenie i dopiero wtedy dotarł do niej sens własnych słów.

- Może pójdźmy na kompromis - wycedził. - Będę się z tobą kochał, a twojego psa będę tolerował.

- Miejmy nadzieję, że on zechce tolerować ciebie. Specter jest bardzo uparty.

- Diana wskoczyła do jeepa i wypchnęła psa na tylne siedzenie. Miała nadzieję, że zdołała ukryć lekki rumieniec.

Jak długo Colby będzie chciał się z nią kochać? I jak długo będzie się oszukiwała, że kochanie się jest na tyle zbliżone do prawdziwej miłości, że warto pójść na kompromis?

- To tu odbywały się wasze nocne wyścigi? - spytała, gdy Colby wyjechał na River Road.

~ Tak. Wygrałem na nich kupę forsy.

Diana popatrzyła z dezaprobatą na wąską drogę, wijącą się wzdłuż rzeki.

- Musi być bardzo niebezpiecznie jechać tędy z dużą szybkością. Z tych zakrętów można wypaść do rzeki.

- Diano, moje ty słodkie niewiniątko! Bardzo mi przykro, że muszę cię rozczarować, ale ciekawe wyścigi można toczyć tylko na niebezpiecznych drogach. I dlatego prawie zawsze wygrywałem. Nikt



nie znał jej tak dobrze jak ja. Zbadałem każdy zakręt i każdą prostą.

- Młodość miałaś z pewnością ciekawszą niż ja - powiedziała cicho Diana. - Ale nie musisz odświeżać jej dla mnie. Czy mógłbyś trochę zwolnić?

- Przepraszam - powiedział Colby, zdejmując nogę z gazu. - Nie masz do mnie zaufania jako do kierowcy?

- Ależ nie - zaprzeczyła. - Doskonale panujesz nad samochodem. Po prostu przywykłam do spokojniejszej jazdy.

- Wedle życzenia. - Uśmiechnął się do niej. - Dziś każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Doprawdy? Nie do wiary, jak odrobina seksu może poprawić humor mężczyźnie!

- Była to najlepsza odrobina seksu w moim życiu, szanowna pani.

Diana zarumieniła się na wspomnienie swoich doznań. Została porwana przez wir uniesień i nigdy już nie będzie taka, jak przedtem.

Specter przez całą drogę powrotną siedział z łbem pochylonym nad ramieniem Colby'ego. Jęzor zwisał mu z pyska, ślina kapała na koszulę, pozostawiając mokry ślad.

- Wiesz - powiedziała Diana, przyglądając się plamie - myślę, że zaczyna cię akceptować.

- Mylisz się - odparł Colby zerkając na psa, który odwzajemnił mu się zadziwiająco niewinnym spojrzeniem. - On po prostu umiejętnie ukrywa swoją nienawiść. Wie, że jest na straconej pozycji, schodzi więc do podziemia, żeby rozpocząć wojnę podjazdową.

- To czysta paranoja!

- Nie wolno nie doceniać przeciwnika. ~ Pokonał jednym susem stopnie werandy i otworzył drzwi. -

Czy zaprosisz mnie na kolację?

- Nie wydaje ci się, że jeszcze trochę, a staniesz się takim samym żebrakiem, jak mój pies?

- Specter kocha cię za to, że potrafisz otworzyć puszkę z jego jedzeniem. Ja natomiast nie tylko lubię twoją kuchnię, mimo że ogranicza się do jednego dania, ale mam też bzika na punkcie twojego ciała.

- A mój fascynujący umysł?

- Skarbie, dwa trafienia na trzy możliwe to świetny wynik. Przecież się nie skarzę!

- Ty szowinisto! - Żartobliwie szturchnęła go w żebra i z radością patrzyła, jak kuli się w udawanym bólu.

- Chcesz zjeść tu dziś kolację? To ją zrób.

- Znudziło ci się gotowanie? Tego się obawiałem. - Na twarzy Colby'ego pojawił się wyraz rezygnacji i zawodu. ~ Nie powinienem był dać ci się uwieść. Mogłem przewidzieć, że skoro już mnie złowisz, owiniesz mnie sobie wokół małego palca.

Diana uniosła się na czubkach palców i musnęła wargami jego policzek.

- Kto tu właściwie został uwiedziony? - spytała cicho.

- A właściwie, to kto tu kogo uwiódł? - poprawił ją z uśmiechem. - Strona czynna, a nie bierna. To problem gramatyczny, a my, pisarze, znamy się na tym.

- Jestem pod wrażeniem, ale nie jest to odpowiedź na moje pytanie. - Diana prześliznęła się obok niego i zapaliła światło. Najwyraźniej dzisiejsze spotkanie wprowadziło Colby'ego w doskonały humor. Uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała go w tak dobrym nastroju.

- Przepraszam. Zapomniałem. Jak brzmiało pytanie?

- Teraz ty się migasz.

- Skoro już mowa o pytaniach, mam jedno do ciebie.

Przystanąła w drzwiach kuchni, świadoma, że zatrzymał się na chwilę w korytarzu. Obejrzała się

ciekawie.

Colby przyglądał się listowi, który zostawiła na stoliku, obok wazonu z kwiatami.

- Jakie, mianowicie?

Obrzucił ją spojrzeniem, z którego zniknęła cała poprzednia filuterność.

- Kto to jest Aaron Crown?

- Mój szef- odrzekła powoli. - A ściślej mówiąc, mój były szef.

Colby wszedł za nią do kuchni.

- Dlaczego więc napisał do ciebie?

Wzruszyła, ramionami, próbując zlekceważyć prowokujące tony w jego głosie. Wyjęła z lodówki główkę sałaty.

- Przypuszczam, że z dwóch powodów. Po pierwsze, pracowaliśmy ze sobą kupę czasu i jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, a po drugie, chciałby, żebym możliwie najszybciej wróciła do pracy w Carruthers & Yale.

- I zajęła się ponownie księgowością?

- Tak. - Colby nie przejawiał dotychczas zbyt dużego zainteresowania jej pracą. Miał zaledwie mgliste pojęcie na temat tego, czym się zajmowała i nie zdawał sobie sprawy, ile znaczyła dla niej kariera zawodowa. Może go to po prostu nie obchodziło. - Zobaczmy, czy potrafisz przyrządzić sałatę. Ja otworzę butelkę i naleję wino.

- Myślałem, że to zajęcie dla mężczyzny.

- Pozwolę ci się popisać innymi umiejętnościami - powiedziała, sprawnie manewrując korkociągiem.

- Mówiłaś mi, że wzięłaś dłuższy urlop, bo nie dostałaś awansu, którego się spodziewałaś.

- To prawda. Chciałam złożyć wypowiedzenie natychmiast, lecz Aaron przekonał mnie, żebym przemyślała wszystko dokładnie. Powiedział, że pracowałam zbyt ciężko i długo, żeby teraz rezygnować.

- Nigdy przedtem nie wspominałaś o Aaronie Crownie.

- Doprawdy?

- Nie, Diano, nigdy. Przestań ze mną żartować. Przeczytałem kilka pierwszych zdań listu. Crown prawie błaga cię, żebyś wróciła do pracy. Czy naprawdę jest wyłącznie twoim szefem?

Diana usiadła na krześle i oparła stopy o sąsiednie. Sączyła wino, głaszcząc Spectera, i rozmyślała o Aaronie Crownie. Przystojny, dobrze ubrany, sympatyczny Aaron Crown miał wszelkie zadatki, by wspiać się wysoko po szczeblach kariery zawodowej w imperium Carruthers & Yale, zwłaszcza mając obok siebie Dianę Prentice, która dbała o wszystko. Ciekawe, jak radzi sobie sam.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Aaron zawsze był wyłącznie moim szefem.

Przez chwilę panowało milczenie. Colby zajął się gorliwie darcie sałaty.

- Zaczynam zdawać sobie z czegoś sprawę - odezwał się wreszcie.

- A mianowicie?

- Bardzo niewiele o tobie wiem.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że teraz, kiedy mnie już wykorzystałaś, w końcu cię zainteresowałam?

- Zawsze mówię, że rzeczy najważniejsze mają pierwszeństwo, a kochanie się z tobą stanowiło numer pierwszy na mojej liście. Gdzie trzymasz oliwę i ocet?

- W drugiej szafce po prawej.

Gdy Colby otworzył niewłaściwe drzwi, Specter nagle postawił uszy i warknął.

- O co mu chodzi, do diabła? - spytał Colby.
- Otworzyłeś szafkę, w której są jego puszkę. Może ci po prostu nie ufa.
- Może nie powinien mi ufać. Jesteśmy wrogami. - Colby uśmiechnął się nieznacznie i zamknął drzwi.
- Zresztą, zależy mi wyłącznie na tym, żebyś ty mi ufała, Diano. A jak z tym jest?
- Nie znam cię dobrze - odrzekła, przyglądając mu się uważnie.
- Wykręcasz się od odpowiedzi. - Oparł się o blat i wziął swój kieliszek z winem.
- Muszę ci w jakimś stopniu ufać, inaczej nie spędziłabym z tobą popołudnia w taki sposób.
- Tak też myślałem - pokiwał z zadowoleniem głową i zabrał się z powrotem za sałatę. - Czy wspominałem ci, że robię najlepszą w świecie sałatkę cesarską?
- Nie uwierzyłabym, nawet gdybyś o tym wspominał.
- Poczekaj, aż spróbujesz.
- Gdzie nauczyłeś się gotować?
- Z książek kucharskich. Nie zapominaj, że zajmowałem się wychowaniem dziecka. Powiedziałem sobie, że Brandonowi należy się coś więcej, niż mrożonki i pizza. Czytałem mnóstwo książek na temat wychowywania dzieci i stwierdziłem, że nie zawsze ich autorzy mają rację.
- Z pewnością. Czy chciałeś mieć dziecko, Colby?
- Nie w wieku dziewiętnastu lat - odrzekł, krzywiąc ironicznie wargi. - Ale nie miałem wyboru. Pewnego pięknego dnia pojawił się Brandon i nie czas było zastanawiać się, czy pragnę dziecka, czy też nie. Po prostu je miałem. A ty?

Intymność pytania zaskoczyła ją, ponieważ Colby nigdy takich pytań nie zadawał. Wbiła wzrok w swój kieliszek. Pragnęła, by okazywał zainteresowanie jej życiem, ale nie akurat w tej sprawie. Nie była przygotowana na udzielenie pełnej, wyczerpującej odpowiedzi, ograniczyła się więc do części prawdy.

- Czasami się nad tym zastanawiałam, tak się jednak złożyło, że albo nie była to właściwa chwila, albo nie ten właściwy mężczyzna.
- Ani razu?
- Cóż, był taki ktoś, gdy zaczynałam właśnie pracę. Miałam około dwudziestu pięciu lat i wydawało mi się, że to właśnie ten jeden jedyny. Przez pewien czas wszystko układało się świetnie, potem jednak okazało się, że związał się ze mną na złość innej kobiecie. Gdy się ponownie zjawiała, doszedł do wniosku, że tylko jej pragnie.
- Zostawił cię?
- Dziękowałam Bogu, że stało się to przed ślubem.

W każdym razie przestałam wtedy myśleć o założeniu rodziny i skoncentrowałam się na sprawach zawodowych. A teraz mam trzydzieści cztery lata i jestem zadowolona z tego, co osiągnęłam.

- Nie zastanawiasz się, co straciłaś?
- Raczej nie, a przynajmniej nie często. Żyję pełnią życia, odnoszę sukcesy w pracy, mam wielu dobrych przyjaciół i mnóstwo zainteresowań. Me wiem zresztą, czy byłabym dobrą matką. Przeraza mnie, na przykład, myśl o problemach z dzieckiem w okresie dojrzewania.
- To bywa czasem trudne, owszem, ale jakoś się przez to przechodzi. Teraz jednak, jako ekspert, mogę ci powiedzieć, że jestem szczęśliwy, mając to za sobą. Wychowywanie dzieci jest dobre dla niedoświadczonych dwudziestolatków, którzy nie mają pojęcia, w co się pakują.

- Masz rację. Po trzydziestce człowiek jest bardziej odpowiedzialny. W tej chwili przerażałaby mnie perspektywa zajścia w ciążę.

- Przewróciłoby to do góry nogami całe twoje starannie uporządkowane życie, co? Zmieniłoby absolutnie wszystko.

- Uważasz, że taka całkowita zmiana byłaby dla mnie dobrodziejstwem - fuknęła, zirytowana jego tonem.

Colby kroił krwistoczerwonego pomidora na niewielkie cząstki.

- Tak - powiedział. - Dziecko zmieniłoby w twoim życiu wszystko.

- Cóż, przynajmniej o to nie muszę się martwić, prawda? - spytała pewnym tonem.

- Tak, o to nie - zgodził się Colby. - Być może jednak zdecydowałabyś się wprowadzić do swojego życia kilka innych, mniej drastycznych, zmian?

- Na przykład?

- Na przykład, mogłabyś się przeprowadzić do mnie na resztę lata. Ponieważ jestem człowiekiem nadzwyczaj wspaniałomyślnym, zgadzam się nawet zabrać twojego głupiego psa.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie spodobała mu się jej odpowiedź, ale przyjął ją z typowym dla siebie spokojem. Był pewien, że wkrótce przekonają, by zmieniła zdanie.

- Rób jak uważasz - powiedział. - Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili. Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Jeszcze długo po wyjściu Colby'ego myślała o jego propozycji. Pewnie miał rację. Spała już z nim, czemu więc nie miałaby się do niego przeprowadzić? Na resztę lata.

W głębi duszy wiedziała, że te właśnie słowa wprowadziły niemiły zgrzyt. Colby Savagar nie wybiegał myślą dalej, niż koniec lata. Z pewnością postawił sprawę uczciwie. Nie mogąc zasnąć, odrzuciła pościel i wstała z łóżka. Specter popatrzył na nią pytającym wzrokiem, gdy włożyła szlafrok i pantofle.

- Masz ochotę na małą przekąskę o północy? - spytała.

Specter zastrzygł dużymi uszami, demonstrując szczerze zainteresowanie, i wyszedł za panią na korytarz tuż przy jej nodze.

- Nie trzeba cię dwa razy pytać, co? Obaj z Colbym reagujecie bezbłędnie na hasło „jedzenie”.

Specter zapewne nie miał ochoty być wrzucony do jednego worka ze swym rywalem, zachował jednak spokój. Obserwował czujnie, jak Diana wyjmuje torbę z psimi sucharami. Z niezwykłą delikatnością wziął swój przysmak z jej palców i połknął w całości.

- Mój Boże, ależ ty masz zębiska - powiedziała, biorąc sobie krakersa. - Colby ma rację. Sama zaczynam się zastanawiać, w jaki sposób zdobywałeś jedzenie, zanim trafiłeś do mnie, Specter wyszczerzył zęby w psim uśmiechu, pokazując ich przy tym jeszcze więcej.

- Nie rób tego - powiedziała Diana. - Przypominasz mi Colby'ego.

Usiadła przy kuchennym stole, gryząc krakersa. Na blacie leżała książka, którą Colby dał jej kilka tygodni temu. „Szok”. Usiłowała wciąż wyrzucić z pamięci ostatni ustęp rozdziału dziesiątego, który przeczytała poprzedniego dnia. Wahała się przez chwilę, po czym jednak otworzyła książkę, by poznać dalsze losy Donnelly'ego, głównego bohatera powieści.

W tych ostatnich sekundach przebiegła mu przez głowę jedyna myśl, że to niesprawiedliwe, by istota

tak nieskończenie zła miała tak niewinny wygląd. Potwór powinien wyglądać jak potwór. Człowiek powinien na pierwszy rzut oka zauważać różnicę pomiędzy dobrem a złem. On jednak był zbyt zaślepiiony, by dostrzec prawdę i teraz ta prawda go zabije. Powoli, okrutnie, bezlitośnie, zabije go.

Diana wstrząsnęła się i zamknęła książkę. Nie powinna czytać „Szoku” o tej porze.

- Myślę, że Donnelly’emu się uda - powiedziała do Spectera. - Ale czytelnicy po drodze dostaną ataku serca ze strachu. Jak sądzisz, skąd autorzy horrorów biorą pomysły? Nie chciałabym mieć snów Colby’ego. Wstała i pogasiła światła. List od Aarona Crowna wciąż leżał na stoliku. Przypomniła sobie reakcję Colby’ego.

- Kochał się ze mną jeden jedyny raz i myśli, że ma prawo czytać moje listy. Wiesz, Specter, coś mi mówi, że to typ posiadacza. Jest też arogancki, dumny i pamiętliwy. Ciągłe ma za złe całemu miasteczku. Ciekawe, po co tu w tym roku przyjechał? Specter rzucił jej spojrzenie, mówiące wyraźnie „Kogo to obchodzi?”, ziewnął i ruszył w kierunku sypialni.

Colby oderwał wzrok od ekranu monitora i patrzył na dolinę tonącą w blasku porannego słońca. W oddali srebrzyście lśnił wodospad. Przypomnił sobie, co się tam wczoraj wydarzyło i zadrżał. Był niemal przerażony konsekwencjami ostatniego spotkania z Dianą. Nie zaspokoił wcale swego pragnienia, raczej je podsycał.

Dlaczego mu odmówiła, gdy poprosił, by się do niego przeniosła? Skoro spali ze sobą, zamieszkanie na lato pod jednym dachem wydawało mu się rzeczą całkiem naturalną. Z pewnością nie obchodzi ją, co powiedzą na ten temat obywatele miasteczka. A może jednak?

Wielu rzeczy jeszcze o niej nie wiedział. Dopiero zaczynał zdawać sobie sprawę, jak bardzo pragnie wiedzieć więcej teraz, gdy połączyła ich miłość fizyczna.

Niepokoiliła go ta dręcząca ciekawość. To do niego zupełnie niepodobne! Poza tym, Diana nie jest nawet w jego typie. Pełna rezerwy, zbyt ufna we własne siły, zbyt skoncentrowana na karierze zawodowej. Istna dwudziestowieczna Amazonka.

Było w niej coś, co pozwalało mu przypuszczać, że Diana naprawdę nie potrzebuje mężczyzny. Trzeba by wielu zabiegów, by ją przekonać, że może się przydać nie tylko w łóżku. Różniła się ogromnie od wszystkich znanych mu dotychczas kobiet.

W pewien jednak sposób, trudny do zdefiniowania, była trochę podobna do niego - niezależna, nawykła do kierowania się własnymi zasadami, uparta. Wyraźnie od dawna sama troszczyła się o swoje sprawy. Jej kobieca duma musi w końcu wejść w kolizję z jego męską pewnością siebie. A jednak z głęboką satysfakcją stwierdził, że potrafił sprawić, by drżała w jego ramionach.

- Niech to wszyscy diabli!

Oszaleje, jeśli będzie wciąż o niej myślał. Musi skończyć dzisiaj rozdział. Wcisnął klawisz, by zapisać tekst w pamięci komputera i wstał. Pracował od szóstej rano. Jeśli zdąży na pocztę około dziesiątej, prawdopodobnie spotka Dianę i wstąpią na kawę. Potem będą mogli zaplanować jakoś wieczór. Dwadzieścia minut później wjechał na niewielki parking przy poczcie i uśmiechnął się sam do siebie, widząc samochód Diany. Spoważniał jednak, gdy przypomniał sobie wczorajszy list. Miał nadzieję, że tym razem nie będzie korespondencji od Aarona Crowna. Wyczytał dość, by powziąć do niego natychmiastową antypatię.

Nie lubiłby nikogo, kto pisałby do Diany tak ciepło i przyjaźnie. Ten frajer błagał ją, żeby wróciła do dawnej pracy i było w tonie tej prośby coś, co naprawdę zirytowało Colby’ego. Crown pisał w taki sposób, jak gdyby rościł sobie do niej jakieś prawa.

Wyskoczył z jeepa i przeszedł obok poczciwego, czterodrzwiowego buicka Diany. Siedzący na przednim siedzeniu Specter obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Nie masz nic do gadania, ty wielki, paskudny kundlu. Nie pozbędziesz się mnie.

Specter warknął na tyle głośno, by mężczyzna usłyszał.

- Hej, Savagar!

Odwrócił się na dźwięk znajomego głosu. To Eddy machał do niego przez ulicę. Colby pozdrowił go również gestem dłoni.

- Witaj, Eddy. Jak leci?

Eddy rozejrzał się po spokojnej ulicy, po czym przeszedł na drugą stronę. Miał na sobie jak zwykle roboczy kombinezon i ciężkie buty, a na głowie firmową czapkę. Wycierał dłonie w zabrudzoną smarem szmatę.

- Nie narzekam - odpowiedział. - Czekałem na ciebie. Umówimy się na piwko?

Colby stłumił westchnienie, wiedząc, że tym razem już się nie wykręci. Dwadzieścia lat to kawał czasu, pamiętał jednak, że Spooner był wtedy najprzyjaźniejszą mu duszą w Fulbrook Corners.

- Jasne, Eddy. Z miłą chęcią.

- To wpadnij wieczorem. Kończę o piątej.

Colby zupełnie nie miał ochoty tracić wieczora na piwie z Eddym Spoonerem. Snuł znacznie bardziej interesujące plany.

- Hm, dziś, niestety, mam zajęty wieczór.

- Pewnie z tą laleczką Prentice, co? Nie mogę mieć do ciebie pretensji. Fajna babka. A jakie ciuchy... Taka na oko trochę zimna, ale założę się, że to gorąca kobitka...

- Zamknij się, Eddy.

Spooner zamrugał w zdumieniu powiekami, po chwili jednak uśmiechnął się szeroko i podniósł ręce w przeproszającym geście.

- W porządku, stary, załapałem. Bez obrazy. No, to kiedy? Jest o czym pogadać. Jutro mam wolne.

Colby pomyślał, że lepiej mieć to z głowy.

- Dobrze, może być jutro. Rano zwykle pracuję.

Wpadnę do ciebie po południu i przyniosę piwo. Pasuje ci?

- Jasne, Colby. Jak ułał - zgodził się radośnie Eddy.

- To do zobaczenia.

- Cześć!

Colby przyglądał się Spoonerowi, przechodzącemu z powrotem przez ulicę. Wszyscy w mieście mówili, że z Eddy'ego Spoonera nie będzie wielkiej pociechy, to samo zresztą odnosiło się do Colby'ego Savagara. Bardzo się pomylili co do Colby'ego, a wyglądało na to, że i Eddy nieźle radzi sobie z pracą, może więc opinia o nim również była niesłuszna. Nie ma zapewne dyrektorskiej pensji, ale nie jest też na zasiłku.

Dobrze tym draniom! Ich słowa się nie sprawdziły - ani Colby, ani Spooner nie wylądowali w więzieniu, nie skończyli na ulicy.

Wspólna przeszłość wytworzyła pomiędzy nimi pewien rodzaj więzów. Nie będzie się wymigiwał od piwa z Eddym Spoonerem. A nawet od kilku piw.

Diana czekała na niego w budynku poczty. Wrzucała właśnie pakiet listów do swej dużej skórzanej torby.

Colby spróbował odczytać adresy nadawców, ale stał zbyt daleko.

- Cześć, skarbie - rzekł, podchodząc do niej i całując ją w usta na oczach wszystkich. - Musimy skończyć z takimi spotkaniami.

Diana zaróżowiła się lekko. Była w pełni świadoma, dlaczego Colby zachowuje się w ten sposób. Jeśli ktokolwiek w mieście nie wiedział jeszcze, że Savagar sypia z tą kobietą z Portland, która wynajęła dom Martina na lato, od tej chwili nie miał już co do tego żadnych wątpliwości. Jej rumieniec sprawił wielką satysfakcję Colby'emu, który wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Cześć - odpowiedziała Diana ze zjadliwą uprzejmością. - Jak się miewasz?

- Zgadnij. - Colby celowo przemycił w tej krótkiej odpowiedzi nutę zmysłowego zadowolenia. Podszedł do okienka. - Dzień dobry, Bernice. Jest coś do mnie?

- Proszę bardzo. - Bernice wręczyła mu długą białą kopertę z adresem zwrotnym jego agenta.

Czek. Colby zastanawiał się, czy kiedykolwiek przestanie przeżywać pełną zdumienia radość, że ktoś płaci za jego książkę.

- Masz szczęście, Diano. - Pomachał do niej kopertą. - Będę cię mógł zaprosić dzisiaj na kolację. - Ruszył ku niej z szerokim uśmiechem i nagle stanął jak wryty na widok dwóch osób, które pojawiły się w drzwiach.

- Cześć, tato!

- Brandon! - Colby patrzył zdumiony na szczupłego ciemnowłosego młodzieńca o brązowych oczach. Jego syn był ostatnią osobą, którą spodziewał się dziś spotkać. - Co ty, u licha, tutaj robisz? Powinieneś w tej chwili być w pracy w Portland.

Brandon Savagar postąpił kilka kroków, obejmując opiekuńczo ramieniem rudowłosą ślicznotkę o błękitnych oczach, która wyglądała na jakieś dziewiętnaście lat.

- Niespodzianka! - powiedział Brandon z wymuszoną wesołością. - W tej restauracji, gdzie pracuję, wybuchł pożar i zamknięto ją na dwa tygodnie. Postanowiłem więc cię odwiedzić. Facet na stacji benzynowej powiedział, że jesteś tutaj.

- No, tak. Cieszę się, że cię widzę. - Colby zdał sobie sprawę, że Diana patrzy na niego z wyraźnym zaciekawieniem. Oprzytomniał i dokonał prezentacji. - Diano, to mój syn Brandon. Brandonie, to Diana Prentice, moja... ee... przyjaciółka.

- Dzień dobry, panno Prentice - powiedział uprzejmie Brandon.

- Miło mi cię poznać.

Brandon spojrział na ojca.

- Tato, to jest... ee... moja przyjaciółka. Robyn Lambert. Robyn, to mój tata.

- Tak się cieszę, że mogę pana poznać, panie Savagar - powiedziała dziewczyna cichym, nieśmiałym głosem, wlepiając w Colby'ego błękitne oczy. - Przeczytałam wszystkie pana książki. Są świetne. Colby obrzucił ją zaciekawionym wzrokiem, świadom wyrazu dziwnej determinacji w oczach syna. Serce w nim zamarło pod wpływem straszliwego przeczucia. Odepchnął je od siebie. Nie wolno panikować. To po prostu jedna z wielu dziewczyn Brandona. Przynajmniej ma dobry smak, jeśli chodzi o literaturę.

- Witaj, Robyn. Miło mi, że podobają ci się moje książki. - Spojrział na Dianę i zauważył, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

- Moje gratulacje, Robyn. Powiedziałaś dokładnie to, co należało. Obawiam się, że gdy spotkałam po raz pierwszy Colby'ego, nie miałam zielonego pojęcia, kim jest.

Nie przeczytałam w życiu ani jednego horroru - powiedziała Diana wesoło.

- I nic się nie zmieniło - wtrącił Colby. - Nie przebrnęła do tej pory nawet przez połowę „Szoku”.

- Ależ to jedna z najlepszych pana powieści - rzekła ze zdumieniem Robyn.

- Zgadza się. - Brandon był najwyraźniej dumny ze swego ojca. - „Szok” był na wszystkich ważnych listach bestsellerów. Przełomowa książka taty.

- Dość! - zawołała Diana. - Poddaję się. Przyznaję, że na horrorach zupełnie się nie znam. I przysięgam, że dokończę tę książkę, nawet gdybym miała umrzeć ze strachu.

- Chodźmy stąd - powiedział Colby, ujmując Dianę pod ramię. - Brandon, zawiozę was z Robyn do domu ciotki Jesse. Zaczekajcie na mnie chwilę, chcę zamienić dwa słowa z Dianą.

- Dobrze, tato. Poczekamy w samochodzie. - Brandon wskazał gestem dwuosobową mazdę, którą ojciec kupił mu, gdy zdał na studia. Colby obserwował z ponurą miną rozkołysany koński ogon Robyn Lambert, która szła z Brandonem w kierunku samochodu.

- Tylko dziewiętnastolatka może wyglądać tak doskonale w džinsach - zauważyła Diana. - Ale nie rób sobie nadziei. Jest dla ciebie za młoda.

- Dla Brandona również - wymówił cicho Colby.

- A może to on jest za młody dla niej. Nie jestem pewien.

- Wyglądają na rówieśników.

- W tym właśnie problem. Są po prostu jeszcze dziećmi. - Oparł się o drzwi buicka i ujął dłonie Diany.

- A teraz co do dzisiejszego wieczora.

Widząc, jak Colby opiera się o samochód, Specter zawarczał. Wystawił łeb przez otwarte okno, a jego zęby znalazły się niebezpiecznie blisko uda mężczyzny. Colby odsunął się szybko.

- Co za głupi pies!

Specter warknął tym razem głośniej, zadowolony, że nastraszył swego rywala.

- Tylko przestańcie sobie wymyślać - upomniała ich Diana.

- Jemu to powiedz! Posłuchaj, chciałem się wprosić dzisiaj na kolację, ale zdaje się, że będę miał towarzystwo.

- Brandon jest bardzo do ciebie podobny. Z wyjątkiem oczu.

- Ma oczy matki - odrzekł niecierpliwie Colby.

Diana pstryknęła palcami.

- Wiedziałałam, że z kimś mi się kojarzyły. Z Margaret Fulbrook!

- Być może. Kochanie, nie mam ochoty rozmawiać o oczach Brandona. Jak już powiedziałem, miałem zamiar wprosić się dziś do ciebie na kolację...

- Jak zwykle?

- Właśnie. Jak zwykle. Musimy jednak zmienić plany.

- Nie wiedziałałam, że mieliśmy jakieś plany.

- Diano, przestań gapić się na mnie tymi wielkimi oczyskami, bo przypominasz mi wtedy Spectera. - Diana uśmiechnęła się, a Colby'emu nie pozostało nic innego, jak pochylić się i scałować ten uśmiech z jej warg.

- A więc - powiedział w chwilę później - powtarzam, że musimy zmienić plany. Przyjdź do mnie. Przygotujemy z Brandonem kolację.

- Brandon umie gotować?

- Jasne. Nauczyłem go korzystać z książki kucharskiej.

- Wiesz co, Colby? Myślę, że musiałeś być bardzo dobrym ojcem.



- Jakoś udało się nam obu przeżyć. No, to co z tą kolacją?
- Jak mogłabym odmówić? - Pocałowała go lekko.
- Twoja sałatka cesarska zrobiła na mnie wczoraj oszałamiające wrażenie. Nie jadłam lepszej.
- Przecież ci mówiłem. No, to do zobaczenia o piątej.

Psa zostaw w domu.

Diana zastosowała się do jego prośby i zostawiła Spectera w domu. Nie był tym zachwycony, a i Diana, wkrótce po przyjeździe do domu Colby'ego, zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła słusznie. Pies stanowił zawsze świetny temat do rozmowy, a na tym małym przyjęciu wyraźnie przydałoby się rozładować atmosferę. Pomiędzy Colbym i jego synem wyczuwalnie rosło napięcie. Robyn Lambert stawała się coraz bardziej nerwowa.

- Wspaniałe *taco* - pochwaliła Diana, gdy rozmowa utknęła w martwym punkcie. Uśmiechnęła się do Robyn. - Nie uważasz, że mężczyźni świetnie radzą sobie w kuchni?

Robyn zamrużyła powiekami, spoglądając niepewnie na Brandona.

- Nie wiem - wyjąkała, skubiąc kawałek *tortilli*.

- Brandonie, ta salsa jest naprawdę pyszna. Pikanтна jak diabli. Robiłeś ją ty czy Colby?

- Tata. - Brandon uśmiechnął się do niej niepewnie.

- Zawsze przyprawiają tak ostro, że miska niemal staje w płomieniach.

- Brandon przygotował nadzienie - odezwał się Colby po raz pierwszy od kilku minut, układając na talerzu warstwami placek, mięso, ser, sałatę, pomidory i polewając wszystko *salsą*.

- Doskonale - powiedziała szybko Diana. - Jakaś kobieta będzie mogła nazwać się szczęściarą. Mąż, który potrafi gotować!

Nagle zdała sobie sprawę, że popełniła okropne *faux pas*. Zapadło jeszcze cięższe niż przedtem milczenie.

Robyn wlepiła wzrok w talerz, nie mogąc opanować drżenia dolnej wargi. Brandon siedział z ponurą miną, Colby zaś pochłaniał ogromnymi łykami swoją porcję.

Diana miała ochotę wstać i wyjść. Nie chciała brać udziału w rodzinnej kłótni Savagarów. Jednakże żalostny wyraz błękitnych oczu Robyn Lambert sprawił, że została. Nie postąpiłaby fair, zostawiając biedną dziewczynę na pastwę Colby'ego i jego syna.

Nagle Brandon z brzękiem odstawił na stół szklankę z colą.

- To zabawne, że wspomniała pani o małżeństwie, panno Prentice - powiedział. - Przyjechaliśmy tutaj po pierwsze po to, żeby powiadomić tatę, że zamierzamy się niedługo pobrać. Jeszcze przed początkiem roku akademickiego.

Nic dziwnego, że Colby siedzi przy kolacji jak chmura gradowa!

- Rozumiem. To... hm... interesujące. - Nic innego nie przyszło jej na myśl.

- Tata tak nie uważa.

Colby przerwał jedzenie i obrzucił syna posępnym spojrzeniem.

- Po prostu wydaje mi się, że to idiotyczny pomysł!

W oczach Robyn zabłyśły łzy. Brandon miał zacięty wyraz twarzy.

Diana skrzywiła się. Rękawice zostały rzucone. Wiedziała, że wraz z biedną Robyn staną się świadkami męskiej kłótni.

- Przepraszam - rzekła. - Nie mam ochoty tego wysłuchiwać. Robyn, może pójdziesz ze mną? Nie musimy uczestniczyć w tej sprzeczce.

- Siadaj - wycedził Colby przez zęby.

- Podaj mi rozsądny powód.

Colby wciągnął głęboko powietrze, czyniąc nadludzki wysiłek, by się opanować.

- Później porozmawiam na ten temat z Brandonem.

Teraz ani czas na to, ani miejsce.

- Rzeczywiście. - Diana usiadła ostrożnie. - Ale nie byłam pewna, czy zdajesz sobie z tego sprawę.

Brandon popatrzył na nią z szacunkiem. Widocznie nie przywykł, by ktoś traktował ojca w ten sposób. Zawahał się przez chwilę, po czym spytał:

- Tata mówił, że przyjechała tu pani na lato. Czemu wybrała pani Fulbrook Corners?

- Sama nie wiem - uśmiechnęła się do niego. - Czułam, że muszę wyjechać z Portland na jakiś czas, chciałam zmiany. Spojrzałam na mapę i, sama nie wiem czemu, zdecydowałam się na Fulbrook Corners. Było tu sporo domków do wynajęcia, nie wahałam się więc ani chwili.

- Dlaczego wzięła pani taki długi urlop?

- Hm, to skomplikowana historia. Miałam dostać awans, na który zasłużyłam ciężką pracą.

- A czym się pani zajmuje?

- Jestem dyplomowaną księgową, poza tym skończyłam studia z zarządzania. Byłam zastępcą głównego księgowego w wydziale Carruthers & Yale.

- Zajmowała się pani prognozowaniem finansowym?

Diana skinęła głową, mile połączona zainteresowaniem rozmówcy.

- Tak. Pomagałam opracowywać prognozy, a poza tym wykonywałam mnóstwo prac obliczeniowych.

Wszystko jest teraz skomputeryzowane, wiesz o tym.

- Czemu więc ominął panią awans?

- Po prostu kobiety mogą awansować w tej firmie wyłącznie do średniego szczebla. Wyższe stanowiska zastrzeżone są dla mężczyzn.

- Uważa pani, że nie dostała awansu z powodu dyskryminacji kobiet? - zainteresowała się Robyn.

- Musiało mi się nasunąć takie przypuszczenie. Nie było w firmie drugiej osoby o takich kwalifikacjach jak moje, i wszyscy o tym wiedzieli.

- Ależ to bezprawie - dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Wiesz co, Robyn, fakt, że istnieją prawa mające chronić kobiety przed dyskryminacją, wcale nie oznacza, że pracodawcy się do nich stosują. Jak mam udowodnić, że w moim przypadku zostały pogwałcone?

- A więc wzięła pani urlop, żeby się zastanowić, co dalej - Brandon pokiwał ze zrozumieniem głową. - Wróci pani do tej pracy?

- Nie. Przemyślałam wszystko i chcę złożyć wypowiedzenie. W świecie interesów trzeba wiedzieć, jak minimalizować straty.

- Ale czy nie oburza pani to wszystko?

Diana podniosła wzrok znad talerza i na chwilę w jej oczach rozbłysła cała bezsilna wściekłość, którą do tej pory tłumiała.

- O, tak - powiedziała cichym, napiętym głosem.

- Jeszcze jak! Nigdy nie byłam taka wściekła. Nigdy też nie czułam się tak zawiedziona i bezradna. Pracowałam ciężko na ten awans. Siedziałam w biurze po godzinach, choć nikt mi za to nie płacił. Wyciągałam za mojego szefa kasztany z ognia. Gdy zaczęłam u nich pracować, mieli pół miliona dolarów strat rocznie. W ciągu roku wyszliśmy na czysto, a w sześć miesięcy później osiągnęliśmy już zyski. Teraz ten wydział przynosi półtora miliona rocznie. I to, do diabła, w dużej mierze dzięki

mnie!

- Ho, ho! - powiedział Brandon z podziwem. Colby i Robyn gapili się, jakby zobaczyli ją po raz pierwszy w życiu.

- Ale najgłupiej postąpiłam wierząc w zapewnienia dyrekcji Carruthers & Yale, że traktują kobiety na równi z mężczyznami. Uwierzyłam bandzie dyrektorków, którzy kłamali w żywe oczy. Wykorzystali mnie, a kiedy przyszło co do czego, zwyczajnie pominęli. Tak, Brandon, byłam wściekła.

Przy stole zapadło pełne napięcia milczenie. Diana opanowała się błyskawicznie, ale Colby nie przestawał patrzeć na nią z osłupieniem.

- Chryste, Diana, nie miałem pojęcia, że to dla ciebie tyle znaczy - odezwał się w końcu. - Czemu mi nic nie powiedziałaś?

- Nie pytałeś - wzruszyła ramionami.

- To prawda - przyznał z ociąganiem. - Rzeczywiście nie pytałem.

- Myślałam, że teraz kobiety nie mają już takich problemów - powiedziała z zakłopotaniem Robyn.

- Czasami nie, czasami tak. Zwłaszcza na wysokich szczeblach biznesu.

- Skąd może pani wiedzieć, że w następnej pracy będzie lepiej? - wtrącił Brandon.

- Trafne pytanie. - Diana starała się mówić lekkim tonem. - To ryzyko, które ponoszą kobiety, które chcą wkroczyć w świat interesów. Myślę, że jedynym wyjściem byłoby założenie własnej firmy. - Spojrzała na Robyn. - A ty? O jakiej pracy myślisz, Robyn?

Dziewczyna zagryzła nerwowo wargi i rzuciła szybkie spojrzenie na Brandona.

- Jeszcze nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Wszystko zależy od tego, co zrobi Brandon. To znaczy, czy się... no... ~ przerwała nagle.

- Ależ nie możesz przecież uzależniać swoich decyzji od tego, co zrobi Brandon albo czy się pobierzecie! - powiedziała Diana z autentycznym zdumieniem. - Każda kobieta powinna umieć troszczyć się o własne sprawy.

- Mówi pani jak jedna z tych zatwardziałych feministek, o których musimy się uczyć w college'u - powiedziała cicho Robyn.

- Nie, jestem po prostu praktyczna. Napatrzyłam się już w życiu na różne rzeczy i wiem, że w razie czego można liczyć wyłącznie na siebie. Prawda, Colby?

- Tak, to prawda - odrzekł wpatrując się w nią z napięciem. - Zjesz jeszcze trochę?

- Nie, dziękuję - roześmiała się, wstając od stołu.

- Jestem strasznie najedzona. Wszystko było wspaniałe. Skoro wy przygotowaliście kolację, my z Robyn zajmiemy się zmywaniem. Dobrze? Robyn niechętnie skinęła głową. Diana odniosła wrażenie, że dziewczyna nie chce ani na chwilę rozstać się z Brandonem. Wstała jednak i zaczęła zbierać talerze.

- To trochę niesamowity dom, prawda? - powiedziała Robyn, idąc za Dianą do kuchni.

Diana rozejrzała się po starym piętrowym budynku. Dom był w przyzwoitym stanie, niewątpliwie jednak przydałby mu się niewielki remont. Podłogi skrzypiały. Ściany były popękane, urządzenia stare, korytarze ciemne, staroświeckie meble zniszczone, a zasłony tak spłowiałe, że trudno domyślić się, jaki miały deseń. Panowała w nim spokojna, nieco smutna atmosfera, jak gdyby w powietrzu szybowały wciąż nie spełnione marzenia ciotki Jesse.

- Tak, masz rację. Trochę w nim strasznie. Pasuje do człowieka, który pisze horrory - odrzekła Diana z ożywieniem.

Robyn znów zacisnęła wargi.

- Pan Savagar mnie nie znosi.

- Nie gadaj głupstw. Dlaczego miałby cię nie znosić? Przecież właściwie cię nie zna. Po prostu nie podoba mu się wasz pomysł. Uważa, że jesteście za młodzi, żeby brać ślub.

- Brandon powiedział mi, że jego ojciec też się ożenił w tym wieku.

- I pewnie dlatego sprzeciwia się małżeństwu syna. Wie z doświadczenia, że to za wcześnie na poważny związek.

- Pani jest po jego stronie, prawda?

- Niezupełnie. Mam własne zdanie w wielu sprawach, choć muszę przyznać, że według mnie kobieta nie powinna myśleć o małżeństwie, dopóki nie będzie samodzielna. To po prostu zbyt duże ryzyko.

- Jak gdybym słyszała moich rodziców! Zawsze lepiej wiedzą, co powinnam robić, mówią mi, jak mam żyć. Uważają mnie wciąż jeszcze za dziecko!

- Usiłują uchronić cię przed błędami - powiedziała łagodnie Diana, myśląc jednocześnie, że nie ma żadnych kwalifikacji, by dawać wskazówki dorastającej dziewczynie, jak ma pokierować swoim życiem.

- Jesteśmy z Brandonem dorośli i mamy prawo sami podejmować decyzje.

- Dorosłość polega między innymi na tym, że nie czuje się potrzeby podkreślania, że jest się dorosłym.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Nieważne.

- A przy tym ludzie, którzy sprzeciwiają się naszemu małżeństwu, sami niewiele na ten temat wiedzą

- ciągnęła Robyn poważnym tonem. - Weźmy, na przykład, panią. Jest pani ode mnie dużo starsza. Owszem, ma pani pracę i wszystko, ale nigdy nie wyszła pani za męża.

Myśli pani, że ja chcę skończyć tak samo? A pan Savagar? Też nie ożenił się po raz drugi. A moi rodzice? Owszem, są małżeństwem, ale bez przerwy się kłóca. Żadne z was nie ma pojęcia, czym jest prawdziwa miłość!

Oczy Robyn wypełniły się łzami. Diana uśmiechnęła się gorzko.

- Może i masz rację.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

- Nie mogłaś się już doczekać, żeby wyjść, prawda?

- spytał bez ogródek Colby, gdy w godzinę później dotarli do domku Diany. Rzucił kluczyki od jej samochodu na stolik w korytarzu. Uparł się, by odwieźć ją do domu i wrócić pieszo. - Nie mogę mieć do ciebie pretensji. Sam chętnie dałbym drapaka.

- To zupełnie normalne, Colby. Dwoje młodych ludzi, pierwsza miłość...

- Dwoje młodych głupców, chciałaś powiedzieć. Łatwo ci mówić. To nie ty musisz się z tym uporać.

- Przegarnął dłonią włosy. - Małżeństwo. Nie mogę w to uwierzyć. Po tym wszystkim, co mu wbijałem do głowy! Cholera jasna, Dianko, co ja mam zrobić?

- Nie wiem - odpowiedziała łagodnym tonem, nalewając mu kieliszek brandy. Specter obserwował ich z zadumą. Rzuciła mu psie ciasteczko.

- Nie mogę mu na to pozwolić. Zmarnuje sobie życie.

A ma takie widoki na przyszłość! Tylko tego brakuje, żeby obarczył się żoną i dziećmi. Muszę mu to

uświadomić. Nie pozwolę, żeby zrobił ten sam głupi błąd, co ja.

- Przestań chodzić w kółko, Colby, denerwujesz Spectera.

Colby zaklął pod nosem i pociągnął spory tyk brandy. Spoglądał na Dianę przez długą chwilę w milczeniu.

- Nie miałem zielonego pojęcia, jak bardzo wytrąciły cię z równowagi te problemy w pracy.

Diana sączyła w zamyśleniu złocisty trunek.

- Znajdę sobie inną posadę. Mam kontakty w tym świecie.

- Teraz mówisz o tym spokojnie, ale kiedy Brandon zaczął ten temat przy kolacji, widać było, że cholernie cię to wszystko obeszło.

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Czy ten twój szef, Aaron Crown, kiwnął chociaż palcem, żeby ci pomóc?

- Powiedział, że zrobił wszystko, co w jego mocy. Dał mi najlepszą opinię. Próbował przekonać zwierzchników, że powinni postępować fair wobec kobiet na kierowniczych stanowiskach. Na próżno.

- Założę się, że ty zachowałeś przez cały czas zimną krew. Żadnych łez. Żadnych scen. Żadnych pretensji.

- Jedną z pierwszych rzeczy, których uczy się w tym świecie kobieta, jest właśnie to. Mężczyźni nie szanują, a tym bardziej nie rozumieją tego, co uważają za typowe kobiece reakcje. Kobieta nie powinna nigdy płakać ani tracić kontroli nad sobą w obecności mężczyzn, z którymi lub dla których pracuje.

- Może więc dyrekcja Carruthers & Yale miałyby trochę więcej szacunku dla rąk, które przydużyłyby tę jej kolektywną szyjkę. Miałbym ochotę spróbować. Może przekonałbym ich, że powinni być nieco bardziej... elastyczni. Nie mieli prawa tak z tobą postąpić.

Specter warknął, reagując na nutę autentycznej wściekłości w głosie Colby'ego.

- Dziękuję za współczucie, chłopcy - rzekła Diana z uśmiechem.

- Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - Colby podniósł dłoń przeproszającym gestem. - Wiem, wiem, już mi mówiłaś. Nie pytałem. Moja wina.

- To mój problem. Dlaczego miałabym ci nim zawracać głowę?

- Jesteś najbardziej zamkniętą w sobie kobietą, jaką znam, Diano.

- Nie bardziej zamkniętą od ciebie.

Zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego. - Zatrzymał się nagle. - Do licha, tak bardzo chciałbym spędzić tę noc z tobą.

- Wracasz do domu, żeby bawić się w przyzwoitkę?

- Nie żartuj sobie ze mnie. Ale chyba tak to można nazwać. - Colby oparł się jedną ręką o ścianę i wypił resztę brandy. Wpatrzył się w ciemność.

- Myślisz, że śpią ze sobą?

Diana na chwilę zaniemówiła.

- A skąd ja mam to wiedzieć? To ty jesteś ojcem, ty jesteś mężczyzną. Jak ci się zdaje?

- Nie mam pewności i może nie chcę jej mieć. Do diabła, Diano, jeśli zrobi jej dziecko, jeśli jest tak głupi, jak ja w wieku dziewiętnastu lat...

- Przypuszczam, że nauczyłeś Brandona nie tylko dobrych manier i gotowania, lecz również uświadomiłeś go w sprawach seksu?

- A jak myślisz? Nie miałem zamiaru pleść mu bajd o tym, że dzieci znajduje się w kapuście ani pozwolić, by uświadamiali go koledzy!

- Poprosili cię o jeden pokój czy dwa? - spytała.

- Nie mieli wyboru. Umieściłem ich w osobnych sypialniach zaraz po przyjeździe do domu.

Diana wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Biedny Colby. Przepraszam - wykrztusiła, gdy spojrział na nią gniewnym wzrokiem. - Domyślam się, że z twojego punktu widzenia nie ma w tym nic śmiesznego.

Colby znalazł się przy niej jednym zwinnym susem i, odstawivszy kieliszek, przyciągnął ją do siebie.

- Masz rację. To wcale nie jest zabawne. Brandon ma dziewiętnaście lat. Nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje. Może powinienem poradzić mu, żeby pomieszkał z nią przez jakiś czas, zanim zdecydują się na małżeństwo. Myślę, że kiedy zaczną bawić się w dom, ten pomysł szybko wywietrzeje im z głowy.

- Łatwo ci sugerować coś takiego, bo jesteś ojcem chłopaka. Zastanów się, czy rodzice dziewczyny byłiby zachwyceni, gdyby ich córka zamieszkała z mężczyzną na kocią łapę.

- Cholera!

- Wracaj do domu i baw się w przyzwoitkę - uśmiechnęła się czule Diana, widząc jego zafrasowaną minę.

Colby zaklął ponownie, po czym pocałował ją gorąco.

- Dokończymy później - wymówił ochryplym szeptem, odsuwając się od niej niechętnie.

- Jaka ona jest? - spytał Eddy Spooner po drugim piwie. - Dobra w łóżku?

- Zamknij się, Spooner. Nie przyszedłem tutaj rozmawiać o Dianie. To nie twój interes. - Colby rozsiadł się wygodnie na schodkach ganku i pociągnął łyk piwa.

Żałował, że w ogóle wybrał się do Eddy'ego. Więzy dawnej przyjaźni zdawały się słabnąć z minuty na minutę.

- Dobra, dobra, tak tylko pytałem. - Spooner na chwilę zajął się swoim piwem. - Może ci trochę zazdroszczę? Już dawno nie byłem z kobietą. Ta twoja Prentice to pierwsza warta zachodu babka, która się tu pokazała od dziesięciu lat. Ma klasę, ale wygląda na zimną. Nie możesz mieć pretensji, że człowiek chce wiedzieć, jak jest naprawdę.

Colby nie odpowiedział. Diana z pewnością nie była zimna, gdy leżała w jego ramionach, ale nie miał zamiaru dzielić się tą informacją z Eddym ani też nikim innym. Zaczynał uświadamiać sobie, iż nie chce, żeby jakikolwiek mężczyzna nawet zbliżył się do niej.

Obracał między palcami puszkę z zimnym piwem patrząc na kołyszące się na wietrze jodły, rosnące wokoło starego zniszczonego domu, który wyglądał dokładnie tak samo, jak przed dwudziestu laty. Był straszliwie zaniedbany. Frontowa weranda wciąż była przekrzywiona, jedno okno zabite deskami. Na drewnie nie pozostał nawet ślad farby. Ojciec Eddy'ego był zawsze zbyt pijany, by wziąć się za jakieś naprawy.

Zarówno na frontowym, jak i tylnym podwórku pełno było chwastów i wraków samochodów. Stary camaro Spoonera stał na ulicy przed domem. Farba z niego oblażała, ale Colby wiedział, że silnik jest z pewnością w doskonałym stanie. Jediną pasją życiową Eddy'eg'o były bowiem samochody.

- Nie ożeniłeś się?

Eddy zamknął oczy i oparł głowę o filar.

- Ożeniłem. Z dziewczyną, którą spotkałem zaraz po wyjściu z wojska. Miała na imię Angie. Potem ta dziwka związała z jakimś typkiem z Seattle.

Colby pokiwał głową ze współczuciem

- Więcej nie próbowałeś?

- Była jeszcze jedna. Taka ruda seksowna. Myślałem, że ta będzie w porządku. Wszystko już było przygotowane do ślubu. Miałem się przenieść do Portland, znaleźć dobrą robotę, no wiesz takie tam. Ale w porę odkryłem, że gzi się ze swoim starym chłopakiem. No to przestałem próbować. Wszystkie dziwki są takie same.

- Lubisz pracę na stacji?

Praca jak praca - wzruszył ramionami Spooner.

- Nic innego mi nigdy nie wychodziło. Raz czy drugi coś się kroilo, ale nie wyszło.

- Co takiego?

- Kiedyś, po wyjściu z woja, poznałem faceta, który miał zamiary na coś naprawdę ekstra. Nagrał to w podróży na Filipiny. Miał mnie wziąć na współnika, ale nie wypaliło.

- Pech - powiedział Colby, woląc nie pytać, o co chodziło, - Potem próbowałem wejść w spółkę z takim gościem, co miał salony masażu. Miałem mu tego pilnować, no, wiesz, żeby nie było awantur. Też nie wyszło. Próbowałem jeszcze paru rzeczy, ale nigdy nic mi się nie udawało.

- Wróciłeś więc tutaj. Nigdy nie przypuszczałem, że osiadasz w końcu w Fulbrook Corners. Myślałem, że nienawidzisz tej miejsciny tak samo, jak ja.

- Bo tak jest - mruknął Spooner. - Ale po ojcu dostałem ten dom, już spłacony, a Clark dał mi pracę na stacji. Co miałem robić?

- Nie wiem - odparł szczerze Colby. Denerwował go jękliwy ton Spoonera, a jednocześnie czuł wyrzuty sumienia z powodu swojej reakcji. Eddy nie miał lekkiego życia.

Diabła tam, ty tego nie zrozumiesz. Miałeś szczęście. Nie utknąłeś tutaj, jak ja.

Nie - przyznał, myśląc że szczęście wygląda różnie.

- Zawsze wychodziłeś na swoje. - Eddy zamilkł na chwilę. - Widziałem dziś twojego chłopaka. Przyjechał na stację. Od razu domyśliłem się, że to on. Jest podobny do ciebie, tylko oczy ma Willbrooków, nie?

- Tak. Oczy ma Cynthii.

- Przedstawisz go starej Fulbrookowej?

- Odbiło ci? - skrzywił się Colby. - Widziała go jeden, jedyny raz, gdy był dzieckiem i powiedziała, że nie chce go widzieć nigdy więcej.

- Chyba głupio spytałem, - Spooner otworzył kolejną puszkę piwa. - Czytałem jedną twoją książkę. „Szok”, czy jakoś podobnie.

- Naprawdę? - spytał ze zdziwieniem Colby. - Nie sądziłem, że lubisz czytać, Eddy.

- No, tak w ogóle to telewizja jest ciekawsza. Kupiłem sobie wideo, a Sam załatwił mi parę niezłych kaset.

- Rozumiem. A co cię skłoniło do przeczytania „Szoku”?

~ Ja wiem? Chyba byłem trochę ciekawy. Wszyscy tu gadali o tej książce. Nie chcieli wierzyć, żeś to ty ją napisał. Bessie sprzedała ze sto egzemplarzy w pierwszym tygodniu, jak ją tylko dostała. Mówiła, że wszyscy w mieście chcieli ją czytać. Może się bali, że ich opisałeś?

Colby odczuł coś w rodzaju ponurej satysfakcji.

- To była moja pierwsza książka na liście najważniejszych bestsellerów.

- Zbiłeś na niej majątek?

Colby uśmiechnął się.

- Niezupełnie, ale przyznam, że zmieniła wiele w życiu moim i Brandona.

- Zawsze myślałem, że z nas dwóch to ty się dobrze ustawisz.

Gorzka rezygnacja w głosie Spoonera zaniepokoiła Colby'ego.

- Jeszcze nie jest za późno, Eddy. Nic cię nie wiąże, ani żona, ani dzieci. Masz dopiero czterdzieści jeden lat. Czemu nie wyniesiesz się z tego miasta i nie spróbujesz szczęścia gdzie indziej?

- Jasne. I co będę robił?

- Jesteś świetnym mechanikiem. Zawsze miałeś żyłkę do samochodów. Możesz dostać pracę w Seattle czy Portland, a może gdzieś w Kalifornii. Dobrzy mechanicy zawsze są poszukiwani, zwłaszcza przez ludzi, którzy mają zagraniczne samochody. Na pewno ktoś by cię zatrudnił na stałe, żebyś dbał o jego BMW czy mercedesa.

- Już ci mówiłem, Colby, że próbowałem się stąd wyrwać i zawsze guzik z tego wychodzi. Ja nie urodziłem się w czepku, jak ty.

- Co ty pleciesz, Eddy?

- Komu chcesz wcisnąć kit? Zawsze miałeś kupę szczęścia. Nie mogłem uwierzyć, że udało ci się namówić na małżeństwo Cynthię Fulbrook. Najbogatszą i najładniejszą dziewczynę w mieście. Wszyscy wybałuszyli oczy ze zdziwienia. Ludzie gadali o tym jeszcze długo po waszym wyjeździe. Stara Fulbrookowa i jej mąż wściekali się i przeklinali cię od najgorszych. Potem stary wykitował, a Cynthia zginęła. Fulbrookowa strasznie się wtedy zmieniła. Dobrze jej tak, starej jędzy! Zawsze zadzierała nosa.

Colby wbił wzrok w zniszczoną oponę leżącą na trawie. Nie miał ochoty myśleć o Margaret Fulbrook.

- Kiedy umarł twój ojciec?

- Akurat jak kończyłem służbę. Był pijany w trupa, jak zawsze. Wybrał się na polowanie i zleciał do Wodospadu Spętanej. Mała strata. Nawet się trochę dziwiłem, że zostawił mi tę chałupę. Ale komu jeszcze mógł ją zostawić?

- Fakt. Oprócz ciebie nie miał nikogo. - Colby pamiętał, jakim draniem był ojciec Eddy'ego. Po pijanemu dostawał amoku, na czym zwykle syn cierpiał najbardziej.

- Wciąż nienawidzisz tego miasta tak cholernie, jak ja? - spytał Eddy, dopijając piwo.

- Tak, nic się nie zmieniło - odrzekł Colby.

- To po co wróciłeś?

- Szukałem spokojnego miejsca, żeby dokończyć książkę. Poza tym, postanowiłem w końcu pozbyć się domu ciotki Jesse. Za dużo zachodu z wynajmowaniem go turystom.

- A, tak. Larry Brockton, ten od nieruchomości, powiedział mi kiedyś, że kazałeś mu robić drobne remonty i wynajmować dom na lato.

- Po śmierci ciotki Jesse nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- To przyjechałeś tu w interesach i żeby dokończyć książkę?

- Tak. Pomyślałem, że Fulbrook Corners może dostarczyć mi natchnienia.

- Natchnienie? Tutaj? Śmiechu warte!

- A jednak.

- Jak się nad tym zastanowić, to wodospad może natchnąć autora horrorów - wycedził Eddy. - Pamiętasz, jak chcieliśmy kiedyś spędzić noc w tej cholerniej jaskini?

- A jakże, pamiętam.

- Nigdy nikomu nie pisałeś słowa, że stchórzyłem.



- A po co?
- Chyba ci za to nie podziękowałem.
- Nie ma o czym mówić, Eddy. To było dawno temu. Teraz nie ma to już znaczenia.
- I ja tak pomyślałem. Teraz to nie ma już znaczenia. Nic nie ma.

Diana stała przyglądając się wodospadowi. Pył wodny osiadał na jej włosach i płóciennej bluzce. Głazy były śliskie, dwa razy omal nie upadła, próbując podejść na tyle blisko, by dojrzeć ukryte wejście do jaskini. Nie mogła go jednak wypatrzyć poprzez opadającą z hukiem wodę.

Wciąż nie była pewna, co ją skłoniło do wyprawy nad wodospad. To miejsce miało w sobie jakąś dziwną siłę przyciągania. Spojrzała w górę, usiłując dostrzec ścieżkę za białą pianistą zasłoną. Ściana skalna była jednak tak stroma, że zdawała się nie mieć żadnego oparcia dla nóg.

Ale przecież Colby powiedział, że z Eddym Spoonerem wspięli się kiedyś do tej jaskini. Musi więc być jakaś ścieżka. Po prostu trudno ją dostrzec. Legenda o damie zakutej w łańcuchy zaczynała ją coraz bardziej fascynować. Tego ranka obudziła się myśląc o niej i nie mogła już przestać.

Specter zaskomlił cicho. Diana pogłaskała w roztargnieniu jego mokrą sierść.

- No co? Nie lubisz wilgoci? Nigdy nie zachowywałeś się zbyt bohaterko podczas kąpieli. No cóż. wracajmy.

Diana ostrożnie zeszła po głazach do samochodu.

- Ciekawe, czy Colby zgodziłby się pokazać mi tę jaskinię?

Gdy wjeżdżała na podjazd do swego domku. Specter zaszczekał ostrzegawczo. Diana spostrzegła męską postać, siedzącą cierpliwie na stopniach ganku.

- Witaj, Brandonie. Nie spodziewałam się ciebie. Co słyhać?

Brandon wstał i uśmiechnął się nieśmiało.

- Dzień dobry, panno Prentice. Chciałem się z panią zobaczyć. Tata pojechał na spotkanie ze starym kumplem. Nie wiedziałem, że ma pani jakieś plany.

- Wybrałam się po prostu na przejażdżkę. Wejdz do środka. Mam chyba trochę piwa w lodówce. I, proszę, mów mi po imieniu.

- Dziękuję. Chętnie się napiję. Gorąco dzisiaj. - Wszedł za nią do domu, klepiąc po karku Spectera, który z wyrozumiałością przyjął tę pieszczotę.

- Mój pies chyba cię polubił. Powinno ci to schlebiać.

- Diana wyjęła z lodówki puszkę z piwem. - Nie czuje specjalnej sympatii do twojego ojca.

- Naprawdę? - zdziwił się Brandon. - Zwykle wszystkie zwierzaki lubią tatę. Kiedy byłem dzieckiem, w domu zawsze było jakieś zwierzę.

- Z jakiegoś powodu Specter i Colby wstąpili na ścieżkę wojenną. Ja usiłuję zachować neutralność. - Podała Brandonowi piwo, a sobie naląła szklanekę mrożonej herbaty. - Siadaj.

Brandon usiadł na krześle kuchennym z wdziękiem odziedziczonym po ojcu. Na młodzieńczej twarzy malował się wyraz powagi. Milczał przez chwilę, szukając właściwych słów.

- Przyszedłem poprosić panią... to znaczy cię... o przysługę. Wielką przysługę.

W Dianie zamarło serce.

- Jeśli ma to coś wspólnego ze sprawami rodzinnymi, to wolałabym trzymać się od nich z daleka. Jestem przecież tylko przyjaciółką twego ojca.

- Czymś więcej niż przyjaciółką. Widziałem, jak tata na ciebie patrzy. - Ciemny rumieniec wypłynął mu na policzki. Spuścił wzrok. - Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny. Po prostu wiem, że cię lubi, i to bardzo. Miałem nadzieję, że może z nim porozmawiasz. Ja zupełnie nie mogę się z ojcem dogadać.

- A próbowałaś?

Brandon skinął ze znużeniem głową.

- Próbowałem wczoraj wieczorem, gdy Robyn położyła się spać. To była absolutna klęska. Skończyło się tym, że tylko wrzeszczeliśmy na siebie. Zawsze do tej pory świetnie się rozumieliśmy. Tym razem jednak nie chce w ogóle słuchać żadnych argumentów.

- Ma swoje powody, Brandonie.

Chłopiec skrzywił się.

- Boi się, że historia się powtórzy. Do licha, chcę tylko z nim porozmawiać, opowiedzieć o Robyn i jej rodzicach.

- Co mianowicie?

- Bez przerwy ją krytykują, dyktują, co ma robić. Krzyczą na siebie i krzyczą na nią. Nie pozwalają jej zrobić nic na własną rękę.

- Jakim więc cudem znalazła się tu z tobą?

- Myślą, że jest na wybrzeżu ze swoją przyjaciółką.

- O Boże!

- Widzisz sama, że muszę porozmawiać z tatą. I to szybko. Chcę zadać mu kilka pytań. Gdyby zachowywał się rozsądnie, może podjąłbym jakąś decyzję.

- Brandon, nie sądzę, żeby ktokolwiek potrafił zmusić twego ojca do zachowania rozsądku, jeśli on tego nie chce. A kiedy uważa, że racja jest po jego stronie, moje szanse są równe zeru. W przyszłym roku będziecie z Robyn razem w college'u, prawda?

- Tak.

~ No właśnie. Przecież nikt nie zamierza was rozdzielić.

Czemu tak wam spieszo do małżeństwa? Poczekaście z tym trochę. Niech twój ojciec przekona się, że wasz związek jest trwały i prawdziwy, jeśli rzeczywiście tak jest.

Brandon wpatrywał się w puszkę z piwem.

- Robyn nie chce czekać. Chce wziąć ślub jak najszybciej, żeby uciec od rodziców.

- A ty? Czego ty chcesz? - spytała łagodnie Diana.

- Zależy mi na niej. Bardzo. I trochę mi jej żal. Skoro ona chce szybko wziąć ślub, to chyba tak będzie najlepiej.

- Jesteś pewien?

- Ależ tak! - W ciemnych oczach rozblysnął gniew.

- W porządku, uspokój się. Tylko pytałam. To ogromnie ważna decyzja. Popatrz na mnie, ja nigdy nie potrafiłam jej podjąć - zażartowała Diana.

- Nie wyszłaś za mąż? - spytał ze zdumieniem Brandon.

- Nie.

- I nie masz dzieci?

- Nie.

- I nie chcesz?

- Nawet gdybym chciała - roześmiała się Diana - trochę już na to za późno.

- Nieprawda. Nie jesteś taka stara - rzekł Brandon z niezręczną galanterią. - Słynne gwiazdy filmowe też odkładają rodzenie dzieci na później.

Diana uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Niestety, nie jestem słynną gwiazdą filmową.

Brandon ponownie spiął raka.

- Przepraszam, nie chciałem...

- Daj spokój. Wiem, co miałaś na myśli, to naprawdę miło z twojej strony. Może jeszcze piwa?

- Nie, dziękuję. - Milczał przez chwilę, potem rzekł:

- Moje małżeństwo nie było jedynym powodem kłótni z tatą. Spytałem go o moją babkę. Mieszka tutaj, w Fulbrook Corners.

- Wiem o tym. Widziałam ją przez chwilę na poczcie.

Brandon ożywił się, w jego oczach rozblęskło głębokie zainteresowanie.

- Naprawdę? Znasz ją?

Diana zawahała się, uświadamiając sobie, że być może powiedziała za dużo.

- Nie. Po prostu mi ją pokazano.

- To dziwne mieć babcię, której się nigdy nie widziało - stwierdził Brandon. - Nie pamiętam zbyt dobrze ciotki Jesse. Odwiedziła nas kilkakrotnie, gdy byłem mały. Potem umarła. Przez całe życie byliśmy tylko we dwóch: tata i ja. Czy sądzisz, że moja babka naprawdę mnie nienawidzi?

- Tak powiedział ci ojciec? - spytała ostrożnie Diana.

- Powiedział, że ona nie chce mieć nic wspólnego ani z nim, ani ze mną. Obwinia go za śmierć matki. Brandon wpatrywał się w Dianę z napięciem. Był uderzająco podobny do ojca. Gdy osiągnie czterdziestkę, będzie kropka w kropkę taki, jak Colby Savagar.

- A ty chciałbyś się z nią zobaczyć? - spytała cicho Diana.

Obracał w palcach puszkę po piwie.

- Chciałbym chociaż na nią zerknąć. Zobaczyć, jak wygląda. Jestem chyba ciekawy. To wszystko.

- Potrafię to zrozumieć. Czemu nie powiesz o tym ojcu?

- Próbowałem, wczoraj. Był już na mnie wściekły z powodu Robyn. Gdy spytałem o babcię, omal nie dostał szału. Powiedział, że nie ma zamiaru pozwolić, żeby ta stara jędza zbliżyła się do mnie na krok!

Diana jęknęła.

- Twój ojciec potrafi być nieugięty.

- Tak - skrzywił się Brandon. - Mówiłem mu to setki razy. Gdy raz coś postanowi, jest twardy jak głaz.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Diana pomyślała o ostatnich kilku tygodniach. Colby pragnął jej i dopiął swego.

- Jestem po prostu ciekawy. Czy to coś złego?

- Nie. Jestem pewna, że twój ojciec chroni cię przed jakąś, jego zdaniem, nieprzyjemną sceną.

- Poradzę sobie. Nauczył mnie radzić sobie z różnymi sytuacjami. Zapisał nas nawet na lekcje karate, kiedy byłem dzieckiem. Ćwiczyliśmy razem. Powinien wiedzieć, że dam sobie radę z moją babcią.

- Może ma rację twierdząc, że to Margaret Fulbrook nie chce cię spotkać. Przykro mi to mówić, ale musisz rozważyć wszystkie za i przeciw. Twoja babcia jest stara i wyraźnie bardzo zgorzkniała. Nie musi być obiektywna w całej tej sprawie.

Nim Brandon zdążył odpowiedzieć, z podjazdu dobiegł warkot jeepa. Specter podniósł się z

ostrzegawczym szczeknięciem.

- Sądząc po jego zachowaniu, to musi być Colby - powiedziała Diana z rozbawieniem.

- Psiakość! - Brandon zerwał się na równe nogi.

- Przepraszam, ale miałem nadzieję, że tata się nie dowie o mojej wizycie. Nie mów mu, o co cię prosiłem. Będzie wściekły, że cię w to wciągają.

Diana dostrzegła niepokój we wzroku Brandona i zrobiło jej się go żal.

- Nie martw się - zapewniła słysząc kroki Colby'ego na schodkach. - Wszystko zostanie między nami.

- Dziękuję - odetchnął z ogromną ulgą Brandon.

- Jezu, twój pies naprawdę nie lubi taty. Popatrz na niego.

Specter rzucił się w kierunku wejścia, pazury zachrobotowały po deskach podłogi. Dopadł drzwi w momencie, gdy się otworzyły.

- Cholerny pies! - Rozzłoszczony głos Colby'ego dobiegł do kuchni. - Kiedy wreszcie się nauczysz, że mam takie samo prawo być tutaj, jak ty? Z drogi, parszywy kundlu! Diana!

- Jestem tutaj, Colby.

Spojrzała na niego z uśmiechem, gdy wmaszerował do kuchni, ignorując warczącego groźnie Spectera. Nagle jego spojrzenie padło na syna.

- Brandon? Co tu, u diabła, robisz?

- Wpadł, żeby się ze mną przywitać - odrzekła bez zająknięcia Diana. - Dosyć, Specter. Leżeć! Wszystko w porządku.

Pies warknął po raz ostatni z dezaprobatą i ułożył się pod stołem kuchennym, skąd czujnie obserwował Colby'ego.

- Któregoś dnia wygarniemy sobie z rym psiskiem prawdę w oczy. Gdzie jest Robyn? - Colby otworzył lodówkę i wyjął mrożoną herbatę.

~ Siedzi w domu i czyta jedną z twoich książek. Naprawdę jej się podobają, tato - powiedział Brandon sztucznie ożywionym tonem.

Colby odchrząknął i oparł się o zlew, patrząc na Dianę.

~ Gdzie byłaś po południu?

- Skąd wiesz, że w ogóle gdzieś byłam? - spytała ze zdziwieniem.

~ Maski buicka jest jeszcze ciepła.

- No, no, ależ z ciebie Sherlock Holmes. Może powinieneś pisać kryminały, a nie horrory? Jeśli chcesz wiedzieć, byłam nad wodospadem.

- Po co?

- Bo ja wiem? Po prostu miałam ochotę na przejażdżkę, a to takie interesujące miejsce.

- To ten wodospad, który widać z daleka, gdy się wjeżdża do miasta? - spytał Brandon.

Colby skinął twierdząco głową.

- Musicie sobie dziś przygotować z Robyn sami kolację. Albo wybrać się do miasta. Będziemy z Dianą zajęci.

- Jasne, tato. - Brandon wstał i wrzucił pustą puszkę do pojemnika na śmieci. - Do zobaczenia, Diana. Miło było pogawędzić z tobą.

- Do widzenia, Brandonie. Dziękuję za odwiedzinę.

Specter poszedł za nim do drzwi, merdając przyjaźnie ogonem. Colby odprowadził syna wzrokiem. Gdy trzasnęły drzwi, odwrócił się do Diany.

- No to teraz wyjaśnij mi, po co tu przyszedł?

- Mówiłam ci, że po prostu wpadł na chwilę - zmarszczyła brwi Diana.
- I zostawił swój skarb? To niemożliwe. Musiał czegoś od ciebie chcieć. Czy prosił cię, żebyś wykorzystwała swój niewątpliwy kobiecy wdzięk i przekonała mnie, jakim świetnym pomysłem jest ich małżeństwo?
- Colby najwyraźniej doskonale znał swojego syna.
- Diana nie miała jednak zamiaru złamać obietnicy danej Brandonowi.
- Nieważne, czego chciał Brandon. Ważne, czego chcę ja.
- Colby uniósł brew.
- A czego chcesz?
- Wsparła brodę na dłoniach i powiedziała zdecydowanym tonem:
- Chcę zobaczyć jaskinię za wodospadem!
- Jaskinię? W środku? Po co?
- Nie wiem. Pewnie z ciekawości. Może znudziło mi się siedzenie w domu i przepisywanie życiorysu? Chcę się zabawić w turystkę i pozachwycać widokami. Zaprowadzisz mnie tam?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jak ci się, do diabła, udało mnie na to namówić?
- Powinienem pracować w tej chwili nad książką. Nie jestem nawet pewien, czy znajdę tę ścieżkę. Patrz pod nogi i trzymaj się mnie.
- Tak jest, wielki wodzu. Słucham i jestem posłuszna. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, jak mi się to udało. Musiałam chyba trafić na twoją chwilę słabości. - Diana uśmiechnęła się do niego. Bryzgi wody zmoczyły z przodu jej bluzkę.
- Zauważyła błysk w oczach Colby'ego, gdy patrzył na bawełniany materiał, oblepiający jej kształtne piersi i uwypuklający sterczące sutki.
- Nie włożyłaś stanika - powiedział z wyraźnym zadowoleniem.
- Diana pomyślała, że łatwiej jej będzie wspinać się po skałach bez krępującego ją biustonosza, nie przewidziała jednak skutków prysznic pod Wodospadem Spętanej.
- Jesteś pewien, że za tą ścianą wody jest rzeczywiście jakaś ścieżka? - zmieniła temat.
- Dwadzieścia lat temu była, musi więc być i teraz.
- Włóż płaszcz od deszczu, po tamtej stronie wodospadu będzie mokro. - Colby również włożył nieprzemakalną kurtkę. - Przynajmniej nie musimy mieć dzisiaj do czynienia z twoim głupim psem.
- Wcale nie miał ochoty zostać w domu.
- Nic mu nie będzie. Z pewnością nie chcielibyśmy, żeby plątał się nam pod nogami.
- Diana posłusznie przypięła kaptur do żółtego płaszcza deszczowego i ubrała się szybko. Potem już nie rozmawiali. Colby wydawał jej tylko czasem krótkie polecenia, przekrzykując huk wody.
- Odnalazł wreszcie ścieżkę. Zaskakująco wygodna, choć stroma, pięła się ku otworowi jaskini, znajdującemu się mniej więcej w połowie ściany skalnej. Jednakże, znalazłszy się po drugiej stronie opadającej w kaskadach wody, Diana poczuła się jakoś dziwnie, jak gdyby przestąpiła próg innego świata.
- Rwące z hukiem potoki przesłaniały całkowicie widok na dolinę i miasto. Ich potęgą budziła grozę. Występ skalny wydawał się zupełnie bezpieczny, ale Diane przemknęło przez myśl, że gdyby ktoś się pośliznął i wpadł do kipieli, miałby bardzo nikłe szanse na przeżycie. W dziesięć minut później

dotarli do zięjącego czernią otworu jaskini. Diana przestąpiła jej próg z uczuciem ulgi. Wspinaczka nie była specjalnie niebezpieczna, ale bliskość ryczących mas wody napełniała lękiem.

Wewnątrz panował półmrok, nie było jednak zupełnie ciemno. Promienie słońca przebijały się częściowo przez wodną zasłonę, rozpraszając mrok. Colby zapalił latarkę przypiętą do paska i ruszył w głąb jaskini. Im bardziej oddalali się od wejścia, tym stawało się ciemniej. Łoskot wodospadu nieco przycichł, mogli więc znów rozmawiać.

Diana sięgnęła po własną latarkę i przyjrzała się wilgotnym ścianom.

- A więc to tutaj trzymał ją zakutą w łańcuchy.

Okropność!

- Spokojnie, kochanie. To tylko legenda.

- Za godzinę słońce zacznie zachodzić. Ciekawe, jak woda wygląda wtedy z tej strony?

- Tak jak gdyby krew płynęła rzeką tuż przed twoimi oczami.

- Masz czasem zbyt bujną wyobraźnię,

- Ryzyko zawodowe pisarzy tworzących horrory.

Diana rozejrzała się dookoła.

- To tu właśnie spędziłeś noc? Na tej wilgotnej skale?

- Nie. - Colby szedł dalej w głąb jaskini.

- Dokąd idziesz?

- Skoro już tu jestem, muszę sprawdzić, czy miejsce, w którym spędziłem noc, wygląda nadal tak samo.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jest tu jeszcze jedna jaskinia? - spytała z ciekawością Diana.

- Uhm. Trzymaj się blisko mnie. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że tamtej nocy omal nie umarłem ze strachu?

- Pamiętam.

- Gdy szukałem względnie suchego miejsca do spania, natknąłem się przypadkiem na wejście do niewielkiej groty, ukryte w tylnej ścianie jaskini. Jest naprawdę niesamowita. Zaczekaj, aż ją zobaczysz.

- Colby, nie wiem, czy mara ochotę iść dalej.

- Zostań więc tutaj. Wróć za kilka minut. - Posuwał się wzdłuż skalnej ściany, zagłębiając się coraz bardziej w atramentową ciemność.

- Och, nie. Stać mnie na to samo, co ciebie.

- Brawo!

- Przestań zachowywać się protekcyjnie. - Diana zadarła dumnie brodę.

- Czasami jesteś okropnie drażliwa, skarbie. Rozchmurz się. - Nagle Colby przepadł, a wraz z nim dodające otuchy światło jego latarki.

- Niech cię licho! - Diana spiesznie uczyniła krok

naprzód w kierunku głębokiego cienia, w którym zniknął, kierując tam światło własnej latarki. Przez chwilę nie widziała kompletnie nic, potem dostrzegła ciemniejszą smugę na ścianie. Ostrożnie postąpiła ku niej i nagle znalazła się w niewielkim skalnym korytarzyku.

- Popatrz tylko - powiedział Colby z taką dumą, jak gdyby pokazywał jej Tadź Mahal. - To naprawdę warto zobaczyć.

Pierwszym wrażeniem, jakie odniosła, było uczucie ciepła. Sporo miejsca w grocie zajmowało jezioro, w którym najwyraźniej była gorąca woda. Diana poświeciła latarką w głąb, nie udało jej

się jednak dojrzeć dna.

- Tutaj właśnie spędziłem noc - wyjaśnił cicho Colby. - Nigdy nie pisałem nikomu ani słowa na temat tej ukrytej groty. O ile wiem, nikt poza mną jej dotychczas nie znalazł.

- Myślę, że legendarny wojownik wiedział o niej.

W głosie Diany dźwięczało głębokie przekonanie. - To tutaj więził swoją nieszczęsną żonę, a nie w dużej jaskini.

Colby rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Wiesz co? Tamtej nocy nabrałem pewności, że to właśnie w tej grocie pchnęła go nożem. Nie wiem, dlaczego, ale jestem tego pewien.

- Czemu więc zostałeś tutaj, zamiast przenieść się do jaskini?

Colby omiół ściany snopem światła latarki.

~ Nie mam pojęcia. Po prostu trafiłem tu i doszedłem do wniosku, że w tym miejscu można spędzić noc. Po pierwsze, z powodu ciepła.

~ Ale atmosfera jest tu znacznie bardziej niesamowita niż w jaskini. Gdybym musiała wybierać, spałabym jednak tam. Ale wątpię - dodała sucho - czy w ogóle zmrużyłabym oko, gdyby mi na to przyszło.

Obserwował ją spod przymkniętych powiek, odbłask światła latarki wydobywał z mroku jego surowe rysy - Boisz się jaskiń?

Zaczęła kręcić przecząco głową, po chwili jednak przyznała:

- Chyba tak. Niewiele ich widziałam. Ale to nie tylko to... - urwała.

- Mów dalej - ponaglił ją łagodnie Colby.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. W tej małej grocie jest coś bardzo dziwnego... Nastrój.

- Jaki?

Rozdrażniona, cofnęła się ku wyjściu.

- Przestań. Czy celowo usiłujesz mnie przestraszyć?

- Nie, chcę tylko, żebyś mi powiedziała, co dokładnie czujesz w tej grocie.

Podszedł do niej bezszelestnie w butach na gumowych podeszwach. Latarkę trzymał tak, że światło padało na jej stopy. Twarz miał ukrytą w cieniu, tylko oczy błyszczały w ciemności. Majaczył groźnie nad nią - wielki, silny, samczy. Uświadomiła sobie nagle, jak jest bezbronna, zdana na jego łaskę i nielaskę. Mogłaby krzyczeć wniebogłosy - nikt by jej nie usłyszał.

Bez wyraźnego powodu wyobraźnia Diany zaczęła pracować na wysokich obrotach. Nie miała już przed sobą cywilizowanego dwudziestowiecznego mężczyzny, lecz wojownika z epoki brązu.

*Jego muskularne ramiona emanowały siłą. Zadrżała, czując jego nieujarzmioną moc i widząc absolutną determinację w płonących oczach. Był wielkim wodzem, dzielnym wojownikiem, panem i władcą swojego ludu, ona zaś była jego własnością, podobnie jak rumak czy śmiercionośny miecz, który nosił u pasa. Wziął ją siłą. Sądził, że ma do tego prawo. Od dziecka wychowywany był w przeświadczeniu, że wolno mu robić, co tylko zechce. A teraz pragnął mieć syna.*

*Gdyby okazał jej czułość, potraktował z należnym szacunkiem, uznał za równą sobie, wtedy może dałaby mu z własnej woli to, co wziął siłą. Wojownik uznawał jednak wyłącznie męską przemoc, ona zaś nigdy się jej nie podda. Nigdy nie da mu dziecka po to, by było wychowywane w ten sam sposób. Dla żadnego z nich nie było już nadziei w tym życiu. Nie mieli szansy, by poznać swoje tajemnice, ukoić obawy, uwierzyć we wzajemną siłę. Nie było nadziei na miłość, czułość i pocieszenie.*

*Nie tu i nie teraz. Może w innym życiu?*

- Diano, dobrze się czujesz?

Zamrugła powiekami, próbując opanować rozigraną wyobraźnię i wzburzone nerwy. Nagle zapragnęła za wszelką cenę wydostać się z tej groty.

- Co się stało, skarbie?

- Nic, nieważne, dziwnie się czuję w tym miejscu.

Nie chcę o tym rozmawiać. - Wycofała się przez przesmyk w ścianie, oddychając z ulgą, gdy znalazła się już w dużej jaskini. Colby natychmiast podążył w jej ślady.

- Diano, co u diabła się z tobą dzieje? Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

- Jasne, że tak. Po prostu nie podoba mi się ta mała grota. Może podziałała na mnie twoja zbyt wybujała wyobraźnia?

- Uspokój się, skarbie. - Podeszedł do niej, otaczając opiekuńczo ramieniem.

Spojrzała na niego. Jego oczy i lekko wygięte kąciki ust wyrażały czułe rozbawienie. Wywołany przez nią duch wojownika zniknął bez śladu. Colby był twardy, ale nie gwałtowny czy nieczuły. Uśmiechnęła się z przymusem i wsparła na chwilę o jego silne ciało, szukając ukojenia. Wtulił twarz w jej szyję.

- Wszystko w porządku - wymruczała. - Po prostu nie jestem chyba stworzona do takich wypraw. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ludzie mogą traktować to jako hobby. J a k myślisz, co z tego mają?

- Okazję, żeby uspokoić przerażone przyjaciółki. - Ugryzł ją delikatnie w ucho.

- Colby, czemu tu jest tak ciemno? Może słońce już zaszło?

Podniósł głowę nagłym ruchem, spoglądając w kierunku wylotu jaskini. Zrobiło się rzeczywiście znacznie ciemniej, niż przed kilkoma minutami.

- Nie, to nie zachód słońca. Jest jeszcze za wcześnie.

- Colby puścił ją i podeszedł do wyjścia, marszcząc brwi.

- Jedynym powodem takich nagłych ciemności może być burza.

- Burza? Ale przecież nie zapowiadano żadnej burzy, a nawet deszczu. - Podeszła za nim do wyjścia. Ściana wody miała stalowoszary kolor.

- Zaczekaj tu chwilę! - zawołał Colby. - Wyjrzę na zewnątrz. - Wydostał się na granitowy występ skalny i dotarł ścieżką do punktu, z którego mógł przebić wzrokiem pył wodny. Diana widziała, jak wiatr rozwiewa mu włosy, a woda smaga kurtkę. Po chwili wrócił do niej z dziwną miną.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona.

- Na zewnątrz szaleje burza. Nadeszła nie wiadomo skąd. Prawdziwa letnia ulewa z piorunami. Leje tak strasznie, że nie wiadomo, gdzie kończy się wodospad, a zaczyna deszcz. Wiatr wyje jak dziki. Musimy poczekać, aż się trochę przejaśni.

- Ale przecież ścieżka i tak jest mokra.

- To nie tylko kwestia deszczu, ale i wiatru. Wystarczy jeden silny podmuch i tracisz równowagę.

Nawet gdyby udało nam się zejść na dół bez szwanku, bałbym się marszu pod wodospadem, kiedy biją pioruny.

Jak gdyby na potwierdzenie jego słów na zewnątrz przetoczył się potężny grzmot, głośniejszy od huku wodospadu, a jednocześnie błyskawica rozświetliła ścianę wody. Gdy zgasła, Diana odniosła wrażenie, że zapadł jeszcze większy mrok.

- Chyba masz rację - przyznała z ociąganiem. Cofnęła się od wejścia. - Jak sądzisz, długo to potrwa?

- Chyba nie. Letnie burze są gwałtowne, ale zwykle krótkie. Chodź, znajdziemy jakieś miejsce, w



którym będzie można spokojnie usiąść i czekać. - Zaprowadził ją w głąb jaskini, gdzie dało się rozmawiać.

Colby usadowił się na wygodnej ławce skalnej, ustawiając latarki tak, by nie trzeba było ich trzymać. Diana usiadła przy nim. Czowała, że zaczynają wstrząsać nią dreszcze, miała przemoczone buty.

- Ponieważ musimy zająć się czymś przez kilka minut - zaczął Colby łagodnie - może zdradzisz mi, po co naprawdę przyszedł do ciebie mój syn?

Rzuciła mu spojrzenie pełne oburzenia.

- Nie cierpię kłótliwych mężczyzn.

- Nie zapominaj, że to mój syn. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

- Nic się nie dzieje. - Diana spróbowała usiąść wygodniej na twardej skale. Wpatrzyła się w czarną ścianę ryczącej wody.

- Posłuchaj, Diana...

- Czy udzielić ci darmowej porady, Colby?

- Nie, do licha! - Zawahał się przez chwilę, po czym cisnął garścią kamyków o skalne podłoże. - A jakiej?

- Na twoim miejscu nie przyciskałabym go tak bardzo. Może przez to podjąć decyzję, na którą wcale nie ma ochoty.

- Już to zrobił. Albo tak mu się wydaje. Mam zamiar zmusić go, żeby zmienił zdanie, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię. - Colby cisnął następną garść kamieni.

- Nie sądzę, żeby Brandon był całkiem przekonany do małżeństwa - powiedziała w zamyśleniu Diana. - To Robyn wywiera na niego presję. Zależy mu na niej, martwią go jej stosunki z rodzicami. Ponieważ ta dziewczyna go pociąga, pragnie ją zadowolić, ale tak naprawdę wcale nie chce się z nią zenić. Przynajmniej nie w tej chwili.

Colby obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Zgadzasz się, że Robyn przyciska go do muru, ale czemu sądzisz, że Brandon ma opory?

- Jest bardzo podobny do ciebie - odrzekła po prostu.

- Najwyraźniej zbyt podobny. Popelnia te same błędy, które ja popelniałem w wieku dziewiętnastu lat. Ale co to ma, u diabła, do rzeczy?

- Nie zrozumiałeś mnie - wyjaśniła cierpliwie. - Kiedy Brandon pojawił się tutaj parę dni temu, powiedział tylko, że on i Robyn myślą o małżeństwie.

~ No więc?

- Czy gdybyś był zdecydowany na małżeństwo, mówiłbyś, że o tym myślisz? Założę się, że gdy postanowiłeś poślubić Cynthię, nie informowałeś nikogo tak ogólnikowo. Sądzę, że prostu oznajmiłeś, że się pobieracie.

Nie prowadziłbyś na ten temat długich sporów i z pewnością nie zawracałbyś sobie głowy tym, czy rodzice wyrażą zgodę.

- Masz rację - powiedział po namyśle Colby.

- No widzisz. Brandon jest tak do ciebie podobny, że gdyby nie miał wątpliwości, dawno byłiby z Robyn w drodze do Reno.

- Czemu więc wciąż usiłuje mnie przekonać, że jest gotów do małżeństwa?

- Pewnie szuka jakiegoś wyjścia i nie wie, jak to zrobić nie raniąc kobiety, na której tak bardzo mu zależy.

Czuje się schwyty w pułapkę. Instynktownie szuka pomocy u ciebie. Jesteś jego ojcem i wiele się

od ciebie przez te lata nauczył. Szanuje cię. Dlatego krzyki nic tu nie pomogą. To nie jest metoda.

- Czemu? Skoro chce się wywinąć, niech powie, że jego ojciec nie zgadza się na małżeństwo.

- I tym samym przyzna wobec siebie samego i Robyn, że jako dziewiętnastoletni i dorosły człowiek nie może nic zrobić bez pozwolenia tatusia? - spytała Diana z westchnieniem. - Daj spokój. Sam wiesz najlepiej, jak ucierpiałaby na tym jego męska ambicja.

Colby zaklął cicho. Oparł się o wilgotną ścianę pieczary, podkulił jedną nogę i objął rękami kolano.

- To wszystko robi się coraz bardziej skomplikowane - stwierdził.

- Wcale nie - uśmiechnęła się Diana. - Wystarczy logicznie pomyśleć. Podejrzewam, że twój syn znalazł się w niezręcznej sytuacji. Lubi Robyn, ale w głębi duszy zdaje sobie sprawę, że jeszcze nie dojrzał do małżeństwa.

- Więc czego się po mnie spodziewa?

~ Przyjechał, żeby z tobą pogadać. Chce wykorzystać twoją mądrość i doświadczenie, żeby jakoś się z tego wyplątać. Ale nie chce, żeby na niego krzyczano. Nie chce być zmuszonym do przyznania, że wciąż mówisz mu, co ma robić. Przyprzyj go do muru, a pokaże ci, jaki potrafi być niezależny!

- Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli będę na niego krzyczał, ożeni się z Robyn, żeby mi pokazać, jaki jest samodzielny?

- Tak mi się wydaje - powiedziała cicho Diana. - Ale mogę się mylić. Z pewnością znasz go lepiej ode mnie. Odnoszę jednak nieodparte wrażenie, że nie pali mu się do małżeństwa.

- I jeśli przestanę się na niego wściekać, mogę mu pomóc w rozwiązaniu całej tej sytuacji? Chyba masz rację, Dianko. To brzmi sensownie. Cały kłopot w tym, że nie potrafię zachować w tej sprawie zimnej krwi. Ilekroć patrzę na niego, czuję, jakbym to ja sam miał popełnić po raz drugi ten sam głupi błąd!

- Jeśli jest zdecydowany popełnić ten błąd, to go od tego nie odwiedzisz, Colby. Czy ci się to podoba, czy nie, jest już mężczyzną.

Savagar przeczesał palcami wilgotne włosy.

- Prawo nie powinno uznawać dziewiętnastolatków za mężczyzn!

Diana roześmiała się.

- Już widzę, jakbyś zareagował na takie twierdzenie w jego wieku.

- Masz rację. To jakaś paranoja! - Wstał i podszedł z niepokojem do wylotu jaskini. Wsparłszy ręce na biodrach, badał sytuację.

~ Nie robi się ani trochę widniej, co? - zawołała do niego Diana.

- Nie. - Wrócił na swoje miejsce na skalnej ławce.

- Jest naprawdę niewesoło, kochanie. Jeśli nie wydostaniemy się stąd przed zmierzchem, będziemy musieli zostać tu na noc. Nie odważę się prowadzić cię tą ścieżką po ciemku, nawet w świetle latarek.

- Co takiego?!

- Nie bój się. Będzie trochę zimno i wilgotno, i oczywiście niewygodnie, ale jakoś przetrwamy tę noc, Diana była autentycznie przerażona. Myśl o spędzeniu nocy w Jaskini Spętanej sprawiła, że strach przeniknął ją do szpiku kości.

- Nie możemy tu zostać, Colby. Nie mamy jedzenia... koców ani zapalek.

- Nie martw się na zapas, nic jeszcze nie jest przesądzone.

- Ale ja się boję! - jęknęła.

- No to przestań.

- Łatwo ci powiedzieć. Colby, nie zostanę tutaj na noc za żadne skarby!

- Kochanie, próbuję ci wytłumaczyć, że możesz nie mieć wyboru.

- Nieprawda, mam latarkę i sama zejść w dół, jeśli będę musiała.

- Diabła tam! - rzekł podejrzenie spokojnym tonem.

Rzuciła mu niespokojne, badawcze spojrzenie.

- I wyłącz latarki. Mogą się nam przydać później. Szkoda baterii.

W godzinę później nadeszła noc, a burza szalała w najlepsze.

Diana pomyślała z ulgą, że przynajmniej słońce nie zabarwiło dziś wodospadu kolorem krwi. Trzeba się cieszyć z drobnych łask losu.

- Zdaje się, że żywioł podjął za nas decyzję - powiedział łagodnie Colby. Zapalił jedną latarkę. -

Drugą zostawimy na potem, gdy w tej skończy się bateria.

Diana zerwała się na równe nogi i podbiegła do wylotu jaskini. Powitała ją nieprzenikniona ciemność i bryzgi wody. Na zewnątrz groźnie huczał wodospad. Colby miał rację. Nikt o zdrowych zmysłach nie odważyłby się próbować zejścia w dół.

Westchnęła z rezygnacją i wróciła na swoje miejsce obok Colby'ego. Otoczył ją ramieniem i pocałował czule we włosy.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie.

- Zimno mi.

- Rozłożymy na kamieniach twój płaszcz i moją kurtkę. Będziemy mieli względnie sucho. Nie możemy wprawdzie rozpaść ogniska, ale nikt mi nie powie, że nie dbam o moją kobietę. - Sięgnąwszy do kieszeni kurtki, wyjął dwie plastikowe paczuszki z serem i krakersami. Dianie nagle poprawił się nastrój.

- Skąd to masz?

- Złapałem w ostatniej chwili. Myślałem, że może zechcemy coś przegryźć przed drogą powrotną.

- Mój bohater! - wykrzyknęła z zachwytem. - Ja też wnoszę swój mały wkład. - Wyjęła z kieszeni spodni kilka chusteczek higienicznych.

- A to do czego? Do wytarcia rąk po jedzeniu?

- Niezupełnie. Przyszło mi na myśl, że mogą przydać się do czegoś innego.

- Planujesz mały katar?

- Nie, skądże. No, Colby, rusz wyobraźnię. Czy widzisz tu jakieś urządzenia sanitarne?

- Aa - zrozumiał wreszcie Colby.

Z serem i krakersami uporali się w trzy minuty.

- Przydałaby się jeszcze butelka dobrego wina - zauważył Colby, przełykając ostatni kęs.

- Przynajmniej żadne z nas nie musi dzisiaj gotować. - Diana spróbowała znaleźć dobre strony tej sytuacji. - Myślę, że Specter jakoś sobie poradzi.

- Zakładając, że ma dość rozumu, żeby się schować przed deszczem.

- Na pewno schronił się na tylnej werandzie. Ale Brandon i Robyn będą się o nas niepokoić.

- Z pewnością pomyślą, że burza złapała mnie u ciebie i zostałem na noc. - Colby umilkł i zaklął pod nosem. - Dzięki czemu będą mieli absolutną swobodę!

Diana czytała w jego myślach. Nie było to raczej trudne.

- Przestań się tym zamartwiać. Jeśli śpią ze sobą, to śpią, i koniec. Nic na to nie poradzisz.

- Wiem. Mogę mieć tylko nadzieję, że Brandon zapamiętał wszystkie moje wykłady na temat antykoncepcji.

- Dobra, teraz lepiej zajmij się przygotowaniem naszego legowiska - powiedziała Diana wstając.
- Kochanie, przykro mi to mówić, ale grota jest o wiele cieplejsza i suchsza. Dlatego właśnie tam spałem dwadzieścia lat temu.
- Nie ma mowy - odparła bez namysłu Diana.
- Z dwojga złego wolę już marznąć. - Rozejrzała się, próbując znaleźć jakieś mniej wilgotne miejsce. Nadaremnie. - Może lepiej spędzić noc na siedząco?
- Wątpię.
- No więc wymyśl coś, do licha!

- Jesteś naprawdę zdenerwowana, co? Daj mi swój płaszcz.

Wręczyła mu go bez słowa. Colby rozłożył nieprzemakalną materię na dość gładkim skalnym podłożu. Następnie poszerzył legowisko za pomocą swojej kurtki i, usiadłszy, zaczął zdejmować mokre buty. Popatrzył badawczo na Dianę i rzekł:

- Skarbie, nic lepszego nie wymyślę. Chodź tu do mnie, spróbujemy się trochę przespać.
- Nawet nie zmrużę oka.

- Zaśniesz, zaśniesz. Zdejmij buty i osusz stopy, a zaraz poczujesz się lepiej.

Pozwoliła mu zdjąć tenisówki i rzeczywiście poczuła się lepiej. Colby położył się na boku, biorąc jej nogi pomiędzy swoje i mocno przytulił ją do siebie.

- Już nigdy w życiu nie wejdem do żadnej jaskini - przysięgła Diana.

- To nie był mój pomysł.

- Nie przypominaj mi! - Odwróciła się i musnęła wargami jego policzek. - To wszystko przeze mnie.

- Nie jest tak źle i wcale nie musisz czuć się winna.

Nikt nie był w stanie przewidzieć burzy.

- Zupełnie nieoczekiwana, co?

- Prawdę mówiąc, co najmniej dziwna.

- Nic już nie mów. I tak jestem przerażona. Nie próbuj mi sugerować, że to jakieś nadnaturalne zjawisko.

Teraz już na pewno nie uda mi się zasnąć ani na chwilę. W pięć minut później Diana spała już snem sprawiedliwego. Colby spróbował ułożyć się obok niej możliwie wygodnie. Wpatrzył się w ciemność, świadomy, że latarka świeci coraz słabiej. Postanowił nie zapalać drugiej, dopóki Diana się nie obudzi. Nigdy, w czasach gdy zamieszkiwał w Fulbrook Corners, nie przeżył tak gwałtownej burzy. Wiatr rozszalał się na dobre, wtlaczając bryzgi wody do jaskini. Jeśli jeszcze bardziej przybierze na sile, przemokną do suchej nitki.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że byłoby im znacznie cieplej i wygodniej w grocie. Usiadł i spojrzał na skuloną obok niego Dianę. Brązowe włosy rozsypane na ramionach, długie rzęsy, rzucające na policzki długie cienie. Dopiero zaczynał zdawać sobie sprawę, jak ważna stała się dla niego ostatnio. Jego obsesja nie minęła bynajmniej, gdy zaciągnął ją wreszcie do łóżka. Zadawał sobie pytanie, czy kiedykolwiek mu to przejdzie? Tylko tego mu potrzebna, myślał z przekąsem. Niezależnej, apodyktycznej, upartej kobiety interesów. Kobiety, która, nie mając dzieci, udziela mu wskazówek, jak ma postępować z własnym synem.

Pragnął jednak poznać resztę jej tajemnic, zgłębić skomplikowaną osobowość, dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Ale wszystko po kolei. Najpierw musi zapewnić jej osłonę przed burzą. Wstał i wziął ją delikatnie na ręce. Podniósłszy latarki, skierował się ku grocie. Czasami mężczyzna musi zignorować obawy kobiety dla jej własnego dobra. Przy odrobinie szczęścia Diana nie obudzi się aż

do świtu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na wpół obudzona, Diana usiłowała zatrzymać ulatniający się sen. Nie mogła przypomnieć sobie szczegółów, czuła jedynie, jak unoszą ją łagodne fale pełnego tęsknoty pożądania i głębokiej, bolesnej zmysłowości.

Było jej trochę smutno, nie rozumiała jednak, dlaczego. Miała wrażenie, że dostrzegła przeblysk odległej nadziei, lecz tego również nie rozumiała. Zmieniła leniwie pozycję, zastanawiając się, dlaczego łóżko jest takie niewygodne. Poczła ciężar męskiej nogi przerzuconej przez jej udo i dopiero wtedy wróciła jej pamięć wydarzeń minionego dnia.

Uchyliła powieki na tyle, by dojrzeć uspokajające światło latarki, której baterie najwyraźniej już się wyczerpywały. Nie miała jednak siły, by ją wyłączyć.

- Colby? - szepnęła sennie.

- Jestem tutaj - powiedział cicho, przyciągając ją bliżej do siebie. Poglaskał delikatnie jej pierś i pocałował w ramię.

Diana zamknęła z powrotem oczy, czując się bezpieczna w jego ramionach. Tęskne pożądanie narastało w niej, mieszając się ze zmysłowym ciepłem, które rozlewało się po całym ciele.

Odwróciła się do Colby'ego, przytulając się do niego instynktownie.

- Jesteś taki miły w dotyku - szepnęła. Sunęła dłonią wzdłuż jego pleców, wyczuwając napięte mięśnie.

- Taki ciepły i silny.

- A ty miękka. Delikatna. Bardzo delikatna. - Znów ją pocałował, sennie, leniwie, w kącik oka, potem w czubek nosa. Poczła, jak jego ciało pręży się i ożywa.

- Colby? - Wsunęła nogę pomiędzy jego uda, on zaś uwięził ją w silnym uścisku.

- Moja maleńka - wyszeptał cicho i pocałował ją w usta.

Delikatnie, potem mocniej, a wreszcie zaborczo. Diana zaakceptowała gwałtowność Colby'ego, ponieważ wiedziała, że nigdy nie zostanie wykorzystana przeciwko niej, że przy tym mężczyźnie jest bezpieczna.

Namiętność szerzyła się w nich jak pożar, znaleźli się nagle w samym sercu burzy, potężniejszej od tej, która srożyła się na zewnątrz jaskini. Colby tulił ją coraz mocniej w ramionach. Przekręcił się na plecy, pociągając ją za sobą i głaszcząc po włosach. Diana wsunęła mu dłonie pod koszulę.

Wspaniały był dotyk jego skóry, nie mogła się nim nacieszyć. Jej ciało zaczynało już śpiewać z radości. Pragnęła się z nim połączyć, zjednoczyć, kochać go.

Gdy zdjął jej bluzkę i odrzucił na bok, postąpiła tak samo z jego koszulą. Poczła dłonie Colby'ego na biodrach; rozbierał ją szybko, niecierpliwie. Zsunęła się niżej i obsypała lekkimi pocałunkami jego pierś. Colby oddychał z coraz większym trudem. Gdy rozpięła zamek błyskawiczny w jego dżinsach, ręce Colby'ego ponownie znalazły się w jej włosach. Bez słów uniósł biodra. Diana wsunęła dłoń w rozpięte spodnie, obdarzając go intymną pieszczotą. Po chwili pochyliła głowę i jej wargi powędrowały śladem dłoni.

Włosy rozsypały się gęstą falą na jego udach. Colby jęknął, po chwili jednak uniósł się i ułożył Dianę na plecach. Zawisł nad nią przez chwilę, przyglądając się nagiemu ciału w nikłym świetle latarki. Gładził jej udo, póki nie wyczuł ciepłej wilgoci.

Pieścił ją delikatnie, Diana zaś miała uczucie, że rozpada się na tysiąc kawałeczków. Gdy dotknął jej

językiem, rozumiała, że jest stracona. Świat wirował wokół niej. Jej ciało było egzotycznym instrumentem, na którym potrafił grać tylko on. Uchwyciła się go kurczowo, drżała i szeptała najczulsze słowa. Wreszcie wszedł w nią głęboko, wypełniając ją sobą całkowicie. Rozpaleni do białości, porwani nieokiełznaną namiętnością, wirowali w bezkresnym wszechświecie. Diana oddawała mu się tak, jak potrafi tylko zakochana kobieta, która wie, że znalazła odpowiedniego partnera. Poddawała się własnemu pożądaniu i pożądaniu kochanka. Był to rodzaj uległości, który na zawsze wiąże zdobywcę.

*Tym razem wszystko odbyło się jak należy. Tym razem zespolenie było im przeznaczone. Tym razem mogła mu dać to, czego nigdy nie wymusiłby siłą. I czyniła to chętnie, z całego serca, wiedząc, że nadszedł w końcu właściwy czas.*

Połączyły się wreszcie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Diana krzyknęła głośno, a Colby spił ten krzyk z jej warg. Kiedy już było po wszystkim, żadne nie wymówiło słowa. Oboje zapadli w głęboki sen, spleceni w uścisku. Ubierał się powoli, przyglądając się śpiącej Dianie w świetle gasnącej latarki. Zastanawiał się, co powie o rozpasanej namiętności, która zawładnęła nimi tej nocy. Czy będzie zła z powodu jego braku rozwagi? Czy uda, że nic się nie stało? Nie mógł to być sen, przyznawał szczerze przed sobą samym, ale wszystko to dziwnie sen przypominało. Czy powinien powiedzieć o tym pierwszy?

Nie, postanowił. Niech sama zacznie ten temat, jeśli zechce. Pozostawi jej decyzję. To, co się stało, było absolutnie nie zaplanowane. Nie można winić żadnego z nich. Oboje są odpowiedzialnymi ludźmi. Zdawał sobie sprawę, że szuka usprawiedliwienia, którego nie ma. Poniosła ich namiętność, zaskakując zniecacka, gdy byli na wpół przytomni, nie całkiem przebudzeni. Owładnęła nimi tak całkowicie, że zapomniał użyć zawartości małego pakiecika schowanego w portfelu. Jej również nie przeszło to przez myśl. A jeśli Diana zajdzie w ciążę?

Colby zastanawiał się, czemu ta myśl właściwie go nie przeraża. Powinien przecież gryźć paznokcie ze zdenerwowania. Nie miał powodu do tego rodzaju zmartwień od tamtej wpadki, w wieku dziewiętnastu lat. Wiedział, że Diana będzie się denerwować. I zapewne trochę się przestraszy. Nic dziwnego. Może naprawdę powinien coś powiedzieć? Ale co miałby jej powiedzieć? Przepraszam, zapomniałem? Obudziłem się w środku nocy z tobą u mego boku i po prostu musiałem cię mieć, nic na świecie nie było mnie w stanie powstrzymać?

Tak właśnie było. Ale w jego wieku takie usprawiedliwienie jest funta kłaków warte. Diana poruszyła się i otworzyła oczy. Przez chwilę patrzyła na słabe światełko latarki, wyraźnie próbując zrozumieć, gdzie jest.

- Colby?

- Tu jestem, skarbie. - Pochylił się i pocałował jej nagie ramię. - Czy jesteś taka zdrętwiała i obolała, jak ja?

- Nie wiem nawet, czy dam radę usiąść.

Uśmiechnął się z ulgą, że nie rozpoczęła tego ranka od zwymyślania go, nawet jeśli na to zasługiwał. Ale jednocześnie zirytowało go to trochę. Czy miała zamiar wszystko zlekceważyć? Było to nawet do niej podobne. Typowa Amazonka.

Usiadł z trudem i zaczął pomagać Dianie. Delikatnie i po przyjacielsku masował jej ramiona.

Westchnęła, poddając się z lubością jego dotykowi.

- Lepiej? - spytał. Mimo nocy spędzonej na kamiennej podłodze wyglądała prześlicznie: delikatna, odprężona, zmysłowa.

- O wiele. Colby, jakim sposobem znaleźliśmy się w grocie? Nie pamiętam, żebyśmy się tu przynosili. - Patrzyła na niego, lekko marszcząc brwi. Po chwili zauważyła porozrzucane dookoła ubrania. Może nic nie pamięta, pomyślał wstrząśnięty. Była przecież na wpół śpiąca.

- Zaniósłem cię tutaj, kiedy woda zaczęła zalewać jaskinię. Gdybyśmy tam zostali, przemoklibyśmy do suchej nitki.

- Chyba powinnam ci podziękować. Im prędzej jednak się stąd wyniesiemy, tym lepiej. Jest coś takiego w tym miejscu, że ciarki mi chodzą po krzyżu.

- Bałaś się w nocy? - spytał cicho.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie, właściwie nie. Nie podoba mi się to miejsce, ale muszę przyznać, że nie cierpiałam na klaustrofobię. Spało mi się zdumiewająco dobrze. - Wstała i ubrała się szybko.

- A ty? Umierałeś ze strachu, jak poprzednim razem? Pokręcił przecząco głową. Czemu nie napomknęła nawet słowem o tym, co się stało minionej nocy? Zachowywała się, jak gdyby nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło.

- Nie. Tym razem było zupełnie inaczej. - Nic nie wydawało się bardziej na miejscu od kochania się z Dianą w małej grocie. Było mu przykro, że nabrała wody w usta. Miał ochotę zapytać: „Czy tobie też było dobrze?”, tylko po to, żeby usłyszeć jej odpowiedź.

- Mam nadzieję, że burza minęła - powiedziała Diana lekkim tonem.

- Chodź, zobaczmy, co się dzieje. Jesteś gotowa?

- Wierz mi, nie mam ochoty dłużej tu siedzieć. - Wyszła za nim z groty. - Muszę jednak przyznać, że to najbardziej niecodzienna randka, na jakiej byłam w życiu.

- Piszę horrory i muszę dbać o opinię. Nie mogę umawiać się z kobietą na zwykłe randki. Mogłaby pomyśleć, że jestem oszustem.

- Chyba masz rację.

Zrozumiał, że Diana ma zamiar zachować swą zwykłą rezerwę. Proszę bardzo. Jeśli nie chce o rym rozmawiać, on też nic nie powie. Czuł jednak, że ponoszą go nerwy. Ta kobieta jest zbyt niezależna! Bierze na siebie za wielką odpowiedzialność - godzi się z ryzykiem. Do diabła, przecież on też miał w tym swój udział. Powinna z nim porozmawiać, a nie zamykać się w sobie.

Po raz pierwszy zastanowił się, czy Diana kiedykolwiek w życiu poprosiła mężczyznę o pomoc, czy kiedykolwiek chciała, by wziął na swe barki częściową odpowiedzialność.

Im lepiej ją poznawał, tym bardziej w to wątpił. Ciekaw był, co mogłoby ją zmusić, by szukała u niego pomocy i otuchy. Chyba tylko jakaś straszliwa klęska żywiołowa, powiedzmy, trzęsienie ziemi o sile dziewięciu stopni w skali Richtera.

Colby odetchnął z ulgą, widząc srebrzystobiały welon wody, przesłaniający wejście do jaskini.

- Mamy szczęście. Świeci słońce, nie ma wiatru. Schodzimy na dół.

- Mam nadzieję, że Brandon i Robyn nie martwili się zbytnio.

- A ja mam nadzieję, że nie przysporzyli mi więcej zmartwień. Mam i bez tego dosyć problemów. Diana rzuciła mu dziwne spojrzenie, ale w drodze powrotnej nie powiedziała nic. Colby podrzucił Dianę do jej domku, wymienił kilka epitetów ze Specterem, ogromnie niezadowolonym, że spędził samotnie całą noc, po czym wrócił do siebie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Brandon, podobnie jak ojciec, był rannym ptaszkiem, Colby wątpił jednak, by Robyn też już wstała. Odpowiadało mu to, ponieważ chciał porozmawiać z synem na osobności.

Może Diana ma rację, myślał, przeskakując po dwa stopnie. Może chłopak uwikłał się w romans, a



teraz szuka drogi wyjścia? W wieku dziewiętnastu lat tak łatwo znaleźć się pomiędzy młotem a kowadłem. Zwłaszcza kiedy chodzi o kobietę.

Colby postanowił zastosować się do rady Diany. Da Brandonowi szansę - porozmawia z nim spokojnie, bez gróźb. Zawsze przecież stosunki pomiędzy nimi układały się znakomicie.

Gdy wchodził do domu, usłyszał trzaśnięcie drzwi do pokoju Robyn. W chwilę później zobaczył zaspanego Brandona, zbiegającego po schodach do kuchni. Miał na sobie bluzę i dżinsy. Był bosy, zapinał zamek błyskawiczny w spodniach. Wszystkie niezłomne postanowienia Colby'ego natychmiast wzięły w łeb.

- Jeśli nie miałeś dość rozumu, by trzymać rozporek zapięty, to przynajmniej mam nadzieję, że byłeś ostrożny!

Brandon zatrzymał się jak wryty w połowie schodów.

- Tata... Nie słyszałem jeepa. Kiedy wróciłeś? Gdzie byłeś przez całą noc? Martwiliśmy się o ciebie.

- Nie wygląda na to, żebyś spędzał czas właśnie na tym. - Colby wmaszerował do kuchni i nalał wody do starego poobijanego czajnika, należącego jeszcze do ciotki Jesse. Postawił go na kuchence i nasypał kawy do dużego kubka. Był świadom, że Brandon wpatruje się w niego.

- Pomyślałem, że zostałeś u Diany.

Colby próbował zapanować nad kipiącym w nim gniewem.

- Byłem z nią. Złapała nas burza w jaskini za wodospadem. Musieliśmy zostać tam na noc. Do diabła, Brandon, czy nie rozumiesz, co ryzykujesz?

- Pewnie nie więcej, niż ty z Dianą - odciął się chłopak.

Colby przypomniał sobie o nocy spędzonej w grocie i na jego twarzy pojawił się grymas.

- Używasz czegoś? - spytał bez ogródek. - Czy zdajesz się na Robyn?

Brandon zaczerwienił się.

- Rany, tato...

- Odpowiedz mi, dobrze?

- Dobra, dobra, nie bój się. Nie mam zamiaru ryzykować. Jak mógłbym zapomnieć o tym po tych wszystkich książkach, które ,kazałeś mi przeczytać i twoich wykładach?

- Czasami łatwo zapomnieć. Wierz mi, znam to z własnego doświadczenia. - Czajnik zaczął gwizdać.

Colby zdjął go z palnika i zalał kawę w kubku wrzącą wodą.

- Boisz się, żebym nie zrobił takiego samego błędu, jak ty? Nie możesz o tym zapomnieć? - spytał posępnie Brandon, siadając przy stole.

- Tak, to właśnie mnie przeraża.

- A co widzisz aż tak złego w tym, że ludzie wcześniej się pobierają?

Colby poczuł, że znów ogarnia go gniew. I wtedy przyszło mu na myśl, że Diana ma rację. Pytanie syna może zapoczątkować rozsądną rozmowę. Wziął się z trudem w garść i zapytał:

- Może napijesz się kawy?

Brandon spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Chętnie.

Colby przygotował drugi kubek i podał go synowi.

Usiadł naprzeciwko niego i zapatrzył się w okno na słoneczny poranek.

- Naprawdę chcesz znać minusy wczesnego małżeństwa?

Brandon bawił się kubkiem. Sprawiał wrażenie, jak gdyby żałował swego pytania.

- Wiem, że może trudniej jest skończyć studia, jak już się człowiek ożeni, ale...

- Trudniej? - Colby pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole. - Chcesz wiedzieć, co jest trudne? To posłuchaj. Trudno jest wymyślić, z czego zapłacić rachunki, gdy właśnie straciłeś pracę i nie możesz znaleźć innej, bo nie masz żadnego doświadczenia ani dyplomu.

Trudno jest, gdy musisz martwić się o młodą żonę, która zaczyna się nudzić, bo musi siedzieć w domu, a jej przyjaciółki umawiają się na randki.

- Tato...

- Trudno jest zrezygnować z pójścia na żagle z kolegami, bo właśnie musisz szukać pracy albo zabawiać żonę, która klnie w żywy kamień, że za ciebie wyszła, bo małżeństwo daleko odbiega od tego, co sobie wyobrażała. A to ciągle zmienianie pieluch, wstawanie po nocy, i tak dalej, i tak dalej...

- Ale, tato...

- A wiesz, co jest najgorsze? Uświadomienie sobie, że ożeniłeś się, zanim naprawdę zrozumiałeś, czego oczekujesz od kobiety. Że seks to nie wszystko, choć w wieku dziewiętnastu lat wydaje się najważniejszą rzeczą na świecie. Że popełniłeś błąd i nie masz już odwrotu. Brandon spojrzał na niego uważnie.

- Mówisz o własnych doświadczeniach?

- Tak - odrzekł Colby, popijając kawę.

- I uważasz, że tak samo będzie ze mną?

- Myślę, że z każdym, kto wcześniej bierze ślub.

- Robyn sądzi, że nam się uda - powiedział Brandon po chwili milczenia.

- Czyżby? A skąd może wiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Ale bardzo chce, żebyśmy się pobrali.

- A ty? - spytał bez ogródek Colby.

- Czasami myślę, że może nie byłoby tak źle. Naprawdę ją lubię, tato - wzruszył ramionami Brandon.

- To zrozumiałe. Ale czy rzeczywiście podoba ci się ten pomysł ze ślubem?

- Wczoraj zaproponowałem jej, żebyśmy trochę poczekali - przyznał z ociąganiem. - Że może pomyślimy o tym za rok.

Colby stwierdził, że na razie musi mu to wystarczyć.

W uszach dźwięczało mu ostrzeżenie Diany, żeby nie wywierał zbytniego nacisku.

- Chłopak wyciągał do niego dłoń.

- Brzmi to dość rozsądnie - rzekł ostrożnie.

- Ona tak nie uważa. Nie chce czekać. Ma trudną sytuację w domu.

Coś w głosie syna podpowiedziało Colby'emu, że Robyn musi być nieźle wytrącona z równowagi. Czy dlatego Brandon wylądował w jej łóżku? Czy próbowała zademonstrować mu dobre strony małżeństwa?

- To również twoje życie, Brandon. Nie musisz tańczyć, jak ci zagra Robyn. Powinieneś robić to, co ty uważasz za najlepsze, a nie, co ci każą inni. Proszę cię wyłącznie o to, żebyś sam podjął decyzję.

- Myślę o tym - odrzekł z uporem Brandon. - Musisz zrozumieć, że chodzi tu o rodziców Robyn. Chcą zrujnować jej życie. Bez przerwy na nią wrzeszczą, ciągle się kłócą.

- Powiedz mi coś, synu. Czy gdybyś miał w domu podobne kłopoty, jak Robyn, to szukałbyś ratunku u kogoś, czy też próbował ratować się sam?

Brandon spojrzał na ojca spode łba.

- Wyniosłbym się z domu. Ale to całkiem co innego.

- Doprawdy? Czy czułbyś się wolny, gdybyś wykorzystał do osiągnięcia swego celu inną osobę?
- Nie, raczej nie.
- Czy chcesz odebrać Robyn szansę, żeby nauczyła się radzić sobie sama? Czy chcesz, żeby po prostu zastąpiła rodziców mężem? Spodziewa się po tobie, że przejmiesz opiekę nad nią, zakładając, że będziesz traktował ją inaczej niż oni, że nie będziesz na nią krzyczał.
- Powiem ci coś - po kilku miesiącach też zaczniesz na nią krzyczeć, bo zorientujesz się, że wyszła za ciebie po to, by cię wykorzystać.
- Brandon wyglądał na zakłopotanego.
- Czasami naprawdę trudno o zdrowy rozsądek. Jesteś z dziewczyną, ona zaczyna mówić o małżeństwie, a ty myślisz o czymś całkiem innym, to znaczy chcesz, żeby była szczęśliwa, ale też chcesz pójść z nią do łóżka, a ona, doskonale zdając sobie z tego sprawę, wykorzystuje... Och, do diabła, wiesz, o co mi chodzi.
- Po raz pierwszy od przyjazdu syna Colby'emu zrobiło się go naprawdę żal. Uśmiechnął się serdecznie, ze zrozumieniem.
- Brandon, jasne, że wiem, o co ci chodzi! Witaj w klubie. Przyznam ci się, że mając czterdziestkę na karku doszedłem do wniosku, że kobiety mogą niesłuchanie skomplikować życie.
- Czy Diana komplikuje ci życie?
- Colby zabębnił palcami po blacie stołu.
- Ogromnie. A najgorsze, że chyba nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Diana pojechała tego dnia do miasteczka później niż zwykle. Specter siedział obok niej.

- Cały kłopot z mężczyznami polega na tym - poinformowała psa - że potrafią naprawdę skomplikować życie kobiecie. Piekielnie trudno ich zrozumieć. Nie myślą logicznie i rozsądnie, jak kobiety, nie potrafią analizować własnych uczuć ani powiedzieć, o co im chodzi. Wkradną się w twoje życie i robią wszystko, żeby zaprzątnąć twoją uwagę. A gdy już dopną swego, nie bardzo wiedzą, co z tym począć. Specter zaskomlił ze współczuciem i wystawił nos za okno, węsząc poranne zapachy.

- Nie powiedział rano ani słowa, drań jeden. Mogłabym przysiąc, że nawet nie pamięta, że się ze mną kochał, choć przecież ubierał się od a do zet, podobnie jak ja. Musiał wiedzieć, po co zdjął wszystkie ciuchy. Specter, wczoraj kompletnie nas poniosło. Obudziliśmy się w środku nocy i zaczęliśmy się kochać jak dwoje szaleńców. Nigdy przedtem mi się to nie przydarzyło. Naprawdę zaczynam się bać.

Specter cofnął potężny pysk zza okna i obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem. Diana westchnęła i poklepała go uspokajająco po karku.

- Jeśli jestem w ciąży, pozwolę ci zająć się Colbym, zgoda? Wiem, że z przyjemnością skoczyłbyś mu do gardła.

Specter zaszczekał na sam dźwięk imienia Colby'ego.

- Możemy tylko czekać. Mam jeszcze nadzieję, chociaż muszę przyznać, że nie mogło się to zdarzyć w gorszej chwili. Ale przecież to tylko jedna noc, a poza tym mam trzydzieści cztery lata. Słyszałam, że znacznie trudniej zająć w ciążę po trzydziestce. Muszę jednak powiedzieć, Specter, że wczorajszej nocy ten facet wydał mi się bardzo płodny.

Wciąż próbowała zrozumieć swoje niepojęte zachowanie. Przeżyła niewiele romansów, a jeśli już, zawsze była bardzo ostrożna. Nigdy w życiu nie obudziła się w środku nocy i nie uległa tak

nieprzeparłej namiętności, jak wczoraj. Nie mogła wprost uwierzyć, że w jaskini to była ona. Na parkingu przed pocztą nie dostrzegła jeepa Colby'ego, stał tam natomiast wiekowy cadillac Margaret Fulbrook. Starszej pani nie było w samochodzie, ale siedział w nim ponury, potężnie zbudowany facet do wszystkiego.

- To moje zezowate szczęście - powiedziała Diana do Spectera, otwierając drzwi i wysiadając z buicka. - Może mnie nie zauważy. - Nie miała dzisiaj ochoty na starcie z Margaret Fulbrook. Niestety, pani Fulbrook oczywiście ją zauważyła.

Zbliżała się do oszklonych drzwi właśnie w chwili, gdy Diana miała zamiar wejść do środka. Diana uprzejmie przytrzymała jej drzwi.

- To pani jest tą kobietą, którą Savagar przywiózł sobie na lato, prawda? - spytała Margaret Fulbrook bez żadnych wstępów. Ciemne oczy połyskiwały w surowej twarzy.

- Nazywam się Diana Prentice.

- Chcę z panią pomówić.

- O czym? - zdumiała się Diana.

- Proszę za mną. - Pani Fulbrook przeszła obok niej, kierując się w stronę cadillaca. Najwyraźniej była przyzwyczajona do wydawania poleceń i bezwzględnego posłuszeństwa.

Diana wzruszyła ramionami i ruszyła za nią. Ponurak Harry wygramolił się ciężko z auta i otworzył drzwi swej chlebowaczki.

- Dziękuję, Harry. - Margaret Fulbrook zajmowała miejsce obok kierowcy z taką miną, jak gdyby siadała na tronie. Zaczekała, aż Harry usadowi się na swoim miejscu, po czym spytała gniewnie:

- Czy widziała pani mojego wnuka?

Diana pomyślała, że powinna była spodziewać się tego pytania, jednak jej umysł zaprzętały dziś zupełnie inne sprawy.

- Owszem, poznałam go. Przedwczoraj jedliśmy razem kolację u Colby'ego.

- Czy to prawda, że ma oczy Fulbrooków?

Diana spojrzała w inteligentne, brązowe oczy Margaret Fulbrook.

- Tak, proszę pani. I jest bardzo przystojnym młodym mężczyzną.

- Słyszałam, że przyjechał tu z dziewczyną. Pewnie wdał się w ojca.

- Owszem, ma dziewczynę, jak większość młodych ludzi w jego wieku. Skończył właśnie pierwszy rok studiów. Z tego, co wiem, dobrze sobie radzi. Zdaje się, że chce zostać inżynierem.

Margaret Fulbrook prychnęła pogardliwie.

- Może dojdzie do czegoś więcej, niż jego ojciec.

Diana nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jeśli ma pani na myśli pieniądze, to mogę panią zapewnić, że Colby świetnie sobie radzi.

- Przeczytałam jedną z tych jego okropnych książek. Kompletny nonsens. Potwory, krew i posoka. Koszmar.

- Nie każdy potrafi tak pisać. Colby ma talent.

- Ten drań nie ma krztyny talentu. - W tych słowach zabrakło jednak pasji. Pani Fulbrook nazywała Colby'ego draniem tylekroć w ciągu minionych dwudziestu lat, że słowa straciły swój jad.

- Sądzę, że jego wydawca nie zgodziłby się z panią.

- Ba! Co mnie obchodzi jego wydawca? - Starsza pani milczała przez długą chwilę, wlepwszy wzrok w przednią szybę samochodu. - Jaki on jest? - spytała w końcu.

- Kto, Colby?

- Ależ skąd. Jaki jest Savagar, to ja już wiem. Uwodziciel młodych panienek. Niezaradny, słaby oportunistą, który próbował zapewnić sobie beztrudne życie, poślubiając moją córkę. Ale wszystkie jego plany spaliły na panewce. Nie zobaczy nigdy ani grosika.

- Czy kiedykolwiek o coś prosił?

- To nie ma znaczenia! Nie, nie prosił, bo wiedział, że nie dostałby ode mnie grosza. Nie interesuje mnie Colby Savagar. Pytam, jaki jest mój wnuk. Czy ojciec zepsuł go kompletnie?

- Brandon jest inteligentny, wykształcony, dobrze wychowany i zadziwiająco wrażliwy. Bardzo go polubiłam.

- Niewątpliwie Savagar zdołał panią przekabacić.

- Niewątpliwie.

- Dziewiętnaście lat - wymówiła powoli Margaret Fulbrook. - Dziewiętnaście lat. Nie widziałam syna Cynthii od jej pogrzebu.

- A czyja to wina?

- Oczywiście, Savagara. Nigdy nie przywiózł do mnie Brandona.

- Z pewnością dlatego, że nie chciała mieć pani z nimi do czynienia. Podobno na pogrzebie wyraziła się pani dość jasno.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z Colbym Savagarem.

Kiedy jednak usłyszałam, że chłopiec jest w mieście...

Diana zaczerpnęła powietrza w płuca i zdecydowała się na stanowczy krok.

- Brandon wczoraj pytał o panią.

— Naprawdę?

- Myślę, że z ciekawości. Nie ma przecież rodziny poza ojcem. To naturalne, że skoro jest w Fulbrook Corners, chciałby dowiedzieć się czegoś o rodzinie ze strony matki.

- Pewnie się zastanawia, ile pieniędzy uda mu się ze mnie wyciągnąć. Wychowywał go Savagar, na pewno jest podobny do niego.

- Przyznaję, że Brandon jest bardzo podobny do ojca - powiedziała Diana, z trudem powstrzymując uśmiech. - Ale oczy odziedziczył po matce. Do widzenia, pani Fulbrook. Z pewnością jest pani zajęta, a ja muszę odebrać listy. - Ruszyła w stronę poczty.

- Chwileczkę, młoda kobieto!

Diana pomyślała z rozbawieniem, że miło słyszeć, jak ktoś nazywa ją młodą kobietą. Odwróciła się.

- Słucham panią.

- Jeśli ma pani w sobie choć odrobinę przyzwoitości i poczucia godności, przestanie pani widywać Savagara. Nic dobrego z tego nie wyniknie, a ten drań nie zasługuje nawet na parę dni szczęścia.

- Słucham? - spytała Diana ze zdumieniem.

- Dobrze pani słyszała. - W brązowych oczach błyszczała złośliwość. - Widziałam, wtedy na poczcie, jak on na panią patrzył. Jest z panią szczęśliwy, a nie ma do tego prawa. Nie ma w ogóle prawa do szczęścia! Zasługuje na surową karę za to, co zrobił z moją córką. Niech się pani z nim nie spotyka!

Margaret Fulbrook podniosła szybę i w chwilę później ciężki samochód wytoczył się z parkingu.

Diana stała i patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Diana wróciła do domu pół godziny później. W rękach trzymała torby z zakupami, pod nogami plątał jej się Specter. Otworzyła drzwi i kątem oka dostrzegła wazon, stojący na stoliku w przedpokoju. Żółte i białe stokrotki zniknęły. Ich miejsce zajął bukiet szarych, zwiędłych chwastów. Omal nie upuściła pakunków.

- Specter - wymówiła szeptem.

Pies trącił ją nosem w udo, po czym wpadł do przedpokoju i obwąchał podłogę wokół stolika. Szczeknął ostro i spojrzał na panią.

- Ktoś tu był. - Diana rozejrzała się nerwowo dookoła.

Wiedziała, że w tej chwili dom jest pusty. W przeciwnym razie Specter zachowywałby się inaczej. Powoli weszła do kuchni, pełna strachu, co też w niej znajdzie.

Ale tu wszystko było na swoim miejscu. Położyła zakupy na blacie i zlustrowała po kolei wszystkie pomieszczenia. Specter nie odstępował swej pani na krok, wyczuwając jej zdenerwowanie.

Wiedział, oczywiście, że w tej chwili nic jej nie grozi. Diana wróciła do przedpokoju i przyjrzała się chwastom.

- To kawał - wyjaśniła Specterowi, próbując ochłonąć. - Ktoś zrobił mi po prostu głupi kawał. - Coś ją jednak w tym zaniepokoiło. Skądś to знаła. W końcu przypomniała sobie. - Zupełnie jak w książce Colby'ego!

Okręciła się na pięcie i wbiegła do kuchni. Otworzyła „Szok” i zaczęła nerwowo przerzucać kartki.

- Jeśli ma takie poczucie humoru, to skreć mu kark. To wcale nie jest śmieszne.

O, tu. Koniec trzeciego rozdziału. Donnelly wchodzi do domu i odkrywa, że piękna kompozycja z gladioli została zastąpiona wiązką zwiędłych chwastów. Patrzył zaskoczony na gnijące chwasty, czując nieprzyjemne mrowienie w plecach. Wiedział, że są zarazem ofiarą i ostrzeżeniem. Ich fetor przepelniał powietrze. Zwisły z kryształowego wazonu, złowieszcze sobowtóry świeżych pięknych kwiatów, na których miejsce zostały wstawione. Ofiara i ostrzeżenie.

Były hołdem dla tajemniczej istoty, która według wierzeń okolicznych mieszkańców straszyla w jaskini, a równocześnie ostrzeżeniem dla Donnelly'ego, który nie traktował takich legend poważnie. Ogarnął go gniew. Jednym szarpnięciem wyjął chwasty z pięknego wazonu i wrzuciwszy do kominka, przyglądał się, jak trawi je ogień, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie, kto też mógł umieścić je w wazonie. Żadna ewentualność mu się nie podobała.

Diana powoli zamknęła książkę.

- Mnie też się nie podoba żadna ewentualność, Specter.

Słyszając warkot jeepa na podjeździe, wyszła z kuchni. Specter podbiegł do drzwi wejściowych, warcząc jak zwykle, gdy usłyszał kroki Colby'ego.

- Diano? - Savagar wszedł do środka, zatraskując za sobą drzwi. - Z drogi, Specter! Nie mam czasu na wymianę obelg. Może innym razem. Diano?

- Jestem tutaj, Colby - powiedziała cicho. Stała w drzwiach kuchni patrząc, jak przechodzi obok stolika, nie zwracając uwagi na chwasty.

- Coś się stało? - spytał unosząc brwi.

Podążył wzrokiem za spojrzeniem Diany. Najpierw zdawał się nie rozumieć, o co chodzi, po chwili jednak zmarszczył czoło.

- Znalazłam je kilka minut temu, po powrocie do domu. Kiedy wychodziłam, w wazonie były stokrotki. Czy coś ci to przypomina, Colby?

- Cholera! Jasne, że tak. Scenę z mojej książki.

- Właśnie. Z „Szoku”.

- Dotarłaś już tak daleko? - Wyjął chwasty z wazonu i wrzucił je do pojemnika na śmieci. - Kto, u licha, włożył je do twojego wazonu i dlaczego? Diana skrzyżowała ręce na piersi, nieświadomie zamykając się w sobie. Była zadowolona, że chwasty wylądowały w śmieciach, ale nie oznaczało to wcale rozwiązania sytuacji.

- Nie mam pojęcia. Myślałam, że może ty coś wiesz na ten temat.

- Ja? - Colby spochmurniał jeszcze bardziej. - Co chcesz przez to powiedzieć? Że podejrzewałaś o to mnie?

- Pomyślałam, że może spłatałeś mi figla, bo nie mogę przebrnąć przez twoją książkę. Colby zaklął, tym razem znacznie dosadniej. Specter warknął i przysunął się bliżej pani. Colby, nie zwracając na niego uwagi, sięgnął do lodówki i wyjął z niej puszkę piwa.

- Chciałbym, żebyś wiedziała na przyszłość - powiedział szorstko, otwierając piwo - że nie bawią mnie takie dowcipy.

- Przepraszam - odetchnęła z ulgą. - Po prostu przez kilka minut byłam naprawdę przerażona i wolałam myśleć, że to ty robisz mi głupie kawały, a nie, że był tu dzisiaj ktoś obcy. Colby przyjrzał się jej badawczo, jego oczy złagodniały.

- Chodź tutaj, kochanie - powiedział miękko i wyciągnął do niej dłoń. Po chwili wahania Diana podeszła i przytuliła się do jego boku, czerpiąc spokój i pociechę z jego siły. Colby obejmował ją mocno jedną ręką, w drugiej trzymał puszkę z piwem, popijając je w zamyśleniu.

- Jak tylko się dowiem, kto to zrobił, dam mu taki wycisk, że popamięta mnie do końca życia - obiecał. Specter szczerknął cicho. Colby obdarzył go łaskawym spojrzeniem. - W porządku, stary, możesz mi się przydać.

- Ale kto to mógł zrobić, Colby?

- Nie wiem. W tej miejscinie znalazłoby się paru podejrzanych.

- Co przez to rozumiesz?

- Na wszelki wypadek, gdyby uszło to twojej uwagi, przypominam ci, że nie jestem beniaminkiem Fulbrook Corners. Mam tu wielu wrogów.

- Po dwudziestu latach? Wątpię.

- Niektórzy mają dobrą pamięć, wierz mi. Myślisz, że całe miasto się cieszy, że nie wylądowałem w więzieniu?

Przecież wszyscy mówili, że źle skończę. Nikt nie lubi się mylić.

Usłyszała w jego głosie gniew i objęła go w pasie.

- Colby, nawet jeśli masz rację, nie bierzesz pod uwagę tego, że to mnie ktoś zrobił kawał, a nie tobie.

- Przykro mi, Diano, ale to logiczne.

- Dlaczego?

- Bo tu wszyscy wiedzą, że należysz do mnie.

- Nie bądź śmieszny! - Diana chciała go odepchnąć z oburzeniem, Colby jednak przytulił ją mocniej do siebie. - Nie jestem niczyją własnością!

- Każdy z tych głabów - mówił dalej, nie zwracając uwagi na jej protesty - wykombinował bez trudu, że najłatwiej jest mnie dopaść przez ciebie.

- Colby, to nielogiczne, ale nawet jeśli masz rację, kto mógłby coś takiego wymyślić?

- Po pierwsze, ktoś, kto czytał „Szok”.

- Ha! Z tego, co wiem, czytali to prawie wszyscy.

Dziś nawet Margaret Fulbrook powiedziała mi, że czytała jedną z twoich książek... - Diana przerwała, zmieszana ostrym spojrzeniem Colby'ego.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Margaret Fulbrook?

- Wpadliśmy na siebie w drzwiach poczty. Zamieniliśmy parę słów.

- Na temat pogody?

- Nie, do diabła, nie na temat pogody - westchnęła Diana. - Chciała wiedzieć, czy znam jej wnuka.

- I co jej powiedziałaś?

- Prawdę, oczywiście. Powiedziałam, że Brandon jest czarującym inteligentnym młodzieńcem.

Myślę, że chciałaby go poznać - dodała po chwili wahania.

- Prędzej zobaczę ją w piekle, niż dopuszczę do Brandona.

- Colby, bądźże rozsądny. To stara kobieta, niewiele jej już z życia zostało.

- To jej problem. Nie masz co jej żałować, Diano.

Ona nie zasługuje na litość. I sądzę, że możemy ją umieścić na początku listy podejrzanych. Uważa, że ma powody mnie nienawidzić, a poza tym wie o tobie.

Diana skrzywiła się, przypominając sobie ostrzeżenie starej kobiety. „Niech się pani trzyma z daleka od Savagara. On nie ma prawa do szczęścia!” Nie ma sensu wspominać o tym Colby'emu. Przyjąłby to za dowód winy Margaret Fulbrook.

- To stara kobieta, Colby. A poza tym nie mogła tego zrobić, skoro spotkałam ją w mieście.

- Ma Harry'ego do takich zadań. Stary Fulbrook nasłał go na mnie, kiedy dowiedział się, że Cynthia jest w ciąży. Sprawił mu tym wielką przyjemność.

- Fulbrook nasłał Harry'ego na ciebie? Po co?

- A jak sądzisz? Żeby wyperswadował mi pięścią małżeństwo z Cynthią. Harry był wtedy o dwadzieścia lat młodszy i zbudowany jak byk. I szczerze mnie nie lubił.

- Jak się to skończyło?

- Dopadł mnie przy starym domu Rawlinsów. Wraciałem właśnie od Eddy'ego Spoonera. Harry zablokował drogę ciężarówką Fulbrooków, a kiedy się zatrzymałem, wysiadł i wyciągnął mnie z samochodu. Powiedział, że teraz zobaczę, gdzie raki zimują. Potem zaczął wywijać mi nad głowę kawałem rury.

- Mój Boże, Colby...

- Na szczęście, za pierwszym razem nie trafił, a za drugim nie dałem mu szansy. Był potężny, ale niezbyt szybki. Na takich facetów działa tylko cios poniżej pasa. Kopnąłem go w pewne miejsce. Ale wrzeszczał! Wskoczyłem do samochodu i tyle mnie widział. W tamtych czasach nikt nie mógł mnie dogonić. Tą rurą strzaskał mi przednią szybę. Do dziś nie zwrócił za nią forsę.

Diana była wstrząśnięta.

- Może powinniśmy dopisać Harry'ego do listy?

- Uhm. Myślę, że jest jednym z wielu.

- Colby, na miłość boską, coś ty robił w młodości?

Ze wszystkimi chciałeś się bić?

- Z mojego punktu widzenia było inaczej. To oni zawsze mnie zaczepiali.

Diana poklepała go lekko po ramieniu.

- I nie pozostawałeś im dłużny?



- Jasne. Bo co? - odparł i wzruszył ramionami.

- Ty durny supermenie! Cieszyła cię twoja sława, no nie? Chciałeś być miejscową legendą, I jak mamy teraz dojść, kto podrzucił mi te chwasty?

- Dobrze pytanie. Ale plotki szybko się rozchodzą.

Może Eddy Spooner coś wie? Porozmawiam z nim.

A kiedy mnie nie będzie przy tobie, nie ruszaj się nigdzie, bez tego głupiego kundla. W razie czego cię obroni.

Specter zmarszczy! nos.

- Myślę, że go obraziłeś - powiedziała Diana.

- Bzdura. Jest za głupi, żeby wiedzieć, kiedy go obrażają. A teraz przejdźmy do rzeczy. Mam nadzieję, że przyjdiesz dzisiaj na kolację. Prawdę mówiąc, sytuacja jest trochę napięta. Mata Robyn nie czuje się ze mną najlepiej.

- Czemu?

- Zapewne dlatego, że wie już to, czego ty się domyśliłaś znacznie wcześniej, a mianowicie, że mój syn nie pali się do małżeństwa. Rano ucieliśmy sobie małą pogawędkę i sądzę, że miałaś rację. Szuka tylko eleganckiego sposobu, żeby się z tego wywinąć.

- Jeśli Robyn widzi, że traci Brandona, ma prawo być zdenerwowana.

- To mało powiedziane! Ona patrzy na mnie, jakbym był wilkołakiem. Przestała też zachwycać się moimi książkami.

- Ach, ci niestali wielbiciele! - uśmiechnęła się złośliwie Diana.

- No więc, przyjdiesz na kolację?

- A może lepiej wy wpadniecie do mnie? Może zmiana otoczenia dobrze wam zrobi. Myślisz, że Robyn i Brandonowi smakowałyby jarzyny po chińsku?

- Z pewnością. Ale czy ty gotowałeś kiedykolwiek dla nastolatków?

- No, nie. A jaka to różnica?

- Sekret polega na tym, że musisz przygotować czterokrotnie większe porcje.

- Miałam zamiar to zrobić. Przecież będzie nas czworo. Umiem liczyć, Colby.

- Nie o to chodzi - wyjaśnił cierpliwie. - Musisz przygotować cztery razy większe porcje dla każdego z nich.

- Aha, rozumiem. Nie martw się, mam mnóstwo warzyw.

W trakcie kolacji okazało się, że Colby miał rację. Napięcie panujące między całą trójką było wręcz nie do zniesienia. Diana i Brandon usiłowali podtrzymać towarzyską rozmowę, lecz szybko wyczerpywały im się tematy.

Wreszcie Colby wspomniał o chwastach w wazonie Diany.

- Wzięte żywcem z „Szoku” - ożywił się Brandon. - Kto mógł to zrobić? I dlaczego?

- Nie wiemy - odrzekł Colby. - Rozmawiałem już z Eddym Spoonerem, ale na razie nic do niego nie dotarło. Powiedziałem mu, żeby miał oczy i uszy otwarte.

- Niesamowite. - Robyn spojrzała na Dianę. - Nie boisz się?

- To bardzo nieprzyjemne - przyznała Diana. - Tak jak nieprzyzwoite telefony. Ja też skojarzyłam to z książką i bardzo się zdenerwowałam.

- Nie musisz się niczego bać, dopóki mieszkasz z twoim poczciwym Specterem - powiedział z uśmiechem Brandon, wsuwając cichaczem pod stół marchewkę.

- Znowu dokarmiasz to psisko pod stołem? - zmarszczył brwi Colby. - Nie zasługuje na dobre

traktowanie.

Jest rozpuszczony jak dziadowski bicz.

- Może Specter miałby o tobie lepsze zdanie - uśmiechnęła się Diana - gdybyś od czasu do czasu też podsunął mu jakiś kąsek.

- Po moim trupie.

Spod stołu dobiegło głucho entuzjastyczne warknięcie. Diana spojrzała na Brandona i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Jak ci idzie szukanie pracy? - spytał Brandon.

- Średnio. Ale do września muszę coś znaleźć. Nie mam ochoty wracać do Carruthers & Yale.

- Czy miałaś kiedyś męża, Diana? - spytała nagle Robyn ze złośliwym błyskiem w ładnych niebieskich oczach.

Colby spiorunował ją wzrokiem, ale Diana odrzekła spokojnie:

- Nie, Robyn.

- I nie miałaś dzieci?

- Nie.

- Dlaczego?

- Chryste, Robyn - powiedział cicho Brandon. - To naprawdę nie twoja sprawa.

- Chciałam po prostu wiedzieć, skąd z niej taki ekspert w tej dziedzinie.

- Kto twierdził coś podobnego? - spytała ze zdumieniem Diana.

- Brandon zaczyna mi opowiadać, jak to nowoczesne kobiety odkładają małżeństwo na później, żeby wystartować dobrze w pracy - wyjaśniła nieco zbyt słodkim tonem Robyn. - Ciebie podaje za przykład. Ja mu na to powiedziałam, że nie jesteś dobrym przykładem, bo chyba nigdy nie wyjdiesz za mąż ani nie będziesz miała dzieci. Interesuje cię tylko praca.

- Dość tego - rzekł zimnym tonem Colby.

Diana poczuła dziwne ściskanie w dołku. Z jakiegoś powodu uważała za swój obowiązek się bronić.

- Nie można mieć wszystkiego, Robyn. Dokonałam pewnego wyboru i nigdy nie żałowałam.

- Przedłożyłaś pracę ponad małżeństwo. Nie sądzę, żebyś była dobrym przykładem dla mnie, ponieważ ja oczekuję od życia czegoś zupełnie innego.

- Powiedziałem, dość tego, Robyn! - powtórzył groźnie Colby.

- W porządku. Ja ją rozumiem. Będę jednak broniła swojego zdania. Kobieta musi zdobyć wykształcenie i znaleźć pracę, zanim wyjdzie za mąż i zdecyduje się na dzieci. To bardzo ważne. -

Diana z całych sił starała się zachować spokój i opanowanie.

- Mnóstwo kobiet wychodzi za mąż przed znalezieniem pracy - upierała się Robyn.

- Żadna kobieta o zdrowych zmysłach nie uzależni się finansowo od mężczyzny. Powinna być w stanie utrzymać się sama, a także dzieci, jeśli je planuje. Chyba zauważyłaś, że w dzisiejszych czasach często zdarza się, że kobiety wychowują dzieci same.

- Mnie to nie grozi.

- Z pewnością każda kobieta, która zajdzie w ciążę, myśli tak samo. Ale czy wiesz, kto zalicza się do najuboższych warstw naszego społeczeństwa? Właśnie samotne matki!

Diana westchnęła głęboko i spostrzegła, że Brandon patrzy na nią z wyraźnym podziwem, a Robyn gotuje się z wściekłości. Zdumiała ją natomiast nachmurzona mina Colby'ego.

Obudziła się w środku nocy, drżąc z przerażenia. Nie uznałaby tego snu za koszmar, niemniej pozostawił w niej przykre, bolesne uczucie. Zdała sobie sprawę, że po jej policzkach spływają łzy.

Specter zaskomlił pytająco. Wstał, podszedł do Diany i trącił nosem jej rękę. Zaczęła go machinalnie głaskać, uspokajając się nieco.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - To tylko sen.

Śniła się jej nieprzenikniona ciemność. I przerażająca samotność. Miała złudzenie, że trzyma w dłoni nóż, spod jej palców tryska krew, która wypływa z jaskini i miesza się z wodą. Słyszała męski głos, przeklinający ją głośno, mimo że ciało mężczyzny osunęło się już na podłogę jaskini.

*Walczyłaś ze mną aż do śmierci. Nie uwierzyłbym, że kobieta może być tak uparta, tak odważna. Gdybyś urodziła się mężczyzną, zostałabyś wielkim wojownikiem.*

*A jednak nie pokonałaś mnie. Umieram, ale i ty umrzesz. I na wszystkich bogów, powiem ci coś, nieszczęsna kobieto. Przeklinam cię! Przeklinam cię na mą stygnącą krew!*

*Posłuchaj dobrze, co cię czeka, nie unikniesz bowiem swego losu. Twój duch pozostanie uwięziony w tej grocie, dopóki nie dasz mi dziecka którego pragnę. Nauczysz się w końcu, co to znaczy być kobietą. Ostateczne zwycięstwo należy do mnie. Będziesz zmuszona się poddać!*

- Nie powinnam była pozwolić Colby'emu, żeby opowiedział mi legendę o tej damie zakutej w łańcuchy. - Diana włożyła szlafrok i ranne pantofle. - Ten człowiek ma talent do wywoływania duchów.

Poszła w stronę kuchni, zbyt rozbita, by położyć się z powrotem spać. Specter podreptał za nią, z nadzieją na małą przekąskę.

- Najpierw chwasty w wazonie, a teraz jeszcze ten sen. Tylko tego mi brakowało - mruzczała Diana, szperając w lodówce. Wciąż nie mogła się otrząsnąć z nieprzyjemnego wrażenia. - Chwasty, sny, a na dodatek mogę być w ciąży. Ciekawe, jak ja mam zasnąć.

Dom wydawał jej się dzisiaj zbyt zimny i zbyt cichy. Cieszyła się, że ma przy sobie Spectera.

Przywykła do samotności, czasem jednak dobrze byłoby mieć przy sobie męskie ramię.

I znów ten sam sen, w dodatku o wiele intensywniejszy niż zwykle. Prawdopodobnie dlatego, że spędziła noc w jaskini. Czy ten sen będzie go prześladował już do końca życia?

Stał na dole przy oknie, wsłuchany w dzwoniącą ciszę, wracając myślami do wszystkich długich nocy, które spędził w tym domu jako dziecko. Zwykle wyobrażał sobie wtedy najgorsze rzeczy, jakie mogły go spotkać. Na dworze, w ciemności, głębokie cienie kładły się pomiędzy drzewami. Colby obserwował je przez chwilę.

Czemu wrócił do tego miasta? Czemu nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że pozostawił w Fulbrook Corners coś nie dokończonego? Może właśnie uzmysłowił sobie prosty psychologiczny fakt, że przeszłość zawsze jest częścią przyszłości.

Westchnął. Nie, to coś więcej. Przyciągnęło go tutaj niejasne poczucie niespełnienia. Musi coś zrobić, wtedy naprawdę uwolni się od Fulbrook Corners. Zaklął pod nosem. Zapragnął nagle zobaczyć Dianę. Potrzebował jej. Odszedł od okna i naskrobawszy krótką wiadomość na kartce papieru, zostawił ją na kuchennym stole. Pewnie wróci do domu przed świtem. A może nie?

Postanowił pójść do Diany piechotą. Gdyby wziął jeepa, mógłby zbudzić Brandona i Robyn.

Dziesięć minut później ze zdziwieniem ujrzał światło w kuchennym oknie Diany. Przyśpieszył kroku. Gdy postawił nogę na pierwszym stopniu, ze środka dobiegło groźne warknięcie Spectera.

- To ja, Diano! - zawołał, by jej nie przestraszyć.

- Zabierz tego cholernego psa.

Usłyszał, jak uspokaja Spectera, po czym rusza do drzwi. Kiedy zobaczył ją w progu, pomyślał, że

wygląda swojsko i ciepło.

- Czemu nie śpisz o tej porze? - spytał wchodząc do przedpokoju.

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie. Mój Boże, Colby, jest prawie druga! Co tu robisz?

- Nie mogłem spać. Poszedłem na spacer i zobaczyłem światło w twoim oknie. - Zdjął skórzaną kurtkę.

- Nie, to nieprawda. Szczerze mówiąc przyszedłem sprawdzić, czy przypadkiem nie wpuściłabyś mnie do siebie o drugiej w nocy. - Rzucił kurtkę na stolik, przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Gdy podniósł głowę, Diana patrzyła mu prosto w oczy. Wyglądała wyjątkowo bezbroniście.

- Muszę ci wyznać - powiedziała cichutko - że cieszę się z twojego przyścia.

- Ciężki dzień, prawda? Te chwasty naprawdę cię zdenerwowały - rzeki, tuląc ją do siebie.

- Tak.

- Obiecuję ci, że znajdę winnego. Już on mnie popamięta. Chodźmy do kuchni. Dobrze nam zrobi kieliszek brandy.

- Przygotowałam właśnie gorącą czekoladę.

- Może to i lepszy pomysł.

Wziąwszy swoje kubki, przeszli do salonu. Diana usiadła obok Colby'ego na starej kanapie, podkurczając nogi. Specter ułożył się w pobliżu, czujny jak zawsze.

- Czy twórcy horrorów spędzają wiele bezsennych nocy? - spytała, popijając gorący napój.

- Nie, raczej nie. Przynajmniej mnie to nie dotyczy.

W każdym razie nie teraz. Ale kiedy byłem dzieckiem, często budziłem się w nocy.

- I wymyślałeś różne historie?

- Walczyłem z potworami ukrytymi w szafie. Wyobrażałem sobie najstraszliwsze maskary i nie mogłem zasnąć, póki nie wymyśliłem, jak się z nimi rozprawić.

- Można by sądzić, że mamy do czynienia z urazem z czasów dzieciństwa - rzekła z wystudiowaną powagą. Colby wybuchnął śmiechem.

- Tylko mi nie mów, że oprócz prognoz finansowych zajmujesz się amatorsko psychologią.

- Cóż, niezależnie od przyczyn, dla których wymyślałeś potwory, bardzo ci się to opłaciło - uśmiechnęła się Diana. - Kiedy zacząłeś pisać?

- Kiedy Brandon poszedł do szkoły, ja też postanowiłem uzupełnić wykształcenie. Jeden z moich profesorów zachęcał mnie do pisania krótkich opowiadań. Nie sprzedałem ich, ale złapałem bakcyła. Postanowiłem napisać książkę.

- Zacząłeś od horroru?

- Nie, od książek przygodowych. Nie były to zbyt duże pieniądze, ale dostawałem tyle, co za pracę na budowie. Rzuciłem ją więc. Wtedy właśnie wziąłem się za horrory i zacząłem pisać pod własnym nazwiskiem.

- Długa, wyboista droga.

- Wiesz, kiedy mówiłem szefowi, że odchodzę, przeżywałem katusze. Musiałem utrzymać siebie i Brandona, a nie miałem żadnej gwarancji, że książki będą się dalej sprzedawać. Ale zaryzykowałem i udało się.

- Czasami trzeba podejmować trudne decyzje.

Colby ułożył się na kanapie, pociągając Dianę za sobą.

~ Skoro mowa o decyzjach, to odnoszę wrażenie, że Brandon przestał myśleć o małżeństwie. Mam u

ciebie dług wdzięczności, kochanie.

- Daj spokój. Mam nadzieję, że oboje po prostu zrozumieli, że małżeństwo w ich wieku nie jest najlepszym wyjściem. Myślę, że zwłaszcza Robyn popełniłaby wielki błąd.

- Twardo uważasz, że kobieta powinna radzić sobie sama, prawda? - Przytulił ją mocniej.

- To dla mnie bardzo ważne.

- Tak ważne, że sama nie odważyłaś się ani na męża, ani na dzieci.

- Hej, nie zaczynaj! Usłyszałam już wykład od Robyn na temat tego, jaka to jestem ambitna, twarda i agresywna. Pamiętasz?

- Czemu więc taka jesteś? - spytał niespodziewanie Colby.

Przez chwilę myślał, że posunął się za daleko. Diana zeszywniała.

- Jeżeli tak o mnie myślisz, to dlaczego tu jeszcze siedzisz?

- Ponieważ wiem, że pod tym twardym pancerzem kryje się seksowna dama, która potrafi doprowadzić mnie do szaleństwa. - Uśmiechnął się, wcale nie zbity z tropu, i pocałował ją mocno. - Jeśli kobieta potrafi wyglądać tak uroczo, delikatnie i ponętnie w szlafroku i rannych pantoflach, niewątpliwie posiada inne talenty poza umiejętnościami zawodowymi. Wyłumacz mi więc, skąd u ciebie to przekonanie, że na mężczyzn nie można liczyć?

Leżała cicho, przyglądając mu się ze zdziwieniem.

- Jesteś trochę bardziej spostrzegawczy, niż przypuszczałam, Savagar.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział z lekką irytacją.

- Nie jestem taki całkiem nieczuły. Z tego, co mówiłaś dzisiaj Robyn, jasno wynikało, że z jakiegoś powodu boisz się ufać mężczyznom. Czy to z powodu tego faceta, który zostawił cię dla swojej byłej? Czy też twoich beznadziejnych szefów?

- Z wielu powodów. A wszystko sprowadza się do tego, że bezpieczniej jest polegać na sobie. Trudno będzie ci się ze mną spierać, bo jesteś tego samego zdania.

- No tak, masz rację. Ale ja po prostu zawsze byłem zdany na siebie. Ciotka Jesse była czymś w rodzaju kotwicy w czasie burzy, a poza nią nie miałem nikogo.

Przywykłem dbać sam o siebie. A ty?

- Podobnie, tyle że na szczęście miałam matkę. Ojciec odszedł, gdy nie skończyłam jeszcze roku. Nigdy nie przysłał złamanego grosza. Po prostu zniknął. Moja mama zaszła w ciążę jeszcze w szkole średniej i wyszła za męża. Nie skończyła szkoły. Dziadkowie pomagali nam, jak mogli, ale sami niewiele mieli. Matka pracowała ciężko przez całe życie. Wyobrażasz sobie jednak, ile mogła zarabiać. Bywało, że na gwiazdkę dostawałam prezent wyblagany przez nią w Armii Zbawienia.

- I obiecałaś sobie, że nigdy nie znajdziesz się w takiej sytuacji? Że nie będziesz zależna finansowo od żadnego mężczyzny?

- Można to tak uprościć.

- Czy nie przyszło ci na myśl, że w walce o niezależność mogłaś przekroczyć wszystkie rozsądne granice?

- Ja jestem zadowolona. Mam wszystko, czego zapragnę, poza tym mogę pomagać matce.

- Powiedz mi coś - poprosił cicho Colby. - Czy kiedykolwiek całkowicie zaufałaś mężczyźnie? Że zaopiekuje się tobą? Że będzie ci oddany?

- A czy ty kiedykolwiek zaufałaś w ten sposób kobiecie? - zrewanżowała się Diana.

- Nie - przyznał ze smutkiem. Ale też nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty, pomyślał.

- Myślę, że mnie rozumiesz, Colby. Mamy ze sobą wiele wspólnego, prawda?

- Tak.

Długo leżeli w milczeniu na starej niewygodnej kanapie, aż wreszcie zmorzył ich sen.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po przebudzeniu Diana stwierdziła, że nie może się ruszyć i dopiero po chwili dotarło do niej, że leży na kanapie, przyciśnięta przez Colby'ego.

- To jeszcze lepsze niż spanie w jaskini - mruknął Colby, nie otwierając oczu. W tym momencie Specter podszedł do kanapy i dotknął wilgotnym nosem pierwszego ciepłego skrawka ludzkiej skóry, na który natrafił. Zaskomlił, wyraźnie czegoś się domagając.

- Powiedz temu kundlowi - powiedział ze złością Colby - że jeśli chce dożyć wieczora, niech zabiera swój mokry nos z moich pleców!

- Pewnie chce wyjść.

- Czemu go więc nie wypuścisz? - spytał Colby, otwierając jedno oko.

- Bo ty leżysz z brzegu. Łatwiej ci wstać i otworzyć drzwi.

- Prędeż zjem własne buty, nim wyświadczę temu kundlowi jakąś przysługę. Mam tu ciekawsze zajęcie.

- Przesunął ciepłą dłoń po biodrze Diany.

- Wypuszczenie psa na dwór to raczej konieczność, a nie przysługa.

Specter podkreślił wagę jej słów kolejnym ostrym szczeknięciem. Przejechał zimnym nosem po plecach mężczyzny, podsuwając do góry pogniecioną koszulę.

- Dobrze, dobrze, poddam się. Zniosę wszystko, z wyjątkiem tortury tego zimnego nosa. - Colby wstał i przeciągnął się leniwie. - Chodź, ty wielka zaśliniona bestio. Chyba opiszę cię w książce.

Specter rzucił się naprzód w radosnych podskokach. Diana usłyszała, że otwierają się i zamykają drzwi frontowe i pomyślała, jak przyjemnie jest obudzić się rano obok mężczyzny, którego się kocha.

Kobiecie łatwo uzależnić się od takiego luksusu. To bardzo niebezpieczne. Otworzyła oczy i spostrzegła, że kochany mężczyzna stoi obok kanapy i zdejmuje dżinsy, w których spał.

Światło poranka tańczyło na mięśniach jego nagich ramion. We wzroku było widoczne napięcie, odwieczny instynkt posiadania. Na chwilę czas się zatrzymał, jak zawsze, gdy była z Colbym. Na jego surowej twarzy malowało się bezkresne pożądanie, które zdawało się omotywać ją całą. Był taki silny! Niczym ów legendarny wojownik, który dominował nad wszystkim i nad wszystkimi.

Nagle pojęła, że wciągnięto ją do walki.

Została pojmana, schwytana w pułapkę, spętana... Colby uśmiechnął się do niej ciepło, w jego szarych oczach lśniła senna zmysłowość. Tak, on jest rzeczywiście niebezpieczny, pomyślała. Ale jak mu się oprzeć? Rozłożyła szeroko ramiona, on zaś jednym susem znalazł się przy niej.

- Fatalnie, że nie wziętem ze sobą maszynki do golenia - powiedział w jakiś czas później, pocierając szorstki policzek. - Nie byłoby problemu, gdybyś mieszkała ze mną.

- Pozwalam ci użyć mojej.

- Chyba tak zrobię. Zjemy śniadanie, a potem chyba wyrzucę dzieciaki z domu, zamknę się na cztery spusty i wreszcie popracuję. Ostatnio robota mi jakoś nie idzie.

- Colby?

- Hmm?

- Cieszę się, że przyszedłeś.

Pochylił się i mocno do niej przytulił.

- A ja się cieszę, że byłem ci potrzebny. Wiesz? Też bardzo cię potrzebowałem.

Objęła go i trwali tak przez długą chwilę, dopóki Specter nie zaczął drapać do drzwi.

Trzy godziny później pod domek Diany podjechał jeep. Specter wybiegł na dwór szczekając zajadle, po czym, dostrzegłszy za kierownicą Brandona, natychmiast się uspokoił.

- Dzień dobry, Diano - przywitał ją chłopiec, gdy wyszła na ganek. - Tata wyprosił mnie i Robyn z domu. Powiedział, że musimy dziś zająć się sobą sami. Byliśmy na spacerze, a teraz Robyn czyta sobie na powietrzu. Jadę do miasta odebrać listy i zrobić zakupy. Tata powiedział, że może miałabyś ochotę pojechać ze mną.

- Wspaniale, Brandonie. Wezmę tylko torebkę,

- Specter też może jechać! - zawołał za nią Brandon.

- Dlatego wziąłem jeepa. Zmieście się.

- Gdyby twój ojciec był tak łaskawy dla mojego psa, Specter mógłby zmienić do niego stosunek.

Brandon roześmiał się i po kilku minutach jeep wytoczył się z podwórka Diany.

- Prowadzisz samochód zupełnie jak ojciec - powiedziała cicho Diana, patrząc, jak chłopiec płynnie pokonuje zakręty.

- Bo to jego szkoła - wzruszył ramionami Brandon.

Parę osób gapiło się na nich z ciekawością, gdy wysiadali z jeepa przed urzędem pocztowym. Eddy Spooner pomachał do nich z drugiej strony ulicy. Diana odpowiedziała mu skinieniem głowy, po czym weszła do plotkarskiego centrum Fulbrook Corners.

- A teraz do sklepu! - oznajmiła, gdy odebrali korespondencję.

- Pójdę z tobą - powiedział Brandon. - Muszę kupić coś na kolację. Tata powiedział, że zjesz dzisiaj z nami.

- Rozejrzał się dookoła. - Trudno uwierzyć, że wychowywał się tutaj. To miejsce jakoś do niego nie pasuje.

- To raczej on do niego nie pasował - mruknęła Diana.

- Zastanawiam się, po co tu wrócił.

- Tak, to interesujące pytanie.

W tej samej chwili Diana zauważyła wiekowego niebieskiego cadillaca, zmierzającego dostojnie w ich kierunku. Stała przed trudną decyzją. Samochód zwolnił i skręcił na parking przed sklepem.

- Brandon?

- Tak?

- W tym samochodzie siedzi twoja babcia.

Brandon stanął jak wryty, przyglądając się Harry'emu i starszej damie o królewskiej postawie, która wysiadła z samochodu. Uwaga Margaret Fulbrook była całkowicie skoncentrowana na wnuku.

- Dzień dobry, pani Fulbrook - powiedziała cicho Diana. - Pozwoli pani, że przedstawię jej Brandona Savagara. Brandonie, to pani Margaret Fulbrook. - Wstrzymała oddech, ale wrodzona łatwość obejścia Brandona uratowała sytuację.

- Dzień dobry, pani Fulbrook - odezwał się z godnym podziwu spokojem.

- Mówili mi prawdę. Wyglądasz zupełnie tak samo, jak on w twoim wieku - powiedziała oskarżycielskim tonem Margaret Fulbrook. - Tylko czy masz Cynthii.

- Tata też mi to zawsze powtarza.

- To dziwne. Czy ojciec przyznaje, że masz jakiegokolwiek Cechy rodziny matki? Co Colby opowiadał

ci o Cynthii?

- Że była śliczna.

- Tak, to prawda. - Oczy starszej pani złagodniały pod wpływem fali wspomnień. - Była śliczna i pełna życia. Gdyby nie twój ojciec...

- Przepraszam, pani Fulbrook - przerwał jej Brandon - ale musimy jeszcze zrobić zakupy. - Ujął Dianę pod ramię i z zimną krwią, jaką zapewne zademonstrowałby Colby w takiej sytuacji, ruszył w stronę wejścia do sklepu. Diana nie próbowała go powstrzymać.

- Co ty sobie myślisz, młody człowieku? - krzyknęła za nim Margaret Fulbrook. - Wracaj natychmiast! Mówię do ciebie! Harry, zatrzymaj go! Harry zagroził im drogę, mrużąc w oczekiwaniu małe oczka.

- Słyszałeś, smarkaczu? Ona chce z tobą porozmawiać. Rób, co ci każe albo przyłożę ci, jak kiedyś twojemu ojcu.

Brandon puścił ramię Diany. Czowała, że zbiera się w sobie.

- Brandon, spokojnie - powiedziała słodkim tonem.

- Twój ojciec mówi, że Harry jest wielki, ale ślamazarny.

A skoro dwadzieścia lat temu był zbyt powolny, żeby dać radę twojemu ojcu, to teraz pewnie rusza się jak mucha w smole.

- Zbyt powolny? - Twarz Harry'ego wykrzywiła złość.

- Zaraz wam pokażę, kto tu jest powolny! - Podniósł wielką pięść, przesywając Brandona wzrokiem pełnym nienawiści. - Jesteś rzeczywiście cholernie do niego podobny. Pewnie nauczył cię paru swoich sztuczek. Ale ja cię załatwię!

Brandon patrzył wyczekująco na przeciwnika. Diana zmiażdżyła spojrzeniem Margaret Fulbrook.

- Tym małym przedstawieniem osiągnie pani jedno - powiedziała. - Brandon nigdy się do pani odezwie.

Mam rację, pani Fulbrook?

- Chcę z nim porozmawiać. Muszę! Teraz, kiedy go zobaczyłam, po prostu muszę! Nie rozumie pani?

- Rozumiem. Ale pod warunkiem że natychmiast odwoła pani Harry'ego - powiedziała Diana, świadoma, że otacza ich już wianuszek gapiów. - Jeśli poleje się krew, nigdy więcej nie zobaczy pani Brandona.

- Ale on chciał odejść. Próbowałam z nim porozmawiać, a on odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Tylko dlatego, że wyraziła się pani źle o moim ojcu - rzekł Brandon, nie spuszczać z oka Harry'ego.

- Mam wielką ochotę porozmawiać z panią, ale nie pozwolę obrażać taty.

Po pełnej napięcia chwili ciszy Margaret Fulbrook westchnęła głęboko.

- Zostaw go, Harry.

- Ale, proszę pani...

~ Powiedziałam, zostaw!

Harry, najwyraźniej głęboko rozczarowany, z ociąganiem podporządkował się poleceniu.

- A teraz podejdź tu do mnie, chłopcze.

Brandon odwrócił się powoli.

- Czy da mi pani słowo, że nie będzie mówić źle o tacie?

- Przyjdzie mi to z trudnością - odrzekła szczerze Margaret Fulbrook. - Przez dwadzieścia lat nic innego nie robiłam. Ale postaram się. Chodź do mnie, chcę jeszcze raz zobaczyć te oczy.



Diana uśmiechnęła się lekko, gdy Brandon zbliżył się ponownie do swojej babki.

- Pójdę zrobić zakupy, a wy porozmawiajcie sobie nad filiżanką kawy - zaproponowała.

Jednakże ani Brandon, ani Margaret Fulbrook nie zwrócili na nią uwagi. Stali, wpatrując się w siebie bez słowa.

Godzinę później Brandon odwiózł Dianę i Spectera do domu. Przez całą drogę prawie się nie odzywał.

- Co o niej sądzisz? - spytał wreszcie, gdy Diana chciała wysiąść z samochodu.

Opadła na fotel, przyglądając mu się badawczo.

- Jest zgorzkniałą starą kobietą, która przez dwadzieścia lat odmawiała sobie widywania wnuka. A teraz cię spotkała i żałuje, że straciła tyle czasu. Oprócz ciebie nikogo nie ma.

- Trochę mi jej żal, mimo że napuściła na nas Harry'ego.

- Byłeś dziś dla niej bardzo hojny, Brandonie. Dałeś jej coś, czego nigdy nie mogłaby kupić, ukraść ani zabrać siłą. I ona o tym wie. - Diana przechyliła się i pocałowała go lekko w policzek. - Tylko prawdziwy mężczyzna potrafi stanąć na wysokości zadania, tak jak ty dzisiaj. Jestem dumna, że cię poznałam. - Wsiadła z jeepa. Specter wyskoczył za nią i pobiegł w stronę ganku.

- Diano, zaczekaj. - Brandon zaczerwienił się, speszony jej komplementami, choć jednocześnie mile polectany. - Jak sądzisz, co powinienem powiedzieć tacie?

- Nie mam pojęcia. Chyba prawdę. Musiał się przecież spodziewać, że wasze spotkanie jest nieuniknione. Pewnie się bał, że pani Fulbrook spróbuje ci zrobić jakąś przykrość. Ale uspokoi się, kiedy się dowie, jak dobrze sobie poradziłeś. A poradziłeś sobie świetnie. Ona po prostu jadła ci z ręki.

- No, niezupełnie - uśmiechnął się Brandon. - Ale nie jest taka pozbawiona skrupułów, jak mówił ojciec.

- Może dwadzieścia lat temu była inna.

Brandon przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Pewnie tak. Do zobaczenia, Diano. I bardzo ci dziękuję.

Diana patrzyła przez chwilę za odjeżdżającym samochodem, po czym ruszyła w stronę domu, obiecując psu małą przekąskę. Tym razem jednak Specter nie zareagował na wzmiankę o jedzeniu. Węszył niespokojnie wokół drzwi frontowych, wydając dziwne dźwięki.

- Specter? Coś nie tak? - spytała Diana, czując nieprzyjemny dreszcz. Wyjęła klucze z torebki i włożyła je do zamka. Pies niecierpliwie drapał w drzwi.

Może w domu jest Colby? - pomyślała Diana. Czemu jednak nie wyszedł, słysząc nadjeżdżającego jeepa? Obróciła powoli klucz w zamku i na wszelki wypadek wpuściła psa przodem.

Specter wpadł do środka jak burza i począł obwąchiwać stolik w przedpokoju. Diana powoli weszła za nim, próbując uzmysłwić sobie, co jest nie tak. Po chwili dotarło do niej, że mały stolik z pustym wazonem stoi po lewej stronie przedpokoju, zamiast po prawej.

Ktoś go przesunął. Ktoś, kto czytał „Szok”.

- Mój Boże... Ktoś celowo mnie straszy.

Kimkolwiek była ta osoba, powiodło jej się.

Diana przyglądała się stolikowi jeszcze przez kilka sekund, czując, że oblewają zimny pot. Usiłowała myśleć logicznie. Intruz z pewnością dawno się już oddalił, w przeciwnym razie pies nie byłby taki spokojny.

Zmusiła się, by przejść do kuchni. Tym razem nie musiała wertować książki. Leżała na stole, otwarta

na stronie pięćdziesiątej szóstej. Przez chwilę litery skakały jej przed oczami, wreszcie zdołała odczytać tekst.

Był to naprawdę drobiazg, przestawienie stołu, małe przemeblowanie, jakiego mógł dokonać każdy, by sprawdzić, czy przestrzeń nie jest w ten sposób lepiej wykorzystana. Efekt jednak okazał się niszczycielski. Jakiś pomniejszy demon gościł w prywatnym świecie Donnelly'ego wystarczająco długo, by wprowadzić weń element przerażającego chaosu. Donnelly wiedział bowiem, że stołu nie przesunęła ludzka ręka. Nikt nie mógł się dostać do domu nie zauważony. Zainstalowany przez niego system alarmowy był niezawodny. On jednak nie wierzył w żadne demony.

Może nadszedł czas, by zadać sobie pytanie, czy nie popada w obłąd? Ciekawe, jakie byłoby orzeczenie. Nie mogła czytać dalej. Zamknęła książkę, przeszła powoli do salonu i usiadła na kanapie. Specter stracił zainteresowanie stolikiem i ułożył się u stóp swojej pani. Diana wciąż siedziała zamyślona, gdy pół godziny później usłyszała warkot znajomego silnika. Pies uniósł głowę i zaczął ujadać.

Poczuła ogromną ulgę - to musiał być Colby. Doznała wstrząsu, uświadomiwszy sobie, jak bardzo jest jej w tej chwili potrzebny, jak bardzo pragnie, by ją pocieszył, uspokoił, osłonił. Po raz pierwszy w życiu szukała pomocy u mężczyzny, ale też nigdy nie знаła nikogo takiego jak Colby.

Nagle trzasnęły drzwi, aż dom zadrżał w posadach. Ogarnęło ją przerażenie. Nie, nie zniesie w tej chwili gniewu. Colby'ego.

Wyczuwając, co się święci, Specter zareagował inaczej niż zwykle. W jego pomruku zabrzmiało poważne ostrzeżenie - Colby jednak nie zwrócił na niego uwagi.

Przebył korytarz trzema długimi susami i wpadłszy do salonu, wbił błyszczące oczy w Dianę. Przez chwilę czuła się tak, jak gdyby nagle cofnęła się w czasie do zamierzchłej przeszłości i stanęła twarzą w twarz z nieprzejednanym wojownikiem.

*Wrzała w nim niepohamowana wściekłość. Nie będzie dłużej tolerował, jej przekory. Nie spocznie, póki jej nie ujarzmi.*

- Musiałaś, prawda? - Colby stanął przed nią i jednym chwytem postawił ją na nogi. - Prosiłem, żebyś trzymała się od tej sprawy z daleka! To mój syn, do cholery! Mój syn. Wiedziałaś, że nie chcę, żeby się spotkał z tą starą suką! Niech cię diabli, Diano! Nie miałaś prawa się do tego mieszać.

Wyobrażasz sobie, że kim ty jesteś? Tego było za wiele. Przeżyła już dzisiaj jeden wstrząs, a teraz Colby przychodzi do niej z awanturą. Zawsze tak jest. W trudnych sytuacjach człowiek może liczyć wyłącznie na siebie. Kobieta nic powinna ufać mężczyźnie.

- Puść mnie - powiedziała cicho. Specter podszedł bliżej, obnażając kły.

- To dzięki tobie się spotkali, prawda? Zaplanowałaś wszystko poza moimi plecami!

- Nie, Colby, niczego nie planowałam. To był czysty przypadek.

- Nieprawda! Idę o zakład, że gdybym ja tam był, nie doszłoby do tego. Przecież to ty ich sobie przedstawiłaś!

Brandon powiedział mi wszystko dokładnie. A ja ci ufałem! Myślałem, że jesteś po mojej stronie! Diana usiłowała zachować obojętność. Palce Colby'ego wpijały-jej się w ramię. Spojrzała na niego i zrozumiała, że w tej chwili nic do niego nie dotrze, bardzo mi przykro.

- Tobie? - spytał jadowicie. - A nie uważasz, że to mnie powinno być przykro? Bo ci zaufałem. Bo uwierzyłem, że jesteś inna. Byłem głupcem, ale to mój syn zapłaci! za to. - Puścił ją i podszedł do okna. - Jak, u diabła, mogłem ci zaufać tylko dlatego, że jesteś dobra w łóżku!

Diana skrzyżowała ręce na piersi, starając się odgrodzić od gniewu Colby'ego i jego obraźliwych

słów. Specter przytulił się do jej nóg, skowycząc cicho. Jego potężne cielsko dodawało jej otuchy. Przyszło jej na myśl, że to jedyny osobnik płci męskiej, na którego może liczyć.

- Zafundował jej filiżankę kawy. Coś niesamowitego!

- Colby uderzył pięścią w parapet okienny. - Postawił jej kawę i rozmawiał z nią, a ty spokojnie robiłaś zakupy!

- Colby...

- Słyszałem, że napuściła na was tego durnego osiłka Harry'ego. A gdyby rzucił się na mojego syna? Jak byś się wtedy czuła?

- Brandon świetnie z nim sobie poradził bez używania pięści.

- Dzięki tobie. Pewnie myślałaś, że jesteś cholernie sprytna, co? - Przeczesał włosy palcami.

- Wystarczy, Colby.

Jej spokojny, chłodny ton rozjuszył go jeszcze bardziej. Spiorunował ją wzrokiem.

- Wystarczy? - spytał podejrzanie cicho. - Czego nie chcesz usłyszeć? Że tak przywykłaś do odgrywania ważnej pani kierowniczką, że nie możesz się powstrzymać od wtykania nosa w cudze życie? Że uważasz się za mądrzejszą od innych?

- Colby, dość tego! Zrozumiałam. I myślę, że powinieneś wyjść. - Z trudem trzymała się w karchach. Miała ochotę krzyknąć, zwymyślać go za to, że nie było go przy niej, gdy był potrzebny. Życie nauczyło ją jednak, że w obecności mężczyzny kobieta musi nad sobą panować.

- Mam ci znacznie więcej do powiedzenia.

- Być może, ale ja nie mam ochoty tego słuchać. Czy będziesz łaskaw już wyjść, Colby?

Powiedziałaś, co o mnie myślisz. Przysięgam, że nigdy już nie wtrączę się ani do ciebie, ani do Brandona. Masz na to moje słowo honoru.

- Co jest warte twoje słowo honoru?

- Możesz być pewien, że wiele - powiedziała patrząc mu prosto w oczy. - Jeśli chcesz, mogę ci dać gwarancję na piśmie, że nigdy więcej nie zobaczę ciebie ani twojego syna. Czy teraz mógłbyś wreszcie wyjść? Specter poparł jej prośbę groźnym warknięciem. Stał pełen napięcia przy swojej pani.

- Już idę, Diano. - Minał ją, kierując się ku drzwiom. - Zepsułaś wszystko, co mogłaś. Wcale nie mam ochoty sprawdzać, co jeszcze kryjesz w zanadrzu. Zatrzasnął drzwi głośniejsze, niż wchodząc.

- Nie zauważył nawet stolika - powiedziała Diana do psa, po czym osunęła się na kanapę i dała upust długo powstrzymywanym łzom.

Najbardziej wyprowadził go z równowagi fakt, że zamknęła się w sobie. Potraktowała go tak, jak gdyby był dzikim, nieujarzmionym żywiołem. Uszczelniła luki, wzniosła zapory, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. A jemu pozwoliła się wyszaleć.

Tak samo zapewne zachowywała się wobec wszystkich mężczyzn, z którymi miała w życiu do czynienia. Wycofała się za swoją fasadę chłodu oraz nietykalności i czekała.

Uświadomił sobie, że pragnął, by zareagowała inaczej. Niechby płakała, krzyczała albo nawet rzuciła się na niego z pięściami. Wszystko, tylko nie ten chłód! Był na nią zły, ale to była jej wina. Pragnął walki, a ona odmówiła wstąpienia w szranki. To rozjuszyło go jeszcze bardziej.

Wziął ostro ostatni z zakrętów na River Road, zwolnił i wjechał na polankę u stóp Wodospadu Spętanej. Wyłączył stacyjkę gwałtownym ruchem, po czym objął rękami kierownicę i skierował wzrok na pienne kaskady wody, spadające z urwistej ściany skalnej. Nie miała prawa przedstawić Brandona tej starej jędzy!

Wprawdzie Brandon twierdził, że to najwyraźniej Margaret Fulbrook zaaranżowała spotkanie, ale przecież można go było uniknąć. Diana i Brandon powinni byli wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, wsiąść do jeepa i odjechać.

Jego syn pił kawę z tą starą czarownicą! Wciąż nie mógł w to uwierzyć. A Diana spokojnie robiła zakupy. Tego już za wiele. Naprawdę za wiele! A gdyby Harry rzucił się na Brandona? Owszem, Colby zatroszczy! się o to, by syn potrafił się bronić, ale chłopak nie brał nigdy udziału w żadnej bójce. A gdyby Diana znalazła się między walczącymi? Przecież na pewno próbowałyby ich powstrzymać. Mogliby jej coś zrobić.

Ręce same zacisnęły mu się w pięści. Nie, zachowanie Diany było niewybaczalne. Przecież wiedziała, że nie życzył sobie spotkania Brandona z Margaret Fulbrook. Oczywiście, chłopak był ciekaw swojej babki, ale nie powinien postępować wbrew wyraźnemu zakazowi ojca. To Diana jest wszystkiemu winna.

- Niech to wszystko diabli!

Popełnił błąd, przyjeżdżając tego lata do Fulbrook Corners. Musiał postradać zmysły. Ale gdyby tu nie przyjechał, nie spotkałby Diany.

Wysiadł z samochodu i podszedł bliżej wodospadu. Pył wodny osiadał mu na włosach i koszuli. Stał, patrząc w kierunku ukrytego wejścia do jaskini. Owej nocy była taka czuła i kochająca. Ucieleśniała jego wszystkie marzenia o kobiecie. Czuł, że oddaje mu się tak, jak żadnemu innemu mężczyźnie, nie ukrywając niczego. Należała do niego. A rano zachowywała się tak, jak gdyby nie się nie stało. Przecież nie można wykluczyć, że zaszła w ciążę.

Dziś obiecała mu, że zniknie całkowicie z jego życia, tak jak odeszła z pracy. Prawdopodobnie jeszcze raz uważała się za ofiarę męskiego szowinizmu. Wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą. Wcale nie podobała mu się myśl, że podciągnęła go pod jeden strychulec ze wszystkimi nieodpowiedzialnymi mężczyznami w jej życiu - ojcem, facetami, dla których pracowała, draniem, który ją kiedyś zostawił.

Miał jednak prawo być na nią wściekły. Zawiodła go. Nie powinna zachować zimnej krwi, gdy na nią krzyczał. Nie powinna zamykać się w sobie. Był już w połowie drogi do domu, gdy wreszcie ochłonął i zaczął rozsądnie myśleć. Pierwszą myślą, jak przyszła mu do głowy, było, że nie pozwoli Dianie tak po prostu odejść ze swego życia. Drugą - że gdy był u niej, zauważył jakąś zmianę w ustawieniu stolika w przedpokoju.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Diana skończyła właśnie sprzątanie kuchni i pakowała jedzenie do torby chłodniczej, gdy Specter szczechnął. W chwilę później usłyszała warkot jeepa i nerwowo zacisnęła powieki. Colby wrócił, by znów na nią krzyczeć. Nie, więcej tego nie znieśie.

Pobiegła szybko do przedpokoju i zamknęła zasuwę w momencie, gdy na stopniach ganku usłyszała niecierpliwe kroki.

- Diano, otwórz! - Colby zabębnił energicznie w drzwi.

Specter odpowiedział głośnym ujadaniem, ale Diana milczała. Wróciła do kuchni, zamknęła tylne drzwi i zabrała się z powrotem za pakowanie. Colby nie dawał za wygraną.

- Diano, wpuść mnie!. Muszę z tobą porozmawiać!

Pies pobiegł do przedpokoju i z radością udzielił odpowiedzi za swą panią. Przez kilka minut

słychać było nie słabnące stukanie w drzwi i zajadłe szczekanie. Nagle zapadła cisza. Specter szczeknął zwycięsko po raz ostatni i wbiegł z powrotem do kuchni.

- Dobry piesek - pochwaliła go Diana. - Przynajmniej na ciebie mogę liczyć. Nie usłyszała jednak warkotu silnika, a Specter zaczął znowu nasłuchiwać. Stał chwilę z przechyloną na bok głową, po czym rzucił się z głośnym skowytym w głąb mieszkania.

~ Za późno, ty głupi kundlu. Jestem już w środku.

Głos Colby'ego dochodził z sypialni. Diana przypomniała sobie, że zostawiła tam otwarte okno. Odwróciła się powoli ku wchodzącemu mężczyźnie. Specter szczyrzył groźnie zęby, kręcąc się wokół łydek Colby'ego, nie atakował go jednak.

- Co tu się, u licha, dzieje? - spytał Colby, przesuając wzrokiem po stertach pudeł.

- A jak myślisz? Wyjeżdżam. - Diana wróciła do swego zajęcia, metodycznie wkładając produkty do torby.

- Narozrabiałaś, a teraz uciekasz? - spytał szorstkim tonem.

- Dałam ci słowo, że zniknę z twojego życia. A to oznacza, że muszę wyjechać z Fulbrook Corners. To miasteczko jest za małe dla nas obojga. Ciągłe byśmy na siebie wpadali.

- Zawsze uciekasz, gdy coś się dzieje nie po twojej myśli?

- Jak powiedziałam Brandonowi wczoraj przy kolacji, kobieta interesu wie, jak zminimalizować straty.

- Umieściłaś mnie w rubryce strat, tik?

- To nasza znajomość przynosi straty. Trzeba ją skreślić z bilansu.

Podszedł do kuchennego krzesła i usiadł na nim okrakiem, krzyżując ręce na oparciu. Patrzył na nią w zadumie.

- Potrafisz mówić o naszym związku wyłącznie w swoim żargonie? Czas zminimalizować straty? Skreślić z bilansu? Coś ci powiem. Naprawdę nie mam ochoty, żeby traktowano mnie jako którąś z kolei złą inwestycję. Diana zacisnęła dłonie na pudełku z płatkami, gniotąc cienki karton.

- To ty jesteś stylistą. Wymyśl trafniejsze określenie.

- Wiesz co, Diano? Jesteś tchórzem. Kiedy pojawia się problem, omijasz go i idziesz dalej.

- To bzdura, i dobrze o tym wiesz. To ty zakończyłaś nasz tak zwany „związek”, nie ja. Wpadłeś tu do mnie z wrzaskiem i zwymyślałeś mnie od intrygantek.

- A nie miałem racji? O mało mnie szlag nie trafi z wściekłości!

- Skoro tak, czemu mam stąd nie wyjeżdżać? Idź sobie, Colby. Czeka mnie mnóstwo roboty.

- Nie możesz uciec ode mnie.

- Kto mnie powstrzyma?

- Ja.

- Głupstwa gadasz. Niecałą godzinę temu kazałeś mi trzymać się z daleka od twojego życia.

- Powtarzam ci, że byłem wściekły - wycedził przez zęby. - I miałem powód. Ale nie wyrzucałem cię z mojego życia. To ty powiedziałaś, że jestem taki, jak wszyscy mężczyźni, których znałaś. Mylisz się jednak, chociaż wiem, dlaczego tak pomyślałaś.

- Czyżby?

- Potrzebowałaś mnie. Prawdopodobnie byłaś śmiertelnie przerażona, a ja, zamiast cię uspokoić, napadłem na ciebie jak furia. Czy tacy byli wszyscy mężczyźni w twoim życiu, Diano?

- Nie bałam się ciebie - odparła z godnością. - Nie bałam się nigdy żadnego mężczyzny.

- Na pewno? A ja myślę, że bałaś się tego, kto przestawił stolik w przedpokoju...

Dianie wypadł z rąk słoiczek z musztardą, który miała włożyć do torby. Przez chwilę w kuchni panowała cisza.

- Myślałam, że nie zauważyłeś - odezwała się w końcu, nie patrząc na Colby'ego.

- Byłem zbyt rozwścieczony, żeby zauważyć to od razu, ale potem pojechałem nad wodospad i w pewnym momencie uzmysłowiłem sobie, że w przedpokoju coś było nie tak. Przypominało scenę z mojej książki.

- „Szok”. Strona pięćdziesiąta szósta.

Colby powoli skinął głową, patrząc jej w oczy.

- Kiedy to się stało?

- Nie wiem. Pewnie kiedy byliśmy z Brandonem w mieście. Zauważyłam to po powrocie do domu.

- Przeżyłaś wstrząs, prawda?

— Łagodnie mówiąc. Ktoś mnie tu nie lubi. A twoja teoria, że kryje się za tym Margaret Fulbrook, upada.

Piła w tym czasie kawę z Brandonem.

- To może Harry? - spytał Colby, mrużąc oczy.

- Nie. Harry siedział przez cały czas w samochodzie.

- Pozostaje nam jeszcze cała reszta miejscowych - zamyślił się.

- Ktokolwiek się w to bawi, będzie musiał znaleźć sobie inne hobby. Dziś wieczorem będę już bezpieczna w Portland.

- Wieczorem będziesz bezpieczna w moim domu.

- Nie, dzięki. Mam dosyć Fulbrook Corners.

- I mnie?

- Szczerze mówiąc, ten złośliwy kawalarz w połączeniu z mężczyzną, który oskarża mnie o nielojalność, to za wiele, nawet jak na mnie.

- Nie postąpiłaś nielojalnie - powiedział cicho Colby - tylko nierozważnie. Nielojalnie postąpiłabyś idąc do łóżka z innym mężczyzną.

- Co za ulga usłyszeć, że nie dopuściłam się grzechu śmiertelnego! A teraz może już pójdziesz i pozwolisz mi się spakować?

Colby siedział bez ruchu.

- Diano, miałem prawo rozgniewać się na ciebie.

- Być może - wzruszyła ramionami. - To kwestia punktu widzenia. Twój syn chciał poznać swoją babcie.

Jest dorosły i ma swoje prawa. Ona stała na ulicy i patrzyła na niego, a ja tylko ich sobie przedstawiłam. Moim zdaniem decyzja należała do Brandona. Nie do ciebie ani nie do mnie.

Colby wciągnął głęboko powietrze.

- Może dlatego tak się wściekłem - powiedział z namysłem. - Może nie chciałem przyznać mu tego prawa.

Mówiłem ci, że popełniłem mnóstwo błędów jako ojciec i z pewnością zrobię ich jeszcze wiele.

- Powiedz to Brandonowi. Jestem pewna, że zrozumie. To bardzo wrażliwy i wyrozumiały chłopiec.

- Zupełnie niepodobny do ojca?

- Ty jesteś znacznie bardziej cyniczny, ale też wiele w młodości przeszedłeś. Nie bądź dla siebie zbyt surowy. To ty wychowałeś Brandona na tak wartościowego człowieka. A teraz przepraszam, muszę skończyć pakowanie.

- Diano, zabieram cię na noc do siebie. U mnie będziesz bezpieczna.

- W Portland jest jeszcze bezpieczniej.

Colby zerwał się z krzesła i trzasnął nim z hukiem o ścianę.

- Do jasnej cholery, ty uparta, tępą kobieto! Uważasz, że nie możesz zdać się na mnie nawet na tyle, by pozwolić się chronić?

Diana zacisnęła dłonie, by ukryć ich drżenie.

- Dlaczego miałbyś mnie chronić?

- Bo należysz do mnie. Jeszcze to do ciebie nie dotarło?

- Chcesz powiedzieć, że czujesz się za mnie odpowiedzialny tylko dlatego, że przeżyliśmy letnią przygodę? - szydziła. - Nie zwracaj tym sobie głowy, Colby. Dam sobie radę sama. Poza tym przygoda skończona.

Pokonał dzielącą ich odległość dwoma długimi krokami i chwycił ją za ramię. Jego dotyk był zadziwiająco delikatny, zarazem jednak tak stanowczy, że Diana nie była w stanie stawić oporu. W jego oczach pojawiło się ciepło.

- Ta przygoda ma przed sobą długą przyszłość, i ty dobrze o tym wiesz. A o moim poczuciu obowiązku porozmawiamy później. W domu ciotki Jesse. Nie kłóć się ze mną. Wiesz, że będę się zamartwiał o ciebie, jeśli zostaniesz tutaj, a za żadne skarby nie pozwolę ci wyjechać do Portland. Nie teraz. Nie wolno nam zmarnować tego, co jest między nami.

- Naprawdę? - wymówiła z trudem.

- Naprawdę - odrzekł z mocą Colby.

Zaskoczona jego słowami, posłusznie ruszyła do sypialni spakować rzeczy.

- Tata wpadł w furję, kiedy powiedziałem mu o spotkaniu z babcią - mówił Brandon godzinę później.

Siedzieli oboje z Dianą na podniszczonych fotelach na werandzie domu ciotki Jesse. Robyn dąsała się na górze, a Colby wrócił do pracy. - Ale naprawdę jest zły z powodu głupich kawałów, które ktoś ci robi.

- Czyżby? Myślę, że bardziej rozżłościło go to, że przedstawiłam ci Margaret Fulbrook.

- Zapewniam cię, że nie. Lepiej znam ojca. Zawsze na początku wybucha, ale szybko mu przechodzi.

I przeciwnie - gdy zachowuje spokój, wtedy człowiek jest w tarapatkach.

- Postaram się zapamiętać - powiedziała Diana z wymuszonym uśmiechem.

- Naprawdę chciałaś wracać do Portland?

- Tak.

- Wyobrażam sobie, jak się rozindyczył. On zwariował na twoim punkcie.

- Bo ja wiem. Nie zawsze potrafię zrozumieć twojego ojca.

- Jak większość ludzi. Znam go lepiej niż inni, i też czasami się gubię. Ale w trudnych sytuacjach zawsze się sprawdza. Umie rozwiązywać problemy.

- Myślę, że jesteś pod tym względem do niego podobny - powiedziała cicho Diana. Chciała dodać coś więcej, ale na werandę weszła Robyn. Rzuciła Dianie jadowite spojrzenie i rzekła do Brandona:

- Nudzę się. Nie mam co robić. Może poszedłbyś ze mną na spacer? Muszę z tobą porozmawiać.

- Chętnie. - Brandon wstał z fotela. - Na razie, Diano. Idziesz z nami, Specter? Pies podniósł się leniwie i spojrzał pytająco na swoją panią.

- Idź, idź - uśmiechnęła się do niego. - Nic mi tu nie grozi.

Specter pocwałował radośnie za oddalającą się parą, merdając kosmatym ogonem.

- Popatrz no tylko na to głupie psisko - odezwał się Colby, stając w progu. - Zachowuje się, jakby

byli z Brandonem najlepszymi kumplami od lat. A na mnie

bez przerwy szczerzy te swoje zębiska.

- Chyba coś go w tobie denerwuje - powiedziała Diana, dolewając sobie mrożonej herbaty. - Nalać ci?

- Dzięki. - Colby wszedł na werandę i zajął fotel Brandona. Wziął szklankę i powiódł wzrokiem za parą młodych. - Odnoszę wrażenie, że słodka Robyn ma już powyżej uszu Fulbrook Corners.

- Mogę ją zrozumieć.

- Wciąż jesteś na mnie zła?

- Tak.

- Przejdzie ci.

- Jesteś pewien?

- Jasne. Przecież mnie przeszło - powiedział z niepodważalną męską logiką.

- Czyżby?

- Tak, do licha. - Colby odstawił szklankę i chwyciwszy Dianę za rękę, pociągnął ją, sadzając sobie na kolanach. - A teraz przestań mnie prowokować. - Przytulił ją mocniej, zanurzając twarz w jej włosach.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Tylko szybko. - Jego ręka sunęła po jej dżinsowych spodniach i zatrzymała się na biodrze.

- Myślę, że nie przemyślałeś tego wszystkiego.

- Czego wszystkiego? - Wtulił wargi w jej szyję.

Diana zadrżała i dotknęła tęsknie jego ramienia.

- Tego. Że jestem w twoim domu.

- Póki toleruję twojego głupiego kundla, gdzie widzisz problem?

- Po pierwsze, spanie. Czy masz czwartą sypialnię?

— Nie. Tylko trzy.

- No właśnie. To gdzie będę spała?

— Oczywiście ze mną - rzekł, patrząc na nią z autentycznym zdziwieniem. - A gdzie niby miałabyś spać?

- A dzieci? Czy powinny wiedzieć, że idziemy razem do łóżka?

- Jak sama zauważyłaś, Brandon nie jest już dzieckiem. Wie, że sypiam z tobą i bardzo cię lubi.

Czego chcesz więcej?

- A Robyn? - spytała z z troskaniem Diana.

- Skoro jest wystarczająco dorosła, by sypiać z Brandonem, tym bardziej powinna potraktować normalnie fakt, że dwoje naprawdę dorosłych ludzi robi to samo. Przestań się tym martwić. Decyzja została podjęta.

- Przez ciebie?

- Tak, przeze mnie. - Dłoń Colby'ego zabłądziła pod jej pierś. - A teraz powiedz mi, co będzie na kolację?

- Jakoś nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć.

Myślę wyłącznie o deserze. - Uśmiechnęła się do niego, wędrując delikatnie dłonią wzdłuż zapięcia koszuli aż do paska jego dżinsów.

- Czy to znaczy, że odpuszczono mi grzechy?

- To znaczy, że mam zamiar dać ci okazję do wyrażenia skruchy.



- Świetny pomysł. Gotów jestem zacząć od zaraz.

Ze śmiechem chwyciła jego dłoń.

- Nie, musisz poczekać. Pora na kolację, niedługo wrócą Brandon i Robyn.

Colby mruknął coś pod nosem i przytulił ją tak mocno, że jęknęła. Z jego twarzy zniknęło zmysłowe rozbawienie.

- Myślę - oznajmił poważnie - że możemy przyznać, iż bezpiecznie przebrnęliśmy przez naszą pierwszą kłótnię.

- Czy to powód do radości?

- Tak, Diano, myślę, że tak. Być może, czegoś się dzisiaj nauczyłaś.

- Ja ? - spytała z oburzeniem. - A czegoż to?

~ Że nie pozwolę ci odejść z mojego życia z powodu jakiegoś tam nieporozumienia. Zapamiętaj to sobie.

Nie odpowiedziała. Dotknęła jego policzka nieświadomie łagodnym gestem. Zastanawiała się w głębi duszy, co musi się zdarzyć, by pozwolił jej odejść. Czy wystarczy, jeśli powie mu, że jest w ciąży?

Po kolacji Brandon i Robyn zajęli się grą planszową. Colby odczekał chwilę, po czym wziął Dianę za rękę i poprowadził w kierunku schodów.

- Dobranoc - rzucił im na odchodnym.

- Dobranoc - odrzekł Brandon, uśmiechając się do Diany.

Robyn bez słowa obrzuciła ich krótkim spojrzeniem. Tego dnia prawie się do nich nie odzywała.

- Myślę, że mnie nie lubi - zauważyła cicho Diana, gdy dotarli na górę.

- Nie przejmuj się. To ja mam powody do zmartwień.

Na samą myśl, że mogłaby zostać moją synową, przechodzą mi ciarki po grzbiecie.

- Odnoszę wrażenie, że Brandon zrezygnował z małżeństwa, ale Robyn nie ma ochoty czekać.

- Mam nadzieję, że nie popełni jakiegoś głupstwa. Na przykład, nie zajdzie w ciążę.

Diana nagle zamilkła. Zbyt późno zdał sobie sprawę z bezmyślności swojej uwagi. Oczywiście mogła ją wziąć do siebie. Jeśli jest w ciąży... Do diabła, kobiety to takie skomplikowane istoty!

Otworzył drzwi do sypialni i pchnął Dianę delikatnie do środka. Z zadowoleniem przyglądał się, jak wkracza w jego intymny świat. Oparty o drzwi napawał się jej bliskością, gdy wędrowała ciekawie od okna do komódki, to znów do łóżka.

- To w tym pokoju mieszkałeś, kiedy byłeś chłopcem? - spytała biorąc do ręki model corvetty, który kiedyś własnoręcznie skonstruował.

- Tak - skinął głową Colby.

- Trudno mi wyobrazić sobie ciebie jako dziecko - powiedziała, dokładnie oglądając model.

- Moim wielkim marzeniem, oczywiście poza ucieczką z Fulbrook Corners, była własna corvetta.

- Czy się spełniło?

- W ostatniej klasie szkoły średniej. Udało mi się ją kupić za pół darmo, po wypadku. Eddy pomagał mi doprowadzić ją do stanu używalności. Urzeczywistniała marzenie nastolatka. Czarna jak noc i szybka jak błyskawica. Byłem nie do pokonania na River Road. Stanowiła dumę i radość mojego życia.

- Co się z nią stało?

- Przez jakiś czas świetnie się bawiłem. - Wziął od niej model i przyglądał mu się z uśmiechem.

Wspominał.

W końcu wzruszył ramionami i odstawił samochodziak na półkę. - A potem się ożeniłem, urodził się Brandon, potrzebowałem pieniędzy na jedzenie, pieluchy, i tak dalej.

- Sprzedałeś więc swoją dumę i radość?

- Nie rób takiej smutnej miny - rzekł łagodnie Colby, siadając przy niej na łóżku. - To było dawno.

- A teraz masz jeepa?

- Lubię jeździć po bezdrożach. Upodobania mężczyzny zmieniają się z wiekiem. - Popchnął ją na poduszki i otoczył ramionami. - Nie wiem, czy doceniłbym cię, kiedy miałem dziewiętnaście lat. Za to teraz... - Całował ją powoli, z uczuciem, czekając cierpliwie na jej reakcję.

- Co teraz? - spytała ochryplym szeptem, gdy wreszcie oderwał wargi od jej ust.

- Teraz jestem starszy i mądrzejszy. I, niech to licho, naprawdę cię doceniam...

Pochylił głowę, by znów ją pocałować, a gdy rozchyliła zapraszająco wargi, wsunął kolano pomiędzy jej uda. Diana przycisnęła go z całej siły i uniosła biodra.

- Uwielbiam, jak się tak błyskawicznie rozgrzewasz. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- To ja tracę zmysły - wyszeptała, przytulając jego głowę do piersi. Odpięła bluzkę i zdjęła brzoskwiniowy stanik. - Nie potrafię się przy tobie opanować. Wiesz o tym, prawda?

Świadomość, że Diana go potrzebuje, pragnie, wydała mu się niemal nie do zniesienia. Całując delikatnie jej piersi, sięgnął ręką do suwaka swoich, a następnie jej dzinsów. Zrzucili spodnie i przyłgnęli do siebie z całej siły. Gdy Diana wsunęła dłoń pomiędzy ich rozgrzane ciała i zaczęła go intymnie pieścić, niemal stracił panowanie nad sobą. Potrafiła go doprowadzić do skrajnej wytrzymałości.

- Tutaj - wymamrotał, usiłując namacać w szufladzie szafki nocnej mały pakiecik. - Ty mi to włóż.

- Ja?

- Tak. Ja będę sobie po prostu leżał i czekał.

Roześmiała się cicho i uklękła obok niego. Zrozumiał, jak kolosalny błąd popełnił, gdy zdał sobie sprawę z jej intencji. Zamierzała celebrować tę prostą czynność w nieskończoność, doprowadzając go niemal do agonii.

Skończywszy wreszcie, Diana wyprostowała się i przyjrzała z zadowoleniem swemu dziełu.

- Leży jak ułan. Musisz przyznać, że nieźle mi poszło.

Colby uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

- Chodź tu i dokończ dzieła, ty mała wiedźmo.

- To jeszcze nie koniec? - drażniła się z nim.

- Zaledwie początek. - Wciągnął ją na siebie, przyciskając mocno jej biodra. - Teraz pokaż mi, co potrafisz.

Diana jęknęła z podniecenia, odrzucając głowę do tyłu. Poruszała się razem z nim, nadając rytm. Prowadziła jego dłonie wszędzie tam, gdzie pragnęła pieszczoty. Jej ciało przeżyło się w oczekiwaniu. Gdy rozchyliła wargi, szybko przyciągnął jej głowę do siebie i pocałunkiem stłumił ciche okrzyki rozkoszy. Bardzo to u niej lubił, wiedział jednak, że byłaby zakłopotana na myśl, że mogli je słyszeć Brandon i Robyn. Później leżeli przytuleni do siebie, wsłuchując się w swoje oddechy.

- Chciałbym, żeby każda kłótnia kończyła się w ten sposób - odezwał się wreszcie Colby.

- Zawsze twierdziłeś, że nie powinno się załatwiać sporów za pomocą seksu.

- My wyjaśniliśmy sobie wszystko przed pójściem do łóżka.

- Wyjaśniliśmy? My? - Diana wsparła się na łokciach i spojrzała na niego groźnie. - Poinformowałeś

mnie, że już nie jesteś na mnie zły i uważasz, że sprawa załatwiona?

- Hej, przecież cię przeprosiłem. Tak jakby...

- Owszem. Przyznałeś, że może ociupinkę się pomyliłeś i na tym koniec.

- Powiem ci coś w sekrecie, kochanie - dotknął czubka jej nosa palcem wskazującym. - To więcej, niż inni zdołali ze mnie kiedykolwiek wydusić.

- Nie lubisz się przyznawać, że zareagowałeś zbyt wybuchowo?

- Nie, ponieważ zwykle tego nie robię. Działa tak na mnie jedynie Fulbrook Corners i Margaret Fulbrook.

- To po co tu przyjechałeś?

- Przestań wreszcie zadawać mi w kółko to pytanie.

Mówiłem ci już sto razy. Mówmy o czymś innym, zanim znów wpadnę we wściekłość.

- O czym chciałbyś porozmawiać? - spytała, opierając skrzyżowane ramiona na jego piersi.

- O tym, że nie uwierzyłaś mi, że potrafię cię obronić przed tym kretyńskim dowcipnisiem. Chyba najwyższy czas, żebyś zaczęła mi ufać.

- Ufam ci - odrzekła poważnie. - Nie spałabym z tobą, gdyby tak nie było.

- Nie - pokręcił głową. - Kiedy się pokłóciliśmy, zaczęłaś się pakować i chciałaś wyjechać. To nazywasz zaufaniem?

- Myślałam, że wszystko między nami skończone.

Zaufanie dotyczy obu stron.

Colby milczał przez długą chwilę.

- To, że się na ciebie rozszłościłem, nie oznacza, że straciłem do ciebie zaufanie.

- Czyżby?

- Właśnie tak.

- Colby, dość kłótni na dzisiaj!

- Wiem, skarbie, wiem - powiedział z nagłą skruchą.

Głaskał ją przez chwilę po głowie, daleki jednak od zadowolenia. Sam nie wiedział, czemu stało się dla niego tak ważne, by przyznała mu prawo do opieki nad sobą.

Jak przełamać jej opór?

- O czym myślisz? - spytała Diana po długiej chwili.

- Powinnaś dawno spać. - Przygarnął ją do siebie bliżej.

- Ty też. Czemu nie możesz zasnąć?

- Myślę o tych cholernych kawałach.

- Masz jakiś nowy pomysł?

- Nie, ale chyba jutro pojedę do Gila Thorpa. Eddy nie potrafił mi pomóc, ale Gil może coś

wiedzieć. Zawsze umiał zdobywać informacje. - Colby uśmiechnął się ironicznie, biegnąc myślami w przeszłość.

- Kto to jest Gil Thorp?

- Był tutaj szeryfem dwadzieścia lat temu. Łączyły nas... sprzeczne interesy.

- To znaczy?

- To znaczy, że kiedy ja w swoich interesach udawałem się po północy na River Road, Gil Thorp za wszelką cenę starał się temu przeszkodzić. Nie podobało mu się też, że jeździłem po mieście dwa razy za szybko, że się biłem i trzymałem ze Spoonerem.

- Z twojego tonu nie wynika, żebyś go specjalnie nie lubił - zauważyła Diana.

- Fakt. Jak mówiłem, łączyły nas sprzeczne interesy, ale on zawsze grał fair, w przeciwieństwie do innych. Czasami, kiedy już przerwał wyścig i odesłał wszystkich do domu, siadywaliśmy w jego starym radiowozie i rozmawialiśmy. Potrafił wyciągnąć ze mnie rzeczy, o których nikomu nie mówiłem. To on namówił mnie na wojsko.

- W pewnym sensie zastąpił ci ojca, prawda?

- Nie byliśmy w bliskich stosunkach, ale zawsze służył mi radą, kiedy widział, że mogę wpakować się w kłopoty. Wiele mu zawdzięczam.

- Utrzymujesz z nim kontakt?

- Luźny. Kartki na Boże Narodzenie, od czasu do czasu list. Był niezłym gliniarzem, miał swoje sposoby uzyskiwania informacji. Pogadam z nim jutro.

- Colby, wciąż zastanawia mnie jedna rzecz. Przecież to mnie ktoś robi te kawały, a nie tobie.

- Kochanie, przecież mówiłem, że każdy, kto mnie zna, wykoncypuje natychmiast, że najłatwiej mnie dopaść przez ciebie.

- Nie jestem tego pewna.

Colby pochylił się, całując ją i myśląc, że Diana zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jaką ma nad nim władzę. Stanowiła jego słaby punkt. Może to i dobrze, że o tym nie wie? Kobiety zmieniają się w diablice, kiedy zaczynają uświadamiać sobie swą władzę nad mężczyznami. Zastanawiał się, czy i on staje się słabym punktem małej Amazonki, którą trzyma teraz w ramionach?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nazajutrz rano Diana nie miała nic do roboty. Colby pojechał na ranczo Thorpa. Brandon wybrał się z Robyn na spacer, zostawiając tym razem Spectera w domu. Około jedenastej Diana zaczęła się martwić, że nie zdąży wysłać listów do agencji pracy.

- Może przejdziemy się, Specter, weźmiemy z domu listy, a potem pojedziemy na pocztę?

Wygrzewający się na słońcu pies nie zareagował na propozycję spaceru zbyt dużym entuzjazmem, podniósł się jednak posłusznie i dołączył do niej. Piętnaście minut później Diana z lekkim niepokojem otworzyła drzwi swego domku. Obawiała się, czy podczas jej nieobecności ktoś nie splątał następnego figła.

- Colby pewnie się wścieknie, że przyszliśmy tu sami - poinformowała psa. - Ostatnio lubi odgrywać rolę naszego anioła stróża. Spectera najwyraźniej nie interesowało zdanie Colby'ego na ten temat. - Wbiegł do domu i skierował się prosto do kuchni. Diana znalazła go węszącego przy szafce, w której trzymała psie sucharki. Specter otrzymał swą porcję, po czym Diana przeszła do salonu. Powkładała oferty do kopert, zaadresowała je i pół godziny później była gotowa.

- Dobra, staruszkule, jedziemy do miasta. Jeśli do września nie uda mi się znaleźć dobrej pracy, wyląduję z powrotem w Carruthers & Yale.

Gdy wracała do domu ciotki Jesse, zbliżała się pora lunchu. Brandon i Robyn pewnie są głodni, a i Colby mógł już być w domu. Wjechała na podjazd i zaparkowała samochód. Specter natychmiast pobiegł w radosnych podskokach w kierunku Brandona, który siedział samotnie na werandzie.

- Zastanawiałem się, gdzie jesteś. Wybrałaś się pewnie do miasta? - spytał z uśmiechem.

- Tak. Gdzie reszta towarzystwa?

- Tata jeszcze nie wrócił, a Robyn poszła czytać do lasu. Chciała być sama. Niezbyt jej się podoba pomysł z odkładaniem małżeństwa. Poza tym nudzi się. Poprosiła, żebym ją odwiózł do Portland.

- W tych okolicznościach to chyba niezły pomysł.

Nagle uderzyło ją, że Robyn znowu nie ma. Zawsze znikwała akurat wtedy, kiedy nieproszony gość plątał figle w jej domu. Dziewczyna była niezadowolona i mogła uważać, że ma powody do

wyrównania rachunków z Dianą.

- Ja też tak sędę - powiedział Brandon, wstając z fotela. - Obiecałem, że jutro ją odwiozę. Zjesz coś?

- Chętnie, ale za chwilę. Chciałabym wskoczyć jeszcze do mojego domu. Hm... Brandon?

- Słucham?

- Nie wiesz przypadkiem, czy Robyn wciąż czyta „Szok”? - W tej samej chwili poczuła ochotę, by odgryźć sobie język. Brandon nie ustępował inteligencją ojcu. Stojący w drzwiach chłopak odwrócił się powoli i spojrzał na nią badawczo.

- Właśnie „Szok” wzięła ze sobą.

- Powinam sama wreszcie skończyć tę książkę. - Diana starała się mówić lekkim tonem. ~ Colby zaczyna już tracić cierpliwość. Wciąż mu powtarzam, że to jego wina, bo okropnie mnie straszy, wiem jednak, że to marna wymówka. Zaraz wrócę, Brandonie. Jeśli robisz kanapki z tuńczykiem, ja też się na nie piszę.

- Czemu nie weźmiesz samochodu, skoro się spieszysz? - spytał, podchodząc do schodów werandy.

- Spacer dobrze mi zrobi.

- Diano, zaczekaj, pójdę z tobą.

Odwróciła się do niego.

- Nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł.

- Ja również mam prawo wiedzieć, czy to sprawka Robyn - rzekł bez ogródek.

- Brandonie, chcę po prostu zabrać kilka rzeczy, których nie wzięłam wczoraj - powiedziała, patrząc na niego bezradnie. - Nie musisz iść ze mną.

- Chcesz sprawdzić, czy ktoś nie zrobił ci następnego kawału? A tym kimś może być Robyn. Czyta „Szok” już po raz drugi i wie, że ty również to czytasz.

Diana westchnęła z rezygnacją i ruszyła w kierunku swojego domku. Specter biegł blisko niej, wyczuwając napięcie.

- Nie sędę, by zdobyła się na coś takiego - odezwała się po chwili Diana. - Naprawdę.

- Nie jestem taki pewien - powiedział Brandon ze spokojem, który ją zaniepokoił. - Ma powód. Nie lubi cię. Według niej to przez ciebie zwlekam z małżeństwem.

- Uważaj, Brandon. Nie mów rzeczy, których mógłbyś potem żałować. - Dianie nie podobała się nutka cynizmu, którą po raz pierwszy usłyszała w jego głosie. Zbyttno przypominał jej swego ojca. Może jednak odrobina cynizmu jest nieunikniona w procesie dojrzewania. Szli dalej w milczeniu. Nagle, gdy dzieliło ich zaledwie kilka metrów od podjazdu, Specter postawił czujnie uszy i zaczął szczeleać. Wbiegł na ganek i węszył przy drzwiach frontowych.

- Ktoś tam jest - powiedziała Diana czując, że oblewa ją zimny pot.

- Specter merda ogonem - zauważył Brandon.

- Wobec tego musi znać tego kogoś - zmarszczyła brwi Diana.

- Może to tata. - Brandon wbiegł na ganek. Na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga. - Pewnie wstąpił po twoje rzeczy.

- Przecież nie ma tu jeepa ~ powiedziała Diana, wkładając klucz do zamka.

Tylne drzwi trzasnęły w chwili, gdy Specter rzucił się pędem przez korytarz. Wbiegł do kuchni, a za nim Diana, która nieoczekiwanie rozciągnęła się jak długa, poślizgnąwszy się na stercie śmieci, leżącej tuż przy drzwiach.

- Nic ci się nie stało? - spytał Brandon, przystając na chwilę.

- Nie. - Diana podniosła się, otrzepując spodnie z fusów kawy, obierek jarzyn i mokrych papierowych ręczników. - Wypuść szybko Spectera!

- Już! - Brandon otworzył tylne drzwi. Pies wystrzelił jak z procy, szczekając głośno. Za nim biegł Brandon, a na końcu Diana. Zdążyła zauważyć czyjąś sylwetkę, kryjącą się wśród drzew. Pies deptał intruzowi po piętach. Słyszeli z Brandonem jego ujadanie i trzask łamanych zarośli. Tajemniczy gość musiał wiedzieć, że nie zdoła uciec, toteż wbiegłszy w chwilę później na małą polankę, Diana i Brandon zastali Spectera siedzącego z wywieszonym jęzorem przy zalewającej się rzewnymi łzami Robyn.

- Robyn! - Brandon był autentycznie wstrząśnięty.

- Dlaczego...?

Robyn uniosła zapłakaną twarz i obrzuciła Dianę wzrokiem pełnym gniewu i nienawiści.

- To wszystko przez nią! Gdyby nie ona, ożeniłbyś się ze mną.

- Och, Robyn - szepnęła Diana.

- Wiedzieliśmy od początku, że twój ojciec nie zgodzi się na nasze małżeństwo. Mówiłeś, że mu się postawisz. Że nie pozwolisz, żeby tobą rządził. A on nagle przestał ci rozkazywać. Zaczął z tobą rozmawiać, a ty go słuchałeś! To ona mu powiedziała, jak cię urobić. Myśli, że jest cholernie sprytna.

- Chryste, Robyn! - Brandon był wyraźnie oburzony.

- Ty też jej słuchałeś! Uwierzyłeś w te gadki o niezależności kobiet. Powtarzałeś mi jej słowa! To wszystko przez nią!

- Dość tego, Robyn! - Brandon wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

- Nie dotykaj mnie, ty draniu! - zamachała rękami. - Kim ty, u diabła, jesteś? Nikim! Synem byłego robotnika budowlanego, który pisze marne horrory. Mój ojciec jest znacznie bogatszy od twojego. Skończył studia, należy do odpowiednich klubów, chodzą z mamą na przyjęcia, na których są same szychy z Portland. Moi rodzice mieli rację. Nie jesteś dla mnie odpowiednią partią.

- Uniknąłem o włos nieszczęścia - rzekł Brandon lodowatym tonem. - Wolę do końca życia zostać kawalerem, niż poślubić taką samolubną i złośliwą jędzę, która dopuszcza się takich obrzydliwych postępów! - Odwrócił się i ruszył w stronę domku Diany. - Idziemy. Spakujesz się i jeszcze dziś odwiozę cię do Portland.

- Brandon! Aleja cię kocham!

- Nieprawda - odparł spokojnie, zdumiewając Dianę swą dojrzałością. - Ty tylko chcesz znaleźć faceta, który się z tobą ożeni, żebyś mogła wynieść się z rodzinnego domu. Każdy będzie dobry. Gdybyś miała choć odrobinę rozumu, gdybyś choć trochę się szanowała, sama byś się wyprowadziła od rodziców. A ty ciągle chcesz, żeby ktoś się o ciebie troszczył. Znajdź sobie innego frajera!

- Brandon! - Gdy chłopak nie odpowiedział, Robyn odwróciła się z pasją do Diany. - To ty wszystko zepsułaś!

Diana impulsywnie podeszła do młodej kobiety i objęła ją. Robyn w pierwszej chwili szarpnęła się gwałtownie, potem jednak przytuliła się do jej ramienia i wybuchnęła płaczem. Kiedy wreszcie się uspokoiła, Diana podniosła głowę i dostrzegła Colby'ego, stojącego za nimi wśród drzew.

- Rozdział dwunasty „Szoku” - wyjaśnił Colby w godzinę później, gdy siedzieli z Dianą na werandzie, jedząc kanapki z tuńczykiem. - Donnelly wstaje w środku nocy i wpada na kopczyk ziemi ze świeżo wykopanego grobu. Robyn nie mogła znaleźć świeżego grobu, posłużyła się więc śmieciami.

- Nie dotarłam jeszcze do tego miejsca - przyznała Diana. - Wciąż jestem przy rozdziale dziesiątym. Biedna dziewczyna. Nie jest jej łatwo.

- To jej sprawa, nie nasza ani Brandona. Próbowwała go wykorzystać.

- Żeby uciec od rodziców, którzy wszystko jej narzucali.

- Każdy od czegoś ucieka. Musi upłynąć wiele czasu, zanim się nauczy, że jedynym sposobem ucieczki jest samodzielność. Nie można wykorzystywać innych, żeby wykonywali za nas brudną robotę.

- Chyba masz rację. Mimo wszystko jednak jest mi jej żal.

- Po tym, co ci zrobiła? Próbowwała cię śmiertelnie wystraszyć. Nie zasługuje na twoje współczucie.

- Potrafisz czasem być bezlitosny, Colby.

Popatrzył na nią gniewnym wzrokiem, odgryzając duży kęs kanapki.

- Nie każ mi się litować nad tą idiotką.

Diana postanowiła zmienić temat. Wiedziała, że syn znaczył dla Colby'ego nieporównanie więcej niż neurotyczna smarkula, która uważa, że małżeństwo stanowi przepustkę do wolności. Zastanawiała się przy okazji, jakie miejsce sama zajmuje w jego hierarchii lojalności. Musi się tego dowiedzieć, ponieważ spodziewała się, że wkrótce będzie zmuszona podjąć ważną decyzję.

- Brandon dziś wraca?

- Powiedział, że tak. Podrzuci tylko Robyn. Powinien tu być około siódmej.

- Jak się udała wizyta u Gila Thorpa?

- Może zaproszę go z żoną na kolację? Co ty na to?

- Świetnie - uśmiechnęła się Diana.

- Nic nie słyszał o tych kawałach.

- Jak miał słyszeć, skoro to sprawka Robyn? Nie znała w mieście nikogo.

- Taak...

Diana nachmurzyła się.

- Colby, czy coś jest nie w porządku?

- Już nie - pokręcił głową. - Irytuje mnie tylko, że uszło jej to wszystko na sucho.

- Ona z pewnością tak nie uważa. Bardzo chciała tego małżeństwa, a teraz straciła Brandona.

- Dzięki Bogu.

Brandon wrócił do domu trochę po siódmej. Colby rzucił jedno krótkie spojrzenie na strapioną twarz syna, po czym poszedł do kuchni i wyjął z lodówki karton z sześcioma puszkami piwa.

- Może chcesz posiedzieć trochę na werandzie?

Chłopak spojrzał na niego ze znużeniem i, skinąwszy głową, wstał z krzesła.

Diana usadowiła się wygodnie na kanapie i sięgnęła po „Szok”.

- Idźcie sobie - powiedziała wesoło. - Mam zamiar dokończyć tę książkę, nawet gdybym miała umrzeć ze strachu.

Colby uśmiechnął się do niej ciepło. Jak ona wszystko rozumie, pomyślał. Domyśliła się, że muszą porozmawiać z Brandonem w cztery oczy. Na werandzie owionęło ich rześkie powietrze, co jednak nie zniechęciło dwóch stuprocentowych mężczyzn, którzy w dodatku mieli pod ręką zapas piwa. Colby otworzył dwie puszki i podał jedną synowi.

- Bywają takie chwile w życiu mężczyzny, kiedy piwo jest najlepszym lekarstwem - powiedział.

- Uhm...

- Podróż do Portland nie należała do przyjemności, co?



- Tak, okropnie zraniłem Robyn.
- Ona ciebie też.
- Nie jest taka, jak myślałem - rzekł Brandon z zakłopotaniem. - Zawsze wydawała się taka miła i bezbronna. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłem, że ucieka z domu Diany. Ciekawe, jak Diana domyśliła się, że to Robyn?
- To bardzo inteligentna kobieta.
- Robyn obarczyła ją winą za wszystko. Ale to ja jestem winien, prawda?
- Nie - pokręcił głową Colby. - Ty po prostu zmieniłeś zdanie. Każdy ma do tego prawo. Jeszcze raz potwierdza to prawdę, że nie należy się spieszyć. Trzeba być naprawdę pewnym, czego się chce.
- Innymi słowy - skrzywił się Brandon - trzeba cholernie uważać, żeby nie zrobić dziewczynie dziecka, zanim człowiek nie ma pewności, że chce się z nią ożenić.
- Owszem - wzruszył ramionami Colby - ciąża raczej zamyka drogę odwrotu.
- Czy kiedykolwiek żałowałeś, że się urodziłem?
- Nie, do diabła! Ani przez chwilę. Jesteś najlepszą niespodzianką, jaką sprawił mi los. Gdyby nie ty, skończyłbym pewnie w więzieniu albo w ryszotku. Dzięki tobie nauczyłem się odpowiedzialności, miałem dla kogo pracować. Nie, nie żałuję, że się urodziłeś. Szkoda tylko, że nie stało się to nieco później, kiedy byłem starszy i mądrzejszy. A tak musiałeś mnie uczyć, jak być ojcem.
- Nie - odparł Brandon, pociągając łyk piwa. - Tego nie musiałem cię uczyć. Masz to we krwi. Aż żal, że jestem twoim jedynym dzieckiem. Marnuje się prawdziwy talent.
- Colby poczuł nagły przyływ ojcowskich uczuć.
- Dzięki, synku - powiedział lekko ochryłym głosem. - Myślę, że obaj nieźle się spisujemy, co? Naprawdę dobrze poradziłeś sobie z tą Robyn.
- Po pierwsze, nie powinienem był się w to pakować.
- Pozwól, że ci coś powiem - uśmiechnął się Colby.
- Jeśli chodzi o kobiety, nie ma łatwych sytuacji. Jeden problem goni następny.
- Zapamiętam to sobie. A przy okazji, chciałem ci powiedzieć, że Robyn nie groziło zajście w ciążę.
- Miło mi to słyszeć.
- Wcale nie dlatego że czegoś używałem. Po prostu ona uważała, że powinniśmy poczekać z tym do ślubu, - Czy chcesz mi przez to powiedzieć - spytał Colby, unosząc w zdziwieniu brwi - że fałszywie zinterpretowałem tę scenę, kiedy wychodziłeś rano z jej sypialni?
- Nie wypieram się, że byłem u niej, ale, jak by to powiedzieć, my tylko... udawaliśmy. Chciałem wymknąć się do mojego pokoju, zanim wrócisz do domu, ale, niestety, zasnąłem.
- Przykro mi, że tak na ciebie napadłem. - Colby przeczesał palcami włosy. - Ostatnio bez przerwy kogoś przeproszam. Najpierw Dianę, teraz znów ciebie.
- Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć, tato.
- Mianowicie?
- Gdy wracaliśmy do Portland, Robyn przysięgała na wszystkie świętości, że zrobiła Dianie tylko jeden kawał - ten ze śmieciami. Przyszło jej to do głowy, kiedy usłyszała o poprzednich.
- Wierzysz jej? - spytał Colby.
- Wiem, że trudno jej wierzyć - rzekł Brandon po namyśle - po tym, jak narozrabiała. Odnoszę jednak wrażenie, że tym razem mówiła prawdę.
- Trudna sprawa - zamyślił się Colby.
- Myślisz, że powinniśmy powiedzieć Dianie?

- Nie, ma dość własnych problemów.

- Jakich? - spytał ciekawie Brandon.

- Czekam, aż sama mi powie.

Nie mogła czekać dłużej. Była pewna. Nie dlatego, że miesięczka spóźniła się już kilka dni - po prostu to czuła. Z jakiegoś powodu miała głęboką, choć irracjonalną pewność, że jest w ciąży. Patrzyła w swój kalendarzyk i cyfry zamazywały się jej przed oczami.

- Nie musisz liczyć dni na wakacjach, kochanie. - Colby podszedł do niej z tyłu i otoczył ramionami, wyjmując z ręcznika kalendarzyk z jej palców. - A może dzieje się coś ważnego, o czym nie wiem?

- Coś ważnego? - powtórzyła nerwowo. Tak, była bardziej zdenerwowana niż na wstępnej rozmowie w sprawie pracy.

- Czy przegapiłem twoje urodziny? - Uśmiechnął się szelmowsko. - Nie martw się, mogę ci błyskawicznie załatwić wspaniały prezent.

- Moje urodziny są dopiero w listopadzie.

- Nie szkodzi, możemy wcześniej rozpakować prezent.

- Miałeś od rana pisać.

- Popracowałem całkiem nieźle - powiedział, chwytając zębami jej ucho, - Należy mi się trochę wytchnienia. Potem będzie mi lepiej szło.

- Colby - rzekła z bardzo poważną miną Diana.

- Przecież ja nawet nie wiem, kiedy są twoje urodziny!

- Drugiego września. Czy to taki problem?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale nie wiemy o sobie jeszcze tylu rzeczy.

- Jesteśmy pojętnymi uczniami.

Diana wzięła głęboki oddech, niczym przed skokiem do wody. Musi podjąć decyzję.

- Colby, weźmy trochę jedzenia i pojedźmy nad wodospad.

- Jestem gotów. Pisać arcydzieła można o każdej porze. Przygotuję kanapki i wezmę inne niezbędne rzeczy, które zawsze przydają się nam nad wodospadem. - Łypnął na nią pożądlawie i wbiegł po schodach do sypialni, Diana powiodła za nim spojrzeniem z uczuciem smutku. Zastanawiała się, czy w ogóle pamiętał tę noc, kiedy to zapomnieli o „niezbędnych rzeczach?” Nigdy nie wspomniał nawet słowem o tym, co się wtedy zdarzyło.

A jeśli wszystkiego się wyprze? A jeśli naprawdę nie pamięta, że kochał się z nią wtedy bez żadnego zabezpieczenia? A jeśli pamięta, ale nie zechce uwierzyć, że miała takiego straszego pecha? A jeśli nie poczuje się współodpowiedzialny? Te wszystkie „a jeśli” spędzały jej ostatnio sen z powiek. Wiedziała, że Colby zauważył jej niepokój i z troską, mimo iż starała się je ukryć. Raz czy dwa spytał, czy wszystko w porządku, poddał się jednak, gdy wciąż odpowiadała, że tak.

- Pamiętaj, że Gil przychodzi dziś z żoną na kolację - powiedział Colby, schodząc ze schodów. - Musimy wstąpić później po zakupy do miasta. Myślę, że polubisz Thorpa. To twardy facet. Zawsze wali prawdę prosto w oczy. Evelyn jest jego drugą żoną. Nie znam jej dobrze, ale wydaje się miła...

- Colby przerwał nagle. - Dobrze się czujesz, kochanie? Diana pośpiesznie skinęła głową i weszła do kuchni.

- Świetnie. Chodź, zrobimy wreszcie te kanapki.

Czterdzieści minut później byli już na szczycie góry.

Diana natychmiast dała Specterowi garść jego ulubionych sucharków. Połknął je łapczywie, po czym pobiegł myszkować w pobliskim zagajniku. Colby tymczasem wziął się za rozkładanie koca.

- Jeśli nabierasz zwyczaju uwodzenia mnie na świeżym powietrzu, moglibyśmy zainwestować w dmuchany materac - zauważył, rozłożywszy wreszcie koc na niewielkim spłachetku trawy pomiędzy dwoma potężnymi głazami. - Albo musisz obiecać, że będziesz zawsze na dole. Czterdziestoletni mężczyzna zaczyna zauważać, że kamienie uwierają go w plecy.

- Jestem wstrząśnięta. - Diana uśmiechnęła się z przymusem, rozpakowując kanapki. - A gdzie odrobina romantyzmu?

- Tam, gdzie zawsze. W dzinsach. - Usiadł obok niej i sięgnął po kanapkę. - Rozumiem, że najpierw chcesz coś zjeść?

- Mówiąc prawdę - powiedziała, ściskając z całej siły kanapkę - najpierw wolałabym porozmawiać.

- Jeśli się nie rozluźnisz, zostawisz zęby w tej kanapce - rzekł Colby ze zdumiewającą łagodnością. Przechylił się i wyjął chleb z ręki Diany, wpatrując się w nią badawczo. Żartobliwe tony zniknęły z jego głosu. - Zamieniam się w słuch.

Przyglądała mu się przez długą chwilę, po czym powiodła niewidzącym spojrzeniem po okolicy. Bezwiednie objęła kolana ramionami.

- Colby, mamy problem.

- My?

- Może w tych okolicznościach powinnam raczej powiedzieć, że to ja mam problem - poprawiła się, zamykając oczy i czując, jak ogarniają chłód. - Jestem w ciąży.

- A więc o to chodzi! - Odgryzł duży kęs swojej kanapki i przeżuwał ze smakiem. - To dlatego zachowujesz się ostatnio tak, jak gdybyś stąpała po polu minowym.

Słyszając jego beznamiętny ton, Diana pomyślała, że za chwilę straci panowanie nad sobą i wybuchnie płaczem. Nic go to nie obchodzi, ponieważ nie uważa jej ciąży za swój problem. Popelniła wielki błąd. Niepotrzebnie mu o tym mówiła. Powinna była jak zwykle sama rozwiązać swoje problemy. Zawsze wiedziała, że kobieta może liczyć wyłącznie na siebie. Czemu pod wpływem Colby'ego dopuściła myśl, że od tej reguły istnieją wyjątki?

- To się stało tamtej nocy w jaskini, prawda? - spytał Colby z pełnymi ustami.

- Tak. Sądziłam, że - nie pamiętasz. Nigdy nie wspomniałeś na ten temat nawet słowem. - Diana nie patrzyła na niego. Z trudem panowała nad głosem. Najchętniej uciekłaby, gdzie pieprz rośnie, nie była jednak w stanie się ruszyć. Czuła ściskanie w dołku. Ręce miała wilgotne od potu. Nie mogła przełknąć nawet kęsa swego lunchu.

~ Nie wspomniałem, ponieważ to ty nabrałaś wody w usta. Nie miałem pewności, czy pamiętasz. Wydawało mi się, że napomknęłabyś o tym, gdybyś chciała. Byliśmy wtedy bardzo nieostrożni.

- Tak. - Przynajmniej był na tyle wielkoduszny, by przyznać, że wina była obopólna.

- Mało brakowało, a w ogóle nie powiedziałabyś mi o dziecku. - Colby w zamyśleniu kończył kanapkę.

- Swoim zwyczajem dusiłaś w sobie strach i problemy.

Powiedz mi, Dianio, dlaczego to właśnie dziś zdecydowałaś jednak podzielić się ze mną tą nowiną?

- Nie było sensu dłużej zwlekać. Jestem pewna, choć nie robiłam testu. Muszę podjąć jakieś decyzje i chciałam przedtem wiedzieć, co sądzisz o tej... hmm... sytuacji.

- Miło mi, że uwzględniłaś mnie pani w procesie podejmowania decyzji, pani kierowniczo.

Zadrżała, słysząc ostre tony w jego głosie. Rzuciła mu nerwowe spojrzenie, nie potrafiąc rozszyfrować jego nastroju. Chłodny wzrok Colby'ego zdawał się penetrować jej duszę.

- Bardzo mi przykro - rzekła bezradnie.

- Tak, mnie również. Przykro mi, że potrzebowałaś aż tyle czasu, żeby mi o tym powiedzieć. Przykro mi, że znowu zamierzałaś wziąć cały ciężar na swoje barki. Przykro mi, że nie przyspiliłem cię wcześniej i nie wyciągnąłem z ciebie prawdy. Wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Nie powinienem był zwlekać tak długo. Wyraźnie muszę nauczyć się o tobie jeszcze wielu rzeczy, Diano. Zaczynał w niej zbierać gniew.

- Przepraszam, że nie załatwiłam tej sprawy po twojemu, ale nie mam w tej dziedzinie zbytniego doświadczenia. Odchodziłam od zmysłów, próbując znaleźć jakieś wyjście.

- Czy naprawdę tak trudno było po prostu przyjść do mnie i powiedzieć?

- Niech cię diabli, Colby! - Diana odgarnęła z czoła rozwichrzone przez wiatr włosy i wlepiła weń gniewne spojrzenie. - Nie byłam pewna, czy chcesz o tym wiedzieć. Cały czas mówiliśmy tylko o letniej przygodzie.

- O Chryste! Tylko nie to! To ty zawsze mówiłaś o naszym związku jako o czymś niezmiernie krótkotrwałym. Ja ci powtarzałem setki razy, że to bezsens wyznaczać sobie jakieś terminy!

- Colby, może to dla ciebie niepojęte, ale ja muszę wszystko planować. A jak to robić bez dat? Poza tym, nie mam zielonego pojęcia o wychowywaniu dzieci.

- Na twoje szczęście, ja mam.

Nie spuszczała z niego wzroku. Poczowała, że resztki chłodu opuszczają jej ciało.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co słyszysz. - Zaczął myszkować w koszyku w poszukiwaniu następnej kanapki. - Jestem ekspertem w sprawie dzieci, już zapomniłaś? Chcesz kanapkę z serem czy z jajkiem?

- Colby, przestań wyglupiać się z kanapkami i wyjaśnij mi, co miałeś na myśli.

- To, co powiedziałem. Zaufaj mi. Wiem, co robię.

~ Bardzo bym chciała.

- Spokojnie, skarbie. Podejmiemy pierwszy krok we właściwym czasie.

- Jaki krok? - spytała Diana, badając wzrokiem jego twarz.

- Bardzo prosty. Pobierzemy się.

Przez chwilę siedziała jak skamieniała.

- Wiedziałam - wyszeptała w końcu. - W głębi duszy wiedziałam, że jesteś inny. Nigdy nie uchyliłbyś się od odpowiedzialności. Dziękuję ci, Colby. Nie potrafię nawet wyrazić, ile znaczy dla mnie twoja propozycja. - Otarła dłonią łzy. - Nie mogę jednak wyjść za ciebie.

- Guzik prawda!

Rzuciła mu się w ramiona, nie mogąc powstrzymać płynących strumieniem łez.

- Czy ty nic nie rozumiesz? To nie byłoby w porządku! Posłuchaj, Colby, naprawdę dużo o tym myślałam.

- Znając cię, jestem pewien, że myślałaś nawet zbyt dużo. Masz tendencję do zbyt drobiazgowego analizowania sytuacji. - Przytulił ją do siebie mocno. - Ta sytuacja nie jest skomplikowana, Diano. Nie próbuj sama jej komplikować. Ukryła twarz na jego piersi, zaciskając palce na materiale koszuli.

- Nie może się powtórzyć historia sprzed dwudziestu lat. Sam powiedziałeś, że jeden raz w zupełności wystarczy. To nie fair.

- Moja słodka, uparta, mała Amazonka - wyszeptał Colby z ustami w jej włosach. - Historia nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o ciebie i o mnie. Będziemy mieli dziecko. To oznacza, że się pobierzemy.

O zachodzie ostatnie promienie słońca rzuciły znów swe czary na wodospad, znacząc go złotem i purpurą. Colby pomyślał, że nigdy dotąd opadająca w kaskadach woda nie przypominała bardziej

krwi. Ogarnęło go dziwne poczucie spełnienia. Po raz pierwszy, odkąd wrócił do Fulbrook Corners, czuł, że wreszcie zrealizuje to, co go tu podświadomie sprowadziło. Pomyślał z rozbawieniem, że, poruszony myślą o przyszłym ojcostwie, pozwala, by wyobraźnia płatała mu figle. Miał niesamowite wrażenie, że trzyma w swoich dłoniach zarazem przeszłość i przyszłość, a spinającym je ogniwem jest Diana.

## CZĘŚĆ II

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Gil, poznaj Dianę Prentice. Dianę, to Gil Thorp i jego żona, Evelyn.

- Dobry wieczór państwu - powitała ich Diana uprzejmie. Uśmiechała się do gości, lecz jej orzechowe oczy były przygaszone. Thorpowie mieli około sześćdziesiątki, ubrani byli starannie i zachowywali się przyjaźnie. - Colby wiele mi o państwie opowiadał.

- No, bo i jest o czym - Gil Thorp roześmiał się, ujmując dłoń Diany. - A pamiętał przynajmniej, że te dwadzieścia lat temu to ja byłem tym dobrym facetem w białym kapeluszu, a on największym łobuzem w mieście? Czy też może przedstawił się w lepszym świetle?

- Wspominał, że kiedy chodził do szkoły, pan był szeryfem Fulbrook Corners. Podobno łączyły was, by tak rzec, sprzeczne interesy.

- Sprzeczne interesy? - gęste, siwe brwi podjechały wysoko na czoło. - Bardzo ciekawe sformułowanie. - Gil zwrócił się do żony: - Nie pamiętam już, ile razy budził mnie w środku nocy telefon i dowiadywałem się, że młody Savagar znów ściga się z kolegami po River Road.

A kiedy zaczął jeździć tą czarną corvetta, zarywałem chyba noc po nocy.

- Nie miałeś wtedy nic lepszego do roboty - stwierdził sucho Colby. - Byłeś kawalerem.

- To prawda. - Gil uśmiechnął się lekko. - Ale od tego czasu minęło dwadzieścia lat i choć pewnie wydawałem ci się wtedy stary, to jeszcze nie wszystko miałem za sobą. Właściwie byłem młodszy niż ty teraz. Dalej jesteś kawalerem, ale założę się, że nie wszystkie noce spędzasz sam. Colby dostrzegł cień rumieńca na policzkach Diany, ale nie przejął się jej reakcją.

- Rany, Gil, gdybym tylko wiedział, że wyścigi akurat w tym ci przeszkadzają... - ...to urządziłbyś ich dwa razy więcej - skończył za niego Thorp.

Evelyn uśmiechnęła się do gospodyni.

- Na twoim miejscu, kochanie, nie przejmowałabym się tym, co mężczyźni opowiadają o swojej przeszłości. Straszliwie koloryzują!

- Postaram się zapamiętać. - Diana znów uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Może usiądziesz, Evelyn?

Gdybym był wrażliwym, wyczulonym na niuanse, wyrozumiałym, prawdziwie nowoczesnym mężczyzną, pomyślał Colby, zapewne zdołałbym wykrzesać z siebie więcej współczucia dla Diany. To oczywiste, że jest zdenerwowana. Wręcz przerażona. Wydało mu się to nawet zabawne, wiedział bowiem, że wiele trzeba, by ją przestraszyć. Bardzo często nazywał ją w myślach swą Amazonką.

Lecz choć nie okazywał tego po sobie, doskonale wiedział, że Diana ma powody do obaw. W końcu jest trzydziestoczteroletnią, samotną kobietą, która całe życie poświęciła pracy. Z pewnością ostatnią rzeczą, którą w tym momencie planowała lub której mogła się spodziewać, było dziecko. I oto dziś musiała stawić czoło rzeczywistości: jest w ciąży.

Colby przeżywał ciężkie chwile, starając się zdobyć na współczucie, zrozumienie i temu podobne atrybuty współczesnego mężczyzny, ponieważ to on był ojcem.

I nie w tym rzecz, że chciał zachować swoje uczucia dla siebie. Po prostu odkrył, że sytuacja raczej mu odpowiada. Dziwne, ale Diana wcale go nie zaskoczyła. Jakimś szóstym zmysłem dawno odgadł, że tam, w jaskini, nie mogło się zdarzyć nic innego.

Doszedł do wniosku, że to nieokiełznany, prymitywny, zachłanny, szowinistyczny pierwiastek męskości zawarty w jego genach sprawia, że doświadcza teraz niemal euforycznej radości. Gdyby Diana wiedziała, o czym właśnie myśli, z pewnością wydrapałaby mu oczy.

Przecież on nie planował tego, by zaszła w ciążę. Ma wszak dziewiętnastoletniego syna i, jak często powtarzał Diane, wypełnił już swe ojcowskie obowiązki. Teraz jednak, gdy nie planowana ciąża stała się rzeczywistością, stwierdził, że sobie poradzi. Nie był natomiast pewien, czy poradzi sobie z tym Diana. Nadal wydawała się oszołomiona.

- Siadajcie, proszę - powiedział swobodnym tonem, wskazując dwa mocno zniszczone fotele. - Evelyn, co ci podać?

- Kieliszek białego wina - odpowiedziała z uśmiechem, siadając obok męża.

- Dla mnie whisky - dodał Gil. Usiadł na ciężkim fotelu z wypłowiałym obiciem. Rozejrzał się uważnie po ascetycznym, zaniedbanym wnętrzu piętrowego domu.

- Nic się tu nie zmieniło.

- Nie zajmowałem się domem po śmierci ciotki - stwierdził Colby, przygotowując drinki. - Zwróciłem się do agencji Larry'ego Brocktona i poprosiłem go, żeby wynajmował ten dom. Miał opędzać tylko najpilniejsze wydatki.

- I wcale nie spieszyło ci się do Fulbrook Corners.

Nie tęskniłeś za domem. ~ Gil uśmiechnął się przebiegle. - Wyniosłeś się z miasteczka przed dwudziestu laty i wróciłeś dopiero teraz. Dlaczego? Colby stwierdził, że pytanie to zaczyna go nużyć.

- Jakoś ostatnio ludzie strasznie się tym interesują - odparł, obrzucając złośliwym spojrzeniem Dianę, która zadawała mu to pytanie najczęściej. - Odpowiedź jest bardzo prosta. Szukałem spokojnego miejsca, żeby skończyć książkę. Powinienem też zrobić coś z tym domem. Sądzę, że na jesieni każę Brocktonowi go sprzedać.

Gil skinął głową, ale nie sprawiał wrażenia przekonanego. Z uśmiechem odwrócił się do Diany.

- A ty przyjechałaś do tego cichego zakątka Oregonu na wakacje, prawda?

Diana obrzuciła Colby'ego nieodgadnionym spojrzeniem, potem zwróciła się do Gila i przytaknęła.

- Prawda - powiedziała. - Wzięłam urlop bezpłatny. Pracuję w firmie Carruthers & Yale w Portland. Harowałam dla nich przez cztery lata i nie miałam zbyt wiele czasu dla siebie, więc pomyślałam, że na lato mogę wziąć sobie wolne.

- A czym się zajmujesz? - zainteresowała się Evelyn.

- Znam się na księgowości i administracji. Pracowałam w biurze zarządu oddziału.

- Colby wiedział, że za jej beznamiętnymi słowami kryje się gniew. Przecież gotowa była zrezygnować z pracy, kiedy na własnej skórze odczuła, że jej szefowie nie zamierzają awansować kobiet na wyższe stanowiska kierownicze.

Dla kobiety, która przez całe życie interesowała się przede wszystkim karierą zawodową, zetknięcie się z tak oczywistym przypadkiem dyskryminacji musiało być szokiem.

Lecz teraz Diana spodziewa się dziecka, powiedział sobie Colby. Więc lepiej niech zrozumie jak najszybciej, że w życiu istnieją inne ważne sprawy, nie tylko kariera. Dwadzieścia lat temu, gdy odkrył, że w wieku dziewiętnastu lat ma zostać ojcem, przekonał się o tym bardzo boleśnie. Dzieci radykalnie zmieniają wszystkie hierarchie ważności.

- Proszę, Evelyn - podał pani Thorpe kieliszek wina, a Dianie szklanek wody mineralnej. - Diana zamierzała znaleźć sobie na jesieni nową pracę - ciągnął - ale ostatnio musiała nieco zmienić plany. Pobieramy się.

Diana obróciła się gwałtownie, patrząc na niego z niedowierzaniem. Jej piękne, turkusowe, złote i zielone oczy błyszczały.

- Gratulacje! - Evelyn najwyraźniej nie dostrzegła jej zdumienia lub może była zbyt uprzejma, by to okazać.

- Cudownie!

- Dobra robota, Savagar - Gil uśmiechnął się przyjaźnie, podnosząc szklaneczkę whisky takim gestem, jakby wznosił toast. - Jedno muszę ci przyznać - postępujesz znacznie rozsądniej niż za pierwszym razem.

- Miałem dwadzieścia lat, żeby się nauczyć rozsądku - odparł Colby spokojnie.

- Proszę mi wybaczyć, powinnam sprawdzić, co z kolacją. - Diana poderwała się na równe nogi tak niezdarnie, że przewróciła szklanekę. - A niech to - mruknęła, beznadziejnie walcząc z kałużą wody małą serwetką koktajlową.

Specter, jej wielki, łaciaty pies natychmiast podszedł sprawdzić, czy przypadkiem nie rozlało się coś smacznego.

- Z drogi, potworze - rozkazał mu Colby i, jak zwykle, został zignorowany. - Ja się tym zajmę, Diano. Ty sprawdź, co z kolacją.

Skinęła głową uśmiechając się do Thorpów przeproszająco i zniknęła w kuchni.

- Co jej jest? - spytała zaniepokojona Evelyn,

- Denerwuje się małżeństwem - odparł Colby cicho, jakby zdradzał im jakiś sekret. - Nigdy nie miała męża i moim zdaniem doszła do wniosku, że trudno jej będzie się do tego przyzwyczaić. Zdaje się, że dziś po południu praktycznie zmusiłem ją do podjęcia decyzji.

- Zawsze miałeś skłonność do rządzenia i stawiania na swoim - zauważył Gil. - Co cię skłoniło do małżeństwa po dwudziestu latach samotnego wychowywania syna?

Colby zawahał się i naraz uśmiechnął szeroko.

- Pomyślałem, że nieźle byłoby po raz drugi zostać ojcem.

Evelyn zamrugła powiekami ze zdumienia.

- Ach, czyżbyś miał zamiar znów założyć rodzinę?

- Tak, i to jak najszybciej - odparł, wycierając niewielką kałużę wody. Z kuchni dobiegł go jakiś hałas. Diana upuściła patelnię. A więc musiała usłyszeć jego słowa. - Diana ma trzydzieści cztery lata. Najważniejszy jest teraz zegar biologiczny. Nie możemy czekać zbyt długo.

- Cóż, z tego co wiem, z chłopakiem poszło ci doskonale - stwierdził Gil. - Słyszałem, że spotkał się z Margaret Fulbrook?

- Był wtedy z Dianą, To ta stara wiedźma doprowadziła do spotkania. Zdenerwowałem się, kiedy się o rym dowiedziałem. Ale może i dobrze się stało? Czy tego chcę, czy nie, to w końcu babka Brandona. Chyba ma prawo się z nim spotkać.

- Słyszałem, jak na pogrzebie Cynthii powiedziała, że nie chce więcej widzieć ani ciebie, ani dziecka. Ze nie dostaniesz od niej ani centa. - Gil przerwał, zamyślony. Wypił odrobinę whisky. - Stałeś przy grobie, na deszczu, spokojny i wyniosły jak sam władca piekieł. Pamiętam, że trzymałeś na rękach dziecko i powiedziałeś Margaret Fulbrook, żeby poszła do diabła, że sami sobie z Brandonem poradzicie. Wszyscy na pogrzebie to słyszeli. Gadali o tym później całymi miesiącami.

Nikt nigdy nie odważył się powiedzieć nikomu z Fulbrooków, żeby poszedł do diabła.

- Jakie to straszne - szepnęła Evelyn. Sprawiała wrażenie zdumionej i przerażonej zarazem. - Kazać ci wynosić się z dzieckiem, kiedy sam byłeś jeszcze chłopcem.

- Kiedyś musiałem dorosnąć. - Colby wzruszył ramionami.

- I wiesz co? - dodał cicho Gil. - Tam, na pogrzebie Cynthii, doszedłem do wniosku, że dasz sobie radę. Zawsze wiedziałem, że się przebijesz, ale tego dnia nabrałem pewności, że ci się uda.

- Ludzie się zmieniają - powiedziała zamyślona Evelyn. - Nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś mi powiedział, że Margaret Fulbrook nie raz żałowała swoich słów.

- Nie wszyscy się jednak zmieniają - stwierdził Colby. - Harry jest jaki był.

- Harry Gedge? Ten chłopak do wszystkiego? - Evelyn spojrzała na Colby'ego pytająco.

- Tak, właśnie on.

- Niezbyt miły z niego człowiek, prawda? Ciekawe, dlaczego Margaret Fulbrook go trzyma?

- Bo spełnia jej polecenia, nie zadając pytań - wyjaśnił żonie Gil. - W Fulbrook Corners niewielu już pozostało ludzi, którzy słuchają jej tak, jak Harry.

- Ale dlaczego on poświęcił życie tej kobiecie? - Evelyn był autentycznie zdziwiona.

- Moim zdaniem, spodziewa się jakichś pieniędzy po śmierci chlebobawczyni. - Gil zakręcił szklanką z resztką whisky. - Nie ma już spadkobierców fortuny Fulbrooków. Oczywiście, z wyjątkiem ich fundacji na rzecz szpitala. Cynthia była ostatnia. Margaret nie może już żyć bez Harry'ego, a jemu w to graj.

- A Brandon? - spytała z wyraźnym zainteresowaniem. - Syn Colby'ego jest wnukiem Margaret.

- Dawno temu dała nam jasno do zrozumienia, że Brandon nie dostanie ani grosza - wyjaśnił Colby. - Co mi całkowicie odpowiada. Przez dziewiętnaście lat nie przyjmowała do wiadomości, że ma wnuka. I niech tak zostanie.

- Tu, w Fulbrook Corners, w ciągu tych dwudziestu lat zmieniło się prawie wszystko - odezwał się Gil.

- Margaret Fulbrook także.

- Akurat!

- Długo cię tu nie było, Colby. Evelyn ma rację.

Świat się zmienia. I ludzie się zmieniają.

- Może...

Ale Colby nie wierzył, by w Fulbrook Corners cokolwiek mogło się kiedykolwiek zmienić. Nie chciał się jednak pokłócić z dwojgiem spośród tych nielicznych przyjaciół, którzy pozostali mu z młodości.

- Wybaczcie na chwilę - dodał. - Sprawdzę, jak sobie radzi Diana. Zaraz wracam.

Stała przy kuchennym stole i kroїła pomidory. Była napięta i niespokojna. Wiedział, że słyszała toczącą się w dużym pokoju rozmowę. Podeszedł, objął ją i delikatnie wyjął jej z ręki nóż.

- Spokojnie, skarbie. Jeśli nie zwolnisz choć trochę, nie będziesz miała na czym robić sobie manikiuru.

- Colby, nie mogę wrócić do gości!

- Nie bądź niemądra - powiedział ciepło. Obejmując ją, dokończył krajania pomidorów. - Oczywiście, że możesz. I oczywiście wrócisz.

- Dowiedzą się wszystkiego - chlipnęła cicho. - Prędzej czy później wszyscy się dowiedzą!

- Czego?



- Że historia się powtórzyła. Że żenisz się ze mną, bo przypadkiem zaszłam w ciążę! Wkrótce całe Fulbrook Corners będzie o nas plotkować. Jak mogłeś powiedzieć Evelyn, że chcesz dziecka! Z pewnością już się wszystkiego domyśliła.

Colby przerwał jej mocnym pocałunkiem.

- Ciii. Słuchaj i postaraj się zrozumieć. Po pierwsze, oboje wyjedziemy stąd na długo przedtem, nim ktokolwiek domyśli się, że jesteś w ciąży. Przyjechaliśmy na lato, pamiętasz? Za kilka tygodni już nas tu nie będzie. Po drugie, jesteś dojrzałą kobietą, a nie osiemnastoletnią dziewczyną. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zaczęła zachowywać się jak dorosła. Nie pozwolę ci chować się w kuchni.

- Wcale się nie chowam!

Nie pragnął kłótni.

- Po trzecie, Thorpowie to dobrzy ludzie. Nie będą plotkować. Po czwarte, co cię być może zaskoczy, ale gdybyśmy im dziś oznajmili, że spodziewasz się dziecka, założyliby po prostu, że tak to sobie zaplanowaliśmy. Przecież jesteśmy dorośli i wiemy, co robimy! Diana spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

- Chodzi ci o to, że w naszym wieku nie popełnia się na ogół takich błędów?

- Dokładnie.

- Ale przecież my popełniliśmy błąd! Poniosło nas tam, w Jaskini Spętanej. Ryzykowaliśmy bezmyślnie. Jak dwoje głupich nastolatków.

Colby odłożył nóż i obrócił ją ku sobie. Ujął jej twarz w dłonie.

- Nie nazywaj tego błędem. Czy ty mnie słyszysz, Diano? Nie życzę sobie, byś w przyszłości nazywała to, co zdarzyło się w jaskini „błędem”, „przypadkiem”, czy „pomyłką”. Jesteś w ciąży, bierzemy ślub, to wszystko! Nie ma sensu marnować czasu, zastanawiając się, co by było, gdyby. Prawda?

Diana przymknęła oczy, wzdychając głęboko.

- Masz rację. - Głos miała schrypnięty i nieco drżący, ale wyraźnie starała się opanować. - Nie ma sensu patrzeć w przeszłość. Co się stało, to się nie odstanie.

- A przy okazji, mogłabyś także przestać robić z tego tragedię - zauważył trzeźwo. - Nie jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, i z pewnością nie ostatnimi.

- Och, jakie to pocieszające! - odparła ostro, odzyskując swój żywy temperament.

Colby uśmiechnął się złośliwie.

- Sądziłem, że docenisz walory obiektywnej oceny sytuacji. Pamiętaj, nie jesteś sama. Bez przerwy powtarzam ci, że wiem, co robię. Zajmę się wszystkim. Po prostu zostaw to mnie!

Diana opuściła wzrok, z namysłem przyglądając się guzikom jego koszuli.

- Nie podziękowałam ci za to, że poprosiłeś mnie o rękę - powiedziała cicho.

- Zapewne dlatego, że wcale nie prosiłem cię o rękę.

O ile dobrze pamiętam, powiedziałem tylko, że weźmiemy ślub. Nie padłem na kolana błagając, żebyś została moją żoną.

Podniosła wzrok na jego twarz. Oczy miała zamglone.

- To prawda, ale mimo wszystko zachowałeś się bardzo, bardzo szlachetnie i chęć, żebyś wiedział, że doceniam twoją rycerskość. Nie wyobrażam sobie, by inny mężczyzna postąpił tak w podobnym wypadku. Jej wyraźna wdzięczność zirytowała Colby'ego.

- Żaden inny mężczyzna nie zachowałby się podobnie, ponieważ dziecko, które w sobie nosisz, nie należy do żadnego innego mężczyzny, lecz do mnie. Jest moje. Nasze! Więc przejdziemy przez to razem. A teraz przestań zamartwiać się ciążą i zajmij się ryżem. Diana szeroko otworzyła oczy. Głęboko wciągnęła powietrze.

- O Boże! Ryż! - krzyknęła, wyrwała się z objęć Colby'ego i pobiegła w stronę staroświeckiego piecyka.

- Zawiadomię gości, że możemy siadać do kolacji. - Colby ruszył w kierunku dużego pokoju pewien, że teraz Diana zajmie się już wyłącznie przygotowaniem kolacji. Jak na spokojną, chłodną, pewną siebie specjalistkę cenioną w świecie wielkich interesów, dość ciężko szło jej z przyjęciem do wiadomości tego, czego nie można zmienić.

On zaś, im więcej myślał o tym, co się zdarzyło, tym bardziej uważał to za słuszne i nieuniknione. A poza tym Diana będzie ślicznie wyglądać w ciąży! W dodatku, powiedział sobie z uśmiechem, miło będzie mieć tym razem dziewczynkę. Dziesięć minut później gospodarze i goście siedzieli już przy dębowym, zniszczonym stole kuchennym. Rozmowa zesłała na bezpieczniejsze tematy. Colby poczuł nieoczekiwany przypływ dumy patrząc, jak Diana doskonale radzi sobie ze wszystkimi szczegółami kolacji i z jakim wdziękiem bawi gości. Trudno mu było uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno sądził, iż oboje zupełnie do siebie nie pasują. Powtarzał sobie wtedy, że nie potrzebna mu do niczego arogancka, skryta, twarda jak skała kobieta, myśląca wyłącznie o pracy. Okazało się jednak, że pod maską chłodu i opanowania kryje się inna Diana: dobra, ciepła, zdumiewająco wrażliwa. Taka, która dotąd nie potrzebowała mężczyzny, lecz właśnie odkrywała, że bardzo potrzebuje Colby'ego Savagara.

A Colby Savagar nie miał zamiaru pozwolić jej o tym zapomnieć. Lecz nie z pobudek egoistycznych. On sam również niedawno zaczął pojmować, jak bardzo jej potrzebuje.

- Dowiedziałeś się, kto robił wam te kawały? - spytał Gil, nakładając sobie na talerz dużą porcję jarzyn.

- Kawały? - zainteresowała się Evelyn. Colby zmarszczył brwi.

~ Jakiś kretyn płatał Dianie głupie figle.

- Nie znoszę idiotycznych żartów. - Evelyn zadrżała.

- Ja też - stwierdziła Diana. - Ten kawalarz aranżował sceny wzięte wprost z jednej z książek Colby'ego.

- Z której? - zainteresowała się Evelyn.

Diana nabrała na widelec odrobinę ryżu.

- Z „Szoku”.

- Ach, tak. Czytałam ją. - Oczy starszej pani zaśniły.

- Jak wszyscy obywatele miasteczka - zauważyła Diana z uśmiechem.

- Dzięki tej książce ludzie wreszcie zdali sobie sprawę, że zamiast skończyć w więzieniu, Colby Savagar stanie się sławny - wyjaśnił Gil z sarkazmem w głosie. - Ale skoro wszyscy znają „Szok”, trudno będzie znaleźć winnego.

- Już go mamy - powiedział Colby.

Gil obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

- A kto to?

- Przyjaciółka mojego syna. Była zła na Dianę, bo pomogła mi przekonać Brandona, żeby odłożył małżeństwo na później.

- Biedna Robyn marzyła wyłącznie o ślubie - Diana zwróciła się do Evelyn. - Pragnęła uciec od dominujących, wiecznie kłócących się ze sobą rodziców.

Pani Thorp ze zrozumieniem skinęła głową.

- Sądziła, że w małżeństwie odzyska wolność? Biedny dzieciak. I biedny Brandon... gdyby doszło do ślubu.

- Więc twoim zdaniem wszystkie te wątpliwe dowcipy to jej dzieło? - Gil znów spojrzał Colby'emu prosto w oczy. Ten automatycznie skinął głową.

- Jasne. Diana i Brandon złapali ją na gorącym uczynku przy ostatnim wyczynie. To przesądziło o wszystkim. - Sięgając po butelkę wina, obrzucił Gila znaczącym spojrzeniem. - Jeszcze kieliszek, Evelyn?

Gil zorientował się, że Colby chce zmienić temat.

- Podobno widziałeś się z twoim starym przyjacielem, Eddym Spoonerem?

- Kilka dni temu wpadłem do niego na piwo. Pogadaliśmy trochę o dawnych czasach. Eddy jakoś też nie trafił za kratki. Musiało to mocno zezłościć obywateli naszego miasteczka. Tacy byli pewni, że źle skończy!

Gil znów podniósł brwi.

- Moim zdaniem, Eddy był bliższy więzienia niż ty. Miał poważne problemy, a zabrakło mu siły i szczęścia, które pomogły tobie.

Z jakiegoś niejasnego powodu Colby postanowił stanąć w obronie starego przyjaciela.

- Jemu było trudniej. Tego cholernego pijaka, jego ojca, powinno się właściwie zamknąć za znęcanie się nad dzieckiem!

- Nie przeczę. Nikt nie płakał, kiedy Dwight Spooner spadł z Wodospadu Spętanej.

Diana spojrzała na niego, zdziwiona.

- Ojciec Eddy'ego spadł z wodospadu? Przecież na górze jest całkiem bezpiecznie. Kilka razy zrobiliśmy tam sobie piknik. Nie należy tylko zbliżać się do krawędzi.

- Zgoda - stwierdził Thorp. - Od kiedy zamieszkałem w Fulbrook Corners, zdarzył się tylko jeden tego rodzaju wypadek. Ale ojciec Eddy'ego był pijany. Wziął sztucer i wybrał się na polowanie. Miał też ze sobą pół litra whisky, którą tak strasznie kochał. Znalaziono go razem z butelką w jeziorze u stóp wodospadu.

Coś w jego głosie przykuło uwagę Colby'ego.

- Co chcesz powiedzieć, Gil? Masz wątpliwości, że był to zwykły wypadek?

Gil bawił się nożem.

- Powiem ci coś, czego nigdy nie powiedziałem nikomu oprócz Evelyn i co nie powinno wyjść poza ściany tego pokoju. Rozumiesz?

- Nie masz się czego obawiać. Ani Diana, ani ja nie plotkujemy z sąsiadami. - Colby był świadom, że z jego tonu przebija wyraźna pogarda dla mieszkańców Fulbrook Corners.

- Cóż, racja. Byłem szeryfem, kiedy zginął Dwight. Prowadziłem śledztwo i napisałem raport. Wyglądało to na wypadek, nie było powodu, żeby myśleć inaczej, ale zawsze zastanawiałem się, czy ktoś aby mu nie pomógł.

Przez chwilę Colby milczał.

- Eddy? - zapytał cicho.

- Jeśli tak, to trudno byłoby mieć do niego pretensje.

Jeden Bóg wie, ile ten chłopak wycierpiał. Ale nic nie można było mu udowodnić, więc napisałem w

raporcie, że to był wypadek. Eddy nigdy nie przysporzył najmniejszych kłopotów ani mnie, ani Royowi Barnesowi, który zajął później moje miejsce. Postanowiłem więc nie przysparzać kłopotów jemu.

Colby zerknął na Dianę i zorientował się, że patrzy na gościa zdumiona.

- Czy szeryf może postąpić w ten sposób? Zignorować podejrzenie o morderstwo?

Gil uśmiechnął się do niej szeroko. Colby nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

Evelyn przyglądała się im ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie zwracaj na nich uwagi, moja droga. Mężczyźni z natury rzeczy mają inne poczucie humoru niż kobiety. Nigdy nie wiadomo, co ich rozśmieszy!

- Powiedziałaś coś zabawnego? - zirytowała się Diana.

- Ależ nie, przysięgam! - rzekł Colby, śmiejąc się dalej.

- Colby, jeśli mi tego nie wyjaśnisz, będziesz zmywał sam!

Podniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Dobrze, dobrze, spróbuję ci to wytłumaczyć. Wyglądałaś tak niewinnie, i tak naiwnie spytałaś, czy szeryf może zlekceważyć wypadek, w którym ginie ktoś taki jak Dwight Spooner...

- No i co?

Colby spojrział na przyjaciela.

~ Ty jej powiedz. Nie mam ochoty pozbawiać jej złudzeń.

Gil jęknął.

- Serdeczne dzięki - powiedział i zwrócił się do Diany. - Musisz zrozumieć jedno - zaczął. - W wielu wypadkach szeryf z małego miasteczka, takiego jak Fulbrook Corners, nie tylko pilnuje poszanowania prawa i nie tylko prowadzi śledztwa, lecz musi być także sędzią i ławą przysięgłych. Nie miałem żadnych dowodów świadczących o tym, że śmierć starego Spoonera nie była wypadkiem. Więc złożyłem stosowny raport, a koroner w pełni mnie poparł. Nie było najmniejszego powodu prowadzić śledztwa opartego wyłącznie na domysłach w przypadku śmierci brutalnego pijaka, który maltretował syna. Czasami tak właśnie wygląda sprawiedliwość. I powiem ci coś jeszcze. W wielkich miastach wcale nie jest inaczej. Glina to zawsze glina.

- Tak, rozumiem.

Gil uśmiechnął się szeroko.

- Rany, gdybyś tylko wiedziała, ile to razy przymykałem oko na wyczyny twojego obecnego narzeczonego, włosy stanęłyby ci dęba. Gdybym nie był tak łagodny i wyrozumiały...

- Dość, Gil - wtrącił szybko Colby. ~ Dianie wystarczy już na dziś rozczarowań. Lepiej zmień temat.

- Na stare lata zrobiłeś się bardzo purytański, Colby!

- Ludzie się zmieniają - przypomniał mu Colby.

- Może jeszcze trochę jarzyn?

- To świetne danie - stwierdziła Evelyn.

- Jedyne, które Diana potrafi przyrządzić dla gości.

Po ślubie zamierzam poszerzyć jej kulinarny repertuar. Dwie godziny później Thorpowie wstali niechętnie i zaczęli zbierać się do wyjścia. Evelyn została z tyłu, by zamienić kilka ostatnich słów z Dianą, a Colby wykorzystał okazję, by znaleźć się na ganku sam na sam z Gilem. Specter wyszedł za nimi, ziewając szeroko. Stanął na najwyższym stopniu schodów i uniósł łeb, łowiąc niesione lekkim wiatrem zapachy.

- A jeśli chodzi o te żarty, które ktoś robił Dianie...

- zaczął cicho Colby.

- Tak? - Gil oparł się o balustradkę. Wyjął z kieszeni papierosa.

- Nie ma wątpliwości, że ten ostatni to sprawka dziewczyny mojego syna. Ale przysięgała, że nie ma nic wspólnego z dwoma poprzednimi. Brandon jej wierzy. Ja też byłbym skłonny.

- Naprawdę?

- Potrafię wyobrazić sobie Robyn robiącą coś takiego w akcie dziecinnej zemsty. Jest młoda, impulsywna i wściekła się na Brandona, kiedy zrezygnował z małżeństwa. Ale nie sądzę, żeby była zdolna zaplanować prawdziwą akcję zastraszania.

- Twoim zdaniem Robyn mogła zainscenizować fragment książki, kiedy dowiedziała się, że już dwukrotnie ktoś zrobił to przed nią? - spytał rezolutnie Gil, zapalając papierosa.

Colby oparł się bokiem o barierkę.

- Moim zdaniem, to możliwe.

- Więc kto zaczął?

- W tym problem. Mógł to być każdy mieszkaniec Fulbrook Corners, od Margaret Fulbrook lub Harry'ego poczynając, a kończąc na jakimś idiocie, którego dwadzieścia lat temu pokonałem w wyścigu na River Road.

Nie trzeba się specjalnie wysilać, żeby dojść do wniosku, że strasząc Dianę, można mnie dobrać się do skóry. Jeśli jest tu gdzieś w okolicy jakiś szaleniec, który uważa, że ma rachunki do wyrównania, to niech lepiej dowie się jak najszybciej, że nie mani zamiaru siedzieć i czekać. Nie pozwolę nikomu skrzywdzić Diany.

- Nie wszyscy w tym mieście przez dwadzieścia lat żyli marzeniem o zemście, Colby. Jako dziecko sprawiałeś mnóstwo kłopotów, ale wcale nie byłeś takim łobuzem, za jakiego lubisz się uważać. Kiedy opuszczałeś miasteczko, byłeś legendą za życia. Ludzie cię pamiętają. A kiedy zacząłeś pisać te swoje horrory, mówili o tobie jeszcze więcej.

Colby uśmiechnął się.

- Uważaj na to, co mówisz przy Dianie. Muszę bronić swojej dobrej opinii. A jeśli wyrosłem na porządnego człowieka, to dzięki tobie, Gil, i sam o tym najlepiej wiesz.

Umiałeś mnie przystopować, kiedy widziałeś, że zaczynam przekraczać granicę. Jestem ci za to wdzięczny.

- Nic bym nie zrobił, gdybyś był inny. Ale ty miałeś coś w sobie. Coś, czego nie miał na przykład Eddy Spooner.

- Eddy też wyrósł na przyzwoitego człowieka. Potrafi utrzymać pracę, nie?

- Eddy jest słaby. Był słaby jako dzieciak, a kiedy dorósł, zgorzkniał. Nie udało mu się w wojsku, nie udało mu się małżeństwo, w ogóle nic mu się nigdy nie udawało.

Colby zmarszczył brwi.

- Słyszałem o jego kłopotach z kobietami, ale to przecież normalne. W naszych czasach? A co tam było z tym wojskiem?

- Zwolniony przedterminowo. Nie wiedziałeś?

- Nie.

— Podobno nie nadawał się do służby z powodów osobowościowych.

- To przecież nie zbrodnia - mruknął Colby. - Ja sam wcale nie kochałem wojska.

- Nie owijajmy w bawełnę. Dla Eddy'ego nalewanie benzyny na stacji w Fulbrook Corners to kres możliwości i on sam doskonale o tym wie. Trochę mi go żal.

Colby patrzył w noc, wspominając wyraz ponurej rezygnacji, który kilka dni temu dostrzegł w oczach Spoonera.

- Taak. Mnie też.

Milczeli przez chwilę. Gil palił papierosa. W końcu odezwał się:

- Będę słuchał, co mówią w miasteczku. I mogę pogadać z Royem Barnesem, jeśli chcesz. To porządny facet. Jest dobrym szeryfem.

- Dzięki, Gil.

- Naprawdę lubisz tę panią, prawda? - Oczy Thorpa zabłyśły w świetle księżyca.

- Lubię.

- Czemu przyjechałeś tu po tylu latach, Colby?

- Dlaczego wszyscy zadają mi bez przerwy to pytanie?

- Jesteś legendą. Budzisz zainteresowanie - stwierdził sucho Gil. - Więc czemu?

- Nie jestem pewien - przyznał Colby. - Gil, czy wierzysz w przeznaczenie?

- Nie.

- Ja też nie. Ale czasami mam takie dziwne uczucie, że przyjechałem tu tylko po to, żeby spotkać Dianę.

- Dla mnie to wystarczający powód.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Jest uwięziona w grocie. Nie wydobędzie się z niej, póki nie przyjdzie po nią jej mąż - wojownik. Była kobietą o wielkiej sile, nigdy nie potrzebowała mężczyzny, lecz teraz rozpaczliwie potrzebny był jej ten jeden jedyny mężczyzna - ten, który w chwili śmierci stał się ojcem jej dziecka. W jaskini jest coś, co zagraża i jej, i życiu, które nosi w sobie. Tylko wojownik zdoła ocalić ją przed tym siejącym grozę czymś, co kryje się w ciemnościach.*

*Po raz pierwszy w życiu potrzebowała pomocy mężczyzny. I to ją przerażało. Czekala, otulona ciepłą, wiszącą nad jeziorkiem mgłą. Wkrótce poczuje ból*

- Nie! - Diana usiadła w łóżku. Serce waliło jej jak młotem, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciemność.

- Diano? - Leżący obok niej Colby obudził się. Wyciągnął dłonie, obejmując jej drżące ciało. - Co się stało, skarbie? Miałaś zły sen?

Obok łóżka pojawił się Specter i dotknął zimnym nosem jej nagiego uda. Pisnął cicho, pytająco. Diana zaczerpnęła tchu, poklepała najpierw psa, a potem Colby'ego.

- Wszystko w porządku. Nic się nie stało. Po prostu jeszcze jeden z tych snów. - Nie próbowała jednak wymknąć się z objęć. Radował ją dotyk silnych, męskich ramion.

- Z tych snów? O czym ty mówisz, Diano?

Zaskoczył ją jego szorstki ton.

- Nic, nic. Tylko od czasu tej wyprawy do Jaskini Spętanej mam taki sen. Nie co noc, ale to już trzeci czy czwarty raz. Zaczynam mieć tego dość.

- Za każdym razem śni ci się to samo?

- No, nie. To jakby kolejne odcinki jednej historii. Fragmenty. Ale każdy z nich dzieje się w jaskini. A właściwie w tej małej grocie. Wszystko przez ciebie, Colby - dodała, uśmiechając się słabo. - Nie powinieneś był opowiadać mi tej legendy. Za dobrze to robisz. Mojej podświadomości najwyraźniej

spodobała się ta historia wojowniczkii - i teraz igra z nią, kiedy śpię.

- Śniesz o grocie? - Dłoń Colby'ego znieruchomiała na włosach Diany.

- Czy to takie dziwne? - Zdumiał ją jego ton. - Colby, co się stało?

- Wiedziałem, że parę razy miałaś sny, z których budziłaś się w środku nocy, ale nie zdawałem sobie sprawy...

- Z czego?

- Opowiedz mi ten sen. Proszę.

- Niewiele jest do opowiadania. Śni mi się, że jestem w grocie i że w jaskini czai się coś, co mi zagraża. Czekam... czekam na kogoś, kto może mnie ocalić i nie wiem, czy ten ktoś zdąży. Dziś śniłam jeszcze, że jestem w ciąży.

- Na kogo czekasz?

- Nie wiem.. - przerwała. - Nie, to nieprawda. Czekam na tego głupiego wojownika, który przeklął kobietę, kiedy pchnęła go nożem. We śnie ja jestem tą kobietą.

- Diana zadrżała. - Tą, która nie zostanie uwolniona, póki nie pocznie i nie urodzi dziecka w tym okropnym miejscu. Colby, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co się stało? Spełniła się część legendy! Poczęłam dziecko w jaskini!

- Nie denerwuj się, skarbie. - Dłoń Colby'ego powoli, uspokajająco, przesunęła się po jej włosach. - Jeśli twoja wyobraźnia dalej będzie działała na zwiększonych obrotach, pozwolę ci pisać horrory!

- Trochę przerażające, kiedy się nad tym zastanowić.

- Tylko o drugiej nad ranem - odparł Colby. - Ale powinienem ci chyba coś wyznać.

Podniosła głowę tak szybko, że omal nie trafiła go w szczękę.

- Wyznać? Co?

- Nie patrz tak na mnie. Nie ośmieliłbym się oszukać Amazonki. Chcę ci powiedzieć, że nie tylko tobie śni się od czasu do czasu Jaskinia Spętanej.

- Tobie też? - spytała zdumiona. - Od kiedy?

- Od chwili, kiedy jako nastolatek spędziłem tam noc - przyznał.

- Masz koszmary od przeszło dwudziestu lat? - Diana próbowała w słabym świetle księżyca odczytać wyraz jego twarzy. Szare oczy Colby'ego błyszczały. Powoli, zmysłowo, przesunął palcem po jej plecach.

- To nie koszmary, ale budzę się nawet z najgłębszego snu. Czy ty masz koszmary? Czy twoje sny cię przerażają? Diana zastanawiała się przez chwilę.

- Nie, raczej nie. Przynajmniej na razie. Nie boję się ich śmiertelnie, ale czuję jakieś zagrożenie. Jakby zaraz miało się zdarzyć coś złego. Colby, nie słyszałam jeszcze, żeby dwojgu ludziom śnił się ten sam sen.

- Nasze sny nie są identyczne. W moim na ogół próbuję wspiać się biegnącą za wodospadem ścieżką. Mam uczucie, że powinienem jak najszybciej znaleźć się w grocie.

- Więc może rzeczywiście nie są identyczne, ale to chyba dziwne, że i mnie i tobie śni się jaskinia. Colby przesunął dłoń na jej biodro.

- Wcale nie wiem, czy to takie dziwne. Spędziliśmy w grocie noc i zdarzyło się tam coś ważnego.

- Colby, to poważna sprawa!

- Nie, nie sędzę. Sen jest tylko snem. Ale coś ci powiem. Właśnie nabrałem ochoty na odwiedzin w

pewnej małej grocie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Ciepłe palce, spoczywające na jej udzie, zacisnęły się lekko. - I chyba nie zdołam opanować tej ochoty.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Chcesz dziś w nocy odwiedzić Jaskinię Spętanej?

Roześmiał się głębokim, zmysłowym śmiechem.

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że chciałbym odwiedzić pewną ukrytą grootę. - Druga dłoń Colby'ego przesunęła się po brzuchu i wśliznęła pomiędzy nogi Diany. Usta delikatnie musnęły jej ramię. - Pozwolisz mi odwiedzić swoją słodką, ciepłą grootę?

Diana zamrugała oczami, uświadomiwszy sobie, o czym mówi.

- No, nie, posłuchaj, to nie jest odpowiednia chwila na żarty!

- Wcale nie żartuję, mała. - Ujął jej dłoń i przesunął nią po swym udzie. - W życiu nie mówiłem poważniej!

Palce Diany zacisnęły się na intymnej części jego ciała. Niemal zapomniała, o czym właściwie rozmawiali.

- Naprawdę, moim zdaniem powinniśmy przedyskutować problem tych snów - rzekła z westchnieniem.

- To nie jest temat do dyskusji. Oboje śnimy. Zapewne świadczy to tylko o tym, że mamy żywą wyobraźnię, o czym od dawna wiemy. Więc zapomnijmy o snach i zajmijmy się pilniejszymi sprawami. - Jego palce zabłąkały się między jej uda.

- Colby, próbujesz zmienić temat!

- I chyba mi się udało. Wejście do tej szczególnej groty już się chyba dla mnie otwarło. - Położył Dianę na wznak i przycisnął ją sobą. - Słodka Diana. - Wsunął kolano między jej nogi, głos miał zmieniony. - Przy tobie zawsze czuję się taki podniecony. Nic znałem jeszcze takiej kobiety. Wystarczy, żebym cię dotknął i natychmiast wariuję!

Diana westchnęła. Nagle poczuła, jak jej ciało zaczyna ulegać. Otoczyła go ramionami, przytuliła. Przecież będą mieli mnóstwo czasu, by porozmawiać o snach. Teraz Colby ją kochał, a wtedy nie liczyło się nic innego. Minęło sporo czasu, zanim spoczywający obok niej mężczyzna poruszył się.

- Nie śpisz, skarbie?

- Nie. Chciałbyś teraz podyskutować o snach? - Ale sny już jej tak nie absorbowały. Miłość Colby'ego uśmierzyła uczucie niepokoju.

- Nie. Chciałbym porozmawiać o małżeństwie.

- Och! - Gorączkowo szukała słów. - Sądzę, że nie musimy się spieszyć.

- A właśnie, że tak. Jesteś w ciąży. Mniej więcej trzeci tydzień. Weźmiemy ślub jak najszybciej.

- Naprawdę? - Diana miała uczucie, jakby wpadła w nurt Wodospadu Spętanej. Pogodziła się z tym, że małżeństwo jest nieuniknione, ale nie całkiem przyjęła do wiadomości fakt, że do niego dojdzie. Nagle pojęła, iż niezupełnie dopuszczała do siebie także świadomość, że jest w ciąży. Jakby się bała, że poprzez ślub ciąża stanie się bardziej rzeczywista. - Może powinniśmy poczekać na wynik badania. Chcę mieć pewność.

- Nie dowiemy się niczego nowego. Ale badanie możemy zrobić od razu, tu, w miasteczku - po prostu dla świętego spokoju. Jutro możemy złożyć papiery, a w piątek wziąć ślub.

Patrzyła na niego z osłupieniem.



- Pod koniec tygodnia? - wykrztusiła w końcu.  
- Chcesz zaprosić mamę?  
- O Boże! Mama! Oczywiście, że chcę zaprosić mamę!  
- Ja zaproszę Brandona. Jest jeszcze ktoś, kto powinien pojawić się na tej uroczystości?  
- Nooo... Nie, chyba nie. Ale, Colby, to tak nagle...  
- Spokojnie. Wszystkim się zajmę.  
- Bez przerwy mi to powtarzasz - poskarżyła się.  
- Więc spróbuj mi uwierzyć. - Obrócił się na bok i w mroku spojrzął jej prosto w oczy. - Wiesz, na czym polega twój problem?  
- Aż boję się pytać.  
- Obraziłaś się na rzeczywistość. Wydaje ci się, że jeśli będziesz ignorować ciążę, to problem zniknie i całe twe pedantycznie poukładane, miłe i wygodne życie wróci do normy. Rozczarowujesz mnie, Diano. Przecież zajmujesz się interesami. Powinnaś wiedzieć, jak stawić czoło faktom. Zdajesz sobie chyba sprawę, że dla ciebie nic już nigdy nie będzie takie samo.  
- Dla ciebie też - odparła ze złością.  
- Ja potrafię sobie z tym poradzić.  
- Znakomicie! Nie umiem wyrazić, jak wielką przyniosło mi to ulgę!  
- Diano?  
- Tak?  
- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.  
Obróciła się ku niemu i z jękiem wtuliła w jego ramiona.  
- Boję się - wyznała.  
- Wiem.  
Pocałowała go w szyję miękko, z wdzięcznością.  
- Cieszę się, że jesteś przy mnie - wyznała cichutko. Z ciemności dobiegł ją śmiech Colby'ego.  
- Przynajmniej potrafisz się już do tego przyznać.  
Moja mała Amazonko, pamiętasz, jak kiedyś byłaś pewna, że nie potrzebujesz mężczyzny?  
- Daj spokój! - Palcem przejechała mu po żebrach.  
- Hej, to nie w porządku łaskotać kogoś, kto odpoczywa po ciężkiej pracy. - Colby chwycił i unieruchomił jej dłoń.  
- Tak się to nazywa?  
- Jakoś podobnie. Nie mam pod ręką słownika, ale sprawdzę.  
- Wstyd. Pisarz nie powinien rozstawać się ze swym słownikiem.  
- Najwyraźniej masz na mnie zły wpływ. - Pocałował ją w szyję.  
Diana roześmiała się wesoło, po raz pierwszy od kilku dni.  
Colby odpowiedział jej śmiechem i przytulił mocno do swego rozpalonego ciała.

Eddy Spooner przerwał na chwilę skomplikowaną czynność przeciągania gumową wycieraczką po przedniej szybie jeepa. Brudną od smarów dłonią odrzucił z czoła cienki kosmyk jasnych włosów i spojrzął Colby'emu w oczy. Jego stary kombinezon śmierdział benzyną i olejem.  
- Czy to prawda? Naprawdę żenisz się z tą Prentice?  
- Jego zimne, niebieskie oczy zwięzły się.  
- Widzę, że plotki rozchodzą się tu równie szybko co dwadzieścia lat temu. Tak, prawda. Niech cię

diabli, ty kundlu, obśliniasz mi koszulę. - Colby odepchnął Spectera, który wychylał się z tylnego siedzenia. Jęzor miał wywalony na całą długość i z zainteresowaniem obserwował myjącego szybę Spoonera. Teraz obojętnie przeniósł się do drugiego okna i wbił ślepią w drzwi poczty, w których przed chwilą zniknęła Diana.

- Rany, Colby, nie obraż się ani nic, ale po jaką cholere chcesz się żenić? Przecież i tak ją masz. Żaden problem.

- Kobiety takie jak Diana potrzebują małżeństwa.

Muszą mieć coś stałego - stwierdził Colby i słysząc własne słowa, poczuł przyływ męskiej dumy.

- Naprawdę? - Eddy sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego. - Taka jest dzika?

Tylko w łóżku, pomyślał Colby i uśmiechnął się do siebie z satysfakcją.

- Nie, po prostu przyzwyczaiła się do niezależności. Wiesz, jakie są te nowoczesne kobiety. Uważają, że niepotrzebna im jest męska opieka.

- Szkoda, że nie znalazłem sobie takiej nowoczesnej babki. Dziewczynki, co to by nie chciała ślubu, tylko sprzątała mi dom, codziennie gotowała obiad i szła do łóżka, jakbym chciał się zabawić. I nie trwała bez przerwy, jakbym od czasu gdzieś na chwilę znikł.

- Wątpię, żebyś znalazł babkę aż tak nowoczesną.

- Na pewno nie w Fulbrook Corners - stwierdził ponuro Eddy. - Brandon będzie na ślubie?

- Przyjedzie w piątek. Matka Diany też. Przylatuje z Kalifornii.

~ Następna teściowa, co? Myślałem, że tamta wybiła ci z głowy myśl o małżeństwie.

- Racja. Odchorowywałem ją przez dwadzieścia lat.

A skoro już o tym mowa, właśnie zbliża się Margaret Fulbrook. - Colby wyjmował pieniądze z portfela, nie spuszczać oka ze starego niebieskiego cadillaca, wjeżdżającego na parking po drugiej stronie ulicy. - Płacę, Eddy. Muszę pomóc Dianie. Nie chcę, żeby ta czarownica dopadła ją samą.

Odwracając się od okienka, Diana z namysłem przyglądała się trzymanej w dłoni kopercie. Kolejny list od Aarona Crowna, zawierający niewątpliwie kolejną porcję niezbitych argumentów dowodzących, dlaczego powinna wrócić do pracy, i to jak najszybciej. Jej szef najwyraźniej się nie poddawał. Nieświadomym gestem dotknęła dłonią brzucha. Miło pomyśleć, że w każdej chwili może znów podjąć pracę. Nie chciała wracać do Carruthers & Yale, ale głupio by jej było wiązać się z inną firmą wiedząc, że za parę miesięcy czeka ją urlop macierzyński.

Ze smutkiem potrząsnęła głową. Colby ma, oczywiście, rację. Cięża zmienia wszystko. Nawet przy wyborze pracy nie może kierować się tymi samymi kryteriami, co poprzednio. Teraz musi brać pod uwagę różne czynniki.

- Podobno Colby Savagar znowu chce brać ślub na chybcika? - Donośny głos Margaret Fulbrook wypełnił pocztę. Interesanci znieruchomieli.

Diana oprzytomniała, podniosła głowę i dostrzegła stojącą przy wejściu panią i władczynię Fulbrook Corners. Siwe włosy miała upięte, jak zwykle, w królewski kok. Spojrzenie szarych oczu było, jak zwykle, przeszywające, a twarz wyrażała niezmiennie niechęć i gorycz.

- Dzień dobry, pani Fulbrook. Jak się pani czuje?

- powiedziała chłodno Diana.

- Dobrze, jak zwykle. A pani, panno Prentice? Czy to prawda, że wychodzi pani za Savagara?

- To żaden sekret, ale plotki najwyraźniej szybko się tu rozchodzą.

- Spotkałam w sklepie Evelyn Thorp - wyjaśniła, niecierpliwie Margaret Fulbrook. - To od niej się dowiedziałam. Nie wierzyłam własnym uszom! Sprawia pani wrażenie bystrej i rozsądnej młodej

damy. Czemu, do diabła, miałyby pani wychodzić za Savagara? Czyżby była pani z nim w ciąży, jak moja córka?

Diana poczuła się dotknięta. Wydawało się jej, że jest przygotowana na wszystko, co może zrobić lub powiedzieć Margaret Fulbrook, a jednak się zaczerwieniła.

- Mam wrażenie, że to nie pani sprawa. Proszę mi wybaczyć, muszę załatwić jeszcze kilka spraw.

Po drugiej stronie szklanych drzwi pojawił się Colby. Wkroczył na pocztę akurat w chwili, w której oczy starszej pani najpierw rozszerzyły, a później zwężyły się ze zdumienia. Zrozumiała. Nieruchomym wzrokiem patrzyła w zaczerwienioną twarz Diany.

- A więc tak! - stwierdziła z ponurą satysfakcją.

- Ma czterdzieści lat i nie nauczył się jeszcze, jak trzymać dzinsy zapięte. Współczuję pani, panno Prentice.

Ale tylko troszeczkę. Ostrzegałam, żeby trzymała się pani od niego z daleka. Diana omal nie straciła panowania nad sobą. Dotąd współczuła tej starej kobiecie, która przez dwadzieścia lat nie przyjmowała do wiadomości faktu, że ma wnuka.

Tego jednak było za wiele. Colby zbliżał się do nich, wyraz jego twarzy zwiastował burzę. Za chwilę na maleńkiej poczcie wybuchnie bomba. Diana uśmiechnęła się więc pogodnie do Margaret Fulbrook.

- Jedno w moim wieku jest niewątpliwie przyjemne - odparła. - Można podejmować decyzje samemu. Nie trzeba słuchać ostrzeżeń innych.

- Diano? - Colby znieruchomiał w pół kroku. - Co tu się, do diabła, dzieje?

- Ach, jesteś wreszcie! - Podeszła, wspięła się na palce i pocałowała go delikatnie. - Odebrałam listy. Idziemy?

Colby obrzuci Margaret Fulbrook nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Racja, wynośmy się stąd - powiedział.

- Zaczekajcie - rozkazała pani Fulbrook. - Słyszałam, że tutaj bierzecie ślub. Czy będzie na nim mój wnuk?

- To nie pani sprawa - warknął Colby, otwierając drzwi. - Ale tak, Brandon przyjedzie. W piątek. - Drzwi zamknęły się, tłumiąc wszystko, co Margaret Fulbrook miała jeszcze do powiedzenia.

- Co się tam, u licha, działo? - spytał już na dworze.

- Pani Fulbrook dociekała przyczyn naszego pośpiesznego małżeństwa.

- Tak, to by do niej pasowało. Ale wiedźma! - Zatrzymał się obok jeepa i ujął w dłonie twarz Diany.

- Wszystko dobrze, skarbie? - spytał.

- Ile razy pomyślę o ciąży, czuję niepokój - przyznała.

- Będiesz wspaniałą matką pod warunkiem, że uspokoisz się wreszcie i zrozumiesz, co w życiu najważniejsze. Teraz się boisz, ale to minie. Wszystko będzie dobrze.

- Skąd wiesz?

- Ja to już przerabiałem, nie pamiętasz?

Ujęła jego dłonie i przestraszona patrzyła mu w twarz.

- Och, Colby, przecież wiem, przez co przeszedłeś i to nie w porządku, że po raz drugi czeka cię coś takiego!

- Jeśli jeszcze raz zaczniesz mi mówić, co jest w porządku, a co nie, naprawdę się rozgniewam. Mieliśmy nie mówić o tym, co było. Chyba wyraźnie cię o to prosiłem?

Skinęła głową. Uśmiechała się, choć wargi Jej drżały.

- To prawda. Masz rację. Nie będę już do tego wracać.

- Doskonale. Kolej na zakupy. - Colby zajął do jeepa. - Zostań tu, idioto - rozkazał psu. - Zaraz wracamy.

Specter obrzucił go znudzonym spojrzeniem.

- Wygląda na to, że zawarłście coś w rodzaju paktu o nieagresji - zauważyła Diana. - Przynajmniej nie warczycie już na siebie.

- Zachowuje się przyzwoicie tylko dlatego, że wie, iż mieszka pod moim dachem i wyrzucę go na zbity pysk, jeśli tylko spróbuje grać cwaniaka. To nie rozejm, to walka o władzę. Postanowił zejść do podziemia.

- Przypisujesz mu chyba zbyt wiele złej woli. Przecież to tylko pies.

- Ha! I jest o mnie zazdrosny. Zanim się pojawiłem, był jedynym mężczyzną w twoim życiu. - Colby zerknął na list, który Diana trzymała w dłoni. - Z wyjątkiem tego twojego cholernego szefa. O co prosi tym razem?

Otworzyła list i po drodze do sklepu szybko przejrzała jego treść.

- Píše, że praca nadal na mnie czeka, góry papierów rosną i jestem potrzebna. Twierdzi, że załatwi mi podwyżkę, jeśli teraz wrócę.

- Daj sobie spokój.

- Wolałabym nie, Colby. Myślałam, że powrót do pracy w Cairuthers & Yale mógłby być doskonałym wyjściem. Będę miała dziecko. Nie chciałabym zaczynać w innej firmie i iść na urlop macierzyński w pierwszym roku pracy. W Carruthers & Yale pracowałam kilka lat i mają wobec mnie dług.

- Mają dług, bo odmówili ci awansu.

- Nie rozumiesz! Do narodzin dziecka mogę doskonale pracować na dawnym stanowisku. Potem odejdę.

Ci starzy durnie nie zasługują na nic więcej, a ja przez kilka miesięcy mogę przyzwoicie zarobić. Później zacznę się rozglądać za pracą.

- Nie musisz pracować, czekając na dziecko - zirytował się Colby. - To nie ma sensu. Potrafię nas utrzymać, a ty możesz spędzać czas, szykując się do roli matki. A musisz się jeszcze sporo nauczyć.

Diana spojrzała na niego niepewnie. Nie chciała kłótni, ale pragnęła, by Colby ją zrozumiał.

- Wiesz, jak traktuję moją pracę

- Wiem, że masz fioła na punkcie finansowej niezależności, ale w tej sytuacji to nonsens. Doskonale wiesz, że nie zostawię cię samej.

- Wiem, ale...

- Ale nie do końca w to wierzysz, tak? Przez najbliższych kilka miesięcy zapomnij o pracy. Zaufaj mi, Diano.

Potrafię o ciebie zadbać. Kiedy już się wszystko ułoży, będziesz miała mnóstwo czasu, by myśleć o karierze.

Nie rozumiał, a ona nie miała zamiaru się z nim spierać, przynajmniej teraz. W milczeniu weszli do małego sklepiku.

- No, Savagar, słyszałem, że powinienem ci pogratulować!

- Dzień dobry, Brian. - Colby przywitał siedzącego za kasą mężczyznę przelotnym uśmiechem. -

Dobrze słyszałeś.

- No, to wspaniale! Wspaniale! Życzę wam szczęścia.

Mężczyzna za kasą był ciemnowłosy, grubawy, mniej więcej w wieku Colby'ego, może parę lat młodszy. Nosił okulary i łysiał. Miał pogodną, wesołą twarz. Nazywał się Brian McDonald i choć w stosunku do Colby'ego zachowywał rezerwę, był jednym z niewielu ludzi w miasteczku, którzy traktowali go jak starego przyjaciela.

- Tym razem bierzesz ślub tu, a nie w Reno, co?

Brian uśmiechnął się szeroko, a potem spowaźniał. Nie był pewien, jak Savagar zareaguje na ten niewinny żart

Colby zerknął na niego nieprzyjaźnie i Brian zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Poprzednio nie miałem wielkiego wyboru.

- Słusznie. W tym okręgu żaden sędzia pokoju ani pastor nie dałby wam ślubu bez zgody Fulbrooków. Ale to było dawno, a czasy się zmieniają, no nie? Gratulacje, panno Prentice.

- Dziękuję, Brian.

- Robicie może jakieś przyjęcie weselne?

- Nie - rzucił przez ramię Colby. Szedł wąskim przejściem między półkami, wypatrując puszek z tuńczykiem.

- Szkoda. - W głosie Briana brzmiał żal. - Nieźle byłoby gdzieś się zabawić. Od czasu ślubu córki Renleyów nie mieliśmy okazji. A to było trzy lata temu. Niewiele jest ostatnio ślubów w miasteczku. Młodzi wyjeżdżają do Portland zaraz po szkole.

- Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek w Fulbrook Corners zechciał bawić się na moim weselu. - Colby podszedł do kasy z tuńczykiem i paroma innymi drobiazgami.

- To byś się zdziwił - stwierdził Brian. - Jesteś tu legendą, Colby. I wcale nie dlatego, że sprawiałeś tyle kłopotów. Ludzie z miasteczka są naprawdę dumni z ciebie i twoich horrorów. Czy wiesz, że w całej historii Fulbrook Corners tylko ty jeden zostałeś sławny? Języki poszły w ruch, jak Larry Brockton puścił parę, że latem przyjedziesz.

Colby potrząsnął głową.

- Gadali tylko o tym, dlaczego jeszcze nie jestem za kratkami. Potrzebujemy jeszcze czegoś, Diano?

- Jedzenie dla psa! Specter byłby nieszczęśliwy, gdyby nie dostał od nas żadnego prezentu.

- Do diabła, zapomniałem - mruknął Colby z niewinną miną.

- No, najwyższy czas - oznajmiła Angela Prentice dźwięcznym głosem, kiedy córka na progu ratusza przedstawiła jej przyszłego zięcia. - Zaczynałam już wątpić, czy moja mała znajdzie sobie męża. Mam nadzieję, że nie będziecie marnować czasu i od razu pomyślicie o wnuczku dla mnie. Za długo już czekam.

Po raz kolejny w ciągu zaledwie kilku dni Diana zaczerwieniła się po same uszy. Gdyby wzrok zabijał, jej drobna, nadal ładna matka już by nie żyła. Colby uśmiechał się szeroko.

- Doprawdy, mam, mogłabyś przynajmniej starać się mnie nie zawstydzać na moim własnym ślubie! Orzechowe oczy Angeli błyszczały wesoło.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Colby. Potrafi być bardzo uparta. Gdyby mnie ktoś pytał,

powiedziałabym, że za długo była wielką panią dyrektor. I z jakim skutkiem? Trzydzieści cztery lata w panińskim stanie! Dziwne, że nie zniechęciły cię te jej chłodne, dyrektorskie maniery. Mężczyźni śmiertelnie się jej boją.

- Ja też trochę się bałam - stwierdził poważnie Colby, potrząsając dłonią przyszłej teściowej. - Ale byłem wytrwały. Diana jest inna, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka. My, pisarze, mamy wprawę w odnajdywaniu ukrytych skarbów.

- A czy w tym pisaniu są jakieś pieniądze?

- Mamo!

Colby uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie krzycz na matkę, Dianu. Ma prawo wiedzieć, czy potrafię zapewnić ci życie na poziomie, na którym sama potrafiłaś się utrzymać. - Zwrócił się do Angeli, przyglądającej mu się wesołym, lecz przenikliwym wzrokiem. - Tak, Angelo, w pisaniu są pieniądze. Przynajmniej teraz. Kiedyś było trudniej i nie wiadomo, co będzie, ale zawsze potrafiłem zapewnić przyzwoite życie sobie i synowi. Jestem pewien, że zdołam utrzymać Dianę i nasze dziecko.

- Colby! - Twarz Diany płonęła. Z radością udusiłaby teraz swego męża. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na twarz matki, by stwierdzić, że już za późno.

- Dziecko? ~ Angela odwróciła się, z radością patrząc na córkę. - Nie mów mi, że jesteś w ciąży! Ojej, Dianu, jak już się zdecydowałaś, to od razu na wszystko! Gratulacje, skarbie. Cieszę się, że postanowiłaś wreszcie trochę pożyć!

- Mamo, pozwól mi wyjaśnić...

- Nie musisz niczego wyjaśniać. Masz trzydzieści cztery lata, a nie osiemnaście. Jestem zachwycona, doprawdy zachwycona! - Angela przytuliła najpierw córkę, a później zięcia. - To najszcześniejsza chwila w moim życiu. Wracam do domu i zaraz idę na kurs robienia na drutach. Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę robić te śliczne małuśkie buciki!

Ponad kręconymi, jasnymi włosami Angeli uśmiechnięty Colby spojrział w oczy Diany, - Kto by pomyślał - powiedział cicho - że teściowe mogą być takie różne.

Diana nie wiedziała, Czy śmiać się, czy płakać. Nim zdecydowała się na jedno lub drugie, po schodach budynku zbiegł Brandon.

- Tato, wszyscy już są! - zawołał. - Lepiej się pośpieszcie!

- Idziemy. - Colby objął Dianę i przytulił ją mocno.

Oparła się na nim świadoma, że uginają się pod nią nogi.

- Jesteś pewien, że chcesz tego ślubu? - spytała.

- Chyba żartujesz. Gdybym się rozmyślił, twoja matka by mnie zabiła!

Pół godziny później Colby pocałował Dianę i ulokował ją na przednim siedzeniu jeepa. Dotknął obrączki na palcu jej lewej ręki.

- Wspaniale pani wygląda, pani Savagar. Szalenie ponętnie. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wezmę panią do łóżka.

- Będzie pan musiał uzbroić się w cierpliwość, panie Savagar. Brandon powiedział, że w domu oczekuje nas parę osób.

- Parę... co? - Colby był szczerze zdumiony. Obrócił się, szukając wzrokiem syna, który wraz z Angeli Prentice zmierzał właśnie w kierunku sportowej mazdy.

- Brandon!

- Tak? - Chłopak obejrzał się przez ramię.

- Kto czeka na nas w domu?

- Nie wiem. Powiedziano mi, że parę osób chce złożyć wam życzenia. - Ulokował starszą panią na siedzeniu sportowego samochodu. - Pewnie Thorpowie i może właściciel sklepu spożywczego? Nie ma sprawy.

- Nie ma sprawy - burknął Colby, siadając obok żony. - Miałem inne plany na popołudnie. A będę musiał wypić kilka kieliszków z Thorpami i McDonalodem. Okazało się, że wcale nie musiał wypijać kilku kieliszków z Thorpami i McDonalodem. Musiał napić się ponczu i podzielić weselnym tortem z wszystkimi mieszkańcami Fulbrook Corners. Albowiem wszyscy, łącznie z Margaret Fulbrook, pojawili się na przyjęciu, by uczcić drugie pośpieszne małżeństwo Colby'ego Savagara.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Co tu się, do diabła, dzieje? - Colby przeczesał palcami włosy, przyglądając się z niedowierzaniem tłumowi liczącemu przeszło dwieście osób, zgromadzonemu na podwórku przed domem ciotki Jesse.

- Zaryzykowałabym stwierdzenie, że masz w miasteczku więcej przyjaciół, niż się spodziewałeś - orzekła Diana, wysiadając z samochodu. - Będziesz tu siedział mówiąc do siebie? Wyskakuj i baw się dobrze! W końcu to twoje wesele!

Przybycie państwa młodych zostało powitane owacją. Colby'ego, który powoli wysiadał z jeepa, natychmiast otoczyła grupka mężczyzn. Większość kobiet pośpieszyła złożyć życzenia Dianie, która z uśmiechem stała przy samochodzie.

Specter, zamknięty na ganku z tyłu domu, czekał zajadle.

- Ten twój pies dostał szału - powiedziała roześmiana Evelyn Thorp, witając Dianę. - Może teraz wreszcie się uspokoi.

- Nie jest przyzwyczajony do tak liczego towarzystwa, a potrafi być zazdrosny. No, i zawsze będzie mnie bronił. - Diana ruszyła na tył domu, pragnąc uspokoić rozdrażnione psisko.

- No, nie tylko on jeden - stwierdziła Evelyn. Zerknęła przez ramię na Colby'ego, otoczonego kręgiem mężczyzn. - Mam nadzieję, że twój mąż nie obrazi się na nas. Ja to wymyśliłam, w ostatniej chwili. Okazało się, że wszyscy chcą przyjść!

- Bardzo miło, że o tym pomyślałaś. - Diana otworzyła drzwi i mocno oparła się o ścianę. Specter, oczywiście, skoczył na nią natychmiast, a kiedy upewnił się, że jego pani jest cała i zdrowa, postawił wielkie, kłapcia-te uszy i z zainteresowaniem lustrował tłum.

- Colby przez cały czas tak bardzo unikał ludzi, że teraz boją się nawet do niego odezwać. Myślę, że są chyba trochę onieśmieleni. Ale on ich fascynuje. Z tego, co wiem od Gila, twój mąż w młodości był prawdziwym diabłem, ale po wyjeździe z Cynthią natychmiast zrobiono z niego bohatera. A w dodatku odniósł wielki sukces jako pisarz. To pierwsza i jedyna sława rodem z naszego miasteczka. Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wielką przyjemność sprawił nam wszystkim, gdy wrócił.

- Być może w końcu on i ci ludzie jakoś się dogadają - stwierdziła Diana. - Miejmy tylko nadzieję, że Margaret Fulbrook nie zrobi sceny.

- Nie sposób przewidzieć, co zrobi Margaret, ale może dziś nie dojdzie do awantury. Jest zachwycona wnukiem, wiesz? Wszystkim zdążyła już powiedzieć, że ma oczy Fulbrooków. Nie zechce skompromitować się w oczach Brandona. Zależy jej na nim.

Diana przytaknęła skinieniem głowy obserwując, jak Brandon prowadzi Angelę, by ją przedstawić babci.

- To wspaniały chłopak. Pani Fulbrook powinna być dumna z wnuka.
  - Colby świetnie wychował syna - przyznała Evelyn.
  - Margaret w głębi serca jest nim zachwycona. I wie, że to wyłącznie zasługa Colby'ego. Być może któregoś pięknego dnia zdoła nawet mu to powiedzieć? Diana roześmiała się.
  - Nie wierzę, by się na to zdobyła. Ale zgadzam się z tobą. Cieszy się, że po tylu latach poznała wreszcie syna swojej córki.
  - Bez twojej pomocy chyba nigdy by do tego nie doszło. Opowiadano mi, jak ich sobie przedstawiłaś.
  - Colby był wściekły - przyznała Diana.
  - To twoja zasługa, kochana, że zdołał się opanować.
- Najwyraźniej umiesz przemówić mężczyźnie do rozsądku. Gil twierdzi, że Colby ma wielki talent. Według niego największym problemem Savagara w młodości była arogancja i duma. Tym tylko się bronił. Proszę, przedstaw mnie swojej matce. Bardzo chciałabym ją poznać. Jak przyjęła wiadomość o tak nagłym małżeństwie?
- Diana uśmiechnęła się szeroko.
- Jest zachwycona Colbym i wcale tego nie kryje. Stwierdziła ni mniej, ni więcej, że będzie mu wdzięczna do grobowej deski za to, że się ze mną ożenił. Już sobie wyobrażała, że resztę życia spędzę jako stara panna.
- Evelyn zachichotała.
- Wspaniale. Colby potrzebuje takiej teściowej. Co za odmiana!
- Przyjęcie przebiegało spokojnie. Kiedy spotkali się w tłumie, Margaret Fulbrook sztywno skinęła Colby'emu głową, a on odpowiedział jej równie chłodno. Nie odezwali się do siebie ani słowem.
- Diana skonstatowała, że tak jest najlepiej.
- Harry Gedge, potężny człowiek do wszystkiego i wierny sługa pani Fulbrook, trzymał się na uboczu, nie wchodząc nikomu w drogę. Nieźle, pomyślała Diana. Urazy hołubione latami nie znikają z dnia na dzień z powodu li tylko wesela.
- Zabawa trwała w najlepsze, kiedy Eddy Spooner podszedł do stojącej samotnie panny młodej. Z okazji ślubu wyczyścił stare wojskowe buty i uprał spodnie oraz koszulę w łąty - najwyraźniej swój ulubiony strój. Odrzucił z czoła kosmyk rzadkich, jasnych włosów i obdarzył Dianę zagadkowym uśmiechem.
- Właśnie przed chwilą powiedziałem Harry'emu, że Colby Savagar to zawsze ma szczęście. Ja od lat tyram na stacji. Leję benzynę chyba we wszystkie te cholerne samochody w miasteczku. Dzień w dzień czyszczę im szyby, sprawdzam olej, robię naprawy. I nikt tu nigdy nawet nie zauważył, że istnieję! A Colby? Jak wyjeżdżał, wszyscy obrzucali go błotem, a dwadzieścia lat później wraca tu jako bohater!
  - Nie sądzę, by uchodził za bohatera - powiedziała łagodnie Diana. - Ludzie są go po prostu ciekawi, bo ma przeszłość i napisał kilka popularnych książek. Eddy przecząco potrząsnął głową.
  - To nie tak. Zawsze o nim gadali. Zawsze ich ciekawił. Kiedy wpadał w kłopoty, wszyscy o nich mówili. Ile razy tak było, że szeryf dopadał nas obu, ale o mnie nikt nigdy nie mówił. Tylko Colby to, Colby tamto!
  - O ile wiem, wyrażali się o nim niezbyt pochlebnie - przypomniała mu Diana.
- Eddy skinął głową.
- Racja, wszyscy mówili, że źle skończy. Ale Colby, jak zwykle, wyszedł na swoje. Niektórym to



dopiero los sprzyja.

Pół godziny później Diana dostrzegła przepychającego się ku niej przez tłum męża. Jego oczy zwęziły się, gdy dostrzegł starszą panią o łagodnej twarzy, z którą rozmawiała Diana. Później uśmiechnął się blado.

- Dzień dobry, pani Grimley - rzekł, podchodząc bliżej. - Opowiada pani Dianie, jak świetnie radziłem sobie w szkole z angielskim?

Ada Grimley odpowiedziała mu uśmiechem pełnym wyższości, charakterystycznym jedynie dla doświadczonych, niemłodych już nauczycielek.

- Mówiłam jej właśnie, że moim zdaniem byłeś wyjątkowo zdolny. Nie chciałeś tylko przysiąc fałdów i popracować, choć w końcu najwyraźniej się na to zdecydowałeś. Gratuluję ci, Colby. Przeczytałam wszystkie twoje książki i z przyjemnością myślę, że mam swój drobny udział w twoim sukcesie, bo wbiłam ci do głowy trochę wiedzy o języku angielskim. A nie było to wcale łatwe.

Colby uśmiechnął się szeroko, zaskakując tym nie tylko Dianę, lecz także panią Grimley.

- Oczywiście, pani profesor. Zdaję sobie z tego sprawę. Nie napisałbym żadnej książki, gdyby nie pani. Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, a jednak: dziękuję pani za wszystkie lekcje, podczas których wbijała mi pani do głowy angielską literaturę i gramatykę.

Ada Grimley uśmiechnęła się promiennie.

- Ależ nie ma za co, Colby. Z niecierpliwością czekam na następną książkę.

- A, jesteś, tato. Szukałem cię. - Brandon z trudem przebijał się przez tłum gości. W rękę trzymał niewielką paczuszkę. Za chłopcem biegł truchcikiem Specter, zlizując z pyska resztki lukru z weselnego tortu.

- A to co? - Colby z ciekawością przyjrzał się synowi.

- Prezent ślubny. - Brandon zaczekał, aż Ada Grimley odejdzie, by porozmawiać z przyjaciółką. Potem zerknął na Dianę, obdarzając ją krótkim, przeproszającym uśmiechem. Kiedy znów spojrzał na ojca, był śmiertelnie poważny.

- Tato, kupiłem ci prezent, ale nim go dostaniesz, powinniśmy chyba szczerze porozmawiać, jak syn z ojcem.

- Doprawdy? - Colby skrzywił się ironicznie.

- Obawiam się, że to, niestety, konieczne. - Brandon odchrząknął, szykując się do uroczystej przemowy.

Ku mojemu wielkiemu żalowi dowiedziałem się, że mimo wszystkich naszych rozmów o tym, jak to mężczyźni mają swój udział w dziele przedłużania gatunku, mimo wszystkich naszych rozmów o tym, że cnotą mężczyzny jest umieć powiedzieć „nie!”, mimo wszystkich ostrzeżeń, jak to trudno jest mężczyźnie skończyć, skoro raz zaczął i jakie to są okazje, kiedy mądrzej jest użyć, jak to mówią, ręki...

- Brandon, jesteś moim pierwszym i jedynym synem, a także spadkobiercą, więc jeśli chcesz dożyć poważnego wieku i skończyć dwadzieścia lat, to lepiej się streszczaj.

- Nie poganiaj mnie, tato. To dla twojego dobra. Jak mówiłem, mimo wszystkich naszych rozmów o kontroli urodzeń i o tym, że najlepiej jest trzymać dzinsy zapięte na ostatni guzik, a czasem nawet na kłódkę, dowiedziałem się, że nic do ciebie, niestety, nie dotarło.

- Brandon...

- Jestem przekonany, że potrafisz sobie wyobrazić, z jakim zdumieniem dowiedziałem się od Diany, że będę miał braciszka albo siostrzyczkę.

Colby, poczerwieniały z gniewu, syknął:

- Synu, ostrzegam cię, nie jesteś niezastąpiony! Brandon puścił słowa ojca mimo uszu. Oczy mu się śmiały.

- Więc, choć jestem zachwycony perspektywą zostania starszym braciszkiem, czuję, że mym synowskim obowiązkiem jest wypełnić luki w twojej edukacji, które ostatnio stały się rażące. -

Energicznym gestem wręczył ojcu elegancko opakowaną paczuszkę. - Proszę, tato. Prezent od kochającego syna, nabyty z zamiarem rozszerzenia twych horyzontów.

Diana uśmiechnęła się niepewnie. Wiedziała, że Brandon żartuje i nie chciała psuć mu dowcipu, mimo że w swej ciąży nie widziała niczego zabawnego. Starła się z nią pogodzić, uporać z pomocą Colby'ego, ale nie osiągnęła jeszcze stanu, w którym mogłaby na jej temat żartować.

Colby zdarł papier i stwierdził, że trzyma w ręku książkę.

- Noo, Brandon, dziękuję, że o tym pomyślałeś. Podziękuję ci jeszcze serdeczniej, kiedy zostaniemy sami i nikt nie będzie mógł ci pomóc. - Wymierzył synowi żartobliwego klapsa.

Brandon uchylił się ze śmiechem.

- Wiedziałem, że to ci się spodoba, tato. Zawsze uważałeś, że wszystkiego można się nauczyć z książek.

- A co to takiego? - Diana podeszła do nich. Zerknęła przez ramię męża i głośno przeczytała tytuł:

- „Co odpowiedzialny mężczyzna powinien wiedzieć o seksie”.

- Nie martw się, tato - dodał wesoło Brandon.

- W środku jest mnóstwo obrazków.

- Dobrze, że w drodze jest drugie dziecko - wyznał Dianie Colby. - Bo Brandon ma marne szanse dożyć poranka.

- No, wreszcie. Myślałem, że nigdy nie wyjdą - stwierdził Colby kilka godzin później, rozpinając koszulę.

- Co mówisz? - zawołała Diana przez zamknięte drzwi łazienki. - Nie słyszałam!

- Powiedziałem, że dzięki Bogu wreszcie skończyło się to całe święto.

- Trzeba podziękować Evelyn Thorp. Byłeś zdziwiony, że tylu ich przyszło?

- Byłem wręcz osłupiały. Pewnie ściągnęła ich obietnica darmowych trunków i weselny tort.

- Przyszli zobaczyć ciebie, Colby. Chcieli ci złożyć życzenia. Jak to jest, wrócić do rodzinnego miasteczka po dwudziestu latach i odkryć, że jest się bohaterem?

- Cholernie dziwnie, jeśli chcesz wiedzieć. Ale nie daj się oszukać tym szerokim uśmiechom i przyjaznym uściskom dłoni. Niektórzy z tych ludzi, którzy składali nam dzisiaj serdeczne życzenia, dwadzieścia lat temu zabronili swoim córkom umawiać się ze mną i nie mogli się doczekać, kiedy skończę w więzieniu.

- Przecież nie skończyłeś w więzieniu. Pokazałeś im, jaki naprawdę jesteś. I teraz są z ciebie dumni.

- Jestem odmiennego zdania. Przyszli na wesele, bo byli ciekawi - burknął. Ale nie sprawiał wrażenia zawiedzionego.

- Nie bądź taki ponury. To nasza noc poślubna.

Mam nadzieję, że zaplanowałeś coś romantycznego.

- Planuję wskoczyć na ciebie, kiedy tylko zdecydujesz się opuścić twierdzę łazienki.

- Cierpliwości, serce ty moje. - Diana przebrała się w brzoskwiniową koszulę nocną, która dostała w prezencie od matki, i właśnie podziwiała się w popękanej lustrze. Miała na sobie niewątpliwie najseksowniejszą koszulkę w życiu.

- Diano?

- Tak?

- Lubię twoją matkę.

- Ona też cię lubi. Miło ze strony Brandona, że pojechał po nią do Portland, a dziś odwiózł na lotnisko.

- Jest inna, niż się spodziewałem.

- A czego się spodziewałeś?

- No, nie wiem. Skoro mąż ją opuścił, kiedy była w ciąży, myślałem, że nie znosi mężczyzn w ogóle, a męża córki nie zniesie w szczególności.

- Moja matka jest inna.

- Teraz już wiem. I cieszy się, że będziemy mieli dziecko. Wyznała mi, jak to się bała, że wychowanie bez ojca zraziło cię do mężczyzn. Że postanowiłaś im nie wierzyć i że zawsze będziesz się bała żako... - Urwał nagle. - Będziesz się bała wyjść za mąż, a co dopiero mieć dziecko. Wiesz, podziękowała mi, że wpakowałem się do twojego życia i trochę cię zmieniłem.

- Cała mama - jęknęła Diana. Mogę wychodzić, dodała w duchu. Była gotowa.

- Colby?

- Tak?

- Wychodzę. Nie wskakuj na mnie od razu, dobrze?

Chcę, żebyś zobaczył koszulkę. Jest piękna.

- Nic mnie to nie obchodzi. I tak lepiej ci będzie bez niej.

Diana ostrożnie otworzyła drzwi. Colby, odwrócony do niej plecami, stał pod przeciwległą ścianą małej sypialni i robił coś przy toalecie. W pokoju było niemal ciemno, lecz dostrzegła, że ma na sobie tylko skąpe slipki. Jego szerokie ramiona połyskiwały w przyćmionym świetle. Zauważyła pasma siwizny w ciemnych włosach i poczuła przyspieszone bicie serca.

Traciła głowę, ilekroć na niego patrzyła. Nie była pewna, czy Colby chociaż w części zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo ona go kocha. Zabrakło jej odwagi, by mu to powiedzieć. W gruncie rzeczy, uświadomiła to sobie dopiero niedawno.

- Colby?

Odwrócił się, słysząc jej głos. W rękę trzymał wazonik pełen polnych kwiatków. Szare oczy zmierzyły ją od stóp do głów.

- Nie wierzę - powiedział w końcu.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- W co?

- Nie wierzę, że w końcu jesteś moja. - Nagle przypomniał sobie, że w garści ściska kwiatki. - Proszę, to dla ciebie. Zerwałem je rano i włożyłem do wody, żeby do wieczora nie zwiędły. Taki sobie to prezent ślubny, ale w tutejszym sklepiku niewiele mają. Kupię ci coś ładnego, kiedy wrócimy do Portland.

- Och, Colby, są piękne! To najpiękniejsze kwiaty na świecie. Dziękuję. - Pomyślała, że za chwilę rozplacze się rzewnymi łzami. Żaden prezent nie sprawił jej nigdy większej radości.

Colby nie należał do romantycznych mężczyzn, o czym sama wielokrotnie mu przypominała. Ale dzbanuszek delikatnych kwiatów, tak ostrożnie trzymany w wielkiej dłoni, był najromantyczniejszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostała.

- Podobają ci się? - zerknął na bukiet, uśmiechając się niewyraźnie.

- Najpiękniejsze kwiaty na świecie. - Kocham cię za nie, dodała w myśli. Podeszła, chcąc wyjąć mu je z ręki.

Kiedy stanęła przy nim, wysunęła rękę zza pleców i wręczyła mu swój ślubny prezent.

- Co to? Kamyk? Z rzeki? - Wyjął z jej dłoni gładki odłamek skały i lustrował go wzrokiem niczym klejnot.

- Jak powiedziałeś, trudno jest tu kupić coś odpowiedniego. - Zdenerwowała się nagle. Może jednak nie był to najlepszy pomysł? - Ale wczoraj pomyślałam sobie, że pojedę nad Wodospad Spętanej i tam, w jezioru na dole, znalazłam ten kamyk. Lśnił w wodzie i wyglądał tak pięknie, prawie jakby obrabiał go zawodowy szlifierz. Chyba wygładziła go woda, spadająca z góry przez tyle lat.

Colby oderwał wzrok od kamyka. W jego oczach płonęło napięcie, które niemal pozbawiło ją tchu.

- Pojechałaś nad wodospad i tam go znalazłaś?

Skinęła głową, niepewna jego reakcji.

- Wiem, powiedziałeś, żebyśmy już nigdy nie rozmawiali o tym, co stało się w jaskini, jacy byliśmy lekkomyślni i zaszłam w ciążę, i musieliśmy wziąć ślub i w ogóle, ale... - przerwała, niepewna, czy zdoła dokończyć.

- Ale?

Nie potrafiła oderwać wzroku od jego płonących, szarych oczu. Przełknęła ślinę i spróbowała mówić dalej. Jeszcze nigdy nie miała takich trudności z wypowiedzeniem kilku prostych słów.

- Ale chciałam ci jakoś wyjaśnić, że nie sędzę, by to, co się wtedy stało, było naprawdę takie straszne. No, bo im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. To dziecko, które w sobie noszę... Czuję się tak, jakby ono musiało zostać poczęte. Rozumiesz mnie?

- Diano... - powiedział cicho.

Przerwała mu. Chciała jak najszybciej mieć to za sobą.

- Gdybym była z jakimkolwiek innym mężczyzną, skończyłoby się nieszczęściem. Ale trafiłam na ciebie, a ty jesteś inny i chciałabym, żebyś wiedział, że to rozumiem i że... i że dla mnie to już nie jest noc, kiedy popełniłam głupi błąd, za który muszę teraz płacić.

- Zebrałem te kwiaty nad wodospadem - powiedział cicho Colby. - Pojechałem tam właśnie po nie. Chciałem dać ci coś, co przypomni Wodospad Spętanej, żebyś wiedziała, że ja też nie uważam tego, co się tam stało, za błąd. Diana uśmiechnęła się, ulga i radość rozświetliły jej oczy. Wyjęła kamyk z jego dłoni i ostrożnie położyła obok dzbanuszka polnych kwiatków. A później wpadła w jego ramiona.

- Moja słodka, seksowna żona - powiedział, tuląc ją mocno do siebie. - Mamy wielką, ale to wielką szansę.

Nasze małżeństwo będzie doskonałe.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - rzekła poważnie.

Wdychała zapach jego ciała, rozkoszowała się jego siłą. Colby roześmiał się cicho.

- Powiedziałaś to tak, jakbyś przyjmowała propozycję interesującej pracy.

- Przecież zaczynam chyba zupełnie nową pracę, no nie?

Ujął ją palcami pod brodę i podniósł twarz. Chciał spojrzeć jej prosto w oczy.

- Chyba można by to tak ująć. Tylko musisz zrozumieć, że to najważniejsza praca w twoim życiu i że nie możesz zrezygnować, jeśli uznasz, że za mało ci płacą. Nie podobało się jej uważne, szacujące spojrzenie Colby'ego. Mimo to uśmiechnęła się.

- Część wynagrodzenia z pewnością uznam za całkowicie adekwatną - szepnęła. Palcami musnęła jego ramiona, zachwycona ich siłą.

Colby przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a później uśmiechnął się leniwie, zmysłowo. W jego oczach pojawił się znajomy jej blask. Kiedy tak na nią patrzył, odnosiła wrażenie, że zaczyna się

rozpływać.

Poczuła wplecioną we włosy dłoń i nagle jego głowa pochyliła się.

- Chce pani porozmawiać o wszystkich korzyściach płynących z tej pracy, pani dyrektor? Pokażę jej pani.

Poczuła na ustach jego wargi. Jęknęła, oplótła ramionami jego szyję. Zadrżała, gdy z wolna powiódł dłoń po jej plecach. Najpierw zakręciło się jej w głowie, a potem wirował już pokój - to Colby wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Kiedy pod głową poczuła poduszkę, otworzyła oczy i patrzyła, jak Savagar się rozbiera.

Biło od niego pożądanie. Patrzyła na niego i w wyobraźni mignął jej obraz, który wielokrotnie pojawiał się jej przed oczami, gdy się kochali. Wyciągnął rękę, chcąc zgasić światło przy łóżku i obraz ten nabrał ostrości. Patrzyła, jak Colby porusza się w ciemności, gotów zaraz położyć się przy niej. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zna go z innego życia, a może ze snów?

*W tym innym życiu był gwałtowny i prymitywny - groźny, butny wojownik, gardzący kobietami. Nie darzył Jej szacunkiem, na jaki zasługiwała. Wykorzystał Ją wbrew Jej woli - więc walczyła z nim jedyną bronią jaką miała do dyspozycji, była bowiem równie dumna i gwałtowna Jak on.*

*Nie dała mu dziecka, którego tak bardzo pragnął, a w końcu zabiła go Jego własnym nożem. Zrozpaczona i pełna żalu, czując ciekącą między palcami krew, pojęła, że mogło być inaczej. Że kiedyś, w innym życiu, będzie inaczej.*

- Diano? - Colby siedział na łóżku, wyciągając ku niej dłoń. - Co się stało?

- Nic. - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Tylko czasami mam przed oczami fragmenty tego snu. To mnie... rozprasza.

- Doskonale wiem, o czym mówisz. - Pochylił się nad nią, unieruchomił jej nogi. W ciemnościach widziała jego błyszczące oczy. - Czasami, kiedy jest tak, jak teraz, kiedy już mamy się kochać, w głowie pojawiają mi się obrazy. J a k sceny z tego przeklętego snu.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Nie wiedziałem, jak to wytłumaczyć. Ale teraz, skoro mamy podobne sny, może potrafisz mnie zrozumieć.

- Zawahał się, a potem spytał niecierpliwie. - Co wtedy widzisz?

- Widzę cię wtedy takim, jakim jesteś teraz - zaczęła powoli, szukając słów - a także takim, jakim byłeś kiedyś. Widzę wojownika, który uwięził tę kobietę w jaskini. To tak, jakby obraz ciebie jako wojownika nałożony został na ciebie prawdziwego. Czy to ma jakiś sens?

- Niestety tak. Czasami ja widzę cię podobnie.

- Jako wojownika?

Potrząsnął nią delikatnie.

- Nie, nie jako wojownika. - Odetchnął głęboko.

- Jako kobietę uwięzioną w tej jaskini: potężną, dumną łowczynię, nie umiejącą nagiąć się do woli mężczyzny.

Diana zadrżała ze strachu... i podniecenia.

- Jaka ona jest, ta inna kobieta, którą widzisz we mnie?

- To nie jest inna kobieta - powiedział powoli. - Ona jest tobą. Inną wersją ciebie. Może bardziej prymitywną? Jest podobna do Amazonki: gwałtowna, pewna siebie, nieokiełznana. I wtedy wszystko zrobiłem źle. Nie rozumiałem... - przerwał.

- Co? - Diana spojrzała na niego zdumiona, zdezorientowana, zaciekawiona. - Coś ty zrobił źle?

Colby potrzęsnał głową i spojrział w mrok.

- Kochanie, te obrazy są tylko fragmentami naszych snów.

- Wiem, ale to bardzo dziwne. I tobie, i mnie śni się legenda o Spętanej. - Teraz Diana była zupełnie poważna.

Colby uśmiechnął się leniwie. W ciemności dostrzegła błysk jego białych zębów.

- Czyżby cię to podniecało?

- Tego nie powiedziałam!

Pochylił się, całując ją w szyję.

- A ja sędzę, że jednak tak.

- Daj spokój, przestań! Musimy porozmawiać o snach! Coś się tu dzieje i powinniśmy to omówić - Zamiast tylko śnić o legendzie, lepiej ją zagrać. Po co mieć żywą wyobraźnię, jeśli nie czerpie się z niej przyjemności? - Oczy lśniły mu zmysłowo, gdy powoli nakrywał ją swoim ciałem.

- Colby? - Diana poruszyła się i odkryła, że jest uwięziona. Nagle zdała sobie sprawę, o ile jest od niej cięższy.

- Gotowa, skarbie? - Jednym ruchem zerwał z niej brzoskwiniowy strój.

~ Nie bądź śmieszny, Colby, ja naprawdę chcę z tobą poważnie porozmawiać, a ty myślisz tylko o jednym.

- W noc poślubną mężczyzna ma prawo do odrobiny radości. Stopą rozdzielił jej nogi.

Diana zadrzała, czując między kolanami udo, drażniące jej skórę drobnymi włoskami. Wstrzymała oddech, opierając mu dłonie na piersiach. Jego ręka powędrowała w dół. Zamruczał z zadowoleniem, gdy znalazł, czego szukał. Diana patrzyła na niego oczami rozszerzonymi pożądaniami. Wydał się jej nagle ogromny i bardzo męski. W pełni kontrolował sytuację. Kiedy spojrział w jej twarz, wiedziała, że doskonale rozumie, co się z nią dzieje. Uwięził ją nie tylko ciałem, lecz także spojrzeniem. Złapał ją za nadgarstki i przygniótł ręce do poduszki.

- Czy to dla ciebie wystarczająco prymitywne? - spytał podniecającym, niskim głosem, wyginając się i drażniąc jej skórę, wciągając ją w prastary rytm. Nie spieszył się jednak, jakby na coś czekał.

- Czy to ci przypomina pewnego wojownika, którego kiedyś znałaś?

Jęknęła, kiedy zaczął się w niej pogrążyć.

- Czym żywili wtedy wojowników, że rośli tacy wielcy?

- Surowym mięsem.

- Och! - zamknęła oczy i westchnęła cicho.

Czekała, aż zacznie poruszać się w tym hipnotyzującym rytmie, którym drażnił się z nią przed chwilą. On tymczasem leżał nieruchomo. Nadal przytrzymując jej dłonie na poduszce, wodził językiem po szyi Diany.

- Colby?

- Tak? - Zajęty był właśnie dołeczkiem między jej piersiami.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- Świetnie. Lubię doprowadzać cię do szaleństwa.

Lubię, kiedy zaczynasz krzyczeć.

- Nie krzyczę.

- To jak to nazywasz?

- Cichymi pomrukami zmysłowego zaspokożenia - stwierdziła górnolotnie. Pragnęła, by Colby podjął wreszcie ten rytm. Nie mogła już znieść oczekiwania.

- Aha! Ciche pomruki zmysłowego zaspokożenia! - powtórzył. - Przecież ty krzyczysz! Szalejesz z rozkoszy i wrzeszczysz. Nie sposób nazwać tego inaczej. I dziś też będziesz krzyczała.

- Tak? - Nie chciała go rozczarować. Ciężar jego ciała przytłoczył ją. Zalała ją fala ciepła. Tuliła go każdą cząstką swego ciała.

Colby jęknął.

- Och, tak, kochanie, właśnie tak. - Uwolnił jej ręce i wreszcie drgnął. Mięśnie ramion nabrzmiały mu, kiedy wstrzymywał się, czekając na nią. Diana otoczyła go ramionami i udami. A kiedy w końcu zaczęła krzyczeć, przytulił się ustami do jej warg. W chwilę później osunął się na poduszki.

Diana leniwie odpływała w sen. Nagle uśmiechnęła się, kiedy ni stąd, ni zowąd pojawiła się w jej głowie myśl: *Tym razem było inaczej. Tym razem było tak, jak być powinno.*

Upłynęło sporo czasu, nim leżący obok niej mężczyzna poruszył się.

- Wiesz, myślałem. Robiłem plany.

- Doprawdy? - Ziewnęła.

- Musisz wreszcie pójść do lekarza. Słyszałaś, co powiedzieli, kiedy odbieraliśmy wyniki testu. Najwyższy czas na dokładne badania. Diana ocknęła się.

- Mam w Portland swoją lekarzkę. Mogę się z nią umówić. - Patrzyła w sufit i czuła się dosyć nieswojo. Musi myśleć o tylu nowych rzeczach. Musi zburzyć tak doskonale uporządkowane życie.

Dłoń Colby'ego dotknęła jej wciąż płaskiego brzucha.

- Umów się. to pojedziemy razem do Portland. Przynajmniej będziemy mieli jakąś rozrywkę.

- A twoja książka? Mogę pojechać sama.

- Poradzę sobie z książką. I zawiozę cię do Portland.

Starła się ustalić, co właściwie czuje, kiedy ktoś inny podejmuje za nią decyzje. Z jednej strony wielką ulgę, ponieważ miała z kim podzielić się odpowiedzialnością, z drugiej przerażało ją, że ktoś przejmuje odpowiedzialność za jej życie. Nie była przyzwyczajona do tego, by opiekował się nią ktokolwiek... a już zwłaszcza mężczyzna.

- Przestań się zamartwiać, kochanie. ~ Colby sprawiał wrażenie rozbawionego. - Przyzwyczaisz się.

- Umiesz czytać w myślach!

- Nie. Ale w chwilach takich jak ta nietrudno zgadnąć, o czym myślisz.

- Może to i dobry pomysł: spędzić kilka dni w Portland. Mogłabym spotkać się z Aaronem Crownem i porozmawiać o możliwości powrotu do pracy.

- Nie musisz wracać do pracy. Możesz czekać, aż urodzi się dziecko.

- Nie - stwierdziła stanowczo. - Chcę pracować, czekając na dziecko.

- Dobrze. Tylko pamiętaj, że teraz nie to jest dla ciebie najważniejsze.

Powiedział to z wielkim naciskiem, postanowiła więc rozładować atmosferę, trochę się z nim drażniąc. Przewróciła się na bok, podparła na łokciu, przeciągnęła palcem po jego udzie i spytała niewinnie:

- A co?

Czasami zdumiewało ją to, jak szybko Colby potrafi się poruszać. Złapał ją za ręce i przewrócił z powrotem na plecy. Nagle jego wielkie, silne ciało znalazło się nad nią, przesłaniając słabe światło księżycy. Dotknął obrączki na palcu Diany.

- Dokładniej dwie sprawy, pani dyrektor. Ja i dziecko. I nie pozwolę ci zapomnieć ani o nim, ani o



sobie.

- Jak mogłabym o was zapomnieć? - zdążyła spytać, zanim poczuła na wargach jego usta.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wzięliśmy ślub, byłaś u lekarza... a teraz musimy wybrać jakieś imię dla dziecka. - Colby nabił na widelec kawałek łososia i spojrzał na Dianę poprzez szerokość małego, restauracyjnego stolika. - Jak ci się podoba Bertha Maud, jeśli będzie dziewczynka, i Horace, jeśli to chłopiec?

- Chyba żartujesz!

Diana nadal była myślami przy wczorajszej rozmowie ze swą lekarką. Z dnia na dzień coraz więcej objawów potwierdzało ciążę. A Colby robił wszystko, by jak najprędzej się z nią pogodziła. Przy każdej okazji, a czasami i bez, poruszał jakiś temat związany z dzieckiem. Właśnie jedli kolację w jednej z najlepszych restauracji w mieście, ale nie mogła skoncentrować się na doskonałości dań, bo jej mąż zaczął wymyślać imię dla dziecka!

- Nie skazałabym żadnego dzieciaka na imiona Bertha Maud albo Horace. A poza tym za wcześnie jeszcze na takie ustalenia.

- Wcale nie. Nie chcesz rozmawiać, bo wolisz myśleć o pracy, a nie o dziecku.

- Wiem więcej o mojej pracy niż o dzieciach. - Dobiegający od sąsiednich stolików szmer rozmów prawie zagłuszył jej słowa. Ale Colby usłyszał.

- Dowiesz się wszystkiego - stwierdził między dwoma kęsami łososia. - Wracamy do Fulbrook Corners? Już chyba wystarczająco długo siedzimy w Portland. Muszę skończyć książkę przed jesienią.

- Nie zdążyłam nawet skontaktować się z Aaronem. Jutro mam do niego zadzwonić.

- Przecież możesz poczekać do jesieni. Taki miałaś zamiar, prawda?

Zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że Colby zniechęca ją, gdy tylko pojawia się temat pracy.

- Wolałabym załatwić wszystko teraz, kiedy jestem w ciąży. Muszę wiedzieć, czy w ogóle mogę jeszcze wrócić do Carruthers & Yale.

- Przecież wiesz, że tak. Ten Crown przez cały czas niemal cię błaga na kolanach, żebyś dla niego pracowała.

- Racja. Zrozum, chciałabym tam wrócić, Colby. To doskonałe rozwiązanie.

- Doskonale by było, gdybyś przestała się martwić o pracę, póki nie przyzwyczaisz się do roli żony i matki.

- Chcesz się pokłócić? Dobrze wiesz, co myślę o zależności od mężczyzny. Dawno temu przysięgam sobie, że nie pozwolę, żeby ktoś płacił moje rachunki.

- Przysięgłaś sobie nie ufać mężczyznom, a to coś innego, niż samemu regulować rachunki. Tak, znam twoje zdanie. - Colby wymierzył w nią widelec i skrzywił się. - Nie masz zamiaru zaufać mi i pozwolić się o siebie troszczyć. Najwyższy czas, żebyś zdała sobie sprawę, że ta szlachetna idea zmieniła się w fobię!

- Tak ci się nie podobają moje plany zawodowe? Nie pojmujesz, jakie to dla mnie ważne? Nie przypuszczałam, że w tej sprawie będziesz męskim szowinistą. Przecież sam podobnie traktujesz pisanie. Powinieneś mnie zrozumieć.

- To nie ma nic wspólnego z szowinizmem. - Colby zdusił wybuch gniewu i starał się mówić cicho. - Pisanie jest dla mnie tak samo ważne, jak twoja praca dla ciebie, ale życie nauczyło mnie - i to wcale

nie najłagodniejszymi metodami - że są ważniejsze sprawy. Pora, żeby to do ciebie dotarło. Byłaś zbyt samowystarczalna, zbyt skupiona na pracy, na małym fragmencie życia, i to od Bóg wie ilu lat! Musisz nauczyć się, jak być kobietą, żoną i - w niedługim czasie - matką. Nie wystarczy być Amazonką.

- Założę się, że sam pracowałeś i jednocześnie uczyłeś się, jakie to szczęście być ojcem.

- Jasne, uczyłem się ojcostwa w twardej szkole. Ale twarda szkoła niekoniecznie jest dobra. Wychowywałem Brandona i pracowałem na okrągło, byle tylko utrzymać jego i siebie. Nie było to najlepsze wyjście, ale nie miałem wyboru. Ty - masz.

Diana poczuła, jak ogarniają ją znajomy lęk.

- Wiesz, co o tym myślę? - odparła. - Myślę, że wracasz do tego tematu, ponieważ w głębi serca nie podoba ci się, że sama potrafisz o siebie zadbać.

- To nieprawda, Diano.

- Męczy cię to, może nie? Jesteś dosyć staroświecki i chcesz, żebym należała wyłącznie do ciebie. To taka próba, sprawdzanie, kto silniejszy. W naszym społeczeństwie ci, którzy mają pieniądze, kontrolują wszystko. W każdym razie tak jest w interesach i tak też musi być w małżeństwie...

- Nie martwię się tym, że potrafisz się sama utrzymać - powiedział Colby przez zaciśnięte zęby. - Wręcz przeciwnie, podziwiam cię. Podejrzewam jednak, że przeraża cię sama myśl o tym, co się stanie z tą twoją bezcenną niezależnością. Mówiłem ci, że powinnaś zmienić swój system wartości. Doszły nowe czynniki: musisz je także brać pod uwagę. A najlepiej zacząć, odrzucając zbroję i miecz!

- Diana! - wykład Colby'ego przerwał donośny męski głos, charakterystyczny dla człowieka, który lubi zwracać na siebie uwagę i wie, jak to zrobić. - Dostrzegłem cię przed paroma minutami i nie mogłem uwierzyć, że to ty! Przecież ukryłaś się w jakiejś dziurze w górach. Co robisz w Portland?

Diana uniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Aarona Crowna. Jeszcze przed chwilą wdzięczna byłaby losowi, gdyby w dowolny sposób przerwał jej kłótnię z Colbym, lecz przecież nie była przygotowana na to, że obok stolika stanie jej szef. Uciekła się do beznamiennej, zawodowej uprzejmości.

- Dzień dobry, Aaronie. Miło cię widzieć.

- A ja z radością widzę ciebie. Brakowało nam cię, kochanie. - Aaron Crown uśmiechnął się do niej ujmująco. Był to banalnie przystojny mężczyzna, który z talentem bliskim geniuszu naśladował typ dyrektora wielkiej firmy. Miał na sobie garnitur szyty na miarę, wzór na krawacie przywodził na myśl jedną z ekskluzywnych szkół, do której zresztą nie chodził, a koszula z pewnością nie została uszyta z mieszanki taniej bawełny z tworzywem sztucznym. Aaron Crown wierzył, że należy ubierać się odpowiednio do roli granej w świecie interesów, a on grał wyłącznie role pierwszoplanowe... lub prawie pierwszoplanowe.

Diana zorientowała się, że nad stolikiem zawisła cisza. Colby chłodno przyglądał się Aaronowi, ten zaś czekał na prezentację. Zarumieniona, pośpieszyła dopełnić towarzyskiego obowiązku.

- Och... Aaronie, to Colby Savagar. Colby, to Aaron Crown, mój szef.

- Pan jest jej szefem, tak? - Colby niedbale potrząsnął wyciągniętą ręką. - A ja jestem jej mężem.

Twarz Diany oblała się purpurą. Odchrząknęła. Aaron odwrócił się ku niej z wyrazem nieopisanego zdumienia na twarzy.

- Cooo... a, tak, słusznie - wykrztusiła. - Colby Jest moim mężem. Zapomniałam ci powiedzieć, że wyszłam za mąż. - Z wyrazu oczu męża wyczytała, że ta pomyłka nie ujdzie jej płazem.

- Twój mąż! - Crown z wysiłkiem zdobył się na słaby uśmiech. - Cóż, powinienem ci chyba pogratulować, prawda? Nie miałem pojęcia, że spotykasz się z kimś, nie mówiąc już o tym, że chcesz wyjść za mąż. Gdzieś ty go ukrywała?

- W lodówce - odpowiedział Colby.

Diana rzuciła mu pełne złości spojrzenie.

- Jesteśmy małżeństwem dopiero od kilku dni - wyjaśniła. - Jeszcze nie możemy się do tego przyzwyczaić, prawda, kochanie?

- Ja już się przyzwyczyłem - stwierdził ponuro Colby, - To ty masz jakieś trudności.

Aaron zachichotał uprzejmie, ale nadal sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Niewiarygodne. Gdzie się spotkaliście?

- W Fulbrook Corners - odparła krótko Diana, marząc o zakończeniu rozmowy.

- Więc znacie się zaledwie parę tygodni? - Aaron potrząsnął ufryzowaną głową.

- I tak od razu ślub? Nie mogę w to uwierzyć.

- Radziłbym spróbować - rzucił Colby.

Aaron Crown zignorował go. Z wielką troską przyglądał się Dianie.

- To do ciebie niepodobne - powiedział. - Że też to właśnie ty, Diano, tak nagle wyszłaś za mąż. Przecież zawsze tak długo myślisz, nim podejmiesz najdrobniejszą decyzję. No, niech tylko dowiedzą się o tym w biurze. Musimy zorganizować jakieś przyjęcie!

- Proszę nie planować niczego na najbliższą przyszłość - wtrącił Colby. - Diana jeszcze nie zdecydowała, czy chce wrócić do firmy, w której kobiety nie mają możliwości awansu.

Oczy Crowna zwięzły się lekko. Był wyraźnie zmieszany.

- W świecie interesów każdy kiedyś został pominięty przy awansach. To nieprzyjemne, ale tak bywa. I zawsze jest następna okazja. Jestem pewien, że jeśli popracujesz ze mną jeszcze rok lub dwa, zarząd spojrzy na ciebie przychylniejszym okiem. A na razie miałem nadzieję, że zdecydujesz się nieco skrócić urlop. Dłuższa nieobecność może ci przeszkodzić w karierze.

- Właśnie chciałam o tym z tobą porozmawiać, Aaronie.

W oczach Crowna błysnęła satysfakcja.

- Wspaniale. Nic nie sprawi mi większej przyjemności, niż mieć cię znowu przy boku. Jak mówiłem, wszyscy za tobą tęsknimy. Kiedy możesz zacząć?

- Najwcześniej pierwszego września - stwierdził chłodno Colby. Stanowczym spojrzeniem nakazał Dianie milczenie.

- Ależ to dopiero za miesiąc. - Aaron sprawiał wrażenie głęboko rozczerowanego.

- Colby musi skończyć książkę - powiedziała Diana, zirytowana trochę zachowaniem męża. Uśmiechnęła się do Crowna. - A może wróciłabym do Portland nieco wcześniej, niż planowałam? - zastanowiła się.

- Nie, nie wrócisz do Portland wcześniej, niż planowałaś - rzekł Colby ostro i zdecydowanie.

Była już bardzo zła, ale powstrzymała się od dyskusji.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była awantura, kompromitująca ją w oczach Aarona Crowna. W świecie interesów pozory są wszystkim. Musi sprawiać wrażenie chłodnej, spokojnej i kompetentnej kobiety, radzącej sobie w małżeństwie równie dobrze jak w pracy. Zdobyta się na uprzejmy uśmiech.

- Dam ci znać, kiedy już wszystko sobie przemyślę - powiedziała. Nie powinnam sprawiać wrażenia zbyt chętnej, dodała w myśli.

- Trzymam cię za słowo - powiedział szybko Crown i poklepał ją po ramieniu. - Nie mogę się

doczekać, kiedy znów będę z tobą pracował, Dianu. Trochę brak ci doświadczenia, ale, przy odrobinie praktyki, szybko pójdziesz w górę. Więc dbaj o siebie i ciesz się miodowym miesiącem. Czekałam na twój telefon. - Uśmiechnął się z wyższością do Colby'ego i odszedł, dołączając do swojego towarzystwa, siedzącego w drugim końcu sali.

Colby spojrzał na Dianę. Oczy mu płonęły.

- Wiesz, co powinnaś robić? - spytał.

Zwilżyła wargi, niepewna, w jakim jest humorze.

- Co? - spytała.

- Ćwiczyć.

Nie zrozumiała.

- Ćwiczyć?

- Jak być żoną. Zapomniałaś, że jesteś mężatką! Cud, że udało ci się przypomnieć, jak mam na imię! Diana z trudem opanowała wybuch śmiechu.

- Przepraszam - szepnęła, kryjąc usta za podniesioną serwetką. - Zaskoczył mnie. - Nie powinna była do tego dopuścić. Pracownicy Carruthers & Yale chętnie chodzili do tej restauracji. Zaproponowała ją Colby'emu po prostu z nawyku. Nic dziwnego, że spotkali tu Aarona. Colby przyglądał się jej. Nadal był w złym humorze.

- Od jak dawna pracujesz dla tego pajaca?

- Prawie cztery lata. - Nie próbowała nawet bronić szefa.

- Jakim cudem wytrzymałaś tak długo?! Przecież to idiota!

- W świecie interesów pełno jest pajaców i idiotów - lekceważąco wzruszyła ramionami. - Po pewnym czasie człowiek się przyzwyczaja. Chcesz mi powiedzieć, że w wydawnictwach ich nie ma? Odpowiedziało jej westchnienie.

- No... kilku by się znalazło. Ale przynajmniej nie muszę się im wysługiwać codziennie od dziewiątej do piątej. Spotykamy się rzadko. Przeważnie mam spokój i mogę pisać.

- Niestety, mnie nie udaje się ich unikać.

- Nic łatwiejszego, przynajmniej jeśli idzie o tego pajaca. Nie wracaj do pracy. A właściwie, jakim cudem on się tu dziś pojawił?

Diana znów wzruszyła ramionami.

- To jego ulubiona restauracja.

- Rozumiem. - Szare oczy Colby'ego były zimne jak lód. - Często wpadaliście tu razem w dawnych, dobrych czasach?

Zaskoczona, gwałtownie uniosła głowę; w jego głosie usłyszała nutkę nieprzyjemnej, męskiej zazdrości.

- Parę razy rzeczywiście tu byliśmy. Interesy, to wszystko. Mówiłam ci, że z Aaronem wiążą mnie stosunki wyłącznie służbowe.

- Czemu tylko służbowe? Facet wygląda mi na takiego, który chętnie sypia ze swoimi pracownikami... jeśli tylko uda mu się do którejś dobrać.

Uśmiechnęła się leniwie.

- Nie lubię pajaców.

Colby wyraźnie się odprężył. Kąciki ust mu zadrgały.

- Więc tylko pracujesz dla nich?

- Mówiłam ci, nie zawsze można tego unikać.

Specter powitał Dianę pod drzwiami jej mieszkania w centrum miasta, radośnie merdając kosmatym ogonem. Łasił się do niej, popatrując na Colby'ego z udawaną nienawiścią.

- Łagodnieje - stwierdził Colby zdejmując marynarkę. - Już nawet się na mnie nie szczerzy.

- Mówiłam, że zaczyna cię lubić.

- A jakże! - Colby powiesił marynarkę w szafie.

- Wiesz, znam taki most...

Nie dokończył zdania. Czerwony telefon, stojący pod oknem na stoliku z czarnego, lakierowanego drewna, rozdzwonił się nagle.

Obcasy pantofli Diany zastukały po dębowym parkiecie. Podniosła słuchawkę, podziwiając przez wielkie okno swój ulubiony widok na rzekę Willamette.

- Halo?

- Diana? Tu Brandon. Jestem w mieszkaniu taty.

Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę z nim pogadać. Jest u ciebie?

- Tak. Obraża Spectera, jak zwykle. A jak ci leci w tej restauracji?

- Fajnie. Nie chciałbym być do końca życia kelnerem, ale na razie jest nieźle. - Brandon zawiesił głos.

- Widziałem Robyn - powiedział w końcu. - Wczoraj.

- Oo? - Zerknęła w twarz Colby'ego i natychmiast opuściła wzrok. - Co u niej?

~ Chyba jednak nie złamałem jej serca. Chodzi z jakimś zarozumialcem, którego poznała w klubie rodziców.

- A co u ciebie?

- U mnie? Przysiągłem sobie nie zadawać się z dziewczynami co najmniej przez tydzień.

- Świetnie! - roześmiała się. - Dam ci ojca. - Podała słuchawkę Colby'emu, który z zaciekawieniem przysłuchiwał się rozmowie.

- Tak?

Zdjęła pantofle i poszła do kuchni po jakiś smakołyk dla Spectera. Słyszała, jak Colby mówi do słuchawki:

- Dobrze, chyba mogę się na to zgodzić. Ale jak zobaczę na jeepie choćby najmniejszą rysę, obedrę cię ze skóry i przybiję ją na drzwiach. Dobrze. Do zobaczenia!

- Słuchawka wróciła na widełki.

- Czy coś się stało? - spytała z kuchni Diana.

- Brandon chciałby na kilka dni pożyczyć jeepa. Z kumplami z restauracji wybierają się na wybrzeże.

Chcą jechać bocznymi drogami. Na tydzień dostajemy

mazdę. Kiedy wróci, odwiezie nam jeepa do Fulbrook Corners.

- To dość skomplikowane.

- Chłopcy w jego wieku i samochody... to zawsze skomplikowane. - Colby wrócił do kuchni w samą porę, by dostrzec, jak Specter oblizuje się łakomie.

- Co on je? - spytał.

- Swoje suchary. Chcesz?

- Nie, dzięki. Wolę ciebie. - Objął Dianę od tyłu i pocałował w szyję. - Przepraszam za tę kłótnię w restauracji. Zaskoczył ją. Odwróciła się i objęła go mocno.

- Dla nas obojga to coś nowego. Możesz sobie wiedzieć wszystko o wychowaniu dzieci, ale o

małżeństwie wiesz nie więcej ode mnie. Byłeś żonaty przez niespełna rok - i to dwadzieścia lat temu!

- Racja. Nie mogę uchodzić za eksperta od małżeństwa, ale i tak jestem pod tym względem lepszy od ciebie. Ty nigdy nie miałaś męża.
- A ty chciałeś tylko letniej przygody.
- Chciałem ciebie. - Głos miał zmieniony. - I nie za bardzo obchodziło mnie, jak cię dostanę.
- A ja ciebie - przyznała. - Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

- Wygląda na to, że dostaliśmy wszystko, o czym marzyliśmy. - Dłońmi objął ją w pasie.

- Ale nie tak, jak marzyliśmy.

- No, więc mamy premię w postaci dziecka. Poradzimy sobie. - Ręce Colby'ego ześliznęły się na jej biodra.

- Wiesz, sędzę, że kiedy jesienią wrócimy do Portland na stałe, przeprowadzę się do ciebie. Twoje mieszkanie jest ładniejsze. Bardziej stylowe. U mnie nie czułabyś się tak dobrze jak tutaj. Lubisz otaczać się ładnymi rzeczami, prawda?

- Tak. Ale dopiero od niedawna mnie na nie stać.

- Mnie też na nie stać, skarbie - powiedział znacząco i uśmiechnął się. - Twoja lekarka kazała ci dużo odpoczywać. Może byś poszła do łóżka? Mam kilka interesujących pomysłów na spędzenie tej nocy.

Specter warknął groźnie.

Diana z uśmiechem podniosła głowę i rzekła:

- Tylko jeszcze musisz zabrać go na wieczorny spacer.

Colby jęknął i wypuścił ją z objęć.

- Nie mógłbym niechcący zgubić go gdzieś na ulicy?

- Wstydz się. To tylko biedny, niewinny pies!

- Niewinny. Akurat. - Zdjął z wieszaka skórzaną smycz. - Gdyby wrócił beze mnie, dzwoń na policję i powiedz, że zostałem pożarty w całości.

Specter wyszczerzył kły w swym wilczym uśmiechu. Colby odwzajemnił mu się, obnażając równie imponujące zęby. Diana odprowadziła ich spojrzeniem, a kiedy wyszli, podeszła do okna.

Kocha Colby'ego. Wie o tym od pewnego czasu. Tylko wolałaby, żeby nie musiał się z nią żenić z powodu dziecka. Teraz już nigdy nie dowie się, jak długo mogłaby trwać ich znajomość i czy w innych okolicznościach skończyłaby się małżeństwem.

Nigdy nie dowie się, czy Colby kiedykolwiek by się w niej zakochał.

Doskonale czuł się za kierownicą malej, zrywnej mazdy Brandona. Wielką przyjemność sprawiał mu niski pomruk silnika i wrażliwa kierownica. Wąska, góraska droga odpowiadała zarówno samochodowi, jak i kierowcy.

- Jeśli nie zwolnisz, mój pies dostanie mdłości - oznajmiła mu siedząca obok Diana. Specter, mieszczący się z trudem na wąskim tylnym siedzeniu, wystawił łeb przez otwarty dach.

- Prowadzę doskonale - uśmiechnął się Colby.

- I powiem ci jedno. Jeśli twój pies tutaj dostanie tych mdłości, będziesz miała długą rozmowę z Brandonem.

~ Tylko nie to! On jest zakochany w tym samochodzie.

- O, tak. I świetny z niego kierowca. Chciałem, żeby miał dobry, lekko się prowadzący wóz.

- Chyba nigdy nie polubię wyścigowych samochodów i tego stylu jazdy. Zostanę przy buicku.

- Twoja matka zdążyła już poinformować mnie, jaka potrafisz być uparta. Miałaś szczęście, że się napatoczyłem. Beze mnie nadal wiodłabyś nudne, przyziemne życie i jeździłabyś nudnym, przyziemnym samochodem. Przed czterdziestką znudziłoby cię to wszystko i w końcu byś zwariowała. Najwyższy czas, żebyś wreszcie zaczęła żyć! Spojrzała na niego drwiąco.

- I to ty mnie tego nauczysz, tak?

Colby uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Traktuję to jako mój małżeński obowiązek. Teraz wszystko się zmienia, skarbie.

Mnie to również dotyczy, pomyślał. Zdjął rękę z kierownicy i przesunął na bok Spectera, który zasłaniał mu tylne lustro. Nie dostrzegł nikogo, skoncentrował więc uwagę na krętej szosie. Jego życie rzeczywiście zmieniło się niespodziewanie, ale był z tego zadowolony. Chciał tylko wiedzieć, kiedy Diana wreszcie pogodzi się ze swym losem tak świadomie jak on. Ciągłe targały nią sprzeczne emocje, ciągle nie potrafiła przyjąć do wiadomości zdumiewającej rewolucji, jaka nastąpiła w jej życiu. Zdawała sobie sprawę, że w głębi duszy nadal jest przerażona.

On też się bał, ale czegoś innego. Wiedział, że uspokoi się dopiero wtedy, gdy ona w pełni zaakceptuje zmiany. Musiał więc czekać, a tymczasem Aaron Crown łatwo może mu przeszkodzić, kusząc Dianę perspektywą świetlanej przyszłości w Carruthers & Yale.

- Colby? Coś się stało?

- Nie, skarbie. Mam pewne kłopoty z akcją.

- Musisz wymyślić coś strasznego dla bohaterów „Szkarłatnej mgły”?

- Nie, nie o to chodzi. Wszystko, co straszne, już rozpracowałem. Myślałem, w jaki sposób bohater ma uratować bohaterkę.

- Ma jakieś kłopoty?

- Bohaterka wpadła w pułapkę.

- Aha. I bohater musi ją uratować?

- Mniej więcej. - Zrobię, co w mojej mocy, zdecydowałem w myślach, nawet jeśli bohaterka nie chce zostać uratowana.

Dojechali do Fulbrook Corners wieczorem, a następnego dnia rano Colby wrócił do pracy nad „Szkarłatną mgłą”. Ostatnio przeszkadzało mu tyle rzeczy; denerwował się, że pisze tak wolno. Nie jest mi obojętny stosunek Diany do pracy, powiedział sobie, wywołując z pamięci komputera trzeci rozdział „Szkarłatnej mgły”. Przecież wiem, jak bym się czuł, gdyby mi ktoś powiedział, że mam przestać pisać; chyba bym go zabił!

Lecz przecież nie prosił jej, by rzuciła pracę. Chciał tylko, by zaufała mu i miała czas na przemyślenia. Amazonki są twarde, zacięte, uparte. Najwyraźniej tylko silny mężczyzna zdoła je wziąć w garść i pokazać, co to znaczy być prawdziwą kobietą.

Rozdział trzeci pojawił się na ekranie. Colby uśmiechnął się do siebie złośliwie. Diana udusiłaby go, gdyby wiedziała, o czym myśli. Ale przecież to nie jego wina, że tylko ona potrafi wyzwolić w nim to, co najprymitywniejsze. Przez chwilę czytał ostatnie słowa, napisane przed wyjazdem do Portland. „Banner siedział w kucki na skale ponad wodospadem obserwując, jak w świetle zachodzącego słońca woda zmienia się w krew. Wiedział, że pewnego dnia będzie musiał wrócić do jaskini, ukrytej za tą grzmiącą kurtyną. Siły uwolnione tej nocy, którą przespał w grocie, jeszcze kiedyś go tu zwabiają. Czuł jednak, że dzień powrotu jest bardzo daleki. Miał dopiero siedemnaście lat. Nim zdoła odkryć sekret ukryty za zasłoną wodospadu, powinien się jeszcze wiele nauczyć. Wiedział, że najpierw musi stać się mężczyzną. Zastanawiał się, ile zajmie mu to czasu, nieświadomy, że zadając sobie to pytanie, już zrobił pierwszy, nieśmiały krok.”

Nietrudno powiedzieć, skąd wzięłem natchnienie do tej powieści. Uśmiechnął się do siebie i położył dłonie na klawiszach komputera. Nigdy nie zapomniał nocy spędzonej samotnie w Jaskini Spętanej. Przypominały mu ją sny. Robiąc sobie krótką przerwę na kawę pomyślał, że dobrą stroną poślubienia kobiety interesu jest to, że nie ma pretensji do mężczyzny o czas poświęcony pracy.



Doskonale potrafi sama zająć się sobą i nie nudzi się bez towarzystwa.

Diana też doskonale wszystko rozumiała. Pozostawiła go samemu sobie bez słowa skargi. Swym dostojnym buickiem pojechała rano do miasta, odebrała pocztę, zrobiła zakupy i przez resztę dnia po prostu schodziła mu z drogi.

Gdy wreszcie wieczorem wyłączył komputer, zdał sobie sprawę, że niemal już czas na kolację. Wstał, przeciągnął się i poczuł dobiegające z kuchni zapachy. Ryż z jarzynami. Któregoś pięknego dnia musi jej wytłumaczyć, do czego służy książka kucharska.

Wiele jest rzeczy, których ją musi nauczyć. Spojrzał przez okno na mały, czerwony, sportowy samochód Brandona i zdecydował, że równie dobrze może zacząć już dziś. Nauczy ją, jak wesoło spędzać czas.

- Miałabyś ochotę pojechać nad Wodospad Spętanej i tam się zabawić? - spytał, wchodząc do kuchni.

Zaskoczona, Diana obróciła się szybko.

- Pojechać i co?

- Przecież słyszałaś. - Colby wyjął z paczki krakersa i posmarował go twarożkiem. - Mówiłaś mi, że w szkole nigdy nie chodziłaś na randki. Założę się, że nie przeżyłaś jeszcze tego wspaniałego doświadczenia, jakim jest kochanie się w samochodzie. Diana wzniosła oczy do nieba.

- Z żalem wyznaję, że obcy mi jest ten szczególny rytuał młodości.

~ Nie martw się, jeszcze nie jest za późno. - Oparł się o szafkę i wepchnął krakersa do ust. Uśmiechnął się widząc, że pomysł ją zaintrygował. - Weźmiemy mazdę.

- Samochód Brandona nie ma tylnego siedzenia - zauważyła żartobliwie, krojąc zieloną paprykę. - Czy nie powinno się używać w tym celu tylnego siedzenia?

- Na pewno nie pojedziemy twoim samochodem. Jest zbyt... banalny. Mazda jest bardziej... stylowa. A poza tym przednie siedzenie jest równie dobre jak tylne.

- Rozumiem, że przemawia przez ciebie doświadczenie, jakiego nabrałeś w swojej ukochanej corvette?

Rzucił jej pełne namysłu spojrzenie.

- Nie pamiętam. Minęło przeszło dwadzieścia lat. Ale jestem pewien, że przypomnę sobie wszystko, kiedy tylko dojedziemy na miejsce. Diana zachichotała. Zabrzmiało to jakoś niezwykle. Colby spojrzał na nią, zdziwiony. Uświadomił sobie, że nigdy przedtem tak się nie śmiała.

- Założę się, że te doświadczenia przypomną ci się natychmiast!

- Noo, czyżbyś się skarżyła? Mówiłaś mi, że nigdy nie miałaś okazji umówić się na randkę ze złym chłopakiem z biednej dzielnicy. Zastanawiałaś się, co straciłaś. Cóż, wypełnię tę lukę w twojej edukacji.

- Jak mogłabym się oprzeć tak wspaniałej ofercie?

- Pośpiesz się z kolacją. Podnieca mnie już sama myśl o dźwigni biegów w samochodzie Brandona.

- Chryste, ta cholerna dźwignia zaraz mnie owałaszy - poskarżył się Colby w dwie godziny później. - Chyba oszalałem proponując ci coś takiego.

- Może wyszedłeś z wprawy? - Diana spoczywała, pólżąc, na jego kolanach, wciśnięta między ciało Colby'ego a kierownicę. Spojrzała na niego wesoło, wierząc się jednocześnie, by znaleźć wygodniejszą pozycję.

- Problem polega raczej na tym, że w tych nowych samochodach siedzenia są mniejsze. - A przez to znacznie wzrósł czynnik frustracji, dodał w myśli. Zgrabny tyłeczek Diany ściśle przylegał teraz do

widocznego na jego dżinsach wybrzuszenia. Szalenie podniecające, a on nie mógł się prawie ruszyć.

- Czy nie powinniśmy włączyć radia? Miałam kiedyś przyjaciółkę, która spotykała się z chłopakami takimi jak ty. Mówiła, że zawsze włączają radio.

- Nie dosięgnę ani kluczyka, ani radia!

- Ja to zrobię. - Diana poruszyła się.

- Uuuch! Na litość boską, ostrożnie! - Colby jęknął, gdy kość ogonowa Diany wbiła mu się w najwrażliwsze miejsce. - Mam pewne plany, dotyczące tej części mojej anatomii.

- Przepraszam. - W chwilę później z radia popłynął elektryzujący rytm rocka. - No, teraz lepiej. A nie powinieneś trzymać w ręku papierosa?

- Nie palę. - Syknął z bólu. To Diana znów się poruszyła. - Nigdy nie paliłem.

- Och! Dobrze, a gdzie jest czarna skórzana kurtka? Czy nie powinieneś jej mieć na sobie?

- Nie chodzę w czymś takim od dwudziestu lat!

- Oj, to niedobrze. - Diana rozjaśniła się. - No, przynajmniej włożyłeś dżinsy. A teraz powinieneś powiedzieć coś sprytnego; że nie pójdziemy dziś na całość, że chcesz mnie tylko dotykać i że jeśli jednak pójdziemy na całość, to rano nadal będziesz mnie szanował.

- Jak na kobietę, która nigdy nie doświadczyła niczego podobnego, wiesz wyjątkowo dużo.

- Przecież mówiłam. Miałam przyjaciółkę, która szczegółowo opowiadała mi o swoich randkach.

- A co się z nią stało?

- Źle skończyła. Zaszła w ciążę i musiała rzucić szkołę. Nigdy więcej jej nie spotkałam.

- No, my przynajmniej nie musimy się o to martwić.

Już jesteś w ciąży i zdążyłaś skończyć szkołę. Rany, proszę pani, jest pani prawdziwym darem niebios dla kogoś takiego jak ja.

Colby wstrzymał oddech. Diana ani razu nie roześmiała się jeszcze na wzmiankę o ciąży.

- No pewnie! - powiedziała cicho. W jej oczach błyszczały złośliwe ogniki. Sięgnęła w stronę zapięcia w dżinsach.

Colby patrzył na nią jak zaczarowany. Nie posmutniała. Poczul radość i ulgę, jak gdyby pokonana została pierwsza poważna przeszkoda. Z uśmiechem na ustach sięgnął dłonią pod jej bluzkę.

- Nie łatwiej byłoby ją rozpiąć?

- To zbyt oczywiste. Żeby dotrzeć do... hmmm... sedna sprawy, trzeba postępować ostrożnie. Kiedy zaczynasz coś rozpinąć, ona czuje się w obowiązku protestować.

- Rozumiem. Dziewczyna może udawać, że nie wie, co się dzieje, a potem za późno już dawać po łapach.

- Słusznie. - Jęknął z rozkoszy, rozpinając jej stanik. - Och, mała - szepnął, ujmując w dłonie jej piersi.

- Wspaniale. Naprawdę wspaniale.

- Czy powinnam ci teraz powiedzieć, że masz przestać? - spytała niewinnie.

- Jeśli to zrobisz, oszaleję. - Przesunął prawą nogę, szukając wygodniejszej pozycji i znów trafił na dźwignię biegów. - Cholera!

- Colby, co się stało?

- Nic, tylko... - stęknął, nie chcąc przerywać w chwili takiego podniecenia. - Czy mogłabyś... no... trochę się podnieść?

- Tak?

- O, tak! Spokojnie. Dżinsy...

- Och, przepraszam. Proszę, pozwól mi skończyć.

- Nie! Zaczekaj chwileczkę. Nie tak. Jest tam... zbyt ciasno. Sam to zrobię. - Domacał się zamka i zaczął go ostrożnie rozpinąć.

- Szyby zaparowały.

- Wszystko zgodnie z planem - wyjaśnił, szukając wygodniejszej pozycji. - Zaparowane szyby są istotne w takiej sytuacji.

- Ale noc jest taka piękna. - Przechyliła się, przecierając ręką tylną szybę mazdy.

- Diano! Okaleczysz mnie na całe życie!

- Ooo! Teraz rozumiem, dlaczego szyby muszą być zaparowane!

- No? Dlaczego? - Stęknął, kiedy z powrotem usiadła mu na kolanach.

- Żeby nie podglądali cię inni samochodowi artyści.

- Co, do diabła? Jacy inni? Tylko mi nie mów, że ktoś tam jest! Nie słyszałem żadnego samochodu. - Colby obrócił się i wyjrzał przez tylną szybę. - I nie widzę...

- O, tam! Właśnie staje. Widzisz? Nie słyszysz silnika, bo huczy wodospad.

- Wyłączył światła - rzekł Colby powoli, przyglądając się fragmentowi błotnika lśniącego w bladym, księżycowym świetle. Kształt tego błotnika był mu dziwnie znajomy.

- Pewnie nie chce nam przeszkadzać.

- Wyośmy się stąd - powiedział nagle. Podniósł Dianę z kolan. - No, skarbie, przesiądź się.

- Uuuch! Moja głowa! - Diana potarła głowę w miejscu, w którym uderzyła o dach mazdy. - Tylko mi nie mów, że boisz się, że ktoś może nas rozpoznać. To pewnie para nastolatków, którzy przyjechali tu dokładnie w tym celu, co my.

- Wszyscy w mieście znają nasz samochód. Brandon był tu przecież parę razy. - Colby przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Więc pomyślą, że to on.

- Jutro zorientują się, kto jeździ mazdą i będą wiedzieli, że to byliśmy my. Daj spokój. I tak dostarczyliśmy już miastu sporo sensacji. Nie chcę słyszeć, jak powtarzają, że Savagar nic się nie zmienił przez dwadzieścia lat. Na poczcie będą się z nas śmiali do łez.

Silnik zaskoczył. Colby przekręcił kierownicę. Mazda wyskoczyła jak rakieta na River Road. Światła włączył dopiero po jakichś pięćdziesięciu metrach.

Spojrzał w lusterko i zorientował się, że samochód ruszył w ślad za nim. Czarna corvetta wisiała im niemal na tylnym zderzaku.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

- Colby, co ty wyprawiasz? Dlaczego zwalniamy? - Diana obróciła się, patrząc przez tylną szybę na czarną sylwetkę jadącego tuż za nimi samochodu. Nie widziała nic poza jasnym blaskiem reflektorów.

- Daję mu do zrozumienia, że nie mam ochoty się ścigać.

- Myślisz, że to jakiś chłopak rzuca ci wyzwanie?

- Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają, zwłaszcza w małych miasteczkach.

- Czy to przywołuje dawne wspomnienia? - spytała beztrąsko.

- To doprowadza mnie do szału.

- Ale... on nas nie wyprzedza! - Diana otworzyła usta ze zdumienia. - Podjechał jeszcze bliżej! Colby, on w nas uderzy!

- Widzę. - Głos Colby'ego stał się lodowaty. - Obróć się i zapnij pas.

- Ale chyba...

- Rób, co mówię - warknął, nie odrywając wzroku od bocznego lusterka, po czym delikatnie przycisnął gaz. Mazda błyskawicznie odskoczyła od jadącego za nimi, cięższego samochodu. Diana zaprzestała sporów. Coś było nie tak. Colby sądzi, że wpadli w tarapaty. Chciała spytać go, co ma zamiar zrobić, ale doszła do wniosku, że teraz lepiej mu nie przeszkadzać.

Mazda mknęła wąską, pustą szosą z szybkością błyskawicy, lecz jadący za nimi wóz zbliżał się niczym spadający na ofiarę jastrząb.

- Ktokolwiek to jest, chce albo się ścigać, albo bić - stwierdził spokojnie Colby.

- Rozumiem, że wybrałaś wyścig? - Diana wstrzymała oddech; przed ciasnym zakrętem Colby błyskawicznie zredukował biegi.

- Nie mam zamiaru stawać i walczyć. Nie wiem, ilu ich jest i czy są uzbrojeni. Na drogach nie brak dziś szaleńców.

Przymknęła oczy. Mazda poślizgiem wyszła na prostą i natychmiast przyśpieszyła. Diana otworzyła oczy dopiero wtedy, gdy silnik ryknął na wysokich obrotach. Zbliżali się do kolejnego zakrętu.

- Jak dobrze znasz drogę? - Starła się mówić chłodno i spokojnie.

- Jak własną kieszeń.

- Bardzo pocieszające. - Rękami złapała się półeczki pod przednią szybą; mały sportowy samochód wszedł właśnie w kolejny zakręt. W parę sekund później znów wyjechali na prostą, i ciągle mieli za sobą napastnika.

- Ledwo wyszedł z tego zakrętu - zauważył Colby, zerkając w lusterko. - Ma potężny silnik, tylko nie bardzo wie, co z nim robić.

- Aha. - Głos Diany był całkowicie bezbarwny, choć zaczynała się już panicznie bać. Pomyślała o wszystkich wyścigach, w których uczestniczył na tej drodze Colby - dla zabawy, o spore zakłady - i o tym, ile razy zdarzyło się jej przekroczyć dozwoloną prędkość o chociażby dziesięć kilometrów. Wszystkie te przypadki mogłaby zliczyć na palcach jednej ręki.

Doprawdy, niewiele jeszcze wie o prawdziwym życiu.

- Pamiętasz, jak mówiłem, że prawie zawsze udawało mi się oderwać od innych na zakręcie przy moście?

- Tak - odparła.

- Mam zamiar spróbować. To trochę ryzykowne, więc trzymaj się i nie wpadaj w panikę.

- Dobrze. - Ale już się nie bała. Siedziała nieruchomo, odrętwiała. Ostry zakręt przed mostem zbliżał się, widziała go w świetle reflektorów, tuż-tuż, Colby próbuje go właśnie pokonać, za szybko, o wiele za szybko!

Skończą w rzece. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Zamknęła oczy, obronnym gestem położyła dłonie na brzuchu. W tej chwili myślała wyłącznie o dziecku. Po raz pierwszy stało się ono dla niej czymś rzeczywistym. Myślała wyłącznie o jednym: jak je ochronić. Opony zapiszczały; przeraźliwy odgłos ścieranej na asfalcie gumy trwał całą wieczność. Czekwała na nieuniknione uderzenie, ale nic takiego się nie stało. Mazda wyszła z zakrętu bez szwanku. Za sobą usłyszeli przenikliwy, wysoki jęk

- ktoś z całej siły wcisnął hamulce.

- Zgubiliśmy go - stwierdził z zadowoleniem Colby,

patrząc we wsteczne lusterko. - A raczej nasz przeciwnik stracił głowę. Chciał wziąć ten zakręt swoją corvetta tak, jak ja mazdą i w ostatniej chwili zrozumiał, że nie da rady. Nie miał wyjścia. Gdyby wszedł w zakręt z naszą prędkością, skończyłby w rzece.

- Już po wszystkim?

- Aha. Nie widzę świateł. - Delikatnie zdjął nogę z gazu.

Diana oddychała głęboko. Spojrzała na męża; choć był odwrócony do niej profilem, widziała, że twarz ma zaciętą. W tej samej chwili Colby uśmiechnął się do niej. Znów zamknęła oczy.

- Świetnie się bawiłeś - powiedziała z łagodnym wyrzutem. - Ja umierałam ze strachu, a ty świetnie się bawiłeś!

- Ależ skąd! Po prostu cieszę się, że to już koniec. Boli cię coś?

- Nie. - Diana zorientowała się, że nadal ma ręce złożone na brzuchu. - Ale... kiedy weszliśmy w ten zakręt, mogłam myśleć tylko... tylko... - Umilkła.

- O dziecku? - spytał łagodnie. - Myślałaś wyłącznie o dziecku?

- Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że ono rzeczywiście istnieje. Bałam się, że coś mu się stanie.

- Ja też - przytaknął ponuro Colby. - Bałem się, że coś się stanie tobie albo dziecku. Właśnie dlatego postanowiłem uciekać. Dwadzieścia lat temu nie byłoby żadnego problemu. Wiedziałbym, kto siedzi za kierownicą i w najgorszym razie mielibyśmy bójkę. Tobie nic by się nie stało. Ale teraz mnóstwo wariatów robi pociemku dowcipy. Bezpieczniej było zgubić corvette niż ryzykować spotkanie z szaleńcem.

Diana przełknęła ślinę.

- Masz rację, Colby. Chyba powinniśmy zgłosić to policji.

- Jutro. Pogadam z Gilem i może z tym nowym, Royem Barnesem, który go zastąpił.

- Doskonale. - Wsunęła dłonie między kolana, próbując powstrzymać ich drzenie.

- Szkoda, że nie przyjrzelismy się bliżej naszemu przeciwnikowi.

- Mówiłeś, że prowadził corvette?

- I w dodatku starą. To już prawie zabytek.

- Taką, jaką ty kiedyś jeździłeś?

Colby zastanawiał się chwilę.

- Eddy Spooner zapamiętałby ten samochód, gdyby kiedykolwiek coś w nim robił - stwierdził cicho.

- Jutro z nim pogadam. Jesteś pewna, że nic ci nie jest, kochanie?

- Oczywiście.

- Zaraz się uspokoisz. Wystarczy kilka głębszych oddechów.

- Sama o tym pomyślałam. Może i dobrze, że do tej pory nie wiedziałam nic o prawdziwym życiu. Chyba nie jestem do tego stworzona.

- Nie oszukuj się. Jesteś twarda, mała. Ani razu nie krzyknęłaś. Dzielna dziewczyna.

- Dziękuję, panie Savagar. Pan nawet nie wie, ile znaczy dla innie pańska pochwała. - Diana uzmysłowiła sobie, że się uśmiecha. Colby miał rację. Odzyskiwała spokój. - Czy wolno mi pogratulować panu tych wyczynów za kierownicą? Doprawdy, imponujące. Mimo że zapomniał pan skórzanej kurtki.

~ Bardzo dziękuję - odparł i roześmiał się.

- Z czego się śmiejesz?

- Nie, nic. Tylko właśnie coś sobie uświadomiłem. Po raz pierwszy podczas wyścigu miałem dziewczynę w samochodzie.

- Cieszysz mnie niewymownie, że niektóre rzeczy robimy inaczej, niż robiłeś je kiedyś.

- Z tobą wszystko jest inne, Diano. Nie zapominaj o tym.

Zastanowiła ją nuta twardości w jego głosie. Przez chwilę milczała i odezwała się dopiero wtedy, gdy samochód wjechał na wąski mostek spinający dwa brzegi rzeki.

- Colby?

- Tak, kochanie?

Wydał się jej roztargniony, jakby myślami błądził gdzie indziej.

- Jesteś świetnym kierowcą.

Spojrzał na nią z ukosa, zaskoczony.

- Dzięki.

- Cieszę się, że to ty siedziałeś dziś za kierownicą, a nie ja albo nawet Brandon.

Coś w jej głosie musiało go zaniepokoić.

- Dlaczego?

- Bo, moim zdaniem, kierowca tamtego samochodu nie żartował. Nie bawił się w wyścig. Kimkolwiek był, z radością zepchnąłby nas do rzeki, gdybyś tylko dał mu szansę.

- Skarbie, uspokój się. Wyobraźnia pracuje ci na zbyt wysokich obrotach. To tylko jakiś szczeniak, czający się na River Road w nadziei na odrobinę zabawy. Jak mówiłem, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- To prawdziwy bandyta, Eddy, a nie szczeniak, który chciał się zabawić w wyścigi. On łaknął krwi. Nawet Diana to wyczula, choć powiedziałem jej, że za naszych czasów wszystko odbywało się podobnie i że to tylko zabawa. Kłamałem, to nie była zabawa, a przynajmniej nie taka, jak dwadzieścia lat temu. Czyżby Fulbrook Corners aż tak się zmieniło?

Eddy Spooner bawił się trzymaną w dłoniach puszką piwa, wpatrzony w podwórko za domem. W blasku księżyca nie wyglądało pięknie.

Colby oparł się o zapadnięty schodek i podążył wzrokiem za spojrzeniem Eddy'ego. Między rozpadającym się domem a cmentarzyskiem wraków rosły wyłącznie chwasty. Światło księżyca wydobywało z mroku szkielety chevroleta i ford. Na ganku leżały rdzewiejące części. Obok dużej szopy wznosiła się ciemna piramida starych opon.

- Ostatnio mało jest wyścigów na River Road - powiedział w końcu Eddy. - To znaczy, tak słyszałem. Kilku tutejszych chłopaków ma szybkie samochody i czasami ścigają się jak za dawnych dni, ale nieczęsto. Mówisz, że ten gość, co cię tak nastraszył, miał corvette?

Colby przytaknął skinieniem głowy.

- Czarną. Starszy model.

- Dwudziestoletnią? - spytał znacząco Spooner.

- Nie. Trochę młodszą. Ale na tyle starą, żeby przypomnieć mi dawne czasy.

- Prawie cię załatwił, co?

- Prawie mnie zaskoczył - wyjaśnił szorstko Colby.

- Ale to ja go załatwiłem, na zakręcie przed mostkiem.

Nie pokapował się, że idzie za szybko. Nim odzyskał panowanie nad kierownicą, byliśmy już z Dianą daleko.

- Jak zawsze, miałeś asa w rękawie, co? Dobrze, że to nie twój syn prowadził.

Colby zacisnął zęby. Podniósł do ust puszkę piwa.

- Brandon dobrze prowadzi. Ja go uczyłem. Ale nigdy nie ścigał się na River Road. Ten, który prowadził corvette, znał drogę. Waśnie dlatego myślę, że nie chciał się ścigać. Znał drogę i chciał mnie zepchnąć do rzeki.

- A może pomyślał, że już nic nie pamiętasz? W końcu minęło dwadzieścia lat.

- To by znaczyło, że ten typ wiedział, kto siedzi za kierownicą mazdy.

Eddy obrzucił go krótkim spojrzeniem.

- A myślisz, że nie?

- Sam nie wiem, co myśleć. Po prostu nie chcę, żeby jakiś narwaniec żył w przekonaniu, że po raz kolejny uda mu się narazić Dianę na niebezpieczeństwo, jak wczoraj. Niech wie, że jeśli jeszcze raz spróbuje, może stracić życie.

- Niczego się nie dowie, jeśli go nie znajdziesz - zauważył Spooner.

- Właśnie dlatego przyszedłem do ciebie. Miałem nadzieję, że będziesz wiedział, czy ktoś w okolicy jeździ takim samochodem. Corvette to nie byle co.

Eddy zmarszczył brwi. Myślał intensywnie.

- Odkąd wyjechałeś stąd dwadzieścia lat temu tym swoim czarnym cackiem, niczego podobnego tu nie było. Tutejsze chłopaki jeżdżą camarami, jak ja, albo czymś z napędem na cztery koła. A może to nietutejszy? Na przykład gość z Vickston, który usłyszał, że na River Road można się zabawić? Popytam, jeśli chcesz.

- Byłbym wdzięczny. - Colby poderwał się na równe nogi. - Dzięki za piwo. Muszę wracać do domu. Powiedziałem Dianie, że wychodzę na jakąś godzinę.

- Problem z tymi babami, co? Wtykają nos w nie swoje sprawy. Pilnują tych chłopów...

- Mnie to nie przeszkadza. - Wzruszył ramionami i naraz uświadomił sobie, że powiedział prawdę. Nie przeszkadzało mu, gdy Diana pytała, gdzie się wybiera. Przecież i on chciał wiedzieć, gdzie ona jest, gdy nie są razem.

- Zmieniłeś się - stwierdził Eddy, odprowadzając go do samochodu.

- Wszyscy się zmieniamy.

- I co, dalej jesteś taki twardy, jak kiedyś?

Colby odpowiedział mu uśmiechem.

- Dwadzieścia lat temu, Eddy, nie byłem wcale taki twardy. Tylko o wiele młodszy. Nie wiedziałem, czego chcę od życia. Teraz wiem.

- Dobra, wiesz, czego chcesz od życia. Robi ci to jakąś różnicę?

Obrzucił Spoonera zdziwionym spojrzeniem - Eddy nieczęsto zadawał filozoficzne pytania.

- Ba, na tym polega cała różnica!

- Co? Myślisz, że jesteś twardszy, bo wiesz, czego chcesz?

- Powiedzmy to sobie inaczej, stary. Kiedy człowiek w końcu zrozumie, co jest ważne, a co nie, to wie, o co warto walczyć. Może się oszczędzać. I walczyć tylko wtedy, kiedy naprawdę musi.

Przez dłuższą chwilę Eddy milczał. Byli już przy stojącej przed domem mazdzie, kiedy się wreszcie odezwał.

- Teraz i ja wiem, o co walczyć.

- Miło mi to usłyszeć - stwierdził Colby, otwierając drzwiczki.

Spooner oparł się łokciem o dach.

- Kroci się coś super. Naprawdę!

Colby spojrział na niego znad kierownicy.

- Doskonale, Eddy.

W głosie starego przyjaciela zabrzmiało podniecenie.

- To wielki numer. Mówię ci. To będzie coś. Szansa, na którą czekałem.

- Powodzenia.

Colby mówił szczerze, lecz doskonale wiedział, że do dnia swej śmierci Eddy nie zdoła wykorzystać żadnej szansy. Tak się jakoś składało, że ilekroć zabierał się do czegoś wielkiego, tylekroć wszystko się rozlatywało.

- Pokażę wam - mówił właśnie cicho, lecz z naciskiem. - Tobie i wszystkim tym wsiokom z Fulbrook Corners. Będę się rozglądał za tą corvetta - dodał, cofając się o krok.

- Dzięki. Do zobaczenia.

Samochód ruszył. Colby powoli i ostrożnie pokonywał zawałony złomem i pełen dziur podjazd przed domem Eddy'ego. Zdał sobie sprawę, że pilno mu opuścić ten zalany światłem księżycy cmentarz. Chowano na nim nie tylko trupy samochodów, lecz także zwłoki niespełnionych marzeń.

Dotarł do szosy i nie od razu poczuł, że samochód prowadzi się jakoś dziwnie. Kiedy wreszcie zdał sobie z tego sprawę, jęknął rozdzierająco i zjechał na pobocze. Dlaczego takie niespodzianki trafiają się człowiekowi zawsze daleko od stacji benzynowej?

Wyłączył silnik, wziął latarkę, którą - zgodnie z jego instrukcją - Brandon trzymał zawsze w schowku, wysiadł z samochodu i przyjrzał się przebitej oponie.

- Cholera!

Spóźni się. Miał nadzieję, że Diana nie będzie się niepotrzebnie niepokoić. Zdenerwował ją ten wczorajszy idiotyczny wyścig na River Road. Dobrze, że ma przy sobie Spectera. Wiele złego można by o nim powiedzieć, ale przynajmniej zawsze będzie jej bronił.

Wyciągnął z bagażnika podnośnik i klucz.

Wykręcał właśnie ostatnią śrubę, kiedy tuż za nim zatrzymał się ciężki cadillac Margaret Fulbrook. Jego reflektory zalały mazdę ostrym światłem. Harry Gedge otworzył drzwiczki i wysiadł majestatycznie. Był sam.

Colby nadal siedział w kucki przy tylnym kole. Ścisnął w rękę ciężki klucz. Obserwował zbliżającego się mężczyznę. Co prawda minęło już dwadzieścia lat, lecz wiedział, że ludzie pokroju Harry'ego nie zapominają uraz.

- No, no, no - Harry przystanął kilka kroków od mazdy. - Mamy kłopot, co?

- To nie żaden kłopot, tylko zwykła strata czasu. - Wrócił do odkręcania śruby, ale kątem oka nadal obserwował potencjalnego wroga.

- Zaczekam i zostawię mój wóz na światłach. Przynajmniej będziesz widział, co robisz. Szybciej ci pójdzie.

- Dzięki. - Colby wrzucił ostatnią śrubę do odwróconego dekla.

- Nie mnie dziękuj, tylko starej Fulbrookowej.

Wyraźnie mi powiedziała, że mam nie sprawiać ci żadnych kłopotów. - Harry oparł wielkie cielsko o błotnik cadillaca.

Colby nie odpowiedział. Zawahał się, odłożył klucz i szybko zdjął koło z przebitą oponą.

- Słyszałeś mnie, Savagar? Powiedziałem, że stara Fulbrookowa. chce, żebym nie sprawiał ci żadnych kłopotów.

- Słyszałem.

- A wiesz, czemu ona nie chce kłopotów? - pytał dalej Harry.



~ Nie.

- Ma stracha, że nie pozwolisz jej spotykać się z tym twoim chłopakiem. Dziwne, nie? Przez dwadzieścia lat nie obchodziło ją, czy żyje, ale wystarczyło, że się tutaj pojawił i od razu się w nim zakochała. To pewnie przez te jego oczy. Oczy Cynthii. Pamiętasz jej oczy, Savagar?

Colby nie odpowiedział. Czuł się nieco niepewnie bez klucza w dłoni, ale, niestety, musiał nałożyć na oś zapasowe koło i potrzebował do tego obu rąk. Powiedział sobie, że jeżeli Margaret Fulbrook kazała zostawić go w spokoju, to Harry nic mu nie zrobi. Zawsze posłusznie wypełniał wszystkie jej rozkazy.

- Stara Fulbrookowa się kończy - ciągnął Harry.

- Pewnego pięknego dnia kopnie w kalendarz. Ostatnio dostała jakichś bólów w piersiach. Lekarze niczego nie znaleźli, ale wiadomo przecież, co to może być. Colby zaczął zakładać koło.

Wtedy Harry zaatakował. Wyłonił się z cienia z szybkością zaskakującą jak na kogoś tak zwalistego. Colby wypuścił koło i obrócił się. Próbował stanąć, lecz nie był wystarczająco szybki. Harry zamachnął się gwałtownie - w dłoni trzymał kawałek metalowej rury. Jak za dawnych czasów, pomyślał Colby. Zrobił unik i rura, zamiast w głowę, trafiła go w żebra. Poczł przenikliwy ból, upadł na ziemię i z wysiłkiem, lecz tym razem wystarczająco szybko, przetoczył się na bok.

- Biłeś poniżej pasa, to masz poniżej pasa! - wrzasną! Harry, biorąc potężny zamach. - Czekałem na to przez dwadzieścia lat!

Drugi cios omal nie trafił go w ramię; rura z brzękiem uderzyła o asfalt. Colby podniósł się chwiejnie i znalazł poza zasięgiem ciosu. Harry zaatakował ponownie. Colby odpowiedział na jego atak unikiem, lecz omal nie stracił równowagi. Kilkakrotnie trafił Harry'ego w żołądek, lecz chwilę później padł pod ciężarem przeciwnika, przygnieciony do ziemi jego cielskiem.

Colby poczuł, że może zostać zgnieciony i dosłownie w ostatniej chwili zdołał przetoczyć się na pobocze. Napastnik podniósł do góry wielką i twardą łapę zaciśniętą w pięść, ponieważ ręka, trzymająca kawałek rury, uwłęzła mu pod ciałem. Colby'emu aż zadzwoniło w uszach. Cios trafił go w policzek.

Powalony grubas nie był już taki niebezpieczny. Przez chwilę leżał nieruchomo, dysząc jak wyrzucony na brzeg wieloryb. Colby zdołał wstać i natychmiast wykorzystał sytuację. Prawidłowo wymierzony cios karate sparaliżował ramię przeciwnika. Harry krzyknął, dłoń mu się rozwarła i rura potoczyła się po asfalcie.

Colby kopnął ją daleko i cofnął się. Oddychał szybko, patrząc na podnoszącego się powoli Harry'ego.

- Powiedzmy, że jest remis - rzekł, świadom bólu pulsującego w boku.

Harry nie odpowiedział. Przez chwilę stał chwiejąc się, a potem szerokim łukiem obszedł nie spuszczonego z niego wzroku Colby'ego. Ciężkim krokiem ruszył do cadillaca, usiadł powoli za kierownicą i z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi.

Silnik aż jęknął, protestując przeciw brutalnemu traktowaniu. Samochód ruszył tak szybko, że Colby musiał uskoczyć z drogi. W chwilę później widział już tylko czerwone światelka pozycyjne, ale i te szybko zniknęły w mroku.

Niektóre rzeczy nigdy nie zmieniają się w Fulbrook Corners.

Specter podniósł złożony na wielkich łapach łeb, ziewnął, zrobił zdziwioną minę i popatrzył na Dianę, spacerującą tam i z powrotem po dużym pokoju.

- Przeszkadzam ci?

W odpowiedzi mrugnął zaspanymi ślepiami i znów ułożył łeb na łapach. Doskonale wiedział, kiedy trzymać pysk na kłódkę. Nie spuszczał jednak wzroku z pani.

- Już dawno powinien być w domu! Jeśli upija się z tym Spoonerem, to przysięgam, że jak tylko wróci, powiem mu, co o tym myślę! - Wbiła w psa płonące gniewem oczy. - Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że nie wiem nawet, jak często pija z kumplami przez całą noc?

Mój mąż. a ja nie mam pojęcia, jak on właściwie spędza czas! Chyba oszalałam z tym ślubem! Specter uderzył ogonem w podłogę. Najwraźniej się z nią zgadzał.

- Och, ty jesteś do niego uprzedzony. Od początku go nie lubiłeś.

Nagle pies zastrzygl uszami. Podniósł pysk, najwyraźniej nasłuchując, i zwrócił łeb w stronę drzwi. Diana powiodła za nim spojrzeniem. W kilka sekund później usłyszała warkot silnika mazdy. Poczowała ulgę tak wielką, że nogi się pod nią ugięły. Szarpnięciem otworzyła drzwi i wybiegła na ganek.

- Too tej porze wracasz do domu?! - zawołała z pretensją w głosie, gdy Colby otwierał drzwiczki. - Gdzieś ty był? Wiesz, która godzina? Prawie północ. Umierałam ze strachu! Miało cię nie być najwyżej godzinkę!

- Miło wiedzieć, że w domu nie mogą się człowieka doczekać. - Savagar powoli wygramolił się z samochodu. Przez chwilę stał nieruchomo, oparty o błotnik.

- I do północy też jeszcze daleko. Jest najwyżej dziesiąta.

- Ale ja czuję się tak, jakby minęła północ! Coś ty wyprawiał? Pojechałeś do knajpy z Eddym i paroma starymi kumplami?

~ Fakt, widziałem się z Eddym i potem wpadłem na starego znajomego. Ale nie postawił mi piwa.

Oczy Diany zwęziły się.

- Co ci jest? Upiłeś się?

- Nie, szanowna pani. - Dostrzegła, że przyciska rękę do boku. W słabym świetle żarówki na werandzie nie widziała jego oczu. - Masz zamiar prowadzić takie przesłuchanie za każdym razem, kiedy zdarzy mi się spóźnić?

- Nie wiem - odparła ostro. - Nie wiem, co należy robić w takiej sytuacji. Czy nie tak powinna zachować się żona?

- A skąd niby mam wiedzieć? Przez dwadzieścia lat nie miałem żony. - Postawił nogę na pierwszym stopniu schodów i skrzywił się.

- Nie wygłupiaj się. Gdzieś ty był?

- W miasteczku - stwierdził krótko, ruszając po schodach na werandę.

- Co robiłeś?

- Nic.

- Na litość boską... słuchaj, nie mam za... - przerwała. Dostrzegła wyraz jego twarzy. - Co ci się stało?

- Przecież powiedziałem. Spotkałem starego znajomego. - Uśmiech Colby'ego był wymuszony. - Właściwie, to on na mnie wpadł.

Przyglądała mu się, zszokowana.

- Kto?

- Harry.

- O mój Boże. - Przewyciężyła chwilowy paraliż i podbiegła, chcąc wziąć go pod rękę.

Colby syknął.

- Ostrożnie, skarbie. Na własnej skórze doświadczyłem, że takie rany bolą dziś bardziej niż kiedyś.

- Och, mój ty biedaku! Co ci ta świnią zrobiła? Jak śmiała cię tak pobić! Wezmę prawnika. Wezwę policję.

Poślę go do więzienia na resztę życia. Zaraz, pozwól, że ci pomogę. Oprzyj się na mnie, dobrze? Colby kpiąco skrzywił usta.

- Gdybym skorzystał z twojej rady, oboje wywalilibyśmy się na werandę. Daj spokój. Sam wejdę do domu.

Udało mi się przecież zmienić koło i wrócić, prawda?

- Musiałeś zmieniać koło w tym stanie? - Diana była wstrząśnięta. - Co się stało? Gdzieś ty był?

- Wracalem od Eddy'ego Spoonera. Musiałem stanąć, bo złapałem gumę. Akurat przejeżdżał Harry, zorientował się, że mam drobny problem i poczuł się w obowiązku dołożyć mi jeszcze kilka.

- Tego faceta powinno się jakoś ukarać. Tylko zobacz, co ci zrobił. Krew ci leci.

- Zadrapałem się trochę, kiedy upadłem na asfalt.

- Przewrócił cię? Colby, ja na to nie pozwolę. Nie pozwolę, żeby cię bili!

- Nie? - Przyjrzał się jej z namysłem i pozwolił wprowadzić się do domu.

- Oczywiście! Z samego rana zadzwonię do adwokata i wyprocesuję z tej świni całe sadło. Jak on śmiał!

- Chciał wyrównać porachunki. Mówiłem ci, że posprzecaliśmy się przed dwudziestu laty.

- To mu nie daje prawa, żeby cię bić! O Boże, Colby!

- Diana była zrozpaczona. - Ledwo chodzisz!

- Trafił mnie w żebra kawałkiem rury.

- Rury? - W jej głosie zabrzmiało przerażenie. - Musimy pojechać do lekarza!

- Moim zdaniem, nic nie jest złamane - wyjaśnił szybko. - Wystarczy, że się położę.

- Musisz pójść do lekarza - stwierdziła stanowczo.

- Odwiozę cię.

- Kochanie, nie jestem pewien, czy zniosę jazdę samochodem - powiedział łagodnie. - Nie wiem nawet, czy zdołam sam wejść po schodach. Możesz mi pomóc? Diana popatrzyła z obawą na stare schody.

- Może powinieneś położyć się na dole, o, tu, na kanapie. Przyniosę z łazienki coś do dezynfekcji. I dam ci swoje tabletki przeciwbólowe. Może trochę pomogą.

- Noo... jesteś pewna? Mam teraz większe problemy niż bóle miesięczkowe.

- Pomagają na różne rzeczy - zapewniła go. - Na przykład na bóle głowy. Zaraz je przyniosę. Siadaj tu.

Nie chcę, żebyś ryzykował wejście po schodach. Colby pozwolił ułożyć się na kanapie. Trzymał się za żebra i ze szlachetną miną dzielnie znosił cierpienie.

- Bardzo ci dziękuję, skarbie.

Diana żonglowała poduszkami, starając się ułożyć go jak najwygodniej.

- Nie potrafię uwierzyć, że ktoś mógł zrobić ci coś takiego. Co za drań!

- W pełni podzielam twoją opinię. - Położył się z cichym jękiem.

- Nie ruszaj się. Zaraz wracam.

- Nie bój się, nigdzie się nie wybieram.

- Jesteś pewien, że nie wytrzymasz jazdy do miasteczka? Mogliby cię zbadać w szpitalu.

- Uwierz mi, prędzej umrę.

- To może wezwać lekarza do domu?
  - Akurat. Fulbrook Corners jest może nieco staroświeckie, ale założę się o wszystko, że tutejsi lekarze przejęli zwyczaje swoich kolegów z metropolii i nie składają wizyt domowych.
  - Wezwę karetkę.
  - Nie, nie wezwiesz karetki.
- Diana wahała się przez kilka sekund żałując, że nie ma w tych sprawach żadnego doświadczenia, po czym ruszyła do łazienki na piętrze, gdzie trzymała podstawowe środki opatrunkowe i lekarstwa. Natępną godzinę spędziła opatrując Colhy'ego i przysięgając zemstę Harry'ernu. Mąż cierpliwie znosił jej zabiegi, choć wyraźnie cierpiał.
- Przepraszam, że tak napadłam na ciebie od progu - rzekła pokornie, podając mu herbatę.
  - Zapomnij o tym - odparł wielkodusznie, podnosząc się ostrożnie i przyjmując z jej rąk filiżankę. - To ja przepraszam, że cię zdenerwowałem.
  - Chyba jednak za bardzo przejęłam się tym wariatem z River Road.
  - Jeśli już musisz znać prawdę, to ja też się tym przejąłem. Moim zdaniem powinniśmy skrócić nasz pobyt w tym malowniczym miasteczku.
- Spojrzała na niego zaskoczona.
- Naprawdę? Dlaczego? Myślałam, że bardzo ci zależy, żeby zostać tu do końca wakacji.
  - „Szkarłatną mgłą” równie dobrze mogę skończyć w Portland.
  - Colby, nie rozumiem. Czemu tak nagle chcesz wyjechać? Przez Harry'ego?
  - Nie, niezupełnie. Zaczynam sam zadawać sobie pytanie, które bezustannie zadają mi wszyscy dookoła.
  - Jakie pytanie?
  - Po co, do diabła, po tylu latach wróciłem do Fulbrook Corners?
  - I co? Potrafisz na nie odpowiedzieć? - spytała łagodnie.
  - Powiedziałem Gilowi, że przyjechałem po to, żeby poznać ciebie. No więc poznałem cię. ożeniłem się z tobą i wyjedziemy, kiedy tylko będę mógł chodzić. Na razie czuję, że rozpadam się na milion kawałków.
  - Colby, jestem wściekła na tego drania. Jeszcze herbaty?
  - Nie, dziękuję, skarbie.
  - Pigułki pomogły?
  - No, już przeszły bóle menstruacyjne.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy następnego dnia w południe odwiedził ich Gil Thorp. Colby nadal królował na kanapie. Podniósł głowę znad zapisków do „Szkarłatnej mgły”, które robił na żółtych kartkach dużego notatnika i ironicznie uśmiechnął się za plecami Diany, otwierającej właśnie drzwi. Gil dostrzegł jego uśmiech i uniósł wysoko krzaczaste brwi, zachowując jednak dyplomatyczne milczenie.

- Wspaniale, że do nas wpadłeś - stwierdziła Diana, wpuszczając go do środka. - Spotkałam twoją żonę na poczcie i powiedziałam jej, że coś trzeba zrobić. Colby zabronił mi o tym mówić komukolwiek, ale nie mogłam zachować tego w tajemnicy przed Evelyn! Proszę, siadaj. Zrobię kawę. - Spojrzała na męża. - Dla ciebie też, Colby?
- Dzięki, skarbie. Bardzo miło z twojej strony. I może jeszcze te ciasteczka, które ostatnio kupiłaś?

- Zaraz wracam. - Diana zniknęła w kuchni.

- A więc - stwierdził sucho Gil - jak rozumiem, cierpisz z godnością i w milczeniu po tym, jak oberwałeś w okrutnej bójce?

- Znasz mnie. Potrafię cierpieć w milczeniu.

- Aha! - Gil przyjrzał się tacy smakołyków tuż obok kanapy, kupce książek i pism ułożonych na stoliku, strategicznie rozłożonym poduszkom i pustej filiżance po kawie. - Wiesz, co myślę?

- No?

- Właśnie odkryłeś kolejne rozkosze małżeństwa i dosłownie się w nich pławisz. Czy kiedykolwiek dbała tak o ciebie jakaś kobieta?

- Nie. Nie pamiętam. - W głosie Colby'ego zabrzmiała szczerłość. Uśmiechnął się. - Łatwo się do tego przyzwyczaić.

- Rzeczywiście, wygląda mi na to, że przyzwyczyłeś się błyskawicznie. Z relacji Evelyn wynikało, że spoczywasz na łożu śmierci, ale nie wygląda mi, żebyś miał zejść z tego padoku już jutro. Więc co się naprawdę stało?

- Mam te siniaki, które widzisz, plus parę na klatce piersiowej. Oberwałem po żebrach. Żadnych złamań. Jestem trochę obolały, ale Diana leczy mnie kobiecym lekarstwem. Bardzo skuteczne!

- Kobięce lekarstwo? Co to takiego?

- Zgadnij.

Gil uśmiechnął się szeroko.

- Ach, to kobiece lekarstwo.

- Tak, właśnie to.

- I działa? - Gość wyraźnie się zainteresował.

- Jak powiedziałem Dianie, już nie mam bólów menstruacyjnych.

- Z pewnością bardzo ci ulżyło. Możesz mi powiedzieć, co właściwie się wczoraj stało?

- To Diana nie odpowiedziała jeszcze wszystkiego twojej żonie? Myślałem, że pogadały sobie od serca.

- Mam nadzieję, że nie jesteś na nią zły. Bardzo się zdenerwowała, wiesz?

- Wiem. Dlatego nie wrzeszczałem, kiedy przyznała się, że wpadła na Evelyn i wszystko jej wygadała. - Zachichotał. - Powinieneś słyszeć, jak wczoraj krzyczała na mnie, kiedy w końcu udało mi się dotrzeć do domu.

Myślała, że spiłem się z jakimiś starymi kumplami. Oj, dała mi w kość, nim w końcu zrozumiała, co się naprawdę stało.

Gil przyjrzał mu się rozbawiony.

- Żony już takie są. Gorzej, gdy przestają się martwić. No dobra, powiedz, jak to właściwie było?

Colby wzruszył ramionami i skrzywił się, kiedy poczuł ból w żebrach.

- Całkiem zwyczajnie. Harry dorwał mnie na pustej szosie, kiedy stanąłem, żeby zmienić koło.

- Byliście sami. Niezbyt fortunne spotkanie.

- O czym przekonałem się na własnej skórze. Harry wykorzystał okazję, żeby wyrównać bardzo stare rachunki. Zupełnie jak błyskawiczna powtórka filmu sprzed dwudziestu lat.

- I kto wygrał tym razem?

- Remis. Poradziłem mu, żeby na tym poprzestał.

- Wątpię, czy jest do tego zdolny. Szczęściarz! Trafić na ciebie na pustej szosie, i to kiedy zmieniasz koło.

Colby przyglądał się Gilowi przez dłuższą chwilę.

- Taak... Miałem podobne wrażenie. Ale mógł też jechać za mną do Spoonera i przebić oponę, kiedy siedzieliśmy na podwórku od tyłu, rozmawialiśmy i piliśmy piwo. A potem tylko czekał, kiedy się zorientuję, że złapałem gumę.

- Chciałbyś, żebym pogadał z Royem Barnesem?

- Nie, ponieważ nie mam zamiaru rozdmuchiwać tej sprawy. To, co się stało, dotyczy wyłącznie nas dwóch, a wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu. Nie ma to nic wspólnego z Barnesem ani z nikim innym.

- Wiedziałem, że tak mi odpowiesz. Ale pewnie sporo będzie cię kosztowało przekonanie Diany, żeby dała sobie spokój. Jest wściekła.

- Poradzę sobie z nią.

- Ktoś tu twierdzi, że poradzi sobie ze mną? - Diana obrzuciła Colby'ego gniewnym spojrzeniem. Stała w kuchennych drzwiach, trzymając tace z filiżankami kawy.

- Colby, przecież nie chodzi o to, kto jest silniejszy i dlaczego. To kwestia prawa. Nie pozwolę, żeby ten gruby wół łaził po świecie pewien, że może cię stłuc na miazgę i nikt mu nic nie zrobi.

- Ależ, skarbie. - Colby próbował ją ułagodzić. - Nie denerwuj się. Już po wszystkim.

- Z pewnością nie.

- Jeśli cię to pocieszy, Diano - przerwał im Gil - Harry nie wyszedł z tego spotkania bez szwanku. Ktoś widział, jak dziś rano przyjechał do miasta cadillakiem Margaret Fulbrook. Podobno wyglądał, jakby przeciągnięto go po asfalcie. Słyszałem, że walka skończyła się remisem.

- Nie mówimy o meczu bokserskim! To klasyczny przykład nie sprowokowanego ataku.

- Diano, chyba wezmę jeszcze jedną z tych twoich tabletek - powiedział szybko Colby. - Możesz mi przynieść? I szklankę wody.

Diana natychmiast skupiła uwagę na cierpiącym mężu.

- Ależ, oczywiście. Gil, proszę, nalej sobie kawy. Za chwilę wracam.

Thorp patrzył, jak Diana wbiega po schodach, po czym uśmiechnął się do Colby'ego.

- Nie możesz bez końca grać rannego bohatera. Prędzej czy później rany się zagoją.

~ Na razie zamierzam w pełni wykorzystać sytuację.

A poza tym, wkrótce wyjeżdżamy.

- Myślałem, że zostaniecie do końca lata.

- Zmieniłem plany.

- Z powodu Harry'ego?

- Nie, do diabła, nie z powodu Harry'ego. - Colby podniósł do ust filiżankę. - Jest jeszcze coś. - Opowiedział pokrótce o tym, co zdarzyło się na River Road.

- Czarna corvetta, powiadasz? Nie widziałem tu takiego samochodu.

- Eddy Spooner też.

- No tak. Kto jak kto, ale on na pewno by wiedział, że ktoś w okolicy ma corvette.

Colby przytaknął mu skinieniem głowy.

- A jednak nie wie i to daje mi do myślenia. Nikt też nie słyszał o kawałach robionych Dianie, kiedy mieszkała w tamtym domku.

- Nadal uważasz, że poza przyjaciółką twojego syna był jeszcze ktoś?

- Nie wiem, Gil. Wiem tylko, że te głupie dowcipy w połączeniu z faktem, że jakiś dureń chciał nas załatwić na River Road, to dla mnie za wiele. Może ktoś poza Harrym ma do mnie jakąś zadawnioną

pretensję. Jeśli tak, to nie atakuje bezpośrednio, jak Harry. On zagraża Dianie. Muszę ją stąd zabrać.

~ Rozumiem. To wszystko się kupy nie trzyma, ale na twoim miejscu zrobiłbym podobnie.

- Będiesz miał oczy otwarte na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nowego?

Gil skinął głową. Twarz miał ponurą.

- Możesz być tego pewny. Jeśli się czegoś dowiem, zadzwonię.

- Dzięki.

Colby nagle zdał sobie sprawę z panującej na piętrze ciszy i obejrzał się przez ramię. Diana stała na podeście schodów, trzymając w dłoni lekarstwo. Patrzyła na niego z napięciem. Ciekaw był, ile usłyszała. Uśmiechnął się, pragnąc jej dodać odwagi i powiedział pierwsze słowa, które przysły mu do głowy i które, jak sądził, mogły ją uspokoić:

- Już dobrze, skarbie. Chciałaś przecież wrócić do pracy w Carruthers & Yale, prawda?

*Błagalne wołanie dobiegało z grotu wyraźniej niż kiedykolwiek. Musiała zostać. Rozdarta między rozpaczliwą, milczącą prośbą a chęcią ucieczki, stała nieruchomo na brzegu gorącego źródła. Nie może zrobić nic, póki nie rzybędzie po nią wojownik. Jest bezradna. Pod stopami poczuła wilgoć. Opuściła wzrok i na podłodze jaskini dostrzegła płynący w stronę wyjścia ciemnoczerwony, wąski strumyk. To krew płynęła jej spomiędzy nóg. Wkrótce zacznie boleć, a ona tak bardzo się tego bała.*

Diana otworzyła oczy. Przez chwilę leżała nieruchomo, niepewna, czy rzeczywiście znajduje się w sypialni swego mieszkania w Portland. Dwa tygodnie temu Colby pośpiesznie zawiózł ją i psa z powrotem do domu. Przeszło tydzień temu wróciła do pracy.

Odczekała jeszcze chwilę, a potem, nie potrafiąc oprzeć się pokusie, spytała cichutko:

- Colby? Śpisz?

Odpowiedział jej jęk.

- Ty też, co?

- To powoli przestaje być zabawne. Niemożliwe, żeby dwoje ludzi miało taki sam sen. Zaczynam się bać. Colby obrócił się na bok, ziewnął i przytulił ją mocno. Z dobrze jej znaną, rozkoszną zmysłowością pogładził ją po włosach.

- Spokojnie, kochanie. To trochę niezwykle, ale nie ma powodu się denerwować. Mówiłem ci, że ta cholerna jaskinia śni mi się od dwudziestu lat.

- A słyszałeś, żeby jeszcze się komuś śniła?

- Nie. - Pochylił się, delikatnie całując ją w szyję. Jego noga spoczęła na jej udach. - Ale spędziłem w niej noc tylko z tobą. I nie mam zwyczaj u rozprawiać o snach z innymi ludźmi. Że komuś śni się jaskinia, wiedziałbym tylko wtedy, gdyby ten ktoś sam mi o tym powiedział.

- To nienormalne, Colby.

- Może wszystkie małżeństwa mają te same sny?

- Gdyby tak rzeczywiście było, coś byśmy o tym wiedzieli.

- To może jesteśmy wyjątkowi? - Położył dłoń na jej biodrze, ustami przeciągnął po szyi w dół, aż po dekolt nocnej koszulki.

~ Colby, próbuję poważnie z tobą porozmawiać!

- A czy nie moglibyśmy odłożyć rozmowy do jutra? Teraz jestem trochę zajęty.

Roześmiała się cicho. Mroczny czar snu prysł w obliczu jego niepoohamowanej zmysłowości.

- Jest niemal druga w nocy. Powinniśmy spać!

- Załatwię to bardzo szybko - obiecał, wkładając dłoń między jej uda.

- Nie, nie załatwisz tego bardzo szybko. - Diana odepchnęła rękę Colby'ego i przewróciła go na wznak. Jej oczy załśniły w mroku.

- Nie?

- Nie. Zrobisz to powolutku. - Pochyliła się, by go pocałować; jej piersi musnęły jego ciało.

- Jak sobie życzysz, skarbie.

Lecz to nie całkiem tak, myślała Diana, ubierając się do pracy. To w ogóle nie tak! Colby godził się na wszystko w łóżku, lecz poza łóżkiem był bardzo niezależny. Na własnych błędach uczyła się, że do małżeństwa trzeba się przyzwyczajać powoli i bezustannie.

Nigdy, na przykład, nie wyjaśnił jej, dlaczego pragnął wyjechać z Fulbrook Corners. Wiedziała, że nie podobały mu się robione jej kawały i miała wrażenie, że bardziej zaniepokoił się wydarzeniem na River Road, niż to okazywał. Nie chciał jednak rozmawiać z nią na ten temat.

- To tylko gówniarze, bawiący się w bardzo niebezpieczny sposób - stwierdził lakonicznie, gdy go przyparła do muru. - A w ogóle, to o co ci chodzi? Przecież chciałaś jak najszybciej wrócić do pracy.

Wróciła do Portland z radością, choć cieszyła się z innych powodów, niż przypuszczał. Prawda, skoro już zdecydowała się podjąć pracę w Carruthers & Yale, należało to zrobić jak najszybciej, ale w drodze powrotnej z Fulbrook Corners uzmysłowiła sobie, że czuje przede wszystkim ulgę - wreszcie znaleźli się poza zasięgiem Harry'ego. Przestała namawiać Colby'ego, by go zaskarżył, ale wcale nie czuła się z tego powodu szczęśliwa.

Westchnęła i przyjrzała się sobie w lustrze. Na razie mieściła się jeszcze w większości swych drogich, „zawodowych” strojów, ale niedługo będzie musiała kupić sobie szersze ubrania. Pierwsze zmiany już zaczynały być widoczne. Bardzo cieszyły Colby'ego, chociaż ona czuła się nieswojo. Dietą i ćwiczeniami udawało się jej utrzymać wagę, ale teraz ciało najwyraźniej zdecydowało się pójść własną drogą. Kolejny przykład tego, jak po poznaniu Colby'ego jej życie stanęło na głowie.

Nic już nigdy nie będzie takie samo. Kilka minut później weszła do kuchni. Colby właśnie wkładał brudne naczynia do zmywarki. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Dostrzegł wszystko: Miedziano-brązowe włosy związane w prosty, lecz wyszukany sposób, małe złote kolczyki, jasnobezowy kostium i bluzka, a do tego odpowiednio dobrane pantofle na wysokim obcasie. Uśmiechnął się pożądliwie.

- Zapewne nie wiesz, jak profesjonalnie i onieśmielająco wyglądasz w tym stroju - powiedział, zamknął zmywarkę i oparł się o kuchenny blat. - Prawdziwa dwudziestowieczna Amazonka. Wojownicza.

- Czujesz się onieśmielony?

Teraz już uśmiechał się drapieżnie. Ręce miał złożone na piersi.

- Czy ja wyglądam na kogoś, kogo onieśmielają Amazonki? Zwłaszcza jeśli wiem, że dzięki mnie tu obecna zaszła w ciążę? Podeszła do niego, kołysząc biodrami na tyle, by skupić na sobie jego uwagę. Zatrzymała się tuż przed nim i polakierowanym paznokciem musnęła kącik jego ust.

- Prawdziwy z pana mężczyzna, co, panie Savagar?

Skromnie wzruszył ramionami.

- I co mam powiedzieć? Jeśli mężczyzna ma już w sobie to „coś”, nie powinien tego ukrywać.

- Jeśli złapię cię na „nie ukrywaniu” tego przed innymi kobietami, przekonasz się, ile jest we mnie z Amazonki. - Westchnęła, uświadamiając sobie nagle sens swoich słów. Żartobliwe groźby tego rodzaju ciągle jeszcze były dla niej nowością.



Oczy Colby'ego zwięzły się. Nie próbował ukryć błyszczącej w nich dumy. Głos miał niski i zmysłowy.

- Uwielbiam, kiedy robisz się taka prymitywna i zazdrosna.

- Naprawdę?

- Tak. To mnie podnieca. - Objął ją mocno. - Co powiedziała byś na szybki numer przed pracą?

- Ty musisz skończyć książkę, a ja już się spóźniłam. - Diana pocałowała go szybko i odstąpiła o krok.

Rzuciła mu żartobliwe spojrzenie spod opuszczonych rzęs. - Zrób to dla mnie, twardzielu, i zaczekaj troszkę. I spróbuj nie zaczepiać Spectera. - Obróciła się i opuściła kuchnię.

- Specter nie jest taki głupi, jak myślałem. Kiedy dotarło do niego, że to ja kontroluję dostęp do jego sucharów, zaczął negocjować zawieszenie broni.

- Nie nadużywaj władzy, Colby. - Diana pochyliła się i podrapała za uchem odprowadzającego ją do wyjścia psa. - Nikt nie kocha tyranów.

Zatrzymała się z ręką na klamce. Colby chciał jeszcze coś powiedzieć. Tym razem jego głos nie był ani żartobliwy, ani kuszący.

- Diano, spróbuj być dziś w domu o czasie. Od tygodnia wracasz coraz później. Crown znowu trzyma cię po godzinach. Nie podoba mi się to.

- Mamy dużo pracy - wyjaśniła. - Przygotowujemy półroczną prognozę finansową.

- To znaczy Crown każe ci ją przygotowywać za siebie.

- Przecież na tym się znam. To moja praca.

- Dostyc już pracowałaś dla nich po godzinach. Przypomnij sobie, jak cię nagrodzili.

- Wiem, ale to ważne.

- Wątpię. Crown po prostu znów tobą orze. Wie, jak cię zagonić do pracy i to właśnie robi.

Rozgniewała się.

- Nie bądź śmieszny. Wszyscy nad tym pracujemy.

- Dobrze, ale skończysz pracę o czwartej trzydzieści. Proszę. Jeśli dziś tego nie zrobisz, on będzie cię zatrzymywał coraz dłużej.

- Skąd wiesz? - W głębi duszy przyznała mu rację.

- Znam ten typ ludzi i nie lubię Crowna. Robi karierę po trupach. I uważa, że może cię wykorzystywać.

Musi zrozumieć, że się myli. Że to już skończone.

- Colby...

- Masz męża i spodziewasz się dziecka. Inne rzeczy są teraz ważniejsze, Diano. Wróć punktualnie. Dumnie podniosła głowę.

- Wyjaśnijmy sobie coś, Colby. To że jesteśmy małżeństwem, nie daje ci jeszcze prawa do rządzenia moim życiem zawodowym.

- Ktoś to musi zrobić. Bo ty najwyraźniej nie potrafisz.

Szarpnęła drzwi ze złością i wyszła. Gdyby nie świadomość obecności sąsiadów, zatrzasnęłaby je z wielkim hukiem! Szybkim krokiem podeszła do windy i dźgnęła palcem guzik.

Małżeństwo okazywało się sprawą coraz bardziej złożoną. Colby stawał się władczy aż do przesady. Był arogancki, wymagający, zaborczy. I nie polubił Aarona Crowna.

A wszystko komplikował dodatkowo fakt, że skłonna była przyznać mu rację. Szef - jak zawsze - znów bez ograniczeń wykorzystuje jej wiedzę i talent. Kiedyś godziła się na to, bo wierzyła, że

inwestuje we własną przyszłość. Teraz wiedziała jednak, że popełniła błąd, ale szacunek dla pracy był częścią jej natury. Zawsze pracowała ciężko, nawet w szkole. Trudno jej było powiedzieć, że nie może zostać po godzinach, gdy szef tego od niej oczekuje. Lecz jeszcze trudniej było jej dzwonić co dzień do męża i uprzedzać go, że „trochę się spóźni”.

Z jednej strony musiała przyznać, że Colby ma rację. Z drugiej - nie miała zamiaru tego zrobić. Zbyt długo sama decydowała o swoim życiu, by teraz z dnia na dzień scedować władzę nad sobą na kogoś innego - a w dodatku na mężczyznę. Tymczasem jednak to wszystko mogło zakończyć się konfliktem, którego bardzo pragnęła uniknąć.

Z mieszkania do śródmiejskiego wieżowca, w którym mieściły się biura firmy Carruthers & Yale, jechała dwadzieścia minut. Zostawiła samochód na parkingu i wsiadając do windy nagle uświadomiła sobie, z jaką łatwością wróciła do codziennej zawodowej rutyny.

Miała wrażenie, że biuro zawiesiło działalność w oczekiwaniu na jej powrót. Sam fakt, że większości spraw nikt nie tknął przez całe dwa miesiące, wydawał się niewiarygodny. Między innymi z tego właśnie powodu pracowała wieczorami. Jak każdy profesjonalista, nie zносиła opóźnień.

O dwunastej oderwała wzrok od papierów i za biurkiem dostrzegła znajomą postać.

- Idziesz na lunch, czy masz zamiar jak zwykle przepracować przerwę? - spytała Milly Sweeney.

Diana uśmiechnęła się przepraszająco. Pracowała z Milly od niemal dwóch lat i lubiła ją. Były mniej więcej w tym samym wieku i miały wiele wspólnych zainteresowań.

- Niestety, muszę uporać się dziś z tym sprawozdaniem.

- Nie mam pojęcia, dlaczego - stwierdziła szczerze Milly, - Nikt się nim nie zainteresował od czasu, kiedy poszłaś na urlop.

Diana wyprostowała się na obrotowym krześle i z namysłem spojrzała na przyjaciółkę.

- Właśnie. Dlaczego?

- Dobrze, powiem ci, ale pod warunkiem, że zjesz ze mną lunch.

Diana zawahała się przez chwilę.

- W porządku. Umowa stoi.

Piętnaście minut później siedziały w zatłoczonej śródmiejskiej restauracji, specjalizującej się w obsłudze pracowników okolicznych firm. Diana odłożyła menu na stolik.

- No dobrze, Milly, do rzeczy. Skąd ten bałagan w biurze?

- To proste. Możesz zgadywać trzy razy, dwie pierwsze odpowiedzi się nie liczą.

- Nie mam zamiaru bawić się w zgadywanki.

- Doskonale, nie będę owijać w bawełnę. Praca stanęła w chwili, gdy poszłaś na urlop. Kiedy cię nie było, po prostu udawaliśmy, że pracujemy. Crown tylko czekał na twój powrót. Najważniejszych spraw w ogóle nie tykał w nadziei, że szybko wrócisz. Nie spodziewał się, że nie będzie cię tak długo. Nie wiedział, że odmowa awansu wyprowadzi cię z równowagi. Był zszokowany.

Diana zmarszczyła brwi.

- Przecież musiał wiedzieć, że nie przejdę nad tym do porządku dziennego.

Milly uśmiechnęła się z politowaniem.

- Nie wiesz, jak myślą mężczyźni na dyrektorskich stołkach? Muszę przyznać, że i ja nie zawsze ich rozumiem, ale gdy odeszłaś, stało się jasne, co myślał Crown.

- Co?

- Był najzupełniej pewien, że mimo wszystko zostaniesz. W końcu masz dobrą pracę. Zaszłaś wyżej

niż inne kobiety w firmie i jego zdaniem powinna być za to dozgonnie wdzięczna właśnie jemu. Przecież zawsze byłaś taka lojalna, robiłaś wszystko, żeby szef wypadł jak najlepiej. Mówiąc inaczej, zachowywałaś się jak właściwa kobieta na właściwym miejscu. Skąd miał wiedzieć, że poczujesz się dotknięta?

- A właściwie czego się po mnie spodziewał? - zdenerwowała się Diana.

- Że nadal będziesz grała rolę pilnej, wiernej pracownicy i będziesz wdzięczna za to, co masz.

Diana wpatrywała się w przyjaciółkę bez słowa, a po chwili, wbrew samej sobie, uśmiechnęła się żałośnie.

- Przypomina to trochę klasyczną rolę dobrej, wiernej żony, która dziękuje Bogu i wszystkim świętym za obrączkę na palcu, no nie?

Milly odpowiedziała jej szerokim uśmiechem.

- Właśnie! Mężczyźni spodziewają się, że ich pracownice będą się zachowywały jak dobre żony. Mamy się ładnie ubierać, traktować ich z szacunkiem, ciężko pracować i nie wymagać zbyt wiele. A jeśli nie zechcesz pójść z szefem do łóżka, to się jeszcze obrazi! Ale przede wszystkim powinniśmy znać swoje miejsce. Daj spokój, Diana, wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Nie jesteś naiwna.

- Wiem. Ale myślałam, że z Aaronem Crownem będzie inaczej. Wydawał się taki... pomocny.

- Właśnie z tego powodu przez cztery lata zaszedł aż tak wysoko, oczywiście mając ciebie u boku. To przy tobie wyglądał tak wspaniale! A tak naprawdę jest tylko przystojny. Doskonale gra w korporacyjne gierki, ale brak mu talentu. Podpiera się utalentowanymi ludźmi, takimi jak ty.

- Wiedziałam o tym, ale zawsze myślałam, że w końcu dostanę, czego chcę.

- I pomyliłaś się. Zaslugę za doskonałe wyniki finansowe naszego oddziału przypisał sobie. Znasz go i wiesz, że z nikim się nią nie podzielił. Dlaczego niby miano awansować ciebie, kiedy na górze myślą, że to wszystko dzięki niemu? A poza tym, kto by uwierzył, że takie zmiany to dzieło kobiety?

- Przyznam, że sama byłam ciekawa, jak Aaron poradzi sobie beze mnie. Ale zakładałam, że po prostu znajdzie kogoś nowego.

- Nikogo nie szukał - stwierdziła Milly.

- Taki był pewien, że wrócę?

- Tak. I miał rację, nie?

Diana uśmiechnęła się tajemniczo.

- Do pewnego stopnia.

- A co niby ma znaczyć ten tajemniczy uśmieszek?

- To i owo zmieniło się, kiedy byłam na urlopie,

- Wiem. Wyszłaś za męża. Pozwól sobie powiedzieć, że naszym panem i władcą głęboko to wstrząsnęło. Niemal zemdłał, kiedy się dowiedział.

- To nie koniec. Jestem w ciąży.

Milly otworzyła usta.

- Co?

- Przecież słyszałaś. Wróciłam do naszej dobrej, starej firmy, bo chciałam popracować, póki nie urodzi się dziecko. Później i tak odejdę.

Oczy Milly rozbłysły zadowoleniem.

- Czy Crown wie?

- Nie. Ale jestem pewna, że domyśli się, kiedy zacznę nosić luźniejsze sukienki.

- I nie wrócisz po urodzeniu dziecka?

Diana przecząco potrząsnęła głową.

- Wykluczone. Nie miałam zamiaru wracać tu po urlopie. Szukałam innej pracy. Bo i niby po co miałabym wracać? Kobiety nie mają przyszłości w tej firmie.

Milly uśmiechnęła się.

- Oczywiście wiesz, że to typowa kobieca zemsta.

Crown dostanie szału, kiedy się dowie, że wróciłaś tylko na czas ciąży. Zaraz zaczniesz ci tłumaczyć, że powinnaś zmienić zdanie.

- W sprawie dziecka? Na to już trochę za późno.

- Nie - tłumaczyła jej cierpliwie przyjaciółka. - Nie w sprawie dziecka. W sprawie powrotu do pracy zaraz po urlopie macierzyńskim.

- Nie ma mowy - rzekła spokojnie Diana.

Milly przez chwilę studiowała jej twarz, a potem zajęła się sałatką.

- I jak tam małżeństwo?

- Powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie. Miałaś dwóch mężów.

- Racja, ale ciągle jestem ciekawa. Jakoś zawsze wydawało mi się, że ty zdołasz uniknąć tego doświadczenia. Małżeństwo chyba cię specjalnie nie interesowało.

- Czasami zmienia się zdanie.

- I tak od razu ciąża... To też mnie dziwi. Nie przypuszczałam, że masz zadatki na matkę.

- Ja również - przyznała sucho Diana. - Upewniam cię, że przeżyłam szok większy od tego, który czeka Crowna.

Coś w tonie jej głosu musiało naprowadzić Milly na właściwy trop. Spojrzała na nią z uśmiechem.

- No, nie. Nie próbuj wmówić mi, że to był przypadek. W twoim wieku? I zdecydowałaś się na małżeństwo z tego powodu? Nikt tego dzisiaj nie robi!

- Zaskoczę cię. Są jeszcze na świecie dżentelmeni.

- I ojciec twojego dziecka należy do tego wymierającego gatunku?

- Aha.

- A czy tam, skąd pochodzi, jest więcej takich jak on? - spytała Milly z wyraźną nadzieją.

Tego samego dnia, o czwartej piętnaście po południu, Aaron Crown zatrzymał się przed drzwiami pokoju Diany. Światło jarzeniówek lśniło w jego gładko zaczesanych włosach i odbijało się od śnieżno białych zębów.

- Kolejny, długi dzień, prawda, Diano? Mam nadzieję, że posiedzisz jeszcze trochę. To sprawozdanie jest już opóźnione o kilka tygodni. Chciałbym, żeby w środę rano Rensley miał je na biurku.

Diana wstrzymała oddech. Wiedziała, że ta chwila musiała w końcu nadejść. Wiedziała także, że nie może po prostu podnieść słuchawki i powiedzieć Colby'emu, że wróci później.

- Przykro mi, Aaronie, ale dziś nie mogę zostać. - Spróbowała uśmiechnąć się przyjaźnie. - Małżeństwo ma swoje prawa, wiesz?

Aaron był najwyraźniej zaniepokojony.

- Ale to sprawozdanie jest bardzo ważne, Diano.

Wiesz o tym doskonale.

- Zajmę się tym jutro z samego rana. Będę gotowa na piątek.

- Rensley będzie pod wrażeniem, jeśli przygotujemy wszystko na środę.

Spojrzała na szefa i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że czuje się dziwnie wolna. Praca nie była rzeczą najważniejszą w świecie. Raz już ją rzuciła i za parę miesięcy zrobi to powtórnie. Nie

musiała zgadzać się na nalegania Aarona Crowna.

- Wyjaśnijmy coś sobie. Kto wywrze na Rensleyu wrażenie, jeśli sprawozdanie dotrze do niego w środę? Ty czy ja?

Crown zaczął się denerwować i bezskutecznie usiłował to ukryć.

- A co to ma do rzeczy? Zawsze oddawałem sprawiedliwość swoim pracownikom.

- Twoja sprawiedliwość najwyraźniej nie wystarczyła mi do awansu. Powiedzmy sobie szczerze. Aaronie, że nic mnie już tu nie czeka. Mam pracować po godzinach tylko po to, żeby przygotować ci dokumenty na środę?

Szef sprawiał wrażenie oburzonego i zdumionego.

- Myślałem, że jesteś prawdziwą profesjonalistką, Diano.

- Jestem. I według mojego prawdziwie profesjonalnego osądu nie mam tu żadnej przyszłości. A więc pracuję tyle, za ile mi płacą. Żadnych nadgodzin. Mam ciekawsze zajęcia na wieczór.

Crown nie wytrzymał.

- Co się z tobą stało? - warknął. - To zupełnie do ciebie niepodobne! Nigdy przedtem tak się nie zachowywałaś!

- Prawdopodobnie małżeństwo kompletnie mnie zepsuło. - Jego gniew zaczął ją bawić. Zerknęła na zegarek. - Mamy jeszcze dziesięć minut. Mam pracować nad sprawozdaniem czy rozmawiać z tobą?

- Za kogo ty się, do diabła, uważasz? - Aaron Crown nie wytrzymał.

- Za nikogo szczególnego. Moje życie po prostu się zmieniło. Inne sprawy stały się ważne.

- A, o to chodzi! Nie możesz się doczekać, kiedy wrócisz do domu i wskoczysz do łóżka z tym swoim mężusiem? Tak? - Aaron zbliżył się do jej biurka z grymasem wściekłości na twarzy. - Powinnaś mi wcześniej powiedzieć, że nie dostajesz, czego chcesz. Sam bym się tym zajął. Ale sprawiałaś wrażenie takiej zimnej, jakby seks wcale cię nie interesował!

- Milcz! - Diana zerwała się na równe nogi i sięgnęła po torebkę. - Zapominasz się!

- Do diabła, papiery mają być gotowe na środę!

- Więc zostań po godzinach i sam je przygotuj. - Diana sięgnęła po płaszcz.

- Nie możesz mi tego zrobić, ty dziwko! - Złapał ją za ramię.

Krzyknęła bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Obracała się, by udzielić mu gniewnej odprawy, kiedy dostrzegła, że w drzwiach jej gabinetu, za plecami Crowna, pojawił się Colby.

- Puść moją żonę, ty draniu! - warknął i jednym skokiem znalazł się przy Aaronie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Colby! Przestań! Nie chcę, żeby ci się coś stało! - Diana złapała Colby'ego go za ramię, lecz odsunął ją jak piórko i szarpnął Aarona.

- Ty durny sukin... - Aaron zamachnął się na oślep, trafiając przeciwnika w ramię. Colby złapał go oburącz i cisnął o ścianę. Rozległ się głuchy huk. Crown osunął się na podłogę.

- Weź swoje rzeczy. Wszystkie. Już tu nie wrócisz.

- Colby spojrzał na żonę, jakby spodziewał się protestu.

Diana jednak bez słowa włożyła płaszcz, wyjęła kilka drobiazgów z szuflad biurka i sięgnęła po torebkę. Czerwonym piórem napisała wymówienie na stronie prognozy finansowej, którą opracowywała dla Crowna.

Jej były szef zdołał się podnieść i stał teraz na chwiejnych nogach, oparty o ścianę. Patrzył na

Colby'ego oczami, w których błyszczała wściekłość.

- Zapłacisz za to - syknął.

- Nie sędzę - odparł Colby chłodno. ~ Jeśli zawiadomi pan policję, to proszę im powiedzieć, że próbował pan zastosować przemoc fizyczną wobec mojej żony i że to ja zostałem sprowokowany. Jeśli im pan tego nie wyjaśni, zrobię to za pana. Chodź, Diano, wynosimy się stąd.

- Nie wolno ci odejść! Jeśli odejdiesz, gwarantuję, że nigdy w życiu nie dostaniesz żadnej pracy ani tu, ani gdziekolwiek w mieście.

Diana spojrzała na niego z politowaniem.

- To tak próbujesz mi udowodnić, że jesteś mężczyzną? Przecież nie masz wystarczających wpływów, żeby pozbawić mnie możliwości znalezienia pracy poza Carruthers & Yale. Nienawidzę takich „prawdziwych mężczyzn”. Nudzą mnie. - Ruszyła w stronę drzwi świadoma faktu, że Colby idzie za nią.

- Miałem rację! - krzyknął Crown. - Nie zasłużyłaś na awans. Dobrze się stało, że przekonałem o tym radę nadzorczą. Powiedziałem im, że masz za mało doświadczenia! Że jesteś tylko jeszcze jedną zwykłą kobietą, której nie interesuje kariera na dłuższą metę! Że jesteś całkiem szczęśliwa na swoim stanowisku! Diana obróciła się błyskawicznie.

- Ty im powiedziałaś, że nie zasłużyłam na awans? I dlatego go nie dostałam?

- A nie miałem racji? Sama to przed chwilą udowodniłaś. Uciekłaś, wyszłaś za pierwszego mężczyznę, który wziął cię do łóżka i potrafisz już tylko myśleć o tym, żeby jak najwcześniej wrócić do domu i pieprzyć się z tym twoim nowym mężusiem. Nie nadajesz się na kierownicze stanowisko! Jesteś tylko starą panną po trzydziestce, która nagle odkryła rozkosze seksu. Najwyraźniej nie masz go dość!

Colby powoli odwracał się w stronę Crowna. Diana znów położyła mu dłoń na ramieniu. Tym razem zawahał się.

- Sama dam sobie radę - rzekła stanowczo. Czują, jak napinają mu się mięśnie ramion, lecz nie zaprotestował. Stał i czekał. Diana podeszła do Aarona.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość - powiedziała spokojnym głosem, choć jej oczy błyszczały gniewem. - Idę do domu nie tylko dlatego, żeby być z mężem, lecz i dlatego, żeby przygotować się do narodzin dziecka.

I masz rację. Oboje są dla mnie ważniejsi niż praca w tej twojej firmie.

Crown gapił się na nią z otwartymi ustami.

- Jesteś w ciąży? Ty?

- Tak, Aaronie. Wróciłam tu tylko po to, by popracować do narodzin dziecka. Chciałam coś robić, żeby zabić czas. Potem i tak złożyłabym wypowiedzenie. Czego ty się właściwie spodziewałeś? Przecież nie myślałeś chyba, że po tym wszystkim będę dalej pracować dla ciebie. Nie mam tu żadnej przyszłości. Wróciłam tylko dlatego, że jestem w ciąży.

- Ty mała...

- Dokończ, a wyrwę ci język - powiedział Colby podejrzanie spokojnym głosem.

- Wynoście się! - zachrypiął Aaron. - Oboje! Precz!

- Już nas nie ma - zgodził się chętnie Colby, biorąc żonę pod rękę i prowadząc ją w stronę drzwi.

Diana nie miała zamiaru się opierać. Pragnęła jak najszybciej opuścić biuro. Gdy w korytarzu dostrzegła zaciekawione twarze kolegów i koleżanek, na jej usta wypłynął łobuzerski uśmiech.

- Zostawiam go wam, z najlepszymi życzeniami. Tylko nie ufajcie mu i nie spuszczać go z oka!

- Wszystko słyszeliśmy - powiedziała Milly. - A więc to on zablokował ci awans. Pasuje, jak się nad tym zastanowić. On bez ciebie jest jak bez ręki. Jest głupi, ale na tyle sprytny, że wie o tym. Za plecami Diany drzwi jej pokoju zatrzęsły się z hukiem.

- Książę Crown nie jest w najlepszym humorze - zauważyła Milly, uśmiechając się do przyjaciółki. - Powodzenia, Diano. Będzie nam ciebie brakować.

- A najbardziej Crownowi - stwierdził jakiś męski głos. - Taki był pewien, że Diana wyratuje go z każdej opresji. Idę o zakład, że nie utrzyma się bez niej nawet przez pół roku. Zwłaszcza że nie zamierzamy wychodzić ze skóry, żeby mu pomóc.

- Słusznie - wtrącił ktoś. - Możemy zorganizować biurowego totalizatora. „Zgadnij dzień, miesiąc i rok, w którym wywalą z pracy niekompetentnego Aarona Crowna”. Kto obstawia?

Szli korytarzem, słysząc rozmowy i śmiechy ludzi, zajętych najnowszą biurową zabawą. Colby odezwał się dopiero w garażu.

- Wiem, że się denerwujesz. Nie wyszedł ci powrót do pracy - powiedział szorstko. Wyjął jej kluczyki z dłoni i usiadł za kierownicą. - Ale tak jest o wiele lepiej.

Słyszałaś, co powiedział ten łobuz. Sam pozbawił cię awansu.

- Co się stało, że przyszedłeś do biura? - przerwała mu pytaniem. Mówiła cichym, drżącym głosem.

- Przecież wiesz. - Wyjechali z garażu i skręcili w ulicę.

- Chciałeś mieć pewność, że dostosuję się do rozkazów pana i władcy i wrócę do domu punktualnie, prawda? Być może zainteresuje cię wiadomość, że byłam gotowa wyjść z pracy dokładnie wpół do piątej. - Zacisnęła dłonie. Nie chciała, by dojrzał, jak drżą.

Colby chrząknął.

- Wierzę, że miałaś zamiar wyjść o czasie, ale nie jestem pewien, czy rzeczywiście byś wyszła.

- Wyszłabym. Mówiąc twoimi słowami, Aaron zastosował wobec mnie przemoc fizyczną tylko dlatego, że nie zgodziłam się pracować po godzinach.

- Już po wszystkim. Nie chcę dyskutować na ten temat.

- Po wszystkim? - spytała chłodno. - Nie chcesz dyskutować na ten temat, więc temat nie istnieje?

- A o czym tu rozmawiać? Nie wracasz do Carruthers & Yale. Sama napisałaś wypowiedzenie. Ja cię nie zmuszałem.

- Masz rację - powiedziała i umilkła.

- Diano?

- Słucham?

- Masz zamiar urządzić cichy dzień z powodu tego zdarzenia?

Miała wrażenie, że jej odpowiedź niezbyt go interesuje.

- To ty nie chcesz rozmawiać.

- Ale nie zabronię ci przecież myślenia. Będziesz analizowała i zamartwiała się tym na śmierć, prawda?

- Tu chodzi o moją pracę, Colby.

- I tylko praca cię obchodzi?

Poczula nagły przyływ gniewu i straciła panowanie nad sobą. Obróciła się w jego stronę, oczy jej błyszczały.

- Obchodzi mnie nie tylko praca. - Miała ochotę krzyknąć. - Bardzo wiele czasu poświęcam na myślenie o tym, jak być żoną mężczyzny, który najwyraźniej nie rozumie, jak ważny był dla mnie fakt, że zawsze potrafiłam sama się utrzymać. A kiedy nie mogę już myśleć o tym, myślę o dziecku i o

przyszłości, której nigdy nie planowałam!

- Spokojnie, skarbie. Miałaś ostatnio drobne kłopoty.

- Drobne? Mówisz, że - miałam ostatnio drobne kłopoty? To bardzo łagodne określenie! Pozwól, że wymienię ci kilka z moich „drobnych” kłopotów. Nie mieszczę się w ubraniach, Colby. Przez ostatnie piętnaście lat nie przytyłam ani kilograma, a za kilka dni nie dopnę ani spódnicy, ani dzinsów. Przeglądałam książki o ciąży i nagle uświadomiłam sobie, że nie znoszę nawet lekkiego bólu. Na miłość boską, pocę się na fotelu u dentysty, kiedy mam dostać znieczulenie!

- Boisz się, prawda? - Niespodziewanie coś do niego dotarło. - Właśnie dlatego tak bardzo chciałaś wrócić do pracy? Miałaś nadzieję, że praca nie pozwoli ci myśleć o tym, co się z tobą dzieje.

Diana zamknęła oczy, odetchnęła głęboko i mówiła dalej spokojnie.

- Tak, boję się. I tak, praca pomogłaby mi poradzić sobie ze strachem. Ale to nie strach jest najgorszy. Najgorsze jest wrażenie, że nad niczym już nie panuję.

- Wiem.

- Nie. Nie możesz wiedzieć. Ty zawsze panujesz nad wszystkim. Spójrz tylko na mnie! Wymyka mi się spod kontroli praca, ciało, przyszłość, a nawet sny!

- Kochanie, przecież mówiłem ci, że śnię o jaskini od lat i nie ma to żadnego znaczenia!

- A dla mnie ma! Zaczynam się bać! To nie jest naturalne. Co noc ten sam sen! Mam straszne wrażenie, że nasze sny są jakoś związane z moją ciążą.

- To tylko wyobraźnia - powiedział uspokajająco.

W oczach Diany pojawiły się łzy. Otarła je grzbietem dłoni.

- A na dodatek nie potrafię nawet zapanować nad sobą! Popłakałam się jak idiotka.

Colby obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem. Wjeżdżali właśnie do podziemnego garażu.

- Kobiety w ciąży tracą czasami panowanie nad sobą. Nie przejmuj się.

- Nie przejmuj się?! On mi mówi: „Nie przejmuj się!”

- Diana wyskoczyła z samochodu i ocierając łzy pobiegła w kierunku windy. - Nie przejmuj się! Życie mi się rozleciało, a on mówi, że mam się nie przejmować!

Colby dogonił ją, objął i mocno przytulił, naciskając jednocześnie guzik windy.

- Przecież ci tłumaczyłem: po prostu miałaś dziś drobne kłopoty. I ostatnio wiele się w twoim życiu zmieniło.

- W twoim też! I jakoś się nie załamujesz!

- Przecież się nie załamałaś. Jesteś tylko troszkę zdenerwowana.

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

- Chcesz dobrej rady, Colby? Nie waż się powiedzieć ani słowa więcej.

- Popchnął ją delikatnie w stronę otwartej windy. I zignorował jej radę.

- Potrzebujesz tylko gorącej kąpieli. A potem włożysz szlafrok i może wypijesz filiżankę herbaty, a ja przygotuję kolację. Miałaś ciężki dzień. Musisz odpocząć.

- Colby, ostrzegam cię! Jeszcze słowo, a zacznę krzyczeć. Nie traktuj mnie tak, jakbym była jakąś głupią, pustogłową, rozhisteryzowaną idiotką.

Uśmiechnął się.

- Nigdy nie twierdziłem, że jesteś idiotką. A poza tym, nie jesteś głupia. Po prostu denerwujesz się trochę i to całkowicie zrozumiale.

- Doprawdy? - spytała złowieszczym tonem.

- Jasne. - Colby wykonał zamaszty gest. - Tylko zobacz, przez co przeszłaś tego lata. Straciłaś



pracę. Zaszłaś w ciążę. Musiałaś wyjść za mąż za mężczyznę, którego ledwie znasz...

- Nikt mnie nie zmuszał do małżeństwa z tobą - przerwała mu gwałtownie.

Potrząsnął głową.

- Daj spokój, skarbie. Oboje wiemy, że czułaś, iż musisz wyjść za mnie z powodu dziecka.

- Nie wyszłam za ciebie z powodu dziecka - powtórzyła, sama zdumiona przekonaniem, które zabrzmiało w jej głosie.

- Ależ oczywiście, że tak - stwierdził Colby spokojnie. - Nie dałem ci wyboru, a ty mądrze zdecydowałaś, że w tej sytuacji małżeństwo będzie jedynym rozsądnym wyjściem.

- Bądź uprzejmy się zamknąć, Colby! Nie wyszłam za mąż z powodu dziecka! To nie był jedyny powód.

Owszem, zaproponowałeś mi ślub, jesteś dobrym człowiekiem, jesteś ojcem, a dziecko powinno mieć oboje rodziców, więc myślisz, że to były te moje powody. Ale tak się złożyło, że miałam ważniejszy!

- Tak? - Wypchnął ją z windy, znalazł klucz do mieszkania i zabrał się do otwierania drzwi. - Więc dlaczego właściwie za mnie wyszłaś?

Ze swobodnego tonu jego głosu wywnioskowała, że pragnie ją tylko uspokoić. Była to kropla, która przepełniła czarę. Przeszyła go pełnym wściekłości spojrzeniem i wybuchnęła:

- Wyszłam za ciebie, bo cię kocham, ty głupi, strasznie męski idioto! A teraz zejdź mi z drogi. Chcę wziąć prysznic, przebrać się w szlafrok i kapcie i zjeść kolację. Miałam okropny dzień.

Gdy weszli do środka, przebiegła obok podskakującego radośnie Spectera i skryła się w sanktuarium łazienki. Przez długą chwilę Colby stał nieruchomo, wpatrzony w drzwi, za którymi zniknęła, a potem zdał sobie sprawę z obecności popiskującego psa.

- Sądzę - oznajmił - że tę nowinę należałoby uczcić piwem i twoim sucharem. Idziemy?

Specter bez protestu poszedł za nim do kuchni. Późno w nocy Colby ocknął się z pełną świadomością tego, jak powinny wyglądać ostatnie rozdziały „Szkarłatnej mgły”. Nie po raz pierwszy budził się w środku nocy wiedząc, co powinno przydarzyć się dalej jego bohaterom, lecz po raz pierwszy wszystkie szczegóły akcji objawiły mu się z krystaliczną jasnością.

Przez chwilę leżał świadom obecności przytulonego doń ciepłego ciała Diany. Nie chciało mu się wstawać, lecz potrzeba zapisania planu zakończenia powieści była silniejsza.

Odczekał chwilę, sprawdzając w wyobraźni, czy wszystko jest tak, jak powinno, a potem wstał cicho. Włożył dzinsy, przypatrując się śpiącej Dianie i próbując nie myśleć o tym, co powiedziała mu dziś po południu.

Mężczyzna może oszaleć zastanawiając się, co myśli kobieta, kiedy się zdenerwuje. Specter wstał cicho i poszedł za panem do dużego pokoju. W kilka chwil później Colby wpatrywał się w rozjarzony monitor komputera, szybko uderzając w klawisze.

*„Ryk wody oszalał go swym głuchym, jednostajnym dźwiękiem. Wypełniał świat, usuwając z niego to, co normalne, rozsądne, racjonalne. Był teraz gdzie indziej, w innym czasie i miejscu, i musi grać według innych reguł, jeśli on sam, kobieta oraz nie narodzone dziecko mają przeżyć.*

*Granitowa ściana była zdradliwa, śliska. We wszechobecnych ciemnościach ściekająca po skale woda wydawała się tak czarna, jak krew w świetle księżyca, i równie niebezpieczna. Przesuwając się krok po kroku po wąskiej, stromej ścieżce, prowadzącej ku wejściu do jaskini, Banner rozpaczliwie szukał oparcia dla rąk. Nie słyszał nic oprócz huku spadającej wody, nie widział nic oprócz groźnego zarysu skały, w której była jaskinia.*

*Nie wolno mu ryzykować i zapalać latarki. Nie może ostrzec zła, które na niego czeka. Wiatr prysnął mu w oczy wodą, oślepiając skuteczniej niż ciemność. Wytarł twarz rękawem przemoczonej koszuli. Posunął się o kolejne kilkadziesiąt centymetrów. Nagle, bez ostrzeżenia, błędzące po skale palce natrafiły na pustkę. Zamarł, stając przed wejściem. Patrzył w mroczną otchłań świadom wezwania, płynącego ku niemu z wnętrza groty. Ona tam czeka, i on musi jakoś dostać się do niej. Lecz najpierw musi poradzić sobie z czymś, co jej zagraża, czymkolwiek to jest.*

*Po wielu, wielu latach w końcu dowie się prawdy. Wcale nie miał pewności, czy pragnie ją poznać”.*

- Colby?

Drgnął, słysząc głos Diany. Obrócił się i dostrzegł, że stoi przy biurku, otulona szlafrokiem. Na jej twarzy odbijało się słabe, trochę niesamowite światło monitora. Dostrzegł w jej oczach troskę.

- Witaj, skarbie. Nie chciałem cię budzić. Przyszło mi do głowy parę pomysłów na zakończenie książki i postanowiłem je zapisać, nim zbledną.

- No, tak. Pisarz musi wykorzystać chwile natchnienia, gdy już je ma. - Podeszła bliżej.

- Chwile natchnienia są w tej pracy cholernie rzadkie. - Colby uśmiechnął się słabo. - Tak rzadkie, że nie wolno ich lekceważyć.

- To nie pracujesz cały czas w natchnieniu? Nie tak pisze się książki?

Potrząsnął przecząco głową.

- Niestety, nie. Nad książką się pracuje; to zwykła, ciężka, niewdzięczna praca. Praca, i jeszcze raz praca.

Gdyby człowiek chciał tylko siedzieć i czekać na natchnienie, pisałby jedną książkę przez dziesięć lat. I to bez gwarancji, że w ogóle ją skończy.

Diana uśmiechnęła się lekko.

- Naprawdę ciężka praca.

- Tak, naprawdę.

- To zdecydowanie psuje obraz pisarza. Mogę przeczytać?

- Jeśli chcesz...

Przysunęła się i spojrzała na monitor. Wyczuł, jak nieruchomieje. Wiedziała, gdzie toczy się akcja.

- Opisujesz nasz sen o jaskini? - szepnęła.

- Nie całkiem. To współczesna książka, a nasze sny wiążą się jakoś z legendą o Spętanej. Ale przyznaję, są pewne podobieństwa. Wkrótce po tym, kiedy się spotkaliśmy, powiedziałem ci, że pomysł na książkę zaczerpnąłem właśnie ze snów i wspomnień o nocy, którą w dzieciństwie spędziłem w jaskini.

- Powiedziałeś też, że było to najstraszliwsze z twoich przeżyć. - Diana zamyśliła się. - Mówiłeś, że czujesz, kiedy książka jest dobra, bo sceny z niej przerażają nawet ciebie.

Wzruszył ramionami.

- No, tak.

- Colby, jak to się skończy? - spytała z niepokojem.

- Czy koniec już ci się przyśnił?

Uśmiechnął się.

- Nie. Za dobrze by było. Ale mam pewne... podejrzenia... i w oparciu o nie mogę już myśleć o zakończeniu.

- Banner ocali bohaterkę, prawda? Jest uwięziona w grocie?

- Tak.

- Czy wiesz już, co jej grozi?

~ Zwykły, banalny, nudny jaskiniowy potwór.

- Colby, proszę. Powiedz mi prawdę.

Usłyszał w jej głosie lęk i natychmiast spoważniał.

- No, spokojnie, skarbie. Czarny charakter to mój wynalazek, nie ma go w naszych snach. Przecież mówiłem, że ze snów zaczerpnąłem wyłącznie pomysły, uczucie strachu, które potrafię przenieść w fikcyjne miejsce i na fikcyjne zdarzenia.

- Jesteś pewien, że nie widziałeś czegoś w swoim śnie? Prawdziwego potwora? Colby, jeśli tak, musisz mi powiedzieć.

- Nie. Gdybym widział, nie musiałbym pracować tak ciężko, żeby go wymyślić.

Nie mówił jej jednak wszystkiego. Na przykład tego, że groza, bijąca we śnie z jaskini, stawała się ostatnio coraz silniejsza. Nadal czuł rozpaczliwe błaganie o pomoc dobiegające z grotu, ale to czający się w jaskini strach stał się głównym składnikiem snu. Jeśli tak dalej będzie, jego niespokojne sny znów zmienią się w koszmary. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Nie powinnam przeszkadzać ci w pracy. - Diana odsunęła się o krok. - Nie chciałam - dodała.

- Nie martw się. Masz ochotę na gorącą czekoladę?

- Poderwał się na równe nogi.

- Jeśli robisz sobie... - Podreptała za nim do kuchni.

- Kiedy obudziłam się i zobaczyłam, że cię nie ma, troszkę się chyba zaniepokoiłam.

Colby przystanął i ucałował ją w czoło.

- To tylko dowód, że szybko się przystosowujesz.

- Przystosowuję? Do czego?

- Do małżeństwa. Przyzwyczyłaś się już, że śpię obok ciebie każdej nocy. Cieszę się, że czujesz się dziwnie, kiedy nie ma mnie w łóżku. - Otworzył lodówkę.

Specter stanął obok i razem przeglądali jej zawartość.

- Colby? - Diana usiadła na stołku, otulając zziębnięte nogi szlafrokiem.

- Tak?

- Przepraszam, że wprowadziłam cię w zakłopotanie... no... kiedy powiedziałam, że cię kocham.

Zastygł na chwilę w bezruchu, po czym otrząsnął się i spokojnie wyjął mleko.

- Nie martw się. Nie czułem zakłopotania. Byłaś... jak to się mówi? Spięta? Powiedziałem ci, kobiety w ciąży nie zawsze panują nad sobą. Pamiętasz tę książkę, którą przyniosłem ostatnio z biblioteki? Tę, w której pisali o huśtawce nastrojów w pierwszych miesiącach ciąży?

- Myślisz, że to było to? Miałam huśtawkę nastrojów? Nie panowałam nad sobą?

W jej głosie wyczuł niepokój. Próbował ją uspokoić.

- Wiele ostatnio przeszłaś - powiedział.

- Nie aż tak wiele, żeby stracić rozum - odparła kwaśno. - A poza rym, od dawna wiem, że cię kocham.

Jak myślisz, czemu, do diabła, w ogóle poszłam z tobą do łóżka ten pierwszy raz i wiele razy potem? Łącznie z nocą w jaskini?

Przestał mieszać gorące mleko.

- Diano, nigdy ani słowem nie wspomniałaś o miłości.

- Oczywiście, żenie. I gdybym nie była tak wyprowadzona z równowagi, dziś też bym o niej nie

wspomniała. Colby, nie znoszę tego, nie cierpię tracić kontroli nad sobą i nad życiem. Nawet nie wiesz, jak trudno mi pogodzić się z tym, że moje życie poszło własną drogą, a ja nic nie mogę na to poradzić.

Obrócił się, niepewny, czy zdoła zapanować nad burzą uczuć. Diana wyglądała przez okno, wpatrzona w światła miasta. Jedną dłonią podpierała głowę, drugą mechanicznie głaskała stojącego obok Spectera. Jej kasztanowe włosy były zmierzwiłone, białe stopy sprawiały, że wyglądała wzruszająco bezbrannie. Pomyślał, że tej nocy sprawia wrażenie drobnej, przestraszonej, zagubionej Amazonki. Zadał też sobie pytanie, czy Diana kiedykolwiek zrozumie, że zrobiłby wszystko, naprawdę wszystko, by ją chronić?

- Diano, nie musisz wmawiać sobie, że mnie kochasz.

- A dlaczego nie mam cię kochać? Przecież jesteśmy małżeństwem. - Odwróciła głowę, obrzucając go przenikliwym spojrzeniem. - I będziemy małżeństwem, prawda? Przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości.

- Masz cholerną rację. Będziemy małżeństwem. - Zdawał sobie sprawę, jakim tonem powiedział te słowa: pewnym i surowym.

- Więc czy to coś złego, kiedy mówię, że cię Kocham?

- Kto wie? A jeśli okaże się, że oszukujesz zarówno siebie, jak i mnie?

Spojrzała na niego rozszerzonymi oczami.

- Nie wierzysz mi, prawda?

Colby przeciągnął dłonią po włosach.

- Posłuchaj mnie, Diano. Przez kilka ostatnich tygodni żyłaś w wielkim napięciu. Tłumaczyłem ci już, że w tym stadium ciąży możesz być trochę nie zrównoważona. Nic nie szkodzi. To nie twoja wina. Tylko nie chcę, żebyś mówiła coś, czego później będziesz żałować.

- Mleko kipi.

- Oboje jesteśmy dorośli - ciągnął z powagą. - Nie musimy jak dzieci szukać romantycznych usprawiedliwień tylko po to, żeby ze sobą spać. Mamy wszystko, czego potrzeba trwałemu małżeństwu. Nie musimy wymyślać uczuć, żeby uzasadnić pociąg fizyczny.

- Lepiej zrób coś z tym mlekiem. Kipi.

- Co? - Spojrzał na nią, czując się straszliwie głupio.

- Przecież mówię: mleko kipi. - Diana poderwała się na równe nogi. - Wszystko jedno. Nie mam już ochoty na czekoladę. Wracam do łóżka.

Ziewnęła i podreptała do sypialni. Specter, oczywiście, poszedł za nią.

Colby poczuł nagle smród przypalonego mleka. Obrócił się.

- Niech to cholera! - Wrzucił syczący garnek do zlewu i stał, patrząc na czarną, kleistą maź, stygnącą na kuchence. Miał ogromną ochotę walnąć pięścią o najbliższą ścianę.

Ostatnio nie tylko Diana z trudem nad sobą panowała.

Pół godziny później już wiedział, że tej nocy nie posunie się dalej ze „Szkarłatną mgłą”. Wiedział, w jakim kierunku powinna pójść akcja, ale nie był w nastroju do pisania. Myślał wyłącznie o Dianie, leżącej samotnie w łóżku.

Przeklinając cicho, wyłączył komputer i wrócił do sypialni. Specter uniósł na chwilę wielki łeb i natychmiast znów zasnął.

Colby zdjął dzinsy i podszedł do łóżka. Jasna poświata letniego księżyca zmieszana z blaskiem miejskich lamp padała na okryte lekką kołdrą ciało kobiety. Widział pod nią krągłość biodra i

łagodnie wzniesienie piersi.

Piersi te, przypomniał sobie, stały się ostatnio bardzo wrażliwe. Musiał być bardzo delikatny. Odchylił koldrę i położył się obok Diany. Natychmiast odwróciła się i wtuliła w jego ciepłe ciało. Objął ją świadom radości, jaką sprawiał mu fakt, że ona szuka jego bliskości nawet we śnie.

Żył wystarczająco długo, by wiedzieć, że „miłość” to wymyślne słowo powstałe na użytek nastolatków, i nie panujących jeszcze nad reakcjami hormonalnymi. Mając lat dziewiętnaście nauczył się wszystkiego o miłości. W wieku lat czterdziestu zdobył w końcu wiedzę o tym, czego pragnie od kobiety. Diana może spełnić jego pragnienia, a on w zamian chce uczynić ją szczęśliwą.

Gdyby oboje zdecydowali się nad tym popracować, ich małżeństwo mogłoby być bardzo udane. Nie ma potrzeby bawić się w słowne gierki. Gładząc udo żony zastanawiał się, czy przypadkiem nie miała racji. Dlaczego właściwie nie powinna mówić mu, że go kocha?

Być może stwierdzenie to dodało jej odwagi. Kobiety, nawet inteligentne, dojrzałe kobiety, potrzebują czasami emocjonalnej pułapki „romantyczności”. Jeśli chce wierzyć, że go kocha, jeśli słowo „kocham” pomaga jej odnaleźć się w sytuacji, której nie chciała i która ją przerasta, dlaczego właściwie miał jej odmówić tej przyjemności?

- Myślałam, że masz zamiar dokończyć dziś „Szkarłatną mgłę”? - powiedziała Diana głosem ochrypniętym od snu.

- Jutro to zrobię. - Powoli odsłonił jej ciało, wargami musnął czubek piersi. Westchnęła i poruszyła się w jego objęciach.

- No, co? Mam ci zastąpić gorącą czekoladę? - spytała z lekkim rozbawieniem.

- Nie masz mi niczego zastępować, kochanie. Jesteś sobą. I kiedy pragnę ciebie, nic mi cię nie zastąpi. - Przesunął palcami po jedwabistych włosach pod jej łagodnie zaokrąglonym brzuchem.

Przeciągnęła się powoli i leniwie wsunęła nogę między jego kolana. Powiodła dłonią w dół jego piersi i brzucha. Colby westchnął. Podniósł głowę, pocałował ją mocno. J a k zwykle, rozchyliła wargi, dając mu pewność, że jest pożądanym. Zawsze dawała mu tę pewność; była to pierwsza rzecz w życiu, w którą nie wątpił.

- Diano?

- Hramm?

- Powiedz mi, że mnie kochasz.

Znieruchomiała i spojrzała na niego pytająco.

- Dlaczego?

- Dlatego, że masz rację. Jesteśmy małżeństwem. Nie ma w tych słowach nic złego i chyba miło byłoby mi je usłyszeć.

- A czy sądzisz, że kiedykolwiek będziesz w stanie powiedzieć je mnie?

Zawahał się.

- Tak, jeśli chcesz. Jeśli cię uszczęśliwią.

- Tak - szepnęła. - Bardzo tego chcę. Kocham cię, Colby.

- Kocham cię - powiedział i nawet w jego uszach nie zabrzmiało to przekonująco.

- Chyba musisz trochę poćwiczyć.

- Po raz ostatni powiedziałem to dwadzieścia lat temu. I pomyliłem się.

- Ćwiczenie czyni mistrza.

- Skoro tak twierdzisz...

# ROZDZIAŁ ÓSMY

W trzy tygodnie później. Diana weszła do mieszkania, niosąc koszyk z praniem, które zrobiła w piwnicy. Drżały jej ręce i z trudem otwierała drzwi. Colby wychodził akurat z kuchni, trzymając w dłoni kubek kawy. Na jej widok zamarł w bezruchu.

- Diano? Co się stało, kochanie? Jesteś blada jak ściana. Usiądź, natychmiast. Źle się czujesz? - Odstawił kubek, podszedł do niej szybko i wyjął z rąk koszyk.

- Mówiłem, żebyś poczekała, to ci pomogę.

- To ja tu jestem żoną, zapomniałeś już? Colby, czuję się dobrze. Naprawdę.

- Jasne. A ja trafiłem na pierwsze miejsce listy bestsellerów nowojorskiego „Timesa”. Siadaj. Słabo ci? Mam zadzwonić po lekarza?

- Nie, proszę. Naprawdę nie czuję się źle. Jestem tylko trochę przerażona.

- Co się stało? - Oczy mu się zwięziły. - Ktoś napastował cię w pralni?

- Ależ skąd! Tu nigdy nie było takich rzeczy. Przestań się zamartwiać, Colby. Naprawdę, wszystko w porządku. Uspokój się.

- Więc czemu jesteś taka blada?

- Porozmawiałam sobie od serca z Jennifer Landsdown spod 301.

Colby zmarszczył czoło.

- Czy to ta dziewczyna, która urodziła w zeszłym miesiącu?

- Tak. Spotkałam ją po raz pierwszy od czasu, kiedy wyszła ze szpitala. Robiliśmy razem pranie. Aż się paliła, żeby podzielić się ze mną wszystkimi doświadczeniami.

Colby jęknął.

- Zdaje się, że zaczynam rozumieć. I co ta mała plotkara miała ci do powiedzenia?

- Ta mała plotkara opowiedziała mi dokładnie, jak wygląda poród, począwszy od pierwszych bólów, aż po krwawy koniec. Szkoda, że cię tam nie było. Mógłbyś wykorzystać jej opowieść w następnej książce.

- Niech no tylko wpadnie mi w ręce!

- O co ci chodzi? Jestem pewna, że mówiła prawdę.

- Diana westchnęła głęboko i opadła na kanapę. Spojrzała na swój zaokrąglony brzuch myśląc o tym, co Jennifer właśnie opisała jej z najdrobniejszymi szczegółami.

- Już wszystko wiem - powiedziała. - Od rwących się tkanek i niekontrolowanych skurczów począwszy, a skończywszy na rozdartym ciele, krwotoku i bólach poporodowych.

Uśmiechnął się drwiąco.

- Wygląda mi na to, że nasza Jennifer odniosła olśniewający sukces w straszaniu mojej żony.

- A na koniec poradziła mi, co zrobić z tymi wszystkimi książkami, które znosisz tu z biblioteki.

- Dlaczego? - W jego głosie zabrzmiała urażona duma. - Zaleciła je nam twoja lekarka.

- Jennifer też je czytała. Znasz te fragmenty, w których piszą o „napięciu” i „skurczach”?

- Tak. I co z tego wynika?

- Najwyraźniej słowa te mają maskować prawdę, czyli niewiarygodne, długotrwałe, potworne męczarnie.

Nie mam zamiaru niczego przed tobą ukrywać, Colby. Nie najlepiej znoszę niewiarygodne, długotrwałe i potworne męczarnie.

- Przecież po to wynaleziono środki przeciwbólowe - powiedział twardo.

- Ale w szpitalu nie szastają nimi, przynajmniej jeśli wierzyć Jennifer. Dają zawsze za mało i za

późno. Lekarze boją się zaszkodzić dziecku. Matka musi się męczyć.

- Daj spokój, skarbie. Rozmawiałaś z lekarką o tym, czego się boisz. Powiedziała ci, czego możesz się spodziewać.

- Jennifer twierdzi, że lekarze kłamią, bo nie chcą straszyć pacjentek. Mówi, że wszystkie jej przyjaciółki, które mają dzieci, też z premedytacją ją okłamywały.

Ona sądzi, że istnieje coś w rodzaju niepisanej umowy między matkami, nakazującej nie straszyć kobiet, które jeszcze przez to nie przeszły. Moim zdaniem to coś w rodzaju babskiej inicjacji. Jeśli masz to za sobą, nie mówisz całej prawdy nie wtajemniczonym. Po prostu radośnie łżesz, jak to szybko zapomina się o bólu.

- I nasza plotkara postanowiła wydać walkę temu obyczajowi?

Diana skrzywiła się.

- Przysięgła sobie, że wszystkim kobietom, które rodzenie mają jeszcze przed sobą, powie całą prawdę i tylko prawdę, żeby nie szły do szpitala tak naiwne i nieświadome jak ona.

- Jennifer ma na oko najwyżej dwadzieścia parę lat.

Boisz się tego, co powiedziała ci dziewczyna o dziesięć lat młodsza od ciebie?

- To kolejny problem. Podobno starsze kobiety cierpią o wiele bardziej. - Usta Colby'ego zadrżały w skrywanym uśmiechu, więc spojrzała na niego groźnie. - Co w tym takiego śmiesznego?

- Ty. Trzeźwa, dorosła kobieta, znakomicie funkcjonująca w świecie interesów... i taka bujna wyobraźnia! Wprost nie mogę uwierzyć, że wysłuchałaś tego głupiego gadania i pozwoliłaś jakiejś smarkatej przerazić się na śmierć.

- Dzięki za wyrazy współczucia!

- Skarbie, wiesz przecież, że ci współczuję, I wiesz doskonale, że cały czas będę przy tobie. Razem z lekarzem i mnóstwem świetnie wyszkolonych pielęgniarek. Urodzisz w świetnie wyposażonym szpitalu. Dzieci przychodzą tam na świat codziennie. Wszystko będzie dobrze.

Diana dotknęła brzucha.

- Nie mam wielkiego wyboru, to prawda. - Złapała go za dłoń i ucałowała ją szybko. - Dziękuję ci. Zawsze mówisz mi właśnie to, co chcę usłyszeć. I masz, oczywiście, rację. W ogóle nie powinnam była słuchać tej Jennifer. Nie wiem, jak przeżyłabym to bez ciebie, Colby.

- Gdyby nie ja, niczego nie musiałabyś przeżywać.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza.

- O ile pamiętam, było to nasze wspólne przedsięwzięcie - powiedziała w końcu. Nie lubiła, gdy przypominał jej o powodach, dla których wzięli ślub. Ostatnio niewiele rozmawiali na ten temat. Colby omijał go równie ostrożnie jak ona. Ale czasami któremuś z nich coś się jednak wyrwało, najczęściej w postaci niezbyt zabawnego żartu.

- Diano?

- Lepiej zajmę się praniem. Muszę zarobić na utrzymanie. - Z wysiłkiem wstała z miękkiej kanapy. Ostatnio coraz trudniej było się jej poruszać. Znikł gdzieś ten energiczny krok i wdzięk, które przez całe życie uważała za coś oczywistego. Czasami zastanawiała się ze smutkiem, czy w ogóle odzyska dawną formę.

Colby wyciągnął dłoń i pomógł jej się wyprostować.

- Zarabiasz na znacznie więcej niż zwykle utrzymanie i doskonale o tym wiesz. Czy być żoną i przyszlą matką to rzeczywiście takie straszne?

- Boże, skąd! - powiedziała lekko, podnosząc kosz.

- Gdybym wiedziała, jak łatwo jest niepracującym żonom, dawno przyjąłabym tę posadę.

- Nie będzie ci tak łatwo, kiedy pojawi się dziecko - ostrzegł ją poważnie.

- Tak mi powiedziano. Jennifer uznała za konieczne zdradzić mi wszystkie sekrety. Wygląda na to, że nocne karmienie, depresja poporodowa i kolki dziecka szybko zmienią mnie w chodzącego upióra.

Usłyszała ciche przekleństwo.

- Już ja policzę gnaty tej durnej dziewczynie. Niech ją tylko spotkam. A przy okazji: dzwonił Brandon. Przyjechał z kolegami z Eugene na weekend. Zaprosił się na kolację, przenocuje na kanapie. Nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ nie! - Diana uśmiechnęła się nagle. - Tylko muszę zrobić zakupy. W domu mamy jedzenia na kilka osób. Potrzebujemy na kilkanaście, jeśli Brandon ma zamiar nas odwiedzić. Myślałeś o następnej książce?

- Tak. Kiedy ty pozwoliłaś się terroryzować Jennifer, ja wpadłem na kilka całkiem dobrych pomysłów.

- Zdajesz sobie sprawę, że Boże Narodzenie już blisko?

- Oczywiście! A co?

- Nic. Myślałam o tym, jak szybko biegnie czas.

- Tylko kiedy dobrze się bawisz. - Głos Colby'ego był miękki, kuszący.

- Coś w tym rodzaju - przytaknęła sucho.

- Diano?

- Tak?

- Czy to było takie straszne? Te kilka miesięcy?

Obróciła się i zobaczyła, jak stoi w korytarzu na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach. Czasami miała wrażenie, że rzuca jej wyzwanie, jakby prowokował gwałtowną i całkiem poważną bitwę. A te umiał wygrywać.

Rysy jej twarzy zmiękły.

- Nie. Nie były straszne. Dzięki tobie było mi o wiele lżej, niż gdybym musiała uporać się z tym sarna. Nigdy ci tego nie zapomnę. - Pośpieszyła do sypialni, wyrzuciła uprane rzeczy na łóżko i zaczęła sortować skarpetki.

Właśnie odkryła, że z męskimi skarpetkami dzieje się coś dziwnego. Nie sposób dobrać ich parami - zawsze którejś brakuje.

Kilka godzin później pojawił się Brandon. Opadł na krzesło przy stole w jadalni i z głębokim zainteresowaniem obejrzał stojącą pośrodku misę szpinaku i półmisek *lasagne* z serem.

- Czyje to dzieło, Diano? - zapytał z szerokim uśmiechem, nakładając na talerz wielką porcję.

- Moje. - Zerknęła na męża. - Colby mi pomógł.

Umył szpinak.

- Pamiętam, jak żywiłaś nas wyłącznie ryżem z jarzynami - stwierdził Brandon. - Przebyłaś długą drogę, jeśli wolno mi to stwierdzić.

- Dziękuję.

- Tamto twoje danie było naprawdę znakomite - dodał szybko chłopak. - Ale mężczyzna potrzebuje od czasu do czasu czegoś bardziej... sycącego.

- Ciągłe się uczyć - przyznała. - Dzięki temu tu ekspertowi genialnie posługuję się książką kucharską, wycinam kupony premiowe i kupuję nie tylko warzywa.

- Jeszcze zrobię z niej dobrą żonę - pochwalił się Colby. - Już prawie wie, jak należy dbać o



mężczyznę.

Dbania o mężczyznę, skonstatowała w myślach Diana, nauczyć może wyłącznie życie z mężczyzną, a kiedy dostrzegła kpiący uśmiech na ustach wpatzonego w nią męża, stwierdziła, że czyta w jej myślach. I ostatnio idzie mu coraz lepiej. Ona także nabierała w tym wprawy.

- A jak tam, znaleźliście mieszkanie? - zainteresował się Brandon. Colby nałożył sobie porcję *lasagne*.

- Tak - powiedział. - W zeszłym tygodniu podpisaliśmy umowę. Wprowadzamy się pierwszego stycznia. Ale to dom, nie mieszkanie. Cztery pokoje i pracownia.

- Śliczny, mały, żółto-biały wiktoriański domek, całkowicie zmodernizowany - wyjaśniła z zadowoleniem Diana, - Colby będzie miał gdzie pisać, jest pokój dla dziecka i sypialnia dla ciebie. Specterowi też na pewno się tam spodoba. Dostanie własny, prawdziwy ogród!

- Diana zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia - wyjaśnił sucho Colby, choć widać było wyraźnie, że jej entuzjazm sprawia mu przyjemność.

- No, nareszcie. Zajęło wam to sporo czasu.

- Szukanie mieszkania to duży wysiłek. I kilka następnych miesięcy też będzie pracowitych. Musimy włożyć w dom sporo roboty, nim pojawi się dziecko.

- No cóż, nie miałaś okazji znudzić się rolą niepracującej żony, prawda? - Brandon spojrzał na Dianę z zaciekawieniem. - Szukanie mieszkania, nauka gotowania czegoś poza ryżem z jarzynami, przygotowywanie się do urodzenia dziecka. Idę o zakład, że byłaś raczej zajęta.

- Wygrałeś! - zawołał Savagar, nim Diana zdążyła otworzyć usta. - Nie miała czasu żałować pracy. Poczęstuj się sałatką, Brandon.

- Co? - chłopak spojrzał zdumiony na wielką misę, która nagle stanęła tuż przed nim. - Ach, tak, oczywiście. Dziękuję. - Podniósł oczy na Dianę. - Myślałaś już o tym, co będziesz robić później?

- Pewnie - powiedziała świadoma, że Colby przygląda się jej uważnie. Nie dyskutowała z nim o swoich planach, bo po prostu nie miał na to ochoty. - Pamiętasz, Brandon, tę naszą rozmowę w Fulbrook Corners? Pytałeś wtedy, czy zdołam sobie jakoś poradzić z dyskryminowaniem kobiet w świecie interesów.

Przytakną! skinieniem głowy.

- Pamiętam. Powiedziałaś, że jedynym wyjściem może być założenie własnej firmy. - Nagle drgnął, - Ach, o to ci chodzi? Masz zamiar założyć firmę?

- Właśnie o tym myślę. Mam kwalifikacje, by doradzać drobnym przedsiębiorcom. Może wyspecjalizuję się w pomocy kobietom, mającym już własne firmy? Tuż obok naszego domu jest centrum biurowe, w którym mogłabym wynająć lokal. Wracałabym do domu w przerwie na lunch i wcześniej po południu. W Carruthers & Yale mam koleżankę, Milly Sweeney. Pewnie zgodziłaby się zostać współniczką.

- Wspaniały pomysł. - Brandon był oczarowany.

Colby spojrzał na Dianę.

- A czemuż to aż do dziś nie wspomniałaś mi ani słowem o tych wspaniałych pomysłach? - spytał.

- Bo nie chcesz rozmawiać o mojej przyszłości - odparła, wzruszając lekko ramionami. - A kiedy ja próbuję, natychmiast zmieniasz temat.

- Bez przerwy rozmawiamy o twojej przyszłości...

o naszej przyszłości. Rozmawiamy o tym, gdzie będziemy mieszkali, czego będziemy potrzebowali

dla dziecka, czy będziesz je karmiła piersią i o mnóstwie innych rzeczy.

Brandon spojrział ojcu w oczy, a potem uśmiechnął się do Diany.

- Nie przejmuj się nim - powiedział. - Tata niewiele wie o żonach, a na współczesnych żonach w ogóle się nie zna. Ale szybko się uczy.

Colby skrzywił się.

- Od kiedy to jesteś ekspertem w dziedzinie żon?

Chłopak podniósł obie ręce w żartobliwym geście poddania.

- Noo... nie chciałem cię obrazić! Chodzi mi tylko o to, że nie sięgasz myślą tak daleko, jak ci się wydaje, tato. Niechętnie to mówię, ale w wielu sprawach jesteś bardzo staroświecki.

- Doprawdy? - Colby groźnie zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że tak. Dla każdego, kto dobrze znał choćby jedno z was, nie było sekretem, że musicie się do siebie dostosować i że wcale nie będzie to takie łatwe. Ale z radością stwierdzam, że radzicie sobie doskonale.

- To nie do wiary. - Colby nałożył sobie na talerz kolejną porcję *lasagne*. - Mój dwudziestoletni syn w roli doświadczonego doradcy do spraw małżeństwa!

Diana uśmiechnęła się do Brandona konspiracyjnie.

- Zgadzam się. Biorąc wszystko pod uwagę, twój ojciec radzi sobie całkiem nieźle.

- Dziękuję ci, żono.

Nagle twarz Brandona spoważniała.

- Chciałbym porozmawiać o świętach, tato.

- Tak? A co?

- No, chciałem się dowiedzieć, czy będzie wam przykro, jeśli nie spędzimy ich razem.

- Bo z przyjaciółmi zdecydowałeś, że są rzeczy bardziej interesujące niż rodzinne święta, co? -

Colby nie wydawał się tym szczególnie przejęty. - Dokąd pojedziecie? Meksyk?

Brandon odchrząknął.

- Noo... nie. Myślałem o tym, żeby pojechać do Fulbrook Corners.

Colby znieruchomiał. Widelec zawisł w pół drogi do jego ust.

- A po jaką cholere?

Chłopiec niespokojnie poruszył się w krześle. Spojrzął na Dianę, jakby ją prosił o pomoc.

- Noo... wczoraj zadzwoniła do mnie babcia. Zaprosiła... zaprosiła mnie na święta.

- Za żadne skarby!

- Tato, wcale nie chce mi się jechać na gwiazdkę do Fulbrook Corners. Tylko mam wrażenie, że babcia jest strasznie samotna. Przez lata nie miała nikogo, była całkiem sama. Ty masz Dianę i jej matkę. W pierwszy dzień świąt spokojnie dojadę do niej i wrócę. Prawdopodobnie po południu będę już w domu.

- Nie ma mowy. Nigdzie nie jedziesz - uciał Colby bezbarwnym głosem, biorąc kawałek razowego chleba.

Brandon opuścił wzrok na talerz.

- Czy to rzeczywiście tak poważna sprawa?

- Ta stara wiedźma chce wyrobić w tobie poczucie winy. A ty nie jesteś jej nic winien. To ona przez dziewiętnaście lat nie dopuszczała do siebie myśli, że istniejesz.

- Mam wrażenie, że się zmieniła.

- Nic mnie to nie obchodzi. Może nawet wypuścić skrzydła, kupić aureolę i nauczyć się latać, a ty nie

pojedziesz na gwiazdkę do Fulbrook Corners.

- Tato, ale...

- Powiedziałem: nie! Koniec. Kropka. Możesz jechać z przyjaciółmi do Meksyku, na Hawaje albo do Taos, jeśli akurat tam chcesz spędzić świąta, ale z pewnością nie pojedziesz do Fulbrook Corners.

Ton głosu Colby'ego nie dopuszczał sprzeciwu. Po pięciu miesiącach współżycia z nim Diana wiedziała, co to oznacza. Kiedy Colby wpadał w ten nastrój, dyskusje, prośby i wszelkie przemowy do rozsądku mijały się z celem. Przez szerokość stołu spojrzęła Brandonowi w oczy. Chłopak zacisnął usta, ale nic nie powiedział. Znał ojca lepiej niż ona.

Z talentem typowej żony, którego istnienia nawet w sobie nie podejrzewała, zręcznie zmieniła temat. Rozpoczęła się swobodna rozmowa, ciepła atmosfera jednak prysła. Brandon wyszedł parę minut przed dziewiątą mówiąc, że idzie na film z przyjaciółmi. Wziął z sobą klucz. Diana nie podjęła tematu Fulbrook Corners.

Wpół do drugiej nad ranem podświadomość zrobiła to za nią. Nagle znalazła się w świecie swojego snu.

*Otaczała ją atramentowa ciemność. Ból nadchodził nie kończącymi się, wielkimi falami. W grocie będzie bezpieczna tylko pod warunkiem, że zachowa całkowitą ciszę. Siłą woli powstrzymywała krzyk. Jeśli krzyknie, potwór, który jej szuka, odnajdzie drogę. Zginą oboje - ona i dziecko.*

*Musi czekać, póki nie odnajdzie jej wojownik...*

- Colby! Colby? - Diana obudziła się świadoma, że ciało ma mokre od potu.

- Jestem, kochanie - wyciągnął rękę i przytulił ją mocno. Delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy. - Wszystko w porządku. To znowu ten przeklęty sen.

Zadrżała i mocno przytuliła się do niego.

- Tym razem było inaczej. Groźniej. Bałam się o dziecko. Czulałam straszny ból. I wszędzie było tyle krwi.

~ Wygląda na to, że rozmowa z Jennifer zdołała wpłynąć nawet na twoje sny.

- Chyba tak. - Rozluźniła się powoli pod uspokajającym dotykiem dłoni Colby'ego. Machinalnie zaczęła głaskać go w tym samym, uspokajającym rytmie. Zaczynało im to wchodzić w nawyk, zwłaszcza w nocy, kiedy budzili się ze snu. - A co tobie się śniło?

- To samo. Dalej wspinałem się po ścieżce do jaskini.

To coś wzywało mnie może trochę silniej, ale reszta prawie się nie zmieniła. Kłamał. Czula, jak mocno napięte ma mięśnie.

- Colby, te sny zaczynają zmieniać się w koszmary.

I mam je coraz częściej. Co możemy zrobić? Może powinniśmy pójść do lekarza?

- Niepotrzebny nam psychiatra. To przecież tylko sny. A poza tym, który psychiatra uwierzy, że śni się nam ten sam sen?

Nie po raz pierwszy o tym rozmawiali, lecz ich rozmowy kończyły się zawsze tak samo. Wiedziała jednak, że ich wspólny sen staje się coraz bardziej przerażający.

- Może to tylko nerwy? - spytała. ~ Może wszystko się skończy, kiedy urodzę dziecko?

- Taak. Może...

Wreszcie poczuła, że Colby rozluźnia się pod jej dotknięciem. A potem zadała pytanie, którego nie ośmieliła się zadać wcześniej.

- Dlaczego tak naskoczyłeś na Brandona, kiedy pytał, czy może wyjechać na święta do Fulbrook Corners?

Myślałam, że przyjąłeś do wiadomości fakt, że zaczyna się zaprzyjaźniać z babcią?

- Nie chcę, żeby sam jechał do Fulbrook Corners, a ja na pewno tam nie pojedę. Więc nie może jechać.

- A dlaczego nie ma pojechać sam? Przecież już tam jeździł, i to nie raz. Przedtem się tym nie przejmowałaś. Colby znów zeszywniał. Podłożył ręce pod głowę i zapatrzył się w sufit.

- Nie widzę powodu, żeby to roztrząsać.

- Rozumiem. Pan i władca rozkazał. Sprawa zamknięta. Tak po prostu. Żadnych wyjaśnień.

- Trafiłaś w sedno.

Te słowa smagnęły ją jak biczem.

- Tak jest. Trafiłam w sedno. - Odsunęła się na swą połowę łóżka i odwróciła do niego plecami. Specter podszedł i trącił ją nosem, jakby chciał o coś zapytać. Podrapała go za uszami, w pełni świadoma, jak bardzo zdenerwowany jest Colby.

- Colby?

- Tak?

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale...

- Ale...?

- Ja też myślałam o tym, żeby wrócić do Fulbrook Corners. Właściwie często o tym myślę.

- No nie! Zakochałaś się w tej pipidowie? - W jego głosie brzmiał gniew i rozpacz.

- Nie. To nie to. Tylko ostatnio myślałam, że chciałabym tam pojechać. Wkrótce.

- Bez sensu. Wszystko przez ten sen, prawda?

Diana zmrużyła oczy.

- Chyba masz rację. Chcę wrócić do Fulbrook Corners i to ma jakiś związek ze snem. Nie sądzisz, że powinniśmy wrócić?

- Tak. Ale staram się o tym nie myśleć - rzekł ponuro. - Masz zrobić to samo, rozumiesz? Nie pozwolę, żeby jakiś cholerny sen narzucał nam, co mamy robić.

Westchnęła.

- Jak sobie życzysz - powiedziała.

- Jak długo jeszcze masz zamiar prowadzić tę idiotyczną wojnę przeciwko mnie? - spytał po nieskończonej długiej chwili milczenia.

- Nie prowadzę żadnej wojny. Niezależnie od tego, co tobą powoduje, wiem, że według ciebie masz całkowitą rację. Po prostu nie pojmuję, dlaczego nie pozwalasz Brandonowi odwiedzić babki. To wszystko. Twój syn też tego nie rozumie.

Colby westchnął.

- Raz się już pomyliłem - przyznał. - Mogę się mylić po raz drugi.

- No właśnie - zgodziła się z nim szybko. - Mógłbyś po prostu porozmawiać, zamiast chować się pod maską patriarchalnego tyrana.

- Patriarchalnego tyrana?

- Brandon miał rację, wiesz? Czasami jesteś rzeczywiście bardzo staroświecki.

Złapał ją za ramiona i przewrócił. Leżała na wznak, patrząc mu w oczy.

- A ty jesteś taka strasznie nowoczesna, tak?

Podniosła dłoń i dotknęła jego twarzy.

- Nie zastanawiam się, jaka jestem: staroświecka czy nowoczesna. Jestem sobą, to wszystko.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- I nadal sądzisz, że mnie kochasz?

Czas wstrzymał nagle bieg, mrok przeszłości zmieszał się z cieniami teraźniejszości. Oczy Colby'ego zmieniły się we wpatrzone w nią oczy wojownika; poczuła płynące ku niej wyzwanie i ukrytą za tym tęsknotę. Uśmiechnęła się słabo. Powoli przyzwyczajała się już do tego zdumiewającego połączenia starej legendy ze współczesnym życiem. Dla niej Colby zawsze już będzie po części wojownikiem.

- Tak. Nadal cię kocham.

- Udowodnij to.

Prośba, tak wyraźna w jego głosie, chwyciła ją za serce.

- Dobrze. - Obiema dłońmi ujęła jego twarz i przyciągnęła do swojej.

- Diano!

Rozchyliła wargi; przyjął tę ofiarę z wypływającym z głębi ciała westchnieniem. A kiedy przesunęła dłońmi po jego plecach, gdy zatopiła palce w twardych mięśniach pośladków, zadrżał. Położył dłoń na jej zaokrąglonym brzuchu, bardzo delikatnie dotknął ustami jej piersi.

- Jesteś dla mnie zawsze taki łagodny - szepnęła.

- Taki czuły.

- I zawsze będę się o ciebie troszczył - przysiągł.

- Możesz mi zaufać, Diano.

- Wiem. Mam tylko nadzieję, że niedługo ty też zaczniesz mi ufać.

Colby gwałtownie podniósł głowę.

- Przecież ci ufam.

- Nie. Za każdym razem, kiedy zaczynam mówić o pracy, jesteś pewien, że zaniedbam ciebie i dziecko.

Nigdy tego nie zrobię. I ty to zrozumiesz. Już niedługo.

- Ja to wszystko rozumiem. Ale jednocześnie się boję. - W jego głosie brzmiał ból.

- Był czas, kiedy lękałam się, że mnie porzucisz. Teraz jestem już pewna, że tego nie zrobisz. Dlatego właśnie mogę powiedzieć, że cię kocham.

- Więc powiedz. - Zacisnął dłoń na jej udzie.

- Kocham cię. - Uśmiechnęła się w ciemności. - Teraz ty poćwicz, Colby.

- Kocham cię, Diano.

Wsunął się w nią delikatnie. Kiedy naprężyła się i zaczęła krzyczeć, scałował okrzyki z jej warg, by Brandon ich nie usłyszał. Trzymał ją, drżącą, w ramionach, aż wreszcie sam doznał wyzwolenia. Tuliła się do niego wiedząc, że wypowiedział te słowa, ponieważ o nie poprosiła, a nie dlatego, że rozumiał swe uczucia. Zawsze musiała go prosić. Nie o tym marzyła, ale na razie musi jej to wystarczyć. Wychodziła z założenia, że jeśli będzie powtarzał je często, słowa te wejdą mu w nawyk, a po pewnym czasie nawyk przejdzie w nałóg.

Znacznie później, gdy leżeli obok siebie, trzymając się za ręce, Colby powiedział:

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- A o czym?

- O planach otwarcia firmy konsultingowej po narodzinach dziecka.

~ Och! - Diana przymknęła oczy. - Czy musimy prowadzić poważne dyskusje akurat teraz? Nie chcę się kłócić, Colby. Jestem zmęczona.

- I dlatego nigdy mi o tym nie wspominałaś? Sądziłaś, że natychmiast się zdenerwuję?

- Coś takiego przyszło mi do głowy - przyznała.

- Może parę tygodni temu rzeczywiście zacząłbym krzyczeć - stwierdził powoli. - Ale kiedy usłyszałem, jak wczoraj wieczorem rozmawiałaś z Brandonem, zdałem sobie sprawę, że twoje plany wcale mnie nie denerwują.

Zirytowało mnie tylko, że nie poinformowałaś mnie o nich.

- Przecież wszystko bym ci powiedziała. Prędzej czy później.

- Nie chciałbym, żebyś bała się rozmawiać ze mną na te tematy. Wiem. Myślisz, że jestem uprzedzony do twojej pracy, ale chciałem tylko, żeby praca nie przysłoniła ci wszystkich zmian w naszym życiu.

- Ciągłe się uczyć.

- Widzę. I zmieniasz się, prawda? Właśnie odkryłem, że nie wściekam się już, kiedy mówisz o założeniu firmy. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że moim zdaniem to znakomity pomysł i we właściwym czasie udzielę ci pełnego poparcia.

Przez chwilę Diana przyglądała mu się w milczeniu, a potem pochyliła się i pocałowała go miękko.

- To jeden z powodów, dla których cię kocham, wiesz? Można na ciebie liczyć w najtrudniejszych sytuacjach. Znowu zapadła przeciągająca się cisza, którą przerwał Colby.

- Skoro już rozmawiamy tak szczerze...

- Tak?

- Ten samochód...

Diana, jeszcze przed chwilą przysypiająca, nagle oprzytomniała.

- Jaki samochód?

- Mazda Brandona. Jechaliśmy jego mazdą, kiedy ten idiota z corvetty zaczął się z nami ścigać.

- O Boże! - Nagle zdała sobie sprawę, o czym rozmawiają. - Myślisz, że chodziło mu o twojego syna?!

- To możliwość, której nie wolno nam wykluczyć.

Ten kretyn, który za nami jechał, nie chciał się tylko trochę pościgać. Próbował zepchnąć nas do rzeki, Diano. Nas albo Brandona. A na dodatek te kawały, których byłaś ofiarą ... no, po prostu wolę nie ryzykować. Nie chcę, żeby którekolwiek z was znalazło się w pobliżu Fulbrook Corners - chyba, że ja też tam będę.

Milczała przez długą chwilę, trawiając jego słowa.

- Chyba od początku zdawałam sobie sprawę, jak bardzo jesteś zaniepokojony, tyle że nie przejmowałam się tym, skoro wróciliśmy do Portland.

- Nie ma sensu się tym zamartwiać. Od kiedy wyjechaliśmy, nikt nie nastawał ani na ciebie, ani na niego.

Nagle Diana usiadła na łóżku.

- Miałaś wszelkie powody, żeby nie pozwolić Brandonowi na spotkanie z babką!

- Dzięki. Czy to oznacza, że nie jestem jeszcze jednym przykładem mężczyzny, chowającego się pod maską patriarchalnego tyrana? - Colby uśmiechnął się słabo w ciemnościach.

- Ależ nie, nie mam zamiaru odpuścić ci wszystkich grzechów na raz. Ale możesz odkupić winy.

- Doprawdy? Jak?

- Po pierwsze, powinieneś wyjaśnić swoje obawy Brandonowi.

- A po drugie?

- Możesz zaproponować mu inne wyjście.

- Jakie? Powiedziałem przecież, że nie mam zamiaru jechać na święta do Fulbrook Corners. Naszą pierwszą gwiazdkę spędzimy tutaj.

- Możesz mu przecież pozwolić, żeby zaprosił babcię do Portland.

Colby wyskoczył z łóżka jak oparzony.

- Kobieto, ciąża rzuciła ci się na mózg! Oszalałaś?

Mam gościć tę czarownicę pod własnym dachem? Na Boże Narodzenie?

- Przecież może mieszkać w hotelu, jak moja matka.

- Diana szybko starała się coś wymyślić. - Damy sobie prezenty u nas, a potem możemy pójść razem na świąteczną kolację.

- Diano...

- Wszystko będzie wspaniale, zobaczysz.

- Posłuchaj tylko...

- I Brandon tak się ucieszy. Nie bój się, będę pilnowała, żebyś nie pobił się z Margaret Fulbrook.

Znasz moją matkę. Doskonale potrafi łać oliwę na wzburzone fale. Jeśli coś miałoby się zdarzyć, natychmiast pośpieszy z odsieczą.

- Posłuchasz mnie wreszcie?

- Zarezerwuję stolik już jutro. Te parę restauracji otwartych w pierwszy dzień świąt nie będzie narzekało na brak gości.

- Do diabła, Diano, jeśli nie zamkniesz tej swojej ślicznej buzi, nim doliczę do pięciu, to ja ci ją zamknę.

Raz, dwa, trzy...

Uśmiechnęła się promiennie i zamilkła.

- No, już lepiej. Wreszcie chwila ciszy. Wiesz, wiele dobrego można powiedzieć o chowaniu się pod maską patriarchalnego tyrana.

Pochyliła się, całując go.

- Czy ja mam przekazać Brandonowi tę dobrą wiadomość, czy ty to zrobisz? Powiesz mu, że zmieniłeś zdanie?

- Powiem - mruknął Colby. - Chcę, żeby z całym naciskiem wyjaśnił Margaret Fulbrook, że zaproszenie nie dotyczy Harry'ego.

- Zgadzam się z tobą w stu procentach - Diana zatrzepotała rzęsami. - Moim zdaniem podjąłeś bardzo mądrą decyzję, kochanie.

Przesunął palcami po jej nagim ramieniu.

- Moim zdaniem uczysz się wyrafinowanych małżeńskich sztuczek szybciej, niżbym się spodziewał. Jakim cudem zgodziłem się spędzić Boże Narodzenie z Margaret Fulbrook?

- A jakim cudem po raz pierwszy w życiu zostałam bezrobotną kobietą w ciąży, w pełni zależną od widzimi się mężczyzny?

- Zapomniałaś powiedzieć, że jesteś goła i bosa - dorzucił radośnie. - Jesteś w tej chwili bezrobotna, ciężarna, goła i bosa.

Połaskotała go w zebro. W parę minut później pełen pożądania śmiech Colby'ego obudził Spectera. Pies westchnął ciężko, podniósł się i ruszył na poszukiwania spokojniejszego miejsca w salonie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Za trzy tygodnie po raz drugi w życiu zostanę ojcem! Colby skończył przykręcać wezglowie kołyski do mocnej ramy i zrobił krok wstecz, by ocenić efekt swych wysiłków. Praca robotnika budowlanego

przydała mu się - nie miał żadnych problemów z wszystkimi tymi drobiazgami, których nigdy nie brakuje mężowi i ojcu. Diana otwarcie podziwiała jego zdolności manualne, a on zdawał sobie sprawę, że od czasu do czasu popisuje się - i to z przyjemnością.

Spodoba się jej ta biała kołyska. Wygląda świetnie w wesołym, żółto-białym pokoiku. Nad łóżeczkiem wisiały kolorowe wstążki, a na półce obok piętrzyła się góra pluszowych zwierzątek. Wszystko, czego potrzebują nowocześni rodzice - od najlepszego samochodowego fotelika po chromowany wózek - stało na swoim miejscu w pokoju dzieciennym.

To dziecko pozna świat inny niż ten, który znał z dzieciństwa Brandon, pomyślał Colby, ustawiając kołyskę na właściwym miejscu. W tym pokoju wszystko było nowiutkie. On się przy tym upierał, nie Diana. Diana, co prawda, kiedyś napomknęła, że mogliby kupić coś używanego, lecz Colby zaprotestował tak gwałtownie, że nie wracała do tego tematu. Tym razem nie musiał oszczędzać i nawet o tym nie myślał. Zdawał sobie sprawę, że nie robi tego dla dziecka, które nie potrafi przecież odróżnić nowiutkiej kołyski od kartonowego pudła. Robi to dla Diany. Pragnie, by wszystko, co ma związek z dzieckiem, sprawiało jej przyjemność. Diana to kobieta ceniąca piękno, więc chciał, by otoczona była nim także zajmując się dzieckiem. Ustawił kołyskę i rozejrzał się po pokoju. Wszystko w porządku. Tym razem był gotów.

Diana również, pomyślał. Przez te kilka ostatnich miesięcy zachowywała się spokojnie. I bardzo radowała ją myśl o dziecku. Oczekiwała go, choć wiedział, że trochę się niepokoi. Ale ostatnio doskonale radziła sobie nawet z niepokojem.

Za jego namową odwiedzili oddział położniczy szpitala, w którym miał odbyć się poród. Wydawała się zadowolona, pewna, że trafi w dobre ręce. Wypytywała lekarzy o to, jak nadzorują przebieg porodu, jakie techniki anestezjologiczne stosują, jak wyposażona jest sala porodowa. Kilkakrotnie rozmawiała też z lekarzami o środkach znieczulających i sposobach zapobiegania zagrożeniu życia matki.

A potem stali przed szklaną ścianą, przyglądając się nowo narodzonym dzieciom. Tu dopiero wprawiała go w prawdziwy zachwyt! Przyglądała się niemowlętom z niewątpliwie macierzyńskim wzruszeniem w oczach. Po wyjściu ze szpitala kupili kołyskę, którą właśnie złoży! i kilka małych, żółtych kocyków.

Od stycznia Diana zajęta była urządzaniem ich malutkiego, wiktoriańskiego domku. Godzinami deliberowała nad wzorami tapet i kształtem włoskich lamp, on zaś zabrał się za nową powieść. Rola żony zaczęła jej sprawiać przyjemność. Colby mógł sobie pogratulować. Tym razem wybrał dobrze, choć równie pośpiesznie jak niegdyś. Przez kilka ostatnich miesięcy wiele dowiedział się o Dianie. Jak ona była osobą dorosłą, dojrzałą i kiedy się na coś decydowała, wiedziała, co robi. Uświadomił sobie, że - nie bardzo właściwie wiedząc kiedy - przestał się niepokoić. Gdy szła obejrzeć biuro, które chciała wynająć na lokal swej firmy, poszedł wraz z nią i nawet udzielał rad. Był pewny, że Diana nie zrobi niczego nie rozważywszy, jakie miałyby to skutki dla niego i dziecka.

Miał do czynienia z mądrą kobietą, potrafiącą poradzić sobie zarówno z karierą zawodową, jak i problemami rodzinnymi. W niczym nie przypominała nastolatki, uciekającej do mamusi z nudów albo ze złości, bo los sprawił jej przykrą niespodziankę. Dopiero teraz zaczął uświadamiać sobie, że przez te kilka miesięcy zaraz po ślubie był nieco niesprawiedliwy. Nie dość, że Diana uważała mężczyzn za istoty, na których w ogóle nie można polegać, to jeszcze nagle stwierdziła, że jest mężatką... w ciąży! A on postawił sobie za cel zniszczenie tego, co przez lata pomagało jej żyć niezależnie i samotnie.



Bowiem Diana nigdy dotąd nie potrzebowała i nie pragnęła mężczyzny. A on tę jej wewnętrzną siłę traktował od samego początku nie jako wyzwanie, lecz wręcz groźbę! W głębi serca bał się, że przez tę niezależność nie będzie dla niego miejsca w jej życiu.

Nawet w początkach ich znajomości, kiedy tłumaczył sobie, że Diana nie jest dla niego odpowiednią kobietą, niczego nie pragnął bardziej, niż udowodnić i jej, i sobie, że ta „nieodpowiednia kobieta” go pragnie. A kiedy już mu się to udało, stwierdził, że sam wpadł w pułapkę.

Musiał teraz udowodnić i jej, i sobie, że ona także go potrzebuje!

Czy dlatego wtedy, w jaskini, wziął ją bez żadnego zabezpieczenia? Czyżby nieświadomie pragnął, by zaszła w ciążę, chcąc w ten sposób zdobyć nad nią przewagę? Odrzucił trzymany w ręku śrubokręt. Nie miał nic przeciw temu, by rozwiązywać zawikłane ludzkie problemy w książkach, lecz nie przepadał za analizowaniem swych działań w rzeczywistości. To przecież bez sensu, zdecydował. Mężczyzna radzi sobie z życiowymi problemami z marszu. Robi to, co trzeba, najlepiej jak umie. I czasami ma szczęście.

W jego pracowni zadzwonił telefon. Ruszył szybko korytarzem i dotarł do widnego pomieszczenia o wielkich oknach w chwili, gdy Diana podnosiła słuchawkę.

- Dzień dobry, Brandonie. Jak się miewasz?

Oparł się ramieniem o framugę drzwi, zachłannym spojrzeniem ogarniając zaokrągloną figurę żony. Miała na sobie dżinsowy kombinezon skrojony specjalnie dla kobiety w ciąży i bluzkę w paski. Piękne, kasztanowate włosy związała w koński ogon. Nie zrobiła makijażu. Wyglądała ślicznie i bezbronne. Poczul, że gdzieś w podświadomości budzą się wszystkie jego instynkty opiekuńcze. Zawsze tak było, gdy na nią patrzył.

- Och, nie, tak strasznie mi przykro. Kiedy się dowiedziałeś? Przed chwilą? Zadzwonili ze szpitala? - Obrzuciła Colby'ego zaleknionym spojrzeniem. - Jak ona się czuje? Rozumiem. Poczekaj chwilę. Ojciec chce z tobą rozmawiać. Colby przejął słuchawkę.

- Co się dzieje? - spytał Dianę nakrywając słuchawkę dłonią.

- Margaret Fulbrook - odparła szeptem. - Jest w szpitalu. Podobno atak serca.

- Brandon? - rzucił Colby w słuchawkę. - Co z tą starą... no... czy to prawda, że Margaret zachorowała? Usłyszał głos syna.

- Właśnie dzwonił ze szpitala w Fulbrook Corners, Najwyraźniej na formularzu przyjęcia wpisała mnie jako najbliższego krewnego. Silne bóle w klatce piersiowej.

Kłopoty z oddychaniem. Wszystkie objawy ataku serca. Robią badania. - Brandon przerwał, a potem dodał cicho. - Chce nas zobaczyć, tato.

- Nas?

- Tak. Ciebie i mnie.

Colby zamknął oczy, zrezygnowany. Wiedział, że tej prośbie nie sposób odmówić.

- Pewnie chce powiedzieć mi po raz ostatni, jakim to okropnym zięciem byłem przez te wszystkie lata. W porządku, możemy wyrwać się z Dianą na jeden dzień. Kiedy chcesz jechać?

- Jest dopiero ósma. Jeżeli wyjedziemy o dziewiątej, możemy być na miejscu przed jedenastą.

- Tak ci się tylko wydaje. - Colby spojrzął na żonę z rozbawieniem. - Diana ma rodzić za trzy tygodnie.

Ostatnio często chodzi do toalety. Będziemy musieli stawać na każdym parkingu. Lepiej liczyć na drogę trzy godziny. Odwiesił słuchawkę.

- Czy jedziemy do Fulbrook Corners? - spytała cicho Diana.

- Tak. Margaret sądzi, że umiera. Jak ją znam, zrobi z tego niezłe przedstawienie.

- A może rzeczywiście umiera, Colby? Dobiega siedemdziesiątki, a z tego. - co mówi Brandon, wynika, że rzeczywiście ma atak serca. Colby podniósł dłoń.

- Wiem, wiem. Daj spokój, przecież nie sprzeciwiam się wyjazdowi, prawda? Powiedziałem Brandonowi, że pojedziemy do niej we trójkę. Starsza pani zażyczyła sobie widzieć nas obu. Aż trudno uwierzyć!

~ Być może chce pożegnać się ze światem?

- Prędeż przekląć mnie na łożu śmierci - mruknął i uważnie przyjrzał się żonie. - Nie musisz jechać, chyba że chcesz. Gdybym pojechał z Brandonem, moglibyśmy wrócić jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Chcę być z wami. - Specter przydreptał do niej i spojrzał jej w twarz przejmującym spojrzeniem. - Mój pies też - dodała, uśmiechnęła się i pogłaskała wielki, kudłaty łeb.

- No, to jest nas sporo. Lepiej weźmy twojego buicka.

Jest największy. Brandon i ten kundel mogą jechać z tyłu.

Diana poklepała się po brzuchu.

- Słusznie, dziecko i ja potrzebujemy ostatnio sporo miejsca.

- Spakuj jakieś rzeczy. Skoro jedziesz z nami, nie będziemy wracać wieczorem. To zbyt męczące. Przenocujemy w moim domu i wrócimy rano.

- Dobrze, kochanie.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Kiedy tylko mówisz „dobrze, kochanie” tym tonem, doskonale wiem, co myślisz.

- Co? - Podeszła do niego, podnosząc głowę gestem proszącym o pocałunek.

- Myślisz, że znów zaczynam się bawić w pana i władcę. - Musnął jej usta i natychmiast pocałował ją znowu, tym razem mocniej.

- I robisz to doskonale - rzekła po chwili Diana.

- Co robię doskonale? Całuję?

- Nie, doskonale bawisz się w pana i władcę. - Patrzyła mu w oczy z kpiącym podziwem. - Ale skoro już o tym mowa, to całujesz równie dobrze. - Chciała dodać coś jeszcze, lecz przerwała, syknęła i schwyciła się za brzuch.

Colby położył rękę przy jej dłoni.

- Znów kopie?

- Aha. Ale tym razem było jakoś inaczej.

- Energiczny dzieciak - oznajmił, sprawiając wrażenie zachwyconego.

- Dobrze, że będzie nas dwoje na jednego - powiedziała cicho.

Roześmiał się i znów ją ucałował.

- Bez wątplenia.

- Kocham cię, Colby.

- Kocham cię, skarbie. - Nagle zdał sobie sprawę, że wypowiedział te słowa bez wysiłku i bez namysłu. Po prostu naturalnie. I nie miał zamiaru porzucić tego nałogu.

Margaret Fulbrook wyglądała na szpitalnym łożu jak żegnająca się z życiem królowa. Obrazu tego nie mąciły nawet otaczające ją rurki, aparaty i monitory. Miała na sobie staroświecki, aksamitny szlafrok. Włosy, jak zwykle, upięła w elegancki kok, wystarczyło jej także sił na zrobienie makijażu, artystycznie maskującego bladość cery. Pielęgniarki i lekarze traktowali ją z wielkim szacunkiem.

Colby z Brandonem weszli pierwsi. Diana została trochę z tyłu. Mnie to nie dotyczy, pomyślała. To

ich rodzinna sprawa. Stała pod ścianą, machinalnie masując plecy. Bóle kręgosłupa odczuwała już wcześniej, ale ten wydawał się jej jakiś inny. Przyczyniła się do tego zapewne jazda samochodem. Nie ma powodu, by wtajemniczać Colby'ego, zdecydowała, uśmiechając się do siebie. I tak zamartwia się, że podróż ją zmęczyła. Pewnie zacząłby wściekać się na siebie za to, że w ogóle ją zabrał. Bardzo poważnie traktował rolę męża i ojca, a ona nie tylko nauczyła się mu ufać, lecz także korzystać z czułej troski, którą ją otaczał. Nigdy w życiu nie doświadczyła męskiej opieki i teraz z radością stwierdziła, że to całkiem przyjemna rzecz.

Ale dzisiaj nie tylko plecy nie dawały jej spokoju. Musiała zjeść coś nieodpowiedniego. I odczuwała dziwny niepokój.

- No, jesteście nareszcie! - Margaret Fulbrook powitała ich głosem, który z pewnością było słyhać aż na korytarzu. - Najwyższy czas. Od dawna mogłam już nie żyć! Coście wyprawiali? Zatrzymaliście się po drodze na lunch?

Colby wzniósł oczy do nieba, ale wytrzymał i nie odezwał się słowem.

- Cześć, babciu - Brandon zbliżył się do łóżka, składając pocałunek na bladym policzku. - Jak się czujesz?

- Okropnie. A czego się spodziewałeś? - Obrzuciła go spojrzeniem przenikliwych, piwnych oczu. - Jak tam Diana?

- Świetnie, pani Fulbrook - Diana zrobiła kilka kroków w kierunku chorej. - Potrzebuje pani czegoś z domu? Moglibyśmy przywieźć książki albo ubrania.

Ostre spojrzenie oczu starszej kobiety złagodniało.

- Nie, dziękuję. Harry mi wszystko przywozi. A jak tam dziecko?

- Znakomicie.

Margaret zmarszczyła brwi.

~ Wyglądasz lepiej niż znakomicie. Jakbyś za chwilę miała rodzić.

Diana roześmiała się.

- Lekarze twierdzą, że muszę poczekać jeszcze trzy tygodnie.

- Ach, lekarze! Co oni tam wiedzą! Banda idiotów.

Przez tysiące lat kobiety rodziły bez lekarzy.

- Słusznie - głos Diany był cichy i spokojny. - I wiele straszliwie cierpiało, wiele umarło w trakcie porodu wraz z dziećmi. Ja wolę współczesne metody. W odpowiednim czasie chcę mieć wokół siebie wykształconych ludzi, doskonale wiedzących, co robią i dlaczego.

- Ha! Przyjrzyj się mnie! Mam wokół siebie samych wykształconych ludzi i żaden z nich nie wie, co robi i dlaczego!

Colby podszedł do okna.

- Jeśli to rzeczywiście kiepscy lekarze, wina leży po twojej stronie, Margaret. Szpital powstał dzięki pieniądzom Fulbrooków, a ty sama zasiadasz w radzie nadzorczej. Najwyraźniej za mało płacisz.

- Odezwał się ekspert. Co ty w ogóle wiesz o prowadzeniu szpitala? - Lecz w głosie pani Fulbrook nie było prawdziwego ognia. Piwne oczy podążyły za postacią Colby'ego, który zatrzymał się przy oknie i wpatrzył w góry, rzekę i miasteczko. W oddali majaczył Wodospad Spętanej.

- Po co nas tu wezwałaś, Margaret? - spytał po długiej chwili milczenia.

- Umieram. - Głos Margaret Fulbrook był surowy i poważny. - I nim odejdę, chciałabym wyjaśnić kilka spraw.

- Nie mów tak, babciu. Nie umierasz - stwierdził gwałtownie Brandon.

Nadal wpatrzona w plecy Colby'ego, poklepała jego syna po rękę niemal nieświadomym, pieszczotliwym gestem.

- Wszystko będzie dobrze, chłopcze. Pewnego dnia zrozumiesz, że prędzej czy później wszyscy będziemy musieli poradzić sobie ze śmiercią. I niewiele możemy zrobić, tylko przyjąć ją z taką godnością, na jaką nas stać. Colby?

- Słucham, Margaret,

- Chciałabym, żebyś pamiętał o godności, rozumiesz? Nie wiadomo, co wymyśliliby ci durnie, gdyby ich zostawić samym sobie. Lekarze niewiele wiedzą o godności, za to uwielbiają bawić się tymi swoimi maszynkami. Chciałabym, żeby ktoś stanowczy i obdarzony silną wolą podjął decyzję, która, być może, będzie konieczna. A nie znam nikogo bardziej stanowczego i obdarzonego większą siłą woli niż ty. I ty najlepiej ze wszystkich znanych mi ludzi rozumiesz, czym jest duma.

Colby spojrział na nią przez ramię.

- Zajmę się tym, Margaret - powiedział.

Wydawało się, że słowa te przyniosły jej ulgę. Kiedy spojrzała na Dianę, uśmiechnęła się blado.

- Zrób mi grzeczność, skarbie - poprosiła ją. - Przypilnuj, żeby go nie poniosło i żeby nie wyciągnął wtyczki za wcześnie.

Dianie zaimponował czarny humor staruszki.

- Oczywiście. Przypilnuję, żeby nie spełnił swego obowiązku zbyt... entuzjastycznie.

Brandon wodził po nich niepewnym wzrokiem.

- O czym wy mówicie? Co tu się dzieje?

- Nie martw się, chłopcze. - Babcia poklepała go po dłoni. - To tylko takie drobiazgi, które chciałam załatwić, nim zajmiemy się poważniejszymi sprawami. Na twarzy Brandona pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Jakimi poważniejszymi sprawami?

Pani Fulbrook przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Chcę ci powiedzieć, że w ciągu tych ostatnich dwudziestu lat nic nie sprawiło mi większej radości niż spotkanie z tobą, mój chłopcze. Łatwiej mi jest pożegnać się ze światem, bo wiem, że jakaś część mnie będzie żyła nadal w tobie. Jesteś wspaniałym młodzieńcem. Wiem, komu powinnam za to dziękować. Colby?

- Tak? - odparł, nie odwracając się od okna, nadal zajęty podziwianiem krajobrazu. Ale Diana dostrzegła, jak napięły mu się mięśnie ramion.

- Najwyższy czas, żebym ci powiedziała, że moja biedna, zagubiona Cynthia źle zrobiła, porzucając ciebie i syna. Byłbyś dla niej dobrym mężem. Świetnie wychowałeś mojego wnuka. Jestem ci coś winna, Colby.

- Nie jesteś mi nic winna.

- Mylisz się. Jestem ci winna przeprosiny za przeszło dwadzieścia lat głupiej dumy i podziękowanie za to, że syn Cynthii wyrósł na mężczyznę, z którego jego babka może być dumna.

Zapadła długa chwila milczenia. W końcu Colby powiedział cicho:

- Daj sobie z tym spokój, Margaret.

- Nie, nie dam spokoju ani sobie, ani nikomu! Przyjmiesz moje przeprosiny i podziękowania, słyszysz? Colby obrócił się powoli, usta wykrzywił mu cień uśmiechu.

- Doskonale cię słyszę, Margaret. Zawsze rozkazywałaś głośno i wyraźnie. Przyjmę twoje przeprosiny, jeśli ty przyjmiesz moje.

- To nie jest konieczne. Być może masz rację. Może rzeczywiście lepiej o wszystkim zapomnieć? Pozostawmy żale, dumę i błędy tam, gdzie ich miejsce - w przeszłości. Zgoda? Przytaknął jej skinieniem głowy.

Margaret, zadowolona, zwróciła się do Diany.

- Tobie, moja droga, także powinnam podziękować.

To dzięki tobie mogłam spotkać i poznać Brandona.

Dziękuję ci także za gwiazdkę. Były to dla mnie najszczęśliwsze święta od dnia, kiedy umarła moja córka. Dobrze było znów poczuć się częścią rodziny. Tę radość zabiorę z sobą do grobu.

- Spędzisz z nami następne święta - powiedział Brandon ochryplym głosem. Rozejrzał się wokół, szukając poparcia znajdujących się w pokoju osób. - Prawda? Colby parsknął nagle śmiechem.

- Do diabła, wcale by mnie to nie zdziwiło. Przecież zawsze powtarzałem ci, chłopcze, że twoja babka jest cholernie twarda.

Pielęgniarkę, która właśnie otwierała drzwi, zaskoczył dobiegający z surowego, szpitalnego pokoju wesoły śmiech.

- Słyszałem, że przyjechałeś, Colby. Starsza pani chciała przed śmiercią zobaczyć wnuka, co? - Eddy Spooner wytarł ręce w zatłuszczoną szmatę i zaczął napełniać bak.

- No, mniej więcej. - Colby wysiadł z buick'a Diany i oparł się o błotnik. - Zostajemy tu na noc. Rano wrócimy do Portland.

- A gdzie Brandon i Diana?

- Siedzą u Margaret Fulbrook, Postanowiłem wyrwać się na chwilę i zobaczyć, jak ci leci.

Specter wysunął łeb nad przednie siedzenie i lustrował Spoonera spokojnym, nieodgadnionym spojrzeniem.

- Nieźle, Colby, naprawdę nieźle. Widzę, że dalej jeździsz z tym wielkim psiskiem Diany?

- Taak. To urodzony naciągacz. Nie ma zamiaru wynieść się od nas w najbliższej przyszłości. Przestałem go już wyrzucać. - Leniwie podrapał psa za kłapciatym uchem. - Ale zawarliśmy dżentelmeński układ i nie wchodzimy sobie w drogę.

Eddy przyjrzał się psu z szacunkiem.

- Mnie tam on zawsze wydawał się ostry.

Colby obdarzył psa przelotnym spojrzeniem.

- Myślę, że potrafi być ostry. To zależy od okoliczności. A jak tam twoje plany, Eddy?

Spooner drgnął i spojrzał na Colby'ego spod daszka zniszczonej czapki. Jego zimne, niebieskie oczy zwęziły się w szparki

- Plany?

- No, wiesz. Te, o których mówiłeś mi latem, pamiętasz? Piliśmy u ciebie piwo i wspomniałeś, że masz coś na oku.

- Ach, tak. Moje plany. - Eddy skupił się na nalewaniu benzyny. Jego wzruszenie ramion wyrażało wszystko. - Wiesz, jak się zawsze kończyły moje plany. Niczym.

- Szkoda. - Colby żałował, że poruszył ten temat. Powinien wiedzieć, że nawet jeśli Spooner miał latem ochotę spróbować czegoś nowego, to do tej pory wszystko musiało się już i tak zawalić. Ale nie miał pojęcia, o czym jeszcze mogliby porozmawiać, a coś w nim domagało się bliższego kontaktu z przyjacielem z dzieciństwa.

- Czy to prawda, że stara Fulbrookowa umiera? - Eddy wpatrywał się w końcówkę węża do

nalewania paliwa.

- Nie wiem. Lekarze twierdzą, że na razie się trzyma, ale nie doszli jeszcze, co oznaczają te bóle w piersiach. Ona jest jednak pewna, że umrze.

- I pewnie zostawi całą fortunę tobie i Brandonowi?

Przecież zaczęła z tobą rozmawiać. Jedno muszę ci przyznać, Colby. Dobrze to rozegrałeś. Wyniosłeś się stąd na dwadzieścia lat i wróciłeś w sam czas, żeby odziedziczyć fortunę Fulbrooków.

- Nie potrzebujemy ani nie chcemy jej pieniędzy - stwierdził Colby stanowczo. - I ona o tym wie.

- Ale to nie znaczy, że ich nie dostaniecie.

Colby przyjrzał się głównej ulicy swego rodzinnego miasteczka. Myślał o tym, że niezależnie od wszystkiego, co zdarzyło się w szpitalnym pokoju, nie byłby w stanie wydać ani centa z pieniędzy Margaret Fulbrook.

- Pewnie zostawi resztkę fortuny szpitalowi. Im się to przyda - powiedział obojętnie. Postanowił, że po południu porozmawia z Margaret i skłoni ją do podjęcia takiej właśnie decyzji.

- Harry mi mówił, że starsza pani zaczęła latem coś mówić o zmianie testamentu. Kilka miesięcy temu była u adwokata.

- Doprawdy? - spytał Colby obojętnie i zmienił temat.

- Słuchaj, Eddy, dowiedziałeś się czegoś o tej czarnej corvette, która latem próbowała zepchnąć nas do rzeki?

Zbiornik benzyny w buicku był pełen. Eddy odwiesił wąż dystrybutora.

~ Czegoś się dowiedziałem.

Colby spojrzał na niego przenikliwie.

- Czego?

- Prawie niczego. Dlatego nie dzwoniłem. Myślałem, że to się na nic nie przyda.

- No? - Zupełnie jak rwanie zębów, skostatował Colby.

- Kilka razy widzieli ją w nocy na River Road. Co bardziej napalone z tutejszych chłopaków próbowały się z nią ścigać tymi swoimi małymi camarami. Ale nikt jej nie pobił.

- A czy ktoś skończył w rzece? Mówiłem ci, ten facet łaknie krwi.

- Nie. Nic się nikomu nie stało. Ledwie parę obcierek na zakrętach. Jak dwadzieścia lat temu. Pamiętasz, Colby? Chyba tak, bo ty ustalałeś reguły. Czarna corvetta czeka na starej mijance pod skałami. Tam, gdzie ty na nas czekałeś. Meta jest pod Wodospadem Spętanej.

- Kto ją prowadzi? - Głos Colby'ego, wyciągającego z kieszeni portfel, był obojętny. Eddy nie powinien wiedzieć, jak bardzo mu zależy na odpowiedzi.

- Nie wiadomo.

- Nikt nie widział kierowcy? - Colby był szczerze zdumiony.

- Nie. - Spooner pokręcił głową, wydając resztę. - Ten gość nie ściga się chyba dla pieniędzy. Tylko dla zabawy. Stoi na mijance pod skałą i czeka na ochotnika. Startują równo. Corvetta wygrywa i jedzie dalej. Kierowca nie wraca po pieniądze, albo żeby się pochwalić, nic. Po prostu znika. Jak duch.

- Jak myślisz, jest stąd, czy obcy? Eddy wzruszył ramionami.

- Gadałem z paroma, co ją widzieli, ale nic nie wiedzą. Podobno ta corvetta nie ma nawet tablic rejestracyjnych.

- Ten nowy szeryf, Barnes, nie próbował przeszkadzać w wyścigach?

- Ha! Szeryf Barnes to nie stary Thorpe. Ma ważniejsze sprawy na głowie. On nie będzie się włókł w środku nocy aż z Vickston, żeby przerwać jakiś głupi wyścig na River Road. Ale coś ci powiem, Colby. Ta czarna corvetta to już legenda, jak kiedyś ty.

- Jeśli ta nowa legenda wpadnie mi w łapy, skrócę jej karierę w mgnieniu oka. Jestem jej coś winien za tę historię z lata. Mógł zabić Dianę. - Colby otworzył drzwiczki i usiadł za kierownicą. - Jeśli kiedyś go spotkasz, Eddy, powiedz mu, że go szukam.

- Colby, to było latem!

- Nie szkodzi. Mam dobrą pamięć.

Eddy opuścił daszek czapki, zasłaniając oczy.

- Rozgłoszę, że go szukasz - powiedział.

- Tato, naprawdę myślisz, że może umrzeć? - Brandon siedział na brzeжку zapadniętego fotela w domu ciotki Jesse, patrząc na ojca i Dianę, zajmujących kanapę.

- Nie wiem. Mam wrażenie, że w tej chwili nikt nic nie wie na pewno.

- Moim zdaniem, wieczorem wyglądała znacznie lepiej. - Diana poruszyła się, próbując wygodniej usadowić się na starej kanapie. Jakoś ostatnio trudno mi nawet siedzieć, pomyślała. A dziś wydawało się to prawie niemożliwe. Colby masował jej plecy automatycznym ruchem. Zawsze wiedział, kiedy czuła ból. Oparła się o jego ciepłą dłoń, rozkoszując się chwilą ulgi.

- Dobrze się czujesz, skarbie? - spytał zatroskany.

- Doskonale. Dokucza mi to, co zwykle. Taka będę szczęśliwa, kiedy dziecko przyjdzie wreszcie na świat.

Colby uśmiechnął się do niej szeroko.

- Usłyszeć coś takiego od kobiety, która przez niemal dziewięć miesięcy okropnie bała się bólu!

- Teraz myślę tylko o jednym: niech to dziecko się urodzi i niech już będzie po wszystkim. Nawet jeśli to oznacza przeraźliwy ból - przyznała sucho Diana.

- A macie już imiona? Tak? I dalej chcecie dać chłopcu na imię Josh, a dziewczynce Tabitha?

- Tabitha Jane - Diana wypowiedziała te słowa powoli, z uczuciem. - Jak ci się to podoba, Brandon?

- Josh to trochę staroświeckie, ale w porządku.

Czy przyszło wam do głowy, że jeśli to będzie dziewczynka, wszyscy zaczną na nią wołać „Tabby”? Jak na kota?

Colby miał zamiar odpowiedzieć, kiedy usłyszeli wjeżdżający na podjazd samochód. Specter nadstawił uszu i warcząc podbiegł do drzwi.

- Kto to może być? - spytała Diana.

- Może Gil Thorpe. Pewnie usłyszał, że jesteśmy w miasteczku i wpadł się przywitać - wyjaśnił Colby i ruszył w ślad za psem.

W chwilę później deski werandy zadudniły pod ciężkimi butami.

- Eddy? Coś się stało?

Na progu stał Eddy Spooner. Miał w rękach wojskową czapkę, twarz miał zatroskaną.

- Dobry wieczór, Diano - powiedział. - Dobry wieczór, Brandon.

- Cześć, Eddy - odparł Brandon wstając.

- Dobry wieczór, Eddy. Nie wejdiesz? - uśmiechnęła się Diana.

- Nie mogę. Ale bardzo dziękuję. Wpadłem, bo mam coś dla Colby'ego.

- Noo? - Colby szerzej otworzył drzwi. - Lepiej wejdź. Zmarzniesz.

- Dzięki. Rzeczywiście, zimno. Za parę dni może spadnie śnieg? - Eddy spojrzał Colby'emu w oczy.

- Chciałeś wiedzieć, jak usłyszę coś nowego o corvette.

Diana zmarszczyła brwi widząc, jak uważnie jej mąż wsłuchuje się w słowa Eddy'ego.

- Corvette? - spytała. - O co tu właściwie chodzi?

- Nic ważnego, Diano - odparł Colby. - Powiem ci później. - Spojrzał ostro na przyjaciela. - Masz coś? Eddy przytaknął szybkim skinieniem głowy.

- Jakiś chłopak podjechał na stację, kiedy już zamykałem. Mówił, że corvette ma być dzisiaj na River Road.

Ten chłopak szykował swój samochód od pół roku i bardzo chce się pościgać.

- Niestety, będzie musiał poczekać. Ja mam większe prawa do tego sukinsyna.

- Wiedziałem, że tak powiesz. No, to trzymaj się, Colby. Ty zawsze miałeś szczęście. - Eddy obrócił się i pomaszerował ku swemu łaciatemu camaro.

Colby otworzył drzwi szafy.

- Zaraz! Co ty właściwie robisz? - Naprawdę zaniepokojona Diana z trudem wstała z kanapy.

- Nie bój się. Wrócę, jak tylko załatwię sprawę - powiedział, wyciągając kurtkę.

- Dokąd jedziesz? - spytała gwałtownie, łapiąc się poręczy kanapy, aby utrzymać równowagę.

- Na River Road.

- Zabraniam ci. Nie bądź śmieszny. Nie możesz sam ścigać się z tą corvette. I co właściwie masz zamiar osiągnąć? Czy ty zawsze musisz popisywać się tą swoją męskością?! Colby, sam mi mówiłeś latem, że ten kierowca to wariat.

- Nie bój się, Diano - powiedział uspokajająco Brandon, również sięgając po kurtkę. - Jadę z tatą.

Colby obrócił się, stając twarzą w twarz z synem. Miał ochotę zaprotestować, ale coś w napiętej twarzy chłopca powiedziało mu, że nie warto. Być może dostrzegł w nim samego siebie? Skinął głową.

- Jedziemy.

~ Colby, proszę, posłuchaj mnie. Spróbuj chociaż zadzwonić do Gila albo do biura szeryfa. To sprawa policji.

- Nieprawda. - Colby wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu. - To sprawa osobista. Nic ci się nie stanie, skarbie, masz Spectera. Tylko nie ruszaj się z domu.

Colby z Brandonem zniknęli, zanim Diana zdołała pomyśleć o czymś, co mogłoby ich otrzeźwić. Stała w drzwiach, wraz ze Specterem słuchając ryku silnika oddalającego się już buicka.

- Kiedy ja prowadzę, opony nigdy nie piszczą. Co za idioci z tych mężczyzn! I co ja mam z nimi zrobić, Specter?

Pies łasił się, jakby chciał dodać jej otuchy, ale wzrok kierował w punkt, w którym zniknęli Colby i Brandon. Sprawiał wrażenie rozżalonego, że nie zabrali go z sobą.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

River Road wiła się jak czarna wstążka równoległe do ciemnej, krętej linii rzeki. Noc była zimna, czarna jak atrament i niesamowicie cicha. Od ukrytego za zakrętami szosy Wodospadu Spętanej dzieliło ich blisko dwa kilometry.

Colby zdjął nogę z gazu, kierując się w stronę starej mijanki pod skałą.

- Myślisz, że go spotkamy? - spytał Brandon.



- Bo ja wiem? Z tego, co mówił Eddy wynika, że ostatnio ten gość staje się coraz bezczelniejszy. Podobno chłopaki coraz częściej przyjeżdżają tu na wyścigi i czarna corvetta pojawia się prawie zawsze. Jeśli będziemy mieli szczęście, dorwiemy go.

- Wiem, że to nie najlepsza chwila na pytania, ale co właściwie zrobimy, kiedy go już złapiemy?

- Po pierwsze, spiorę go na kwaśne jabłko za to, co zrobił latem. A potem chyba pojedę do Gila. On zawsze potrafił załatwić wszystko jakoś tak, że sprawiedliwość w końcu triumfowała, chociaż metody miał... niekonwencjonalne.

- Myślisz, że będziemy musieli najpierw go... doścignąć?

- Nie damy rady. Nie tym gratem. Muszę kupić Dianie coś jeżdżącego, nie pełzającego. - Colby wjechał w cień rzucany przez pionową, granitową ścianę i zgasił silnik. Przez chwilę siedział, patrząc w noc.

- Jak za dawnych czasów.

Białe zęby Brandona błysnęły w szelmowskim uśmiechu.

- Trudno ci pewnie uwierzyć, że masz wreszcie żonę, jednego dorosłego syna, a drugie dziecko w drodze, prawda?

- Mylisz się. Nie ma nic łatwiejszego; wszystko wokół pomaga mi w to uwierzyć. I coś ci powiem, mały. Nie chciałbym wrócić do przeszłości. Za żadną cenę.

- O tyle ci teraz lepiej?

- Nieskończenie mi teraz lepiej. - Usta Colby'ego skrzywiły się w lekkim uśmiechu. - Nigdy nie było mi tak dobrze.

- To widać. Cieszę się, że spotkałeś Dianę.

- Nawet nie wiesz, jak ja się z tego cieszę.

Brandon skinął głową.

- I co teraz robimy?

- Czekamy.

- Gdzie jest Eddy? Dlaczego zwiął, dlaczego nie pojechał z nami?

- To nie jego sprawa. Eddy woli się nie wychylać. Zawsze wolał się nie wychylać, biedaczysko. Pewnie już wrócił do domu. Brandon skinął głową i rozpiął pas.

- Wiem, jak bardzo chcesz dorwać tego gościa. Dzięki, że wziąłeś mnie z sobą.

Colby sięgnął do lampki wewnątrz samochodu i zdjął obudowę.

- Nie jestem kompletnym idiotą - poinformował syna, wykręcając maleńką żarówkę - choć dziś Diana jest pewnie odmiennego zdania. Wolę mieć przy sobie kogoś, na kim mógłbym polegać. A na nikim nie mogę polegać bardziej niż na tobie, Brandonie.

- Dziękuję, nawzajem.

- Doskonale. Rzucimy monetą, który z nas przyniesie z bagażnika klucz do kół?

- Jeezu, tato! - w głosie Brandona brzmiała udawana niewinność. - Na kursie karate nie uczyli nas przecież, jak używać klucza do kół!

- Ten klucz jest szalenie przydatny tylko dlatego, że każdy idiota potrafi go użyć. Nie potrzeba specjalnych kursów. Upłynęły dwie godziny. W samochodzie robiło się coraz zimniej. Raz i drugi Colby zapalał silnik i włączał ogrzewanie. Ale przede wszystkim siedzieli, rozmawiali cicho i czekali. River Road była całkowicie pusta.

Colby gotów już był zrezygnować, kiedy w oddali dostrzegł światła. Przesunęły się, gdy samochód brał zakręt, zniknęły i błysnęły znów, tym razem znacznie bliżej. Brandon poruszył się.

- Ktoś, kogo znamy?

- Nie wiadomo. Może to tylko smarkacz, szukający okazji do wyścigu z corvetta?

Samochód powoli zbliżał się do wodospadu; płynął miękko po asfalcie, ukryty za światłem własnych reflektorów.

Colby poczuł nagle, że coś jest nie tak. Znał skądś te światła.

- Pochyl się, Brandon - powiedział. - Nie chcę, żeby cię dostrzeżono.

Brandon zniknął pod deską rozdzielczą. Zbliżające się reflektory przesunęły się w lewo; samochód wjechał na mijankę. Zimne światło gwiazd wydobyło z mroku znajomy kształt wielkiego pojazdu.

Colby oparł ramiona na kierownicy buicka, patrząc przed siebie z napięciem.

- No, no, no! - powiedział. Serce zabiło mu szybciej.

- Co to za wóz? - spytał Brandon.

- Cadillac Margaret Fulbrook.

- Nie corvetta? O co tu chodzi, tato?

- Waśnie mam zamiar się dowiedzieć. Ciekawe, od kiedy to Harry jeździ po River Road? Kiedy wysiądę z samochodu, ty cicho wyjdź na swoją stronę. Nie zobaczy otwierających się drzwi, bo wykręciłem żarówkę. Schowaj się za buickiem, a ja zorientuję się, o co tu właściwie chodzi.

- Do diabła, dlaczego? - spytał szeptem Brandon.

Wyglądał jak mały drapieżnik, rwący się do walki.

- Przecież jestem tu po to, żeby ci pomóc!

- Powiedziałem ci kiedyś, że jedynym inteligentnym sposobem walki z kimś takim jak Harry jest dobry cios poniżej pasa. Masz pole do popisu. Kiedy będziesz wysiadał, weź klucz.

Colby otworzył drzwi i wysiadł. Brandon zrobił, co mu kazano, czając się poniżej okien. W mroku nocy, bez blasku światełka w samochodzie, który mógłby

zdradzić jego ruchy, był niewidoczny. Chcąc skupić na sobie całą uwagę Harry'ego, Colby zachowywał się ostentacyjnie. Ruszył w stronę cadillaca i stanął przy okienku kierowcy. Dostrzegł zarys szerokich ramion i nalanej twarzy. Z mroku patrzyły na niego małe, złe oczka, przywodzące na myśl szczura.

Harry powoli opuścił szybę. Colby zajrzał do środka.

- Znudziło ci się czekanie na śmierć chlebobawczyni i postanowiłeś poszukać rozrywki? W co teraz grasz?

- W grę, w której wygrywam. - Niespodziewanie w otwartym oknie pojawiła się lufa rewolweru. W padającym z deski rozdzielczej świetle widać było triumfalny uśmiech na twarzy Harry'ego.

Colby stał nieruchomo. Pojął, co czuje policjant, zatrzymujący kogoś za przekroczenie prędkości, gdy zamiast skruszonej twarzy kierowcy widzi wymierzoną w siebie broń.

- Zdaje się, że zaczynam rozumieć - powiedział cicho i zrobił krok w tył.

- No nie, Savagar! Nareszcie! Długo ci to zajęło.

Szkoda, że to ostatnia rzecz, którą zrozumiesz w życiu.

- Harry wysiadł z samochodu, trzymając Colby'ego na muszce. Rewolwer połyskiwał w słabym świetle gwiazd. Colby cofnął się jeszcze o krok.

- Powiesz mi, o co tu właściwie chodzi, stary przyjacielu?

- Nie ruszaj się, sukinsynu. Myślałeś, że jesteś taki cholernie cwany, co? Że nigdy nie wpadniesz w prawdziwe kłopoty, że wszystko ujdzie ci płazem? Dwadzieścia lat temu prawie ci się udało. Ale schrzaniłeś sprawę. Dorwałeś Cynthię Fulbrook i bawiłeś się z nią, aż zaszła w ciążę, ale nic ci z

tego nie przyszło. Oprócz dzieciaka, którego musiałeś sam wychowywać. Nie dostałeś od Fulbrooków złamanego centa, prawda? Powiedziałem Eddy'emu, że nie jesteś nawet w połowie tak cwany, jak mu się zdaje. A tego lata powiedziałem mu jeszcze, że następnym razem wszystko będzie inaczej.

- Było, minęło, Harry. I to dawno temu.

- Ja nie zapominam, Savagar. Bo ona miała być moja. Jak ja jej chciałem! Patrzyłem na nią przez te wszystkie lata, kiedy pracowałem dla Fulbrooków. Harowałem dla nich jak wół. Miałem swoje plany. Wiesz, ona mnie lubiła. Flirtowała ze mną. Zawsze kręciła tym swoim tyłeczkiem, jak mnie widziała. Chciała mnie, na pewno mnie chciała!

- Oprzytomniej, Harry!

- Miałem tak wszystko ustawić, żeby to za mnie musiała wyjść. Jej starzy mnie lubili. Zawsze robiłem wszystko, co mi kazali. Pozwoliliby mi ożenić się z nią, gdyby zaszła w ciążę. Pewnie by nie byli zachwyceni, ale w końcu by pozwolili. Wszedłbym do rodziny!

- Chryste, Harry, ty oszalałeś!

- Zamknij się! Wszystko miałem zaplanowane! Zostałbym prawdziwym Fulbrookiem. Miałbym prawo do ich pieniędzy. Ale musiałeś się wtrącić, no i dołączyła cię do swojej kolekcji. Cenna zdobycz. Jedyna, największa legenda miasteczka. Tylko że tym razem wpadła.

Fulbrookowie byli już gotowi wszystkiemu zaradzić. Załatwili lekarza i w ogóle. Ale ty, oczywiście, namówiłeś Cynthię, żeby za ciebie wyszła.

- Harry, to było dwadzieścia lat temu! Już jest po wszystkim. Od dawna. Fulbrookowie nie zgodziliby się, żeby za ciebie wyszła, tak jak nie zgodzili się na mnie!

- Musieliby! - krzyknął Harry. - Robiłem wszystko, co mi kazali. Całą brudną robotę!

- Ale to jeszcze nie znaczy, że wydaliby za ciebie swoją jedyną córkę. - Colby czuł, że robi mu się żal Harry'ego. - Dla nich żaden z nas nie był dobrą partią. I powiem ci coś jeszcze. Nie tylko oni tak myśleli. Cynthia też uważała, że zasłużyła na kogoś lepszego niż ty czy ja.

- Przecież wyszła za ciebie.

- Tylko dlatego, że się bała i nie wiedziała, co robić.

Kiedy wreszcie doszła do siebie i zobaczyła, w co się wpakowała, wskoczyła w samochód, żeby wrócić do tatusia i mamusi. Nie miała zamiaru być żoną kogoś, kto urodził się po gorszej stronie rzeki.

- Już ja bym sobie poradził. Ode mnie by nie uciekła. Nie spieprzyłbym tego, jak ty. Ale masz rację. Było, minęło. Mam teraz inne plany i nie pozwolę, żebyś przeszkodził mi po raz drugi.

- Jakie plany, Harry? - Kątem oka Colby dostrzegł cię, przemykający się w mroku. To Brandon wypełził zza buicka Diany. Chował się właśnie za cadillakiem.

- Nie rozumiesz? - Lufa rewolweru uniosła się lekko.

- Po śmierci Cynthii nie został nikt. Nikt, kto mógłby odziedziczyć fortunę Fulbrooków. Tylko ja! Po śmierci córki stara zmieniła testament. Mówiła, że chce zostawić mi kupę forsy, bo przez te wszystkie lata byłem lojalny. Mówiła, że jest mi coś winna. Ani tobie, ani temu bękartowi nie miała zamiaru zostawić centa. Nienawidziła was. Ale wróciłeś tu z nim i wszystko popsuleś.

Zmieniła zdanie chyba pierwszego dnia, kiedy spotkała Brandona i zobaczyła te jego cholerne oczy. Colby wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

- Myślałeś, że Margaret Fulbrook zostawi ci swoją fortunę? Harry, jesteś głupszy niż myślałem!

- Niech cię diabli! Powiedziała, że umieści mnie w testamencie. No, szpital miał dostać coś niecoś,

ale dla mnie szykowało się całkiem sporo. Kupa forsy! Była mi wdzięczna, rozumiesz? Tylko ja jej zostałem. Tylko ja robiłem, co kazała i nie zadawałem pytań. A potem spotkała tego twojego chłopaka i już o niczym innym nie potrafiła mówić. Pojechała do adwokata i wtedy zrozumiałem, że muszę coś zrobić.

- Nic nie możesz zrobić, Harry. Margaret sama podejmuje decyzje. Powinieneś ją już znać.

- Mylisz się, Savagar. Jest coś, co mogę zrobić. Mogę załatwić ciebie i tego twojego gówniarza. I wtedy znów nie będzie nikogo oprócz mnie. Planuję to sobie od miesięcy. Właściwie, to od lata. Wtedy zacząłem sobie wszystko układać. Już prawie byłem gotowy, kiedy nagle wyjechałeś z miasta. Musiałem czekać. Ale kiedy dwa dni temu stara wylądowała w szpitalu, wiedziałem, że nie będę musiał długo czekać. Wiedziałem, że po was pośle.

- I uznałeś, że to twoja wielka szansa?

- Cholera, masz rację. Więc wywabiałem cię tu samego. Ciebie załatwię najpierw, rozumiesz? To ciebie trzeba się strzec. Ciebie i tego, że bijesz poniżej pasa. Z chłopakiem poradzę sobie później.

- Naprawdę myślisz, że możesz zabić mnie i Brandona i że ujdzie ci to płazem? Daj spokój, Harry. Nawet nie zdążysz się obejrzeć, jak będziesz miał na karku Gila Thorpa, zadającego mnóstwo niewygodnych pytań. A Gil pójdzie wprost do nowego szeryfa. W ciemnościach Harry uśmiechnął się szeroko, drapieźnie.

- Nie będzie żadnych pytań, Colby. Żeby zadawać pytania, trzeba najpierw mieć ciało. Znasz te góry tak samo jak ja. Wiesz, że są miejsca, gdzie tak mogę schować ciebie i tego twojego gówniarza, że nikt was nie znajdzie. A ludzie w miasteczku będą mówili, że znowu zniknąłeś na dwadzieścia lat. Colby poczuł ucisk w żołądku.

- Harry, ryzykujesz oskarżenie o morderstwo i to bez najmniejszego powodu. Nie mam zamiaru wziąć grosza z pieniędzy Fulbrooków. Nigdy ich nie chciałem i nigdy nie zechcę. Margaret o tym wie. Wyjaśniliśmy to sobie dziś po południu.

- To może zostawi wszystko Brandonowi? Trudno powiedzieć. Dlatego muszę pozbyć się ciebie i jego.

- Masz zamiar teraz pociągnąć za spust? Będzie krew, Harry, mnóstwo krwi. - Colby odwołał się do swego literackiego talentu. Pisywał już takie sceny. Wiedział, jak to się robi. - Nigdy jeszcze nie zabiłeś człowieka, prawda? Nie wiesz, jak wygląda umierający człowiek. Aż trudno uwierzyć, ile może być krwi w jednym ludzkim ciele. Krew jest wszędzie. Ubrudzi ci ręce, kiedy mnie dotkniesz. Upaprze ci cały bagażnik, kiedy mnie do niego wsadzisz.

- Przestań! Nie zabiję cię tutaj, jeśli nie będę musiał, tylko zabiorę w góry.

- To nic nie zmieni, Harry. Cały utyłasz się krwią.

Martwe ciała są obrzydliwe. Nie tylko krwi jest wszędzie pełno. Z ciała wydala się wszystko, absolutnie wszystko. Wszystkie mięśnie nagle się rozluźniają. Czy potrafisz wyobrazić sobie, co to oznacza, Harry? Będziesz tarzał się w obrzydlistwach, nim skończysz i...

- Zamknij się i niech cię diabli! W swoim czasie sporo polowałem. Jeśli potrafię oprawić jelenia, poradzę sobie i z tobą.

- Tak sądzisz? A potrafisz poradzić sobie z dwoma ciałami? Bo będziesz musiał powtórzyć wszystko jeszcze raz, kiedy załatwisz Brandona. Po raz drugi będziesz musiał uwalniać się w krwi. Ta krew będzie ci się śniła aż do śmierci. W środku nocy będziesz budził się z krzykiem. Otworzysz oczy i zobaczysz mnie, jak obserwuję cię w ciemności. Ta krew nigdy nie zaschnie. Przed zaśnięciem zawsze będziesz myślał, czy w nocy znów, od samiotkiego początku, przeżyjesz oba te morderstwa.

A potem już wcale nie będziesz sypiał...

- Niech cię diabli, nie będę miał żadnych koszmarów! A jeśli tak, pomyślę sobie o forsie. O niej będę śnił, słodko jak dziecko! A teraz dosyć i kładź się na ziemi. Zwiążę ci ręce na plecach.

Pełną napięcia ciszę przerwał brzęk tłuczonego szkła. Harry drgnął, krzyknął i obrócił się w stronę, z której dobiegł go dźwięk.

Colby rzucił się na Harry'ego w chwili, kiedy Brandon zniknął za cadillakiem. Z całej siły uderzył krawędzią dłoni w szyję przeciwnika. Harry zachwiał się i osunął na kolana. Colby uderzył po raz drugi, tym razem skutecznie. Harry powoli przewrócił się i upadł na plecy. Rewolwer wysunął mu się z bezwładnych palców.

Brandon wynurzył się zza maski cadillaca. W dłoni trzymał klucz do kół, był gotów do akcji.

- Nie sądzę, żebyś tego potrzebował. - Colby pocierał obolałą dłoń. - Ale uważaj, póki nie znajdę czegoś, żeby go związać. - Z bagażnika samochodu wyjął sznur, który niewątpliwie posłużyć miał do związania jego.

Pięć minut później było po wszystkim. Colby wstał, obserwując leżącego na ziemi, półprzytomnego Harry'ego.

- I co teraz? - spytał Brandon. Patrzył na ojca, głos miał przejęty z napięcia, które, o czym Colby doskonale wiedział, miało szybko ustąpić. Zachował zimną krew, pomyślał Colby i poczuł przypływ ojcowskiej dumy.

- Skontaktujemy się z Gilem. On już sobie z tym wszystkim poradzi.

- Może powinniśmy wsadzić go do samochodu? - W głosie Brandona brzmiał lęk.

- Po co mamy się męczyć?

~ Jest zimno, tato. Jeśli zostawimy go na ziemi, może umrzeć.

Colby jęknął, pochylił się i złapał bezwładne ciało za kostki.

- Masz rację. Niepotrzebny nam dodatkowy kłopot. Bierz go pod pachy.

Po długiej chwili ulokowali ciało na tylnym siedzeniu cadillaca. Harry jęknął, lecz nie odzyskał przytomności.

Colby otworzył drzwi i sięgnął do środka, chcąc wyłączyć światła. Nagle coś go tknęło i zamarł w bezruchu. Przez długą chwilę patrzył na rozbitą przednią szybę, studiując skomplikowany wzór widoczny przy włączonych światłach.

- Martwisz się o szybę, tato?

- Nie. - Colby zamilkł, starając się dojść, skąd się bierze jego niepokój. - Winny mu byłem rozbitą szybę.

O co się założysz, że twoja babcia, jeżeli jeszcze żyje, prześle mi za nią rachunek?

- Tylko to wpadło mi do głowy. Musiałem jakoś odwrócić jego uwagę.

- I pomysł był doskonały. Przecież mówiłem, że tym razem ty spełnisz rolę mojego ciosu poniżej pasa.

- Aleś mu naopowiadał o tej krwi i trupach. Nawet mnie zrobiło się niedobrze. Widać było, że się przestraszył. Ciekaw jestem, czy rzeczywiście byłby w stanie pociągnąć za spust. Gdybyś jeszcze tak trochę pogadał...

- Brandon, bądź cicho przez chwilę, dobrze? Próbuję myśleć.

Brandon wytrzymał pół minuty.

- O czym?

- Słyszałeś całą rozmowę? - Colby wyprostował się. Przestał podziwiać refleksy światła na stłuczonej szybie, patrzył na syna.

- Tak, chyba tak. A co?

- Pamiętasz, jak mówił, że latem powiedział Eddy'emu, jakoby teraz wszystko miało być inaczej?

Chłopiec przytaknął skinieniem głowy.

- Tak.

- Na krótko przed wyjazdem z miasteczka rozmawiałem z Eddym. Napomknął, że ma na oku coś wielkiego, co go wreszcie ustawi. To było tego wieczoru, kiedy złapałem gumę i Harry niemal rozwalil mi łeb.

- Tato - powiedział cicho Brandon - to przecież Eddy powiedział ci, że corvetta będzie dziś w nocy na River Road. A zamiast tego mitycznego samochodu pojawił się Harry w starym cadillacu. Czy to możliwe, żeby w obu przypadkach wystawił cię twój stary kumpel? Colby zaklął cicho.

- Diana! Gdyby coś się nam stało, nie spoczęłaby, póki nie obróciłaby miasteczka w perzynę! Poszłaby wprost do Gila Thorpa, a on potrafi znaleźć odpowiedź na każde pytanie. Harry musiał zdawać sobie z tego sprawę! Ona też ma zginąć!

W oczach Brandona błysnął strach.

- Diana została sama!

- A Eddy może robić, co mu się żywnie podoba. - Colby otworzył tylne drzwi cadillaca i jednym ruchem ręki posadził związanego więźnia. Harry nieprzytomnie zamrugnął oczami.

- Co masz zamiar zrobić, tato?

Colby w odpowiedzi silnie potrząsnął tłustym cielskiem. Harry oprzytomniał i dostrzegł jego śmiertelnie poważną twarz.

- Teraz mi powiesz, jaki mieliście plan. Co Eddy ma zrobić z Dianą?

- Nic ci nie powiem! Jak jesteś taki cwany, to domyśl się sam!

Przy drzwiach cadillaca pojawił się Brandon.

- Chcesz klucz, tato?

Colby bez słowa wyciągnął dłoń.

Harry otworzył usta, przenosząc wzrok z jednej nieprzejednanej twarzy na drugą.

- Oszalałeś, Savagar. Oszalałeś ty i on. Nie możecie tego zrobić. Oszaleliście!

- Jasne, jestem szalony. Pewnie od tych wszystkich horrorów. Masz zamiar spierać się z szaleńcem?

Harry nie stanął na wysokości zadania. Zamknął oczy, opuścił głowę na oparcie siedzenia i rzekł:

- Wodospad Spętanej. Ma mieć wypadek. Jak staruszek Eddy'ego. Już jest po wszystkim, Savagar. Legendarny bohater River Road wreszcie przegrał wyścig. Teraz Eddy i ja będziemy się śmiały ostatni.

Colby trzasnął drzwiczkami i pobiegł do buicka. Brandon deptał mu po piętach.

Diana, zgięta w pół, złapała się za brzuch. Przeszyła ją kolejna fala bólu. Oddychała głęboko, próbując przypomnieć sobie wszystkie wskazówki, które wbijał jej do głowy Colby. Gdy skurcze minęły, zaczęła chodzić. Trwało to już od niemal dwóch godzin.

Specter zaskomlał po raz kolejny. Zdenerwowanie pani udzieliło się psu... lecz pies nie mógł znaleźć przeciwnika.

- Wszystko dobrze - powiedziała Diana, pocieszając zarówno siebie, jak i Spectera. - Mamy czas. Prawdopodobnie wiele, wiele godzin. To chyba pierwsze stadium. W takim stanie kobiety siedzą jeszcze w domu i czyszczą srebra. Nie ma nawet powodu, żeby dzwonić do szpitala.

Przecież w tym domu nie ma telefonu! ~ uprzytomniła sobie nagle. Nie mogę nawet pojechać do szpitala, pomyślała z rozpaczą. Colby i Brandon zabrali samochód!

- Miało być zupełnie inaczej - tłumaczyła psu.

- Miałam być w domu, w Portland, pakować torbę i szykować się do pobytu w nowoczesnym, doskonale wyposażonym szpitalu. Colby miał być ze mną, miał mierzyć czas między skurczami i pilnować, żebym prawidłowo oddychała. Obiecował, że będzie ze mną, kiedy nadejdzie czas. Obiecał mi to!

Specter cicho krążył po pokoju.

- Powinien już wrócić. - Poczowała kolejny atak bólu i rozpaczliwie próbowała się rozluźnić. Bała się nie tylko o siebie i o dziecko, lecz także o Colby'ego i Brandona.

- A jeśli coś się tam stało, Specter, tam, na River Road? A jeśli przyjechał ten okropny samochód i doszło do bójki? A jeśli coś im się stało?

Nagle ogarnęła ją panika: dziwne uczucie, zrodzone znikąd, zalewające ją przygniatającą falą. A może był to tylko kolejny skurcz?

Ból nie był jeszcze straszny. Jeszcze potrafiła nad nim zapanować. Ale będzie gorzej, znacznie gorzej, nim znów będzie lepiej. Co powiedziała ta Jennifer spod 301? Potworne męczarnie? Tak, przed nią jeszcze potworne męczarnie.

Znowu poczuła, że koniecznie musi iść do łazienki. Po raz trzeci w ciągu godziny. Za pierwszym razem myślała, że po prostu coś jej zaszkodziło. Lecz teraz wreszcie zdała sobie sprawę, co się dzieje. Jej ciało oczyszczało się w oczekiwaniu na poród. Kiedy po kilku minutach wyszła z toalety i stanęła na podeście, dostrzegła Spectera przy drzwiach wejściowych. Pies cicho popiskiwał. Spojrzał na nią, a później znów skupił całą uwagę na drzwiach. Poczowała ulgę. Colby i Brandon wrócili! Zbiegła po schodach i na ostatnim stopniu zatrzymała się, przeczekując kolejny atak bólu.

- To oni? Co słyszysz, Specter? Mój samochód? - Podeszła do okna, odsuwając wypłowiałą zasłonę. Światła przesunęły się po fasadzie domu, samochód wjechał na podjazd. Diana zamknęła oczy, czując przyływ ulgi. Colby tu jest. Colby o wszystko zadba.

- Już dobrze, piesku. Pan wrócił. Teraz wszystko będzie dobrze.

Zasunęła zasłonę i otworzyła drzwi. Specter zawarczał cicho; stał napięty, nieruchomy. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że samochód na podjeździe to nie jej poczciwy buick. Pojazd zatrzymał się poza kręgiem światła rzucanym przez lampę na werandzie.

Z dworu napłynęło chłodne powietrze. Stała w drzwiach, próbując dostrzec, kim jest jej gość. Może to Gil Thorpe, pomyślała. Gil był tu kiedyś szeryfem.

Będzie wiedział, co zrobić. W swoim czasie pewnie niejedną rodzącą odwoził do szpitala.

- Gil? - zawołała w ciemność. Usłyszała trzask zamykanych drzwi.

- Dobry wieczór. To znowu ja. - Na ganku pojawił się Eddy Spooner. Niegdyś przystojna twarz poznaczona była bruzdami goryczy i żalu do całego świata. W świetle gwiazd jego jasnoniebieskie oczy wydawały się niemal przezroczyste. - Przykro mi, że panią niepokoję, ale przyjechałem powiedzieć, że na River Road był wypadek.

Poczowała, że wpada w otchłań ciemności. Chwyciła klamkę u drzwi. Wszystko, tylko nie to!

- Colby? - szepnęła słabo.

- Odwieźli go do szpitala. Prawie że wylądował w rzece. Pytał o panią. Powiedziałem, że przywiozę mu was oboje. Diana oprzytomniała.

- Żyje?

- Tak, ale jest poważnie ranny.

Diana wyszła na werandę. Chłód przeniknął ją do szpiku kości.

Eddy zmarszczył brwi. Wydawał się bardzo zatroskany.



- Powinna pani wziąć płaszcz.
  - Tak, rzeczywiście. - Jak automat weszła z powrotem do domu. Spooner szedł za nią.
  - A gdzie jest Brandon? On pewnie też chciałby pojechać, prawda?
  - Brandon? O mój Boże, Brandon! Pojechał z Colbym. Musiał być w samochodzie! Eddy, słyszałeś może, co się z nim stało? Czy on też jest ranny?
  - Brandon? - Eddy jakby trochę się zaniepokoił.
  - Nie, nikt o nim nie mówił. Nie wiem, czy... ale to nie czas na rozmowy. Musimy jechać.
  - Jestem gotowa. Pośpieszmy się, Eddy. Muszę zobaczyć Colby'ego. - Specter wysliznął się za nią, idąc tuż przy nodze.
  - Może zostawi pani psa? W szpitalu nie będą nim zachwyceni.
- Diana spojrzała w mrok i dostrzegła czarny kształt, czający się tuż za kręgiem światła reflektorów. Wydał jej się znajomy, mimo że nie wiedziała, dlaczego. Znów przeszył ją ból i nie potrafiła jasno myśleć. Odpowiedziała Eddy'emu, wiedzona wyłącznie instynktem.
- Pies jedzie ze mną.
  - Ale, proszę pani...
- Milczała. Musi dotrzeć do szpitala w jakikolwiek sposób. Musi, a tylko Eddy może ją tam dowieźć. Podeszła do wielkiego, ciemnego samochodu. Otworzyła drzwi. Specter otarł się o nią, wskakując najpierw na przednie siedzenie, a potem na wąską półkę z tyłu. Położył jej łeb na ramieniu. Eddy powoli usiadł za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Wielki, potężny silnik ożył z rykiem, nie spotykanym w nowych typach aut.
- Co to za samochód? - spytała cicho.
  - Corvette, proszę pani. Najlepszy amerykański samochód.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

- Skąd go masz, Eddy? Myślałam, że jeździsz camaro. - Diana wpatrywała się w przemykającą za oknem ciemność. Spooner prowadził za szybko. Natychmiast wyczuła, że nie panuje nad samochodem jak Colby.
- Spotęgowało to strach, z którym walczyła rozpaczliwie. Wyciągnęła rękę, dotknęła Spectera. Poczowała na uchu jego mokry nos.
- To moja corvetta - w głosie Eddy'ego brzmiała nieskrywana duma. - Znalazłem ją na złomowisku. Pracowałem przy niej kilka lat. Stała zamknięta w szopie na podwórku. W dzień nikt jej nie widział.
  - Oo? - zaciekała się Diana. Jeśli skłoni go do mówienia, może zdoła odgadnąć, co się naprawdę za tym wszystkim kryje.
  - Potem, w weekendy, wyjeżdżałem daleko za miasteczko. Wie pani, chciałem ją wypróbować. No i biłem wszystkich na łeb. Jak kiedyś Colby. Była najlepsza. Ona też przejdzie do legendy i pobije tamtą! Diana przełknęła z wysiłkiem ślinę. Mocniej chwyciła obrożę Spectera.
  - Powiedziałeś Colby'emu, że czarna corvetta będzie dzisiaj na River Road.
- Eddy milczał przez chwilę.
- Taaa - przytaknął w końcu. - No, powiedziałem.
- Wie pani, co? Chciałbym się kiedyś z nim pościgać. Tym razem bym go pobił. Wiem, że dałbym radę. Nie zgubiłby mnie na zakręcie przed mostem, jak w lecie.

Zadrżała.

- Eddy, to nie jest droga do szpitala.

- Wiem.

Z trudem zachowała spokój.

- Gdzie są Colby i Brandon?

- Nie wiem. - W głosie Eddy'ego brzmiało wahanie.

- Są chyba gdzieś w górach. Harry miał ich zabrać w góry. Tylko że Colby powinien być sam. Brandona mieliśmy zgarnąć po pani.

- Harry? A co ma do tego Harry?

- Działamy razem. Jesteśmy współnikami. To jest to, rozumie pani? Nasza wielka szansa! Zgarniemy forszę i będziemy mogli wynieść się z tej dziury.

- Jaką forszę, Eddy?

- Fulbrooków. - Spojrzał na nią, jakby dziwił się, że jeszcze na to nie wpadła. - Stara Fulbrookowa chciała zostawić Harry'emu sporo forsy. Ale zmniejszyła jego działkę, jak spotkała wnuka. Poszła do prawnika i zmieniła testament. Harry mówi, że na sto procent umieściła w nim Brandona, a może nawet i samego Colby'ego.

Harry twierdzi, że jeśli się z nimi załatwimy, dostanie ich część, tak jak miało być od początku. Powiedział, że podzieli się ze mną, jak mu pomogę.

- Eddy, przecież wiesz, że to nie będzie takie proste. Takie sprawy nigdy nie są proste.

- Harry mówi, że nam się uda, a on wie najlepiej. Planuje to od miesięcy. Mieliśmy szczęście, że stara zachorowała na serce. Mieliśmy kupę szczęścia!

- Dlaczego? - Wciągała głęboko powietrze, pokonując kolejny skurcz. Z wysiłku łzawiły jej oczy.

- Nic pani nie rozumie? Musieliśmy wyciągnąć Colby'ego i Brandona gdzieś w góry. Myśleliśmy, że przyjedziecie na święta, ale Brandon zadzwonił do starej i zaprosił ją do was. To nam wszystko popsuło. Ale pomyśleliśmy, że znów przyjedziecie na lato. A potem stara zachorowała i Harry powiedział, że to nasza szansa.

- Taki był pewien, że przyjedziemy?

- A był. I nie miał racji? On jest cholernie cwany. Razem z Colbym mieliśmy go za durnia, bo tak się płaszczyl przed Fulbrookami i w ogóle. Ale wyszło na to, że przez te wszystkie lata nic, tylko kombinował. Teraz to się opłaci. Skurcze były już częstsze i silniejsze. W głowie miała coraz większy mętlik. Trawił ją niepokój z powodu Colby'ego i panicznie bała się zbliżającego porodu. Za wiele, jak na jeden raz.

- Colby - szepnęła. - Nie widziałeś go od chwili, kiedy przyszedłeś powiedzieć nam o corvecie, czy tak?

- Tak.

- Więc nie wiesz właściwie, co się z nim stało?

- Harry już na pewno go ma. Dlatego przyjechałem po panią. Miałem trochę odczekać, a potem przyjechać i powiedzieć, że był wypadek.

- Ale nie było wypadku. - Uczepiła się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. - Oczywiście, nie było żadnego wypadku. Colby za dobrze prowadzi.

- Nie jest wcale taki dobry - mruknął Eddy. - Tylko tak myśli.

- I ma całkowitą rację! Łykałeś po nim kurz, kiedy cię załatwił na River Road. Masz mocniejszy samochód, ale gorzej prowadzisz!

- To był cios poniżej pasa, jak wszedł w ten zakręt.
- W głosie Eddy'ego zabrzmiała wściekłość. - To przez niego pojechałem za szybko! Wystawił mnie! Harry mówi, że Colby zawsze wali poniżej pasa. Dlatego musieliśmy dorwać go z zaskoczenia.
- Ale nie jesteś pewien, czy Harry go ma, prawda?
- Musi go mieć.
- Nie byłabym taka pewna. Spodziewał się tylko Colby'ego, a tymczasem było ich dwóch. Brandon bardzo go przypomina, wiesz? Ojciec nauczył go wszystkiego, co umie. Chłopak nawet prowadzi jak on. Czy twój przyjaciel poradzi sobie z dwójką Savagarów?
- Cicho, ty suko! - Eddy obrócił się i spojrzał na nią oczami, w których płonąła nienawiść.
- Uważaj!

Corvette zatoczyła po szosie łuk, ale Spooner szybko ją opanował.

- Tylko nie próbuj mi wmówić, że Colby mógł załatwić Harry'ego. To niemożliwe!

- A niby czemu?

- Harry ma pistolet. I wie, jak się nim posługiwać.

Polowaliśmy razem. Widziałem, jak strzela. Diana wciągnęła głęboko powietrze i przycisnęła rękę do brzucha, czując następny atak bólu.

- O mój Boże! - szepnęła. Starła się nie myśleć o rewolwerze w dłoni Harry'ego, ale widziała go przed oczami, mimo nasilających się skurczów.

Nie, to nie ból, przypomniawszy sobie z ironią. To tylko uczucie silnego napięcia.

Prawdziwy ból dopiero nadejdzie.

Gdzie jesteś, Colby? Potrzebuję cię. Obiecałeś, że będziesz ze mną. To wszystko dzieje się za szybko. Colby, to nie miało tak być!

- Co ci jest? - zaniepokoił się nagle Eddy. - Czy to dziecko? Nie rodzisz chyba, co?

- Tak, to dziecko. Zaczął się poród.

- Cholera! A niech to wszyscy diabli! Przecież muszę załatwić sprawę! Harry nie powiedział, co mam robić, jak zaczniesz rodzić. O rany! Muszę jak najszybciej mieć to z głowy!

- Co musisz mieć z głowy, Eddy? Masz zamiar mnie zabić? - Zdziwiła się, słysząc swój spokojny głos. No tak, nie może się denerwować, bo ma o czym myśleć. Czyż można przejąć się zwykłą pogrozką zabójstwa, kiedy zaczyna się poród i kiedy paraliżuje myśl, że ukochany mężczyzna może już nie żyć? Nie. Colby żyje. Wiedziałyby, gdyby było inaczej. Gdzieś, w głębi jej duszy, zgasłoby jakieś światełko. Colby żyje, a póki żyje, będzie tam, gdzie ona go potrzebuje.

Poruszy niebo i ziemię, lecz dotrze do niej. Ona ma się uspokoić i czekać, aż znajdzie ją jej wojownik.

- Siedź cicho! Rozumiesz? Dostyc już tego.

Diana trzymała Spectera za obrożę. Pies drżał z napięcia i czekał.

Dziwne, ale nie była zaskoczona, gdy Eddy stanął w znanym jej miejscu. Siedziała, patrząc na oświetloną blaskiem gwiazd kurtynę wody i pojęła, że tu właśnie wszystko musi się rozstrzygnąć.

- Wodospad Spętanej - szepnęła. - I co teraz, Eddy?

- Będziesz miała wypadek. Tam, na górze. - Otworzył drzwi, a kiedy zapaliło się małe, wewnętrzne światełko, dostrzegła w jego dłoni mały pistolet. Oczy mu błyszczały.

- Jak twój ojciec, tak?

- Dostał, na co zasłużył. Wszyscy tak mówili na pogrzebie. Sam słyszałem.

- A ja? Czy też zasłużyłam na śmierć, Eddy?

- Musisz zginąć. Nie ma innego wyjścia. Właściwie to szkoda. Prawdziwa z ciebie dama. Ale należysz do Colby'ego Savagara, a wszystko, co jego, musi zostać zniszczone. Nie rozumiesz? Wszystko, co jego, musi zostać zniszczone!

- Moje dziecko też?

- Cicho bądź, dobrze? Wysiadaj!

Specter bezgłośnie wyszczerzył zęby. Wysiadł posłusznie za swą panią. Diana nigdy go takim nie widziała.

Nawet nie warknął ostrzegawczo. Był złowieszczo cichy.

Wiedziała, że gotów jest zaatakować. Po raz pierwszy zastanowiła się, co robił, zanim go przygarnęła. Colby powiedział kiedyś, że z pewnością włóczył się po śmietnikach. A przecież nie ma nic groźniejszego niż bezpański pies. Eddy przyjrzał mu się uważnie, zbliżając się do Diany. Pies nie wzbudził w nim żadnych podejrzeń, skierował więc lufę pistoletu w kobietę.

- Musimy wejść na szczyt wodospadu.

- Nie bądź idiotą, Eddy. Rodzę. Nie wejdę na górę.

- Musisz. Harry tak kazał.

- Pewnie chce, żeby wina za moją śmierć spadła na ciebie. Jestem pewna, że dobrze sobie wszystko przemyślał. Nie będzie musiał dzielić się z tobą pieniędzmi.

- Idź!

Diana postąpiła krok naprzód i krzyknęła. Udawała tylko częściowo. Atak był tak silny, że skuliła się z bólu. Eddy wpadł w panikę i automatycznie odskoczył.

- Do diabła, nie wrzeszcz! Masz być cicho!

- Specter, bierz go!

Nie była pewna, co pies robi. Nigdy przedtem nie miała okazji, by poszczuć go na człowieka. Ale Specter wiedział, że jego pani jest w niebezpieczeństwie. Wyczuł jej strach i cierpienie. Skoczył na Eddy'ego, w ciemności zabłysły wyszczerzone kły. Tym razem krzyknął Eddy. Cofał się, wymachując pistoletem jak palką, ale cielsko wielkiego psa zważyło go z nóg. Na moment odzyskał swobodę ruchów, przetoczył się na bok i próbował wstać, mierzając w atakujące zwierzę.

Lecz nie miał czasu pociągnąć za spust - Specter był szybszy. Spleceni w śmiertelnej walce człowiek i pies przetoczyli się do brzegu jeziora i wpadli w kipiela u stóp wodospadu.

- Specter!

Przez długą, przerażającą chwilę Diana nie widziała nic w zimnym świetle gwiazd. Huk spadającej wody tłumił odgłosy walki. A potem wśród spienionych fal pojawił się jej wybawca.

- Specter! Tu, piesku! Chodź tu, Specter!

Usłyszał jej głos, w kilka sekund dotarł do brzegu i majestatycznie otrząsnął się z wody.

- Dobry piesek. Dobry. Chodź, musimy uciekać. - W drodze do samochodu chwyci! ją kolejny atak. Przystanęła. Kiedy po chwili otworzyła drzwi corvetty, stwierdziła, że kluczyki znalazły się w wodzie wraz z Eddym i pistoletem. Oparła się o dach i zamknęła oczy, jęcząc ze strachu i bólu. Była zgubiona. A potem przed oczami stanął jej obraz, obraz ze snu. Grota. W grocie będzie bezpieczna. W grocie jest ciepło. Znajdzie schronienie w malutkiej, ukrytej grocie.

Dziecko urodzi się tam, gdzie mu było pisane i oboje będą bezpieczni.

- Nie - szepnęła do Spectera. - Oszalałam, na pewno oszalałam. Urodzę tutaj, na ziemi.

Ogarnęła wzrokiem mroczny, niegościnnie krajobraz. Ani śladu nowoczesnego sprzętu, ani śladu anestezjologa, pomyślała histerycznie. Trudno, zamiast prześcieradła musi jej wystarczyć płaszcz.

Zaczęła szperać we wnętrzu corvetty. Znalazła latarkę. Czyniąc rozpaczliwe przygotowania do porodu, mówiła do psa:

- Wiesz, jest w Afryce takie plemię... - zająknęła się lekko - ...plemię wierzące, że urodzenie dziecka to jedyny dowód prawdziwej męskości kobiet. Kobiety odchodzą i rodzą same, w krzakach. Nie mają przy sobie nawet najbliższych, nie mówiąc już o lekarzu albo akuszerce. I to plemię nadal istnieje, więc może w ich metodzie coś jest. Piesku, tak strasznie się boję! Ale Specter nie słuchał jej. Stał zjeżony, wpatrując się w jeziorko, do którego spadała woda. Znowu był przerażająco cichy i nieruchomy.

Diana wzięła latarkę i skierowała snop światła na taflę wody. Najpierw widziała tylko białą pianę, a potem dostrzegła postać, którą Specter wyczuł wcześniej.

Eddy Spooner płynął powoli ku brzegowi walcząc z wirami. I ścisnął coś w dłoni. Broń. Czy mokry pistolet w ogóle wystrzeli? Diana nie miała pojęcia, pamiętała za to filmy, których bohaterowie wychodzili z wody i kosili salwami ognia wszystkich złych facetów. Specterowi nie powiedzie się chyba drugi atak. Tym razem Eddy Spooner będzie się miał na baczności. Tylko w grocie będzie bezpieczna.

Przestała się wahać. Nie wiedziała, co prawda, czy zdoła dotrzeć do jaskini, za to doskonale wiedziała, że ma tylko jedno wyjście: spróbować.

- Specter, idziemy. Do nogi!

Z wyraźną niechęcią pies odwrócił wzrok od Spoonera i ruszył truchtem za swą panią. Z latarką w dłoni Diana szła w kierunku ścieżki za wodospadem. Nie miała ze sobą nawet płaszcz przeciwdeszczowego. Przemoknie do suchej nitki, nim dotrze do jaskini, a noc jest taka zimna! Ale w grocie będzie jej ciepło.

- Dokąd, suko?! Wracaj!

Eddy wychodził na brzeg jeziorka niczym mroczny, bezkształtny, groźny potwór z głębin. Poruszał się powoli, niezdarnie. Nieco pocieszał ją fakt, że prawdopodobnie widzi ją równie słabo, jak ona jego. A kiedy wreszcie ogarnie ją mrok, kiedy ukryje się za kurtyną wody, zniknie mu z oczu całkowicie.

Dopiero na ścieżce włączyła latarkę. Specter szedł tuż za nią. Zamknęła oczy i krzyknęła, czując kolejną falę bólu. Huk wody zagłuszył jej krzyk. Niedługo już zdoła utrzymać się na nogach. Wywnioskowała, że zaczęły się prawdziwe bóle porodowe.

Pies przecisnął się obok niej i ruszył pierwszy, jakby znał drogę i chciał bezpiecznie doprowadzić swą panią na miejsce. Pokonanie ścieżki okazało się najdłuższym i najbardziej wyczerpującym doświadczeniem w jej życiu. Za przewodnika służył jej wyłącznie prymitywny, kobiecy instynkt. Dotrzeć do bezpiecznego miejsca, w którym mogłaby urodzić - tylko to się teraz liczyło. Pod koniec drogi uczepiła się sierści Spectera. Ostatnie kilka kroków pies po prostu ją ciągnął. Wiedziała, że bez niego by sobie nie poradziła.

W końcu stanęli przed wejściem do jaskini. Diana oddychała ciężko. Nie miała odwagi, by użyć latarki i sprawdzić, czy Eddy idzie za nimi. Musiała założyć, że tak. Znalazła się w ciemnej jamie i na chwilę włączyła światło, by zorientować się, w którą stronę powinna pójść.

- Tutaj, Specter.

Pies już obwąchiwał skały, kierując się w stronę ukrytej groty, jakby i on wyczuwał, że tam będą bezpieczni. Gdy przekroczyła niskie przejście, przeszył ją straszliwy ból. Upuściła latarkę i osunęła się na kolana. Poczowała, jak ogarniają kojące ciepło; gorące źródło spełniło swe zadanie. Dalej czołgała się na czworakach. Nie miała już siły wstać.

W świetle latarki dostrzegła nagle, że pies obrócił się w stronę wejścia i nabrała pewności, że Spooner rzeczywiście idzie za nimi.

- Zostań przy mnie, piesku. Tu będziemy bezpieczni.

- Nie wątpiła już w swoje słowa.

Specter wrócił i stanął tuż przy niej. Był niespokojny. Diana rozpostarła płaszcz na kamieniach tuż obok gorącego źródła i wyłączyła latarkę. Nie mogła ryzykować, by światło przedostało się przez ukryte wejście i zdradziło miejsce, w którym się schronili.

Rozbierała się z wysiłkiem. Nawet bielizna była mokra; wiedziała, że tylko częściowo winien był temu wodospad. Ta wilgoć pochodziła także z jej ciała. Przygryzła wargę. To znów szarpnęła ją ból. Rodzę, pomyślała. Bolało niemalże nie do zniesienia. Lekarze twierdzili, że w tej fazie będzie najciężej. „Najciężej” - kolejny eufemizm, tak uwielbiany przez lekarzy i autorów książek o rodzeniu dzieci. W rzeczywistości „najciężej” oznaczało cierpienie nie do zniesienia. Jennifer spod 301 miała rację.

Krzyk wypełnił jej gardło. W ostatniej chwili przemknęła jej przez głowę niejasna myśl, że nie wolno krzyczeć. Ach, tak, krzyk może pomóc Eddy'emu znaleźć wejście do groty!

Gdzie jesteś, Colby? Potrzebuję cię. Pomóż mi! Specter skulił się u jej głowy i lizał ją po twarzy. Macała palcami na ślepo, aż trafiła na skórzaną obrożę. Odpięła ją drżącymi z wysiłku dłońmi. Kiedy przyszedł następny atak, wsunęła w usta skórzany pasek i ścisnęła go zębami tłumiąc krzyk, który wypełniał ją całą. Udręczona powiedziała sobie, że nie ma już znaczenia, czy Eddy tu wejdzie, znajdzie ją i zabije. Przynajmniej skończy się ból. Tylko nie może pozwolić umrzeć dziecku. Musi chronić dziecko Colby'ego.

Właśnie wtedy wymyśliła bardzo ryzykowną grę. Powiedziała sobie, że policzy do dziesięciu, wyjmie obrożę z ust i wreszcie krzyknie, a potem zginie. Kiedy jednak doliczyła do dziesięciu, postanowiła policzyć jeszcze raz. Kiedy skończyła trzecią dziesiątkę, nakazała sobie przejść do czwartej. Liczenie do dziesięciu stało się najważniejszą sprawą na świecie. Liczyła po raz czwarty i piąty, i jeszcze raz, i jeszcze, wbijając zęby w twardą skórę.

W którymś momencie dotarło do niej jak przez mgłę, że Specter szczechnął głośno i odszedł od niej. Chciała zabronić mu hałasować, ale nie była w stanie go zawołać. Była właśnie w połowie kolejnej dziesiątki, zagryzała zęby w agonialnym bólu, kiedy po jej ciele prześliznął się promień ostrego światła. Zamknęła oczy, chroniąc je przed blaskiem. To światło nie ma już żadnego znaczenia. Nie potrafiła myśleć o niczym, z wyjątkiem bólu.

- Diano!

Głos Colby'ego przedarł się przez czerwoną mgiełkę, w której pogrążyła się jej świadomość. Na chwilę otworzyła oczy i za kręgiem światła latarki dostrzegła jego napiętą twarz.

- Wiedziałam, że żyjesz. Wiedziałam, że przyjdiesz.

- Obroża wypadła jej z ust i w tej samej chwili grocie wypełnił krzyk bólu.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie. Jestem przy tobie.

- Tato? Tato, gdzie jesteś? Gdzie Diana? Czy wszystko w porządku? O Jezu! Tato, ona rodzi!

- To cała Diana. Z tym też sobie poradziła. - Colby uklęknął przy niej i mówił dalej ciepło i łagodnie: - Teraz już wszystko będzie dobrze, moja mała Amazonko.

Wiedziałem, że zatroszczysz się o nasze dziecko, nim do ciebie dotrę. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Diana westchnęła, ulegając naglej, przemożnej potrzebie parcia. Nareszcie! Już wszystko w porządku.

Jest przy niej Colby. Słyszała, jak przemawia łagodnie, jak daje instrukcje Brandonowi. Nie zwracała najmniejszej uwagi na to, co mówią i robią. Colby doskonale wie, jak postąpić. Zawsze. Zajął się tym, co najpilniejsze.

Potrzebowała na to wszystkich sił. W kilka minut później grootę wypełnił inny krzyk. Krzyk zdrowego, silnego noworodka.

- Już tu jest, Diano. Nasza mała Tabby przybyła. Zdrowa i cała.

Diana spojrzała na niego spod rzęs. Klęczał między jej nogami, na dżinsowej kurtce jego syna leżało dziecko. W świetle trzymanej przez Brandona latarki dostrzegła jaśniejący na twarzy męża wyraz triumfu i szczęścia.

- Kocham cię, Diano.

- Kocham cię, Colby.

Poczuła wielką ulgę. Tym razem, pomyślała, nie ćwicz. Tym razem powiedział to z głębi serca.

- Ma pani gości - oznajmiła pielęgniarka, odbierając od Diany śpiące niemowlę i wkładając je do kołyski obok szpitalnego łóżka. - Mogą wejść?

Diana skinęła głową, nie odwracając wzroku od córeczki. Nadal trudno jej było uwierzyć, że jest matką. Otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył Brandon, a za nim Margaret Fulbrook.

- Margaret? - Diana wpatrywała się w starszą panią z radosnym zdumieniem. - Boże drogi, wyglądasz świetnie. Już wyszłaś ze szpitala? Dobrze się czujesz?

- Przecież mówiłam, że ci młodzi lekarze nie na wszystkim się znają. Okazało się, że to wcale nie był atak serca, tylko jakaś, wyobraź sobie, przepuklina otworu przełykowego. Objawy są bardzo podobne, jak przy zawale. No, można się przestraszyć. - Margaret Fulbrook uśmiechnęła się promiennie. - A jak ty się czujesz, moja droga?

- Jestem zmęczona - przyznała Diana. - Ale przede wszystkim zawiedziona! Mam mnóstwo pytań, a kiedy wczoraj próbowałam skłonić Colby'ego do odpowiedzi, zaraz zmieniał temat.

Brandon uśmiechnął się do niej szeroko.

- Najpierw chciał się upewnić, że obie czujecie się dobrze, a dopiero później odpowiadać na pytania. A poza tym, kiedy wydostaliśmy was z tej jaskini, co chwilę zasypiałas.

Jak przez mgłę pamiętała drogę powrotną z jaskini. Wiedziała, że otulono ją kocem z wezwanej przez Brandona karetki. Colby niósł ją, a jeden z sanitariuszy Tabithę. Specter siedł tuż obok. Miała też wrażenie, że Colby rozkazywał wszystkim dokoła tonem nie znoszącym sprzeciwu, ale pewna była tylko jednego: że w jego ramionach czuła się bezpieczna.

- Opowiedz mi wszystko, Brandonie.

- Chodzi ci o Harry'ego i Eddy'ego?

- Tak. - Diana przyjrzała mu się uważnie, - Zakładam, że nie mieliście kłopotów z Harrym?

- Najmniejszych. - W łobuzerskim uśmiechu chłopaka była typowa męska chępliwość. - Tata twierdzi, że to ja odegrałem rolę ciosu poniżej pasa. - Twarz Brandona spoważniała. - Ale kiedy zorientowaliśmy się, że jesteś w niebezpieczeństwie, ojciec dostał szału. Wątpię, czy jakkolwiek samochód, nawet ta jego legendarna corvetta, pobiłby wczoraj twojego buicka. Tata cholernie dobrze prowadzi, nie? Uśmiechnęła się, słysząc podziw w głosie chłopca.

- Skąd wiedzieliście, że Eddy zabrał mnie nad wodospad?

- Harry nam powiedział.

Coś w jego oczach sprawiło, że uniosła brwi.

- Tak sam z siebie?

- No... - zachnął się Brandon. - W każdym razie powiedział nam, że Eddy ma cię zepchnąć z wodospadu.

Ale kiedy dojechaliśmy i zobaczyliśmy corvette, tata nawet nie próbował iść drogą na górę. Powiedział, że wie, gdzie cię szukać. Nawet się nie zorientowałem, kiedy pobiegł do ścieżki za wodospadem.

- Jaskinia Spętanej - wtrąciła cicho Margaret. - Nie do wiary. Jak ci się udało tam dojść? I to właściwie w trakcie porodu...

- Nie wiedziałam, gdzie mam się ukryć. Specter zaatakował Eddy'ego, zepchnął go do jeziora i dzięki temu zyskałam trochę czasu. Ale kiedy oprzytomniałam, Eddy już wylazł z wody i ciągle miał pistolet. Więc uciekliśmy do jaskini.

- Tata powiedział, że odtąd w każdą sobotę Specter będzie dożywotnio dostawał na obiad wielki stek.

- Jestem pewna, że Specter już tego dopilnuje. - Diana opadła na poduszki. - No, proszę, pośpiesz się i opowiedz mi resztę. Colby na pewno będzie milczał jak zakłęty. Uraczy mnie za to wykładem na temat karmienia piersią i zmieniania pieluszek.

Margaret Fulbrook potrząsnęła głową, uśmiechając się żartobliwie.

- Dziś rano całe miasteczko znów rozprawiało o Colbym. I nic dziwnego. Po tym, co zdarzyło się wczoraj, po raz drugi przeszedł do legendy.

- No, Brandon, mów. Co ojciec zrobił?

Chłopak oparł się o poręcz w nogach łóżka. Oczy błyszczały mu podnieceniem.

- No więc szedłem za nim. Ojciec miał latarkę i najwyraźniej wiedział, dokąd idzie. Po paru sekundach byliśmy przy jaskini. Usłyszałem krzyki z ciemności i najpierw myślałem, że to ty, ale potem zorientowałem się, że krzyczy jakiś mężczyzna. I nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się Eddy. Skoczył na ojca. Darł się jak opętany.

- O mój Boże.

- Wykrzykiwał, że nie pozwoli, żeby tata wszystko mu popsuł. Kompletny wariat. - Brandon pokręcił głową z niedowierzaniem. - Wytrącił mu z ręki latarkę.

Skoczyłem, żeby ją złapać. Kiedy ich oświetliłem, walczyli tuż przy wejściu. Przez chwilę myślałem, że obaj zlecą w przepaść. Ale tata uwolnił się w ostatniej chwili i spadł tylko Eddy.

Diana wstrzymała oddech.

- Nie żyje?

- Nie żyje. Nad ranem wyłowili ciało.

Potrząsnęła głową.

- Biedny człowiek.

- Wiedziałaś, że Eddy Spooner źle skończy - oznajmiła Margaret Fulbrook.

- Kompletnie oszalał - stwierdził Brandon. - A przy okazji, to on robił ci te kawały. Oczywiście, oprócz ostatniego, który był dziełem Robyn. Dziś rano Harry wszystko wyśpiewał na posterunku. Margaret podeszła do kołyski i patrzyła na śpiące dziecko.

- Spooner nie mógł pogodzić się z tym, że Colby Savagar wrócił do miasteczka i rzeczywiście wyszedł na człowieka. Zazdrościł mu wszystkiego, łącznie z tobą. Nie miał odwagi dobrać się do skóry Colby'emu, więc zwrócił się przeciwko jego kobiecie.

- A Harry był na tyle sprytny, że to wykorzystał - dodał Brandon.



- I wszystko na nic - stwierdziła smutno Margaret Fulbrook. - To prawda, zmieniłam testament, ale nie zmieniłam sumy przeznaczonej dla Harry'ego. Uroił sobie, że będzie stratny. Większość pieniędzy pozostałych z majątku Fulbrooków - a żeby nie skłamać, nie jest tego tak wiele - dostanie szpital. Brandon ma niewielki zapis. Wiem, że Colby by się wściekł, gdybym zostawiła mu więcej. I ma rację. Pieniądze psują młodych ludzi.

Diana otworzyła usta, lecz nim zdążyła zadać kolejne pytanie, usłyszała hałas za drzwiami. Do pokoju wkroczył Colby, obładowany paczkami.

- Co tu się dzieje? - spytał. - Przecież mówiłem, że ma wypocząć!

- Opowiadałem jej tylko, co się zdarzyło wczoraj. - Brandon przejął z jego rąk część paczek. - A to co?

- Pieluszki, używany fotelik samochodowy od Briana McDonalda i w ogóle różne rzeczy, których możemy potrzebować w drodze do Portland - wyjaśnił z roztargnieniem Colby. Nie spuszczać oczu z Diany podszedł i wziął ją za rękę. - Jak się czujesz, skarbie?

- Jestem zmęczona, ale szczęśliwa - odparła i spojrzała na niego z miłością. - Dzięki tobie.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Nic mi nie zawdzięczasz. Sama sobie doskonale poradziłaś. Przy pomocy tego twojego kundla. -

Wyjął coś z kieszeni i pokazał jej. - Wziąłem to na pamiątkę.

- Co to takiego? - Margaret Fulbrook ze zdumieniem przyglądała się skórzanemu paskowi.

- Najnowszy środek przeciwbólowy dla rodzących Amazonek - oświadczył Colby. - Widzisz ślady zębów?

- Przecież to obroża!

- Oczywiście - wtrącił Brandon. - Diana gryzła ją, żeby nie krzyczeć.

- Bałam się, że Eddy mnie usłyszy i znajdzie wejście do groty.

- Mój Boże - westchnęła Margaret. - Colby nie będzie jedyną legendą w naszym miasteczku.

- Spełniło się moje marzenie - powiedziała cicho Diana. - Zostałam bohaterką za życia. Ale jedną sprawę chcę wyjaśnić od razu. Jeśli mam mieć drugie dziecko, musi urodzić się według wszystkich prawideł sztuki:

w szpitalu wyposażonym we wszystkie najnowsze cuda techniki i środki przeciwbólowe. Zwłaszcza w środki przeciwbólowe. Całe to bohaterstwo... to dla idiotek!

Lecz mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że wszystko odbyło się tak, jak miało się odbyć i kiedy spojrzała w oczy Colby'ego, wiedziała, że rozumie ją doskonale. Gdy wczoraj w nocy wynosił ją z groty, wyczuła, że coś się tam zmieniło. W mrocznej komnacie zapanował spokój.

Poczuła, jak Colby mocno ściska jej dłoń.

- Kocham cię - powiedział, nie dbając, że nie są sami.

- Ćwiczenie czyni mistrza - szepnęła.

## Epilog

*Stanął w końcu przed wejściem do Jaskini Za Jego plecami huczała czysta, połyskująca refleksami światła woda, w której nie było już śladu krwi. Ruszył z wolna w kierunku ukrytej groty, idąc za głosem, który go tu przywiódł.*

*Stanął w ciasnej, skalnej komnacie i zobaczył tę, która na niego czekała. Uśmiechała się; jej oczy tchnęły miłością, w ramionach trzymała nagie dziecko. Poczuł, jak przepelnia go uczucie radości*

*albowiem zrozumiał, że są nareszcie wolni Zerwała pęta, które nałożył na nich powodowany bezmyślnym gniewem. Podał jej dłoń.*

*Ujęła ją ufnie, pewna jego miłości. Nie czuła już strachu i gniewu. Los jeszcze raz dał im szansę i wiedziała, że jej nie zmarnują Pojęli że należą do siebie. Należą do siebie, bowiem śnią ten sam sen.*

*Wyprowadził ją z groty i powiódł ścieżką za wodospadem, aż stanęli w słońcu nowego dnia. Kiedy byli już bezpieczni na dole, wojownik przyjrzał się dziecku i wybuchnął śmiechem ze wspaniałego żartu, Jaki wyszykowali mu bogowie. Nie obdarowali go bowiem synem, którego oczekiwał, lecz córką. A kiedy spojrział w oczy matki i dostrzegł w nich ogniki rozbawienia, pojął, że dokonał właściwego wyboru.*

*Poprzysiągł niegdyś, że nie spocznie, póki nie przekona jej, że kobieta nie może uciec od swego przeznaczenia, a tymczasem to on dzięki niej odkrył, co jest w życiu najważniejsze. Nauczyła go kochać.*

Colby obudził się i poczuł, że Diana nie śpi. W ciemności odszukał jej dłoń.

- Ty też? - spytał cicho.

- Tak. Ale teraz było inaczej. Jakby historia dobiegła końca.

- Znikł gniew i strach - przytaknął. - Udało mi się dotrzeć do groty. Dotarł do groty - poprawił się szybko.

- A ja czekałam. To była ona. Z niemowlęciem. - Diana przytuliła się do męża. - Nie spodziewał się córki!

Colby uśmiechnął się w mroku.

- Wiem. Uznał to za kosmiczny żart. Ale kocha dziecko. Niemal tak bardzo, jak jego matkę. Tym razem śnił się nam dokładnie ten sam sen, prawda?

- Na to wygląda. Uwolniliśmy ją, prawda?

- Uwolniliśmy oboje. Był równie spętany jak ona.

Oboje byli spętani. I dalej tak jest, tylko w innym sensie. - Zaciśnął dłoń na jej ręce. - Są związani jak my.

- Gdybyśmy próbowali wyjaśnić komuś, co zdarzyło się w grocie, nigdy by nie uwierzył.

- To prawda. Sam nie jestem pewien, na ile w to wierzę. Niemniej, to ciekawa historia. Opowiemy ją naszej córce, kiedy dorośnie.

- Czy myślisz, że ta grota będzie nam jeszcze się śniła, skoro zdjeliśmy z niej klątwę?

Przygarnął ją, rozczulony jej łagodnym, jasnym uśmiechem.

~ Skarbie, powinnaś się z tym wreszcie pogodzić.

Będziemy mieli takie same sny aż po kres naszych dni.